

IEWGIENIJ T. OLEJPIĆZAK

МОЩЬ

SZARAŃCZY



fabryka słów

OLEJNICZAK JEWGJENIJ

T

Noc Szarancy

I piąty anioł zatrąbił: i ujrzałem
gwiazdę, która z nieba spadła na
ziemię,

IEWGIEΠIJ T.
OLEJPIČZAK

Π • Θ • C SZARAŃCZY



Lublin 2009

*i dano jej klucz od studni Czełuści.
I otworzyła studnię Czełuści,
a dym się uniósł ze studni jak dym z wielkiego pieca,
i od dymu studni zaćmiło się słońce i powietrze.
A z dymu wyszła szarańcza na ziemię,
I dano jej moc, jaką mają ziemskie skorpiony...
Ap. (9,1-3)*

NOC SZARAŃCZY

Prolog

We wtorek 21 czerwca 1842 roku nad północnymi równinami Indii rozwarły się bramy piekieł.

Bestia, która przybyła z lodowatych przestrzeni kosmosu, nie przypominała starodawnego węża ze średniowiecznych miniatur.

Planetoida. Monstrualna skała – ponad dziewięć kilometrów średnicy. Żelazo i bazalt.

Nadchodziła w międzyplanetarnej ciszy, nadchodziła z prędkością trzydziestu kilometrów na sekundę.

Nadchodziła, aby urzeczywistnić makabryczne proroctwa wizjonera z wyspy Patmos. Kiedy dostrzeżono ją przez ziemskie teleskopy, można już się było tylko modlić.

Mieszkańcy Azji Południowo-Wschodniej mimo wszystko nie wierzyli, że to już definitywny koniec, że ich los został przesądzony, że gdzieś w bezkresnych, milczących przestrzeniach zapadł nieodwołalny wyrok. Jeszcze na sekundy przed katastrofą było to

przecież zwykle upalne popołudnie. Pasterze jak zawsze prowadzili na postronkach krowy i kozy, wzbijając przy tym tumany rdzawego pyłu. Spoceni robotnicy wygrzebywali spod popiołu świeżo wypalone cegły. Sprzedawcy warzyw zachwalali na swych rozchybotanych łodziach dojrzałe dynie i kapustę, a stacjonujący w Delhi brytyjscy oficerowie leniwie grali w krykieta, mrużąc oczy od słonecznego blasku.

Kij uniesiony wysoko w górę, strużka potu spływająca po plecach. Pełna koncentracja. Trzeba dobrze przymierzyć. Wstrzymać oddech.

Tymczasem martwa planetoida – wciąż w absolutnej ciszy, jakby cały kosmos również wstrzymywał oddech przed ostatecznym uderzeniem – nieuchronnie zbliżała się do najwyższych warstw ziemskiej atmosfery.

Prawa natury są proste i surowe jak boskie przykazania.

Chwilę później stało się: kij uderzył w piłkę, a skała o barwie ciemnego popiołu brutalnie rozpruła niebo nad Półwyspem Indyjskim.

Wdarła się w atmosferę pod kątem jedenastu stopni. Powietrze, któremu nie udało się uciec na boki przed czołem obiektu, uległo gwałtownej kompresji i rozgrzało się do temperatury pięciokrotnie przekraczającej temperaturę Słońca. Planetoida i znajdujące się pod nią skały podłoża wyparowały w mgnieniu oka, a piekielne wichry wyrwały w ziemskiej skorupie krater o średnicy stu dziewięćdziesięciu kilometrów.

Jeziro płynnej skały pochłonęło Delhi, zanim rozległ się huk eksplozji. Zaraz potem oślepiająca kula rozżarzonych gazów stopiła Himalaje, a fala uderzeniowa – powaliwszy wpierw lasy w całej Azji i dużej części Europy – przekształciła się w grzmot,

jakiego nie słyszały dotąd ludzkie uszy.

Był to ryk anielskiej trąby, ryk bezlitośnie rozdieranego powietrza, ryk obwieszający całemu światu niewyobrażalną katastrofę.

Odłamki wyrwane ze skorupy ziemskiej miały wielkość gór. Wiele fragmentów skał wydostało się w przestrzeń kosmiczną. Pozostałe miliony ton wyrzuconego w powietrze gruzu i pyłu przesłoniły niebo nad Azją. Gwałtowne wichry rozniosły gorący popiół po całej planecie, wzniecając setki pożarów, których nie były w stanie ugasić nawet wielometrowe morskie fale wdzierające się w głąb wszystkich kontynentów. W atmosferze rozszalały się huragany i trąby powietrzne, z nieba lały się deszcze roztopionego szkła. Ziemia pękała, otwierały się groby, woda wyplukiwała z nich trumny, toczone przez robactwo zwłoki, nagie kości – ponura parodia Zmartwychwstania. Uśpione do tej pory wulkany pluły lawą. Furia ognia i wody zniszczyła tysiące miast.

A to nie był jeszcze koniec. Otworzyły się kolejne kręgi piekieł.

Przez długie dni biły w niebo trujące dymy potężnych pożarów. Ciemnoszare słupy wznosiły się wciąż wyżej i wyżej. Wreszcie dotarły na wysokość piętnastu kilometrów, połączyły się z popiołem, pyłem, sadzą i kurzem, rozplynęły po całym niebie, tworząc gigantyczną kurtynę.

Nad Ziemią zapadła noc.

Wszędzie wybuchały epidemie. Dzikie zwierzęta zamieszkały w ruinach miast.

Nastał czas ciemności i chłodu.

Gmach paryskiej Opery

–Napłujcie na to wszystko, bracia moi!

Stanisław Filaret Szyłowski uniósł poparzone ręce ku łóżom pierwszego piętra, gdzie pośród ciemności i lepkich pajęczyn siedziały już tylko duchy paryskiej socjety. Zamazane widma o białych jak puder twarzach, z zastygłymi na wieczność uśmiechami, nie zwracały jednak uwagi na barczystego proroka, zajęte wymianą ukłonów i podnoszeniem do oczu eleganckich lornetek.

Balkony i łoże Opery należały teraz wyłącznie do świata cieni.

Ale nie było to przedstawienie przeznaczone dla duchów. Na parterze siedzieli również żywi ludzie.

Kilkanaście osób zbiło się w ciasną gromadę, zajmując fotele dwóch pierwszych rzędów. Cały parter śmierdział gównem i moczem.

–Zedrzyjcie zasłonę ze świata tego, jako i ja zerwałem – podniósł głos Szyłowski. – A potem napłujcie na to, co wam pozostało, po trzykroć napłujcie, inaczej Szatan złowi was w swoją sieć, wszystkich, co do jednego! – Przez chwilę słychać było tylko skwierczenie ustawionych wokół sceny świec. – A łowy właśnie się zaczęły, uwierzcie mi. Czarty są wszędzie! Słyszę łopot ich skrzydeł pod sufitem. Obserwują nas, bracia moi, latają nad naszymi głowami. Pozostańcie czujni, albowiem synowie czarnych otchłani szukają najsłabszych pośród nas.

Ukryty w głębokim cieniu inspektor policji, Gustave Klossovsky, obserwował wizjonera, żując kolejne prymki tytoniu i strzykając co jakiś czas śliną – to na podłogę, to na sąsiednie fotele. Zajął miejsce w dziewiątym rzędzie, z daleka od innych słuchaczy.

Po pierwsze, nie chciał rzucać się w oczy. Po drugie – nie miał ochoty przebywać w bezpośredniej bliskości szaleńców. Myślał o nich wyłącznie ze strachem i obrzydzeniem. Był niemal pewien, że ich chorobą można się zarazić jak trądem. Jacy to muszą być ludzie, skoro przychodzą na takie kazania?

Jak na ironię, on sam należał do najwierniejszych uczestników tych spotkań. Słuchał kazania już po raz trzeci w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin i znał je niemal na pamięć. Choć szczerze powiedziaławszy, niewiele rozumiał ze słów wypowiedzianych przez Poparzonego Proroka, jak nazywano w Paryżu Stanisława Filareta Szyłowskiego. Niemniej jako obowiązkowy funkcjonariusz, sumiennie wywiązywał się ze swoich służbowych zadań.

Sam świeżo mianowany minister policji wyznaczył go przeciw do tego zadania.

Trzeba przyznać, że mężczyzna zupełnie nie wyglądał na policjanta. Przypominał raczej podstarzałego wyniszczzonego dandysa z tymi farbowanymi na żółto włosami pod fantazyjnym kapeluszem, z okularami o niebieskich szklach oraz trzymaną teraz między kolanami laseczką z czarną gałką w kształcie ludzkiej czaszki. Tylko po części był to kamuflaż. Gustave Klossovsky lubił mówić o sobie, że ma własny styl, a przełożeni przymykali oko na jego dziwactwa, ponieważ w policji rozpaczliwie brakowało ludzi. Podobnie zresztą jak we wszystkich instytucjach w mieście.

Było mu teraz niewygodnie i zimno mimo zarzuconego futra, w dodatku znowu miał atak migreny. Marzył już tylko o tym, aby jak najszybciej wrócić do komendy, napić się grzanego wina, zapalić

cygaro, a potem spisać raport i zapomnieć o całym przedstawieniu. Może uda mu się odwiedzić jeszcze przed snem palarnię opium. Trzeba się przecież rozluźnić.

–Czarty biegają już między nami. Napłujcie na nie! – prorok odwrócił się gwałtownie i splunął na przewrócony pulpit orkiestry. – A kysz! Wszystko przez ducha i dla ducha stworzone jest, nie dla cielesności. Myśli Boga nie docierają już do nas poprzez chmury, co zasnuły niebo. Musimy otworzyć dla Niego nowe drzwi, a to wymaga poświęceń, bracia. Najwyższych poświęceń!

Wariat odgrywający przedstawienie dla wariatów, pomyślał Klossovsky. Pośród śmierdzących ekskrementami

teatralnych dekoracji. Zapewne niespełniony aktor, któremu widok płonącej Warszawy kompletnie pomieszał rozum.

W porównaniu z tym występem kazania „Zmartwychwstańców”, Vintrasa, Fiodora Iwanowicza Niekrasowa czy choćby tego angielskiego oficera od „Przebudzonego Boga” wydawały się inspektorowi niemal spokojne i wyważone. W każdym razie żaden inny prorok nie zachęcał ludzi do wypalania sobie oczu nad świeczką.

–Materia jest niewolą ducha, przyjaciele, a oczy nie są latarniami rozumu, jak utrzymują głupcy, lecz zaryglowanymi drzwiami tego lochu. Uwolnijmy ducha! Otwórzmy drzwi na roścież!

Polak umilkł nagle i stał teraz na tle czerwonej kurtyny niczym tenor, który po przedstawieniu wyszedł pokłonić się publiczności. Tyle że nikt nie wiwatował, nikt nie klaskał. Balkony były puste, słuchacze, którzy zajęli dwa pierwsze rzędy parteru, siedzieli cicho,

w skupieniu wsłuchując się w płynące ze sceny słowa. Ruchliwe płomyki świec powlekały ich twarze trupią bladeścią. Kaznodzieja nie widział jednak swoich braci: był ślepy. Ofiarował swoje oczy Bogu.

–*Hoti chronos ouketi estai*, powiada anioł. Już nie będzie zwłoki – odezwał się znowu ślepiec. – Pozostało mało czasu, przyjaciele, a Nieprzyjaciel nie próżnuje. Uwierzcie mi, sztandar jego już powiewa, czarty formują wojenne szyki. Wyrwijcie oko, które gorszy! – Wśród ciemnoczerwonych pluszowych foteli rozbrzmiał cichy szmer aprobaty. Szyłowski podniósł głos: – Wyrwijcie oko!

Ktoś zaczął mamrotać modlitwę, z westybulu dobiegł kobiecy śmiech. Wysoki i świdrujący. Obłąkana albo pijana, beznamiętnie pomyślał Gustav Klossovsky, nawet nie odwracając głowy. A najpewniej i jedno, i drugie.

–Przeszliśmy już przez ogień i przez dymy pożarów. Lecz to za mało, bracia moi, czas prawdziwej próby dopiero nadchodzi! Musimy skruszyć naszą starą naturę, podeptać ją. Wyrwać ducha naszego z okowów. Ofiara będzie bolesna, bo tylko nasz ból uczyni ją słodką w ustach Pana. Wyrwijcie oko, które gorszy, bracia moi, rozerwijcie szatańską zasłonę, która oddzieliła nas od Boga, a wkrótce wydamy okrzyk zwycięstwa! Szarańcza spadnie jedynie na tych, którzy nie mają Jego pieczęci na czołach.

Policja zainteresowała się Szyłowskim już jakiś czas temu, ale dopiero ostatnie krwawe wydarzenia w mieście spowodowały, że zajęto się nim poważnie. Inspektor Klossovsky starał się zebrać wszelkie dostępne informacje na temat przedparyskiej działalności kaznodziei. Oczywiście nie było tego zbyt wiele, niemniej kilka faktów, które zgromadził, pozwoliło mu prześledzić z grubsza jego losy.

Według jednej z wersji prorok urodził się około roku 1801 jako trzecie dziecko profesora wileńskiego gimnazjum, według innej w 1805 – pod Warszawą, w rodzinie kościelnego organisty. Sam utrzymywał, że pochodzi z rodziny szlacheckiej, nie miało to raczej nic wspólnego z prawdą. W młodości studiował prawo albo medycynę. Przez jakiś czas przebywał w Petersburgu. Możliwe, że właśnie podczas pobytu w Rosji zapoznał się z niektórymi poglądami starowierców. Przed katastrofą mieszkał i pracował w Warszawie. Napisał tam liczne poematy i dramaty.

Do Paryża przybył na początku kwietnia tego roku, mając za sobą wielomiesięczną tułaczkę po ruinach największych miast Europy Środkowej. Warszawa, Praga, Wiedeń, Drezno, Monachium, Genewa – wszędzie tam w nielicznych ocalałych kościołach, teatrach, magazynach zbierali się przerażeni ludzie, a on proponował im, aby wyrzekli się daru widzenia, bo tylko wtedy zdołają przeciwstawić się diabłu.

–Wielki bój dopiero się rozpoczyna!

Widomo było, że ktoś taki wcześniej czy później trafi do Paryża. Musiał tutaj przybyć. Ten współczesny Babilon przyciągał wszystkich samozwańczych proroków Europy. To w Paryżu właśnie, w samym centrum zepsucia i grzechu, zamierzali podjąć ostateczną walkę z Bestią. Był więc Szyłowski tylko jednym z dziesiątek proroków w tej dzielnicy. Coś go jednak wyróżniało.

Był szalony i niebezpieczny, to na początek. Zatem ludzie, którzy wokół niego się gromadzili, również musieli być szaleni i niebezpieczni.

Dlatego Gustave Klossovsky przybył już trzeci raz do gmachu Opery. Obserwował zarówno proroka, jak i tych, którzy przyszli wysłuchać kazania. Sprawdzał, czy mają coś wspólnego z nieludzkimi morderstwami, do jakich doszło w Paryżu w ciągu kilku ostatnich tygodni.

–Zapomnijcie o marnym ciebie, co do pajęczyny jest podobne, a przysięgam, że wywiode was z sideł mroku!

Były urzędnik warszawskiego archiwum i niedoceniony poeta głęboko wierzył w swoją misję. Miał w Paryżu zaledwie kilkunastu słuchaczy – ufał, że wkrótce pójda za nim tysiące.

Wyspa Cité

Lodowaty wiatr, drobny śnieg sypiący w oczy. Kilkanaście stopni poniżej zera. Wymarłe ulice pomiędzy wieżami katedry Notre Dame i zamienionym w skład zboża kościołem Sainte Chapelle ginęły w ciemnościach. Przypominały chodniki opuszczonej kopalni. Czarne niebo przytłaczało jak pokłady węgla. Trzeba było mieć dużo odwagi, żeby się tutaj pojawić.

Albo wystarczyło wykonywać rozkazy.

Żołnierze gwardii narodowej wstrzymali konie. Jadący na czele pięcioosobowego patrolu młodzik o dziewczęcej twarzy, zasłoniętej teraz aż po oczy wełnianą chustką, podniósł wyżej latarnię. Wydobył z mroku tylko narożnik kamienicy i fragment najbliższej bramy.

Nawet leżący na ulicy śnieg tylko odrobinę rozświetlał ciemności. W tej dzielnicy nie zapalano ulicznych latarni ani nie ustawiano świec za szybami parterowych okien.

–Chyba pusto – powiedział młodzik.

Wszyscy trzymali broń w pogotowiu, trudno się zresztą dziwić. Nie chodziło tu nawet o grasujące na wyspie watahy wilków – cały Paryż był ich pełen. Jednakże wąskie, pogrążone w ciemnościach ulice stwarzały idealne okazje dla ekskalerników, band Bretończyków, a także dla uciekinierów ze wschodniej Europy. Wszystkich tych zdziczałych, okutanych w futra osobników, którzy w ostatnich miesiącach niemal całkowicie opanowali ruiny dumnej niegdyś stolicy. Wprawdzie większość z nich zajęła wystawne pałace i rezydencje na lewym brzegu Sekwany oraz na pobliskiej wyspie Świętego Ludwika, ale wysokie kamienice w okolicy wcale nie musiały być całkowicie wyludnione, prawda?

–Patrzą na nas przez okna – odezwał się do młodzika Jean-Baptiste Frochot, niewiele starszy dowódca patrolu, nazywany przez gwardzistów po prostu Rudym. Ręce miał tak zgrabiałe, że nie czuł karabinu. – Wiem, że tam są. Czuję ich spojrzenia.

–Jeśli nawet ktoś tu jest, to patrzy na nasze konie – odparł żołnierz siedzący na klaczy obok. – Skurwysyny zdychają z głodu, nie mają sił do ataku. Mogą sobie tam siedzieć i patrzeć, ile tylko chcą.

Nazywał się Maurice Tautin. Był tylko dwa lata starszy od dowódcy. Mimo to wyglądał jak weteran spod Moskwy: grubo ciosana, czerwona od zimna i jałowcówki twarz, której jako jedyny w całym oddziale nie osłaniał niczym przed lodowatym wiatrem. Bandycka gęba ze szramą na czole i z płaskim złamanym nosem.

Ponure spojrzenie szaroniebieskich oczu. Aż trudno było uwierzyć, że ten twardy, zobojętniały na niebezpieczeństwo zabijaka służył w gwardii dopiero od czterech miesięcy. Jego rodzina parała się od pokoleń handlem morskim z Antylami, a on sam jeszcze trzy lata temu chciał zostać księdzem. Stare czasy.

–Ludzie, którzy zabili strażników przy Sainte Chapelle, mieli całkiem dużo sił – powiedział Frochot. Tautin splunął.

–A może to wcale nie byli ludzie? – odparł wyzywającym tonem.

–A więc kto? – Frochot odwrócił głowę w stronę żołnierza. Jego klacz parsknęła i rzuciła łbem.

–Nie wiem.

–Tautin? – Frochot wolałby, żeby jego głos wyrażał w tej chwili więcej zdecydowania.

–Nie wiem – powtórzył. – Nic nie widziałem.

–A nie słyszeliście przypadkiem od innych? Żołnierz podrapał się w zniekształcony nos.

–Aha.

–No więc?

–Różnie mówią, ja tam nie mam zdania.

–Bestie?

Wybuch śmiechu gdzieś za plecami.

–Coś takiego...

–Czyli jednak?

–Wszyscy tak mówią. Nawet w pałacu.

W rudym sierżancie wezbrał gniew. Choć przecież wiedział doskonale, że Tautin powiedział prawdę, Frochot nie zamierzał

walczyć z tym uczuciem. Dzięki niemu nie było już mu tak zimno.

–Wierzycie w te potwory wychodzące ze studzienek kanalizacyjnych, Tautin? Mamy szukać morderców pod ziemią? Wejdziecie do kanału?

–Nie.

–Więc czemu się, kurwa, wygłupiacie?

Tautin wzruszył tylko ramionami i pociągnął nosem.

Rudy dowódca poczuł, że jego gniew stygnie równie gwałtownie, jak zapłonął, i zastępuje go poczucie zażenowania. Przed kim właściwie odgrywał tę komedię?

–To ludzi należy się obawiać – powiedział cicho.

Spojrzał w górę, gdzie powinny znajdować się okna kamienic. Starał się dostrzec jakiegokolwiek ślady życia. Nigdzie nie widział jednak nawet słabego odbłasku światła. Dał znak i cały oddział ruszył wolno ulicą.

Pałac Tuileryjski

Dłonie były jego oczami.

Niewidomy chłopiec badał nieznane przedmioty z taką samą zachłannością, z jaką jeszcze w rodzinnym Rouen dotykał owczego runa, surowych desek ogrodzenia oraz kamiennego muru przykościelnego cmentarza.

Wystarczał mu do tego najczęściej trzeci i czwarty palec prawej dłoni – wodził nimi delikatnie po barwnych tkaninach, dotykał narzędzi i ozdób, naczyń i broni tak uważnie, jakby chciał nie tylko poznać ich fakturę, lecz

również rozszyfrować całą związaną z nimi historię. Wszystko było dla niego nowe i świeże: papierośnica, karafka,

młynek do kawy,

wypchana sowa, szorstkie płótno, na którym namalowano wieżę kościoła na tle zachmurzonego nieba.

Amulet w kształcie lwiej łapy.

–Jest czerwony, prawda?

–Tak – odpowiedział Claude Dechamps, ściągnając krzaczaste brwi. Przywiózł ten amulet lata temu z Egiptu,

gdzie walczył jako żołnierz Cesarza. – Naprawdę czujesz ciepło?

Achilles uśmiechnął się. Jego trójkątna twarz była blada jak papier. Dziesięcioletek wyglądał niczym ożywiony na jedną noc trup.

–Mówiłem ci już. Czerwony jest ciepły i lepki. Jedyny w swoim rodzaju.

Siedzieli w olbrzymiej sali Pałacu Tuileryjskiego, gdzie za mosiężnymi kratami kominka płonął ogień, rzucając ruchome odbłaski na ściany, meble, złote grzbiety książek i stojący pod oknem koncertowy fortepian.

Nie byli sami.

Pod oknem dwóch ministrów w galowych mundurach wymieniało półgłosem uwagi, jakiś mężczyzna z brzuchem jak worek mąki krążył niecierpliwie po sali, a przy drzwiach siedział jeszcze wysoki niechlujny młodzieniec o podłużnej twarzy, z kocią bródką, w okularach, z nienabitą fajką w ustach.

Młodzieniec przedstawił się Dechampsowi jako Benjamin Cartwright, biolog z Marylandu. On także, jak wszyscy w pomieszczeniu, wezwany został na rozmowę z monarchą i czekał teraz na swoją kolej, przybrawszy nieco nonszalancką pozę, która nie pasowała ani do miejsca, ani do sytuacji.

Wysokie lustro wiszące na jednej ze ścian pogłębiały i tak już obszerne pomieszczenie. Dechamps gryzł siwego wosa i nerwowo uderzał gumowym końcem laski to o posadzkę, to o kratę kominka, rzucając zniecierpliwione spojrzenia na ścienny zegar. Czekali już godzinę i osiem minut. Ludwik Filip, jak informowano ich już kilkakrotnie, wciąż odpoczywał w swojej królewskiej sypialni. Ale lada moment wstanie, powtarzano.

–A inne kolory? – spytał Dechamps bardziej z nudów niż ciekawości.

–Żółty jest szorstki – wyjaśnił niewidomy chłopiec. – Za to niebieski zimny i gładki. Nie zatrzymuje palców.

–Tak jak biel?

–Biel jest bardzo gładka. Ile razy mam ci to jeszcze tłumaczyć?

Siedemdziesięcioletni weteran, były żołnierz Napoleona, spojrział na swoje wielkie kwadratowe dłonie o grubych palcach, dłonie, które w niczym nie przypominały delikatnych instrumentów, jakimi dysponował chłopiec. Były to dłonie stworzone do pałasza.

–Co to właściwie znaczy, że biel jest gładka? – spytał. – Kiedy dotykasz śniegu, też jest dla ciebie gładki?

–Trudno to wytłumaczyć.

–Przynajmniej spróbuj.

Wysokie okna zasłonięto purpurowymi kotarami, dzięki czemu nie widać było stacjonujących na pałacowym dziedzińcu wojsk. Do komnaty docierał stamtąd jedynie słaby odbłask płonących ognisk i głuche odgłosy rąbanych na opał dorożek i mebli. Ułożone w stosy mahoniowe stoliki, sofy, dębowe szafy, orzechowe fortepiany miały zapewnić na najbliższe dni światło i ciepło resztkom francuskiej armii.

–A czy ty potrafisz opisać, co właściwie czujesz, kiedy patrzysz na czerwień albo na zieleń? – zapytał niewidomy chłopiec tonem, którego Dechamps szczególnie nie lubił. Czasami bywał zarozumiały i arogancki. Po prostu wyszczekany gówniarz, jak wszystkie dzieci, którym uparcie wmawia się, że są wyjątkowe.

–Już mnie o to pytałeś.

–Wiem. Odpowiedz.

Przysłuchujący się rozmowie Amerykanin odwrócił się w ich stronę z bezczelnym uśmiechem.

–Męczą mnie takie rozmowy – powiedział Dechamps, zły, że w ogóle wywołał niewygodny temat.

–Potrafisz czy nie? – nalegał chłopak.

–Nie potrafię – przyznał z niechęcią siwowłosy mężczyzna. – Jestem tylko prostym żołnierzem. Kiedy patrzę na czerwień, najczęściej widzę śmierć. A jeśli już o to chodzi, masz rację: krew jest rzeczywiście ciepła i lepka.

–Znowu jesteś zły – odezwał się chłopiec po chwili milczenia.

–Nieprawda. Jestem po prostu głodny.

Wszystko co było do zjedzenia, oddał chłopcu, kiedy przywieziono go z Rouen. Chłopiec był teraz najważniejszy.

–Ten amulet... – odezwał się cicho Achilles.

–Tak?

–Należał kiedyś do kogoś innego, mam rację?

–To również można odczytać palcami?

–Jego właściciel nie żyje.

–Zgadza się.

–Zabiłeś go?

–Tak.

Znowu chwila ciszy.

–Opowiesz mi o tym?

–Nie opowiem.

–Dlaczego?

–Bo nic nie pamiętam.

Dechamps nie kłamał. W jego umyśle wszystkie starcia zlewały się w jedno. Złotożółte błyski, łoskot armatnich wystrzałów, dym, drżąca ziemia... Cóż jeszcze? Twarze czarne od prochu, wyrzucone w powietrze ciała i ich strzępy, a potem kotłowanina na szańcach, chrapliwe oddechy, dzikie i chaotyczne pchnięcia bagnetem...

Kompletnie nie potrafił sobie przypomnieć twarzy człowieka, do którego należał czerwony amulet.

–Oddaj mi go – powiedział do chłopca.

Gmach paryskiej Opery

–Przez tyle miesięcy modliłem się do naszego Zbawiciela, aby dał mi jakiś znak, jakkolwiek wskazówkę, choćby najmniejszą.

Wiele świec już się dopaliło, wewnątrz zrobiło się ciemno jak w jaskini. Gustave Klossovsky poruszył się w fotelu, zmieniając pozycję. Jego matka miała rację: mało było rzeczy równie niewygodnych jak siedzenia w Operze.

–Albowiem zdawałem sobie sprawę z tego, że gniję za życia. Jak przysypany ziemią trup. Świadomość tego doprowadzała mnie

do rozpacz. – Pokryta bliznami twarz Stanisława Filareta Szyłowskiego, twarz o pustych oczodołach, zdawała się promieniować teraz własnym światłem. Jakby odbijały się w niej łuny pożarów, które strawiły Warszawę. – Pracowałem w urzędzie, przyjaciele, kochałem, nienawidziłem, pisałem wiersze, miałem swoje ambicje.

Uśmiechałem się, grałem w karty z innymi nędznymi robakami, czytałem uczone kłamliwe książki. Ale byłem już trupem. Byłem żywym trupem, bracia moi, i wiedziałem o tym.

Umilkł nagle i spuścił głowę. Czarne skołtunione włosy opadły mu na pierś, zmieszały się z brodą. Zrobiło się bardzo cicho, słycać było tylko skwierczenie resztek z tych kilku palących się jeszcze świec.

–Codziennie chodziłem do kościołów, modliłem się przed obrazami – mówił szeptem, lecz słycać było wyraźnie każde jego słowo. – Padałem na kolana, całowałem krucyfiks i modliłem się gorliwie. O jedno słowo Zbawiciela. O jedną wskazówkę. Chrystus wciąż milczał, wszelako ja byłem cierpliwy, bracia, bardzo cierpliwy. – Stanisław Filaret podniósł głowę i uśmiechnął się, ukazując pożółkłe, ostre jak u wilka zęby. – W końcu Pan mnie wysłuchał.

Wyspa Cité

Jechali pośród wycia wiatru. Ginęły w nim parsknięcia koni, uderzenia kopyt i brzęk obijających się o ostrogi pałaszy. Karabiny trzymali wciąż w pogotowiu, cugle ujęte krótko. Kołysząca się latarnia oświetlała kolejne fragmenty średniowiecznych kamienic.

Półotwarte okute drzwi. Skruszone portale, rynny, kamienne stopnie, zniekształcone i szerniałe od ognia nadproża. Resztki rusztowań dekarzy. Ciężkie kołatki. Drabiny oparte o uliczne latarnie. Wszystko to w bladej świetle wydawało się nierzeczywiste niczym strzępy koszmarnych snów. Pod jedną ze ścian po prawej stronie zamajaczył jakiś niewyraźny kształt.

Zatrzymali się na moment. Jean-Baptiste Frochot spojrzął z wysokości siodła na zamarznięte ludzkie zwłoki z postawionymi w górę kolanami. Musiały być świeże, bo nie zasypał ich jeszcze całkowicie śnieg. Dowódca ruchem głowy nakazał Tautinowi, żeby przyjrzał się im bliżej. Żołnierz mruknął coś gniewnie, zeskoczył z konia. Młodzik o twarzy szesnastoletniej dziewczyny – sfrancuziały Włoch, podobno były student chemii – podał mu latarnię. Tautin pochylił się nad trupem, bezceremonialnie trącił go lufą karabinu, potem nogą strząsnął śnieg, przykucnął, kładąc broń na kolanach. Ciało nie było okaleczone. Śmierć z głodu albo zimna. Widowali już setki takich trupów.

–Zamarzył po pijanemu – zawyrokował Tautin, podnosząc się z kucek. – Obok leżą trzy butelki. Wspaniała śmierć.

Była to najpopularniejsza ostatnio forma samobójstwa. Pozbawieni nadziei pili na umór, a potem po prostu zamarzali na ulicach.

–Ciało w całości?

–Tak. Wszystko ma na swoim miejscu.

–Jedziemy – zakomenderował Rudy.

Tautin wskoczył na siodło i ruszyli przed siebie.

Oglądali trupy równie często jak żywych. W ciągu ostatnich miesięcy widzieli nie tylko ofiary głodu, mrozu i ulicznej przemocy. Pamiętali również ludzi spalonych żywcem podczas wielkich pożarów, kiedy niebo nad Paryżem gorzało szkarłatem i bielą. Zwęglone, złamane w pół ciała, które nie przypominały już ludzi, tylko szerniałe polana; olbrzymie słupy ognia wysysające powietrze z ulic i placów Paryża, wciągające mieszkańców – mężczyzn, kobiety i dzieci – do piekielnego pieca, jakby to były nieważkie słomiane kukły. Jeśli ktoś przeżył tamte dni i nie oszalał – jak ojciec Frochota – to widok kolejnych zamarznionych zwłok nie mógł już zrobić na nim żadnego wrażenia.

Pałac Tuileryjski

Niewidomy chłopiec zasnął, rozleniwiony bijącym od kominka ciepłem.

Młody Amerykanin jakby tylko czekał na tę chwilę. Wstał i przysunął sobie krzesło do fotela, w którym siedział Claude Dechamps. Był bardzo chudy i wysoki mimo zgarbionych pleców. Wyglądał, jakby składał się jedynie z rąk i nóg. Człowiek pajak. Nawet jego twarz miała w sobie coś owadziego.

–Pan wcale chłopakowi nie wierzy, prawda? – spytał bezceremonialnie, nie wyjąwszy nawet fajki z ust. – Uważa pan to za jakieś sztuczki?

–Nie moja sprawa – odparł niechętnie żołnierz Wielkiej Armii, przyglądając kosmyk włosów, który zaczesywał zawsze tak, aby zakryć bliznę po obciętym przez kozacką szablę uchu. – Moim zadaniem było tylko przywieźć go tutaj. Może rzeczywiście czuje te kolory pod palcami, może tylko zgaduje. Niech inni się nad tym głowią.

–A może czerpie wiedzę na ich temat bezpośrednio z naszych umysłów? – długonogi Jankes nie przestawał prowokować.

–Pan wybaczy, nie rozumiem. Jesteś pan mesmerystą czy jak?

Benjamin Cartwright uśmiechnął się lekko, lecz nie odpowiedział. Wyjął fajkę z ust i schował. Mężczyźni siedzieli przez chwilę w milczeniu, patrząc w syczące płomienie kominka.

–Interesujące – odezwał się po chwili Amerykanin. – Jest niewidomy od urodzenia. Proszę pomyśleć, że jeszcze do niedawna jego kalectwo mogło wydawać się straszliwe. Ponieważ teraz, kiedy cały świat pograżył się w ciemnościach, chłopak radzi sobie w tych nowych warunkach nie gorzej niż inni. A nawet lepiej. Z pewnością przeżył też mniejszy szok po katastrofie.

–Jest ślepy, a my jeszcze widzimy – odparł szorstko Dechamps. – Uważa pan, że jest mu z tym łatwiej?

–Wkrótce wszyscy ludzie będą ślepi, *monsieur* – uśmiechnął się Cartwright, mrużąc oko, przez co jego nieprzyjemna twarz nabrała jeszcze paskudniejszego wyrazu. – Jeżeli w ogóle pozostaną jacyś ludzie na tej planecie, w co osobiście wątpię.

–Czyli pańskim zdaniem wszyscy pozdychamy z zimna i głodu?

–Mniej więcej.

Claude Dechamps spojrział na bezczelnego naukowca z miną wyrażającą dezaprobatę.

–Myśli pan, młody człowieku, że po to Bóg stworzył świat, aby pozostawić go teraz niezamieszkanym? – żołnierz energicznie uderzył końcem laski o kratę kominka. – Na tym miałyby polegać Jego plan? Niechże się pan zastanowi, gdzie tu sens i logika? Ludzkość podniesie się po tym ciosie, może pan być tego pewien. Życie odrodzi się, bo...

–Tak, odrodzi się, ma pan rację – przerwał Amerykanin. – Raczej już w innej formie. W każdym razie nie w ludzkiej. Chyba że człowiek ulegnie daleko posuniętej przemianie. Chociaż wtedy nie będzie to już człowiek, jakiego znamy, czyż nie?

–A cóż to znaczy? Opowiadasz pan brednie.

–Czytał pan może „Filozofię zoologii” Lamarcka? Słyszał pan o zjawisku adaptacji? O przemianach jednych form biologicznych w inne?

–Nie, nie czytałem i nie słyszałem. Tak się złożyło, że miałem ważniejsze sprawy na głowie.

–Szkoda, bo to wielce interesująca lektura. Podług Lamarcka przekształcenia żywych organizmów następują pod wpływem zmian wewnętrznych, a także warunków panujących na zewnątrz.

Za oknem ktoś krzyknął.

Claude Dechamps drgnął, przygotowany na najgorsze. Wciąż spodziewał się szturm. Wiedział, że wcześniej czy później azjatycka dzicz sforsuje żelazne ogrodzenie, przebije się przez kordon wojska i zdobędzie pałac.

Scytowie zatriumfują.

Nie, jeszcze nie tym razem.

–*Natura horret vacuum*, jak to się mówi. – Benjamin Cartwright założył nogę na nogę i splótł ręce na karku, ignorując

dobiegające z zewnątrz hałasy, jakby w ogóle nie zdawał sobie sprawy z zagrożenia. – Doskonale pan wie, że jesteśmy bezbronni wobec obecnej zmiany warunków. Niestety, jeśli nasze organizmy nie dostosują się do tych zmian, to prędzej czy później będziemy musieli opuścić scenę, żeby zrobić miejsce dla innej teatralnej trupy. Dechamps spojrział na niego uważnie spod krzaczastych brwi.

–Dla kogo mamy zrobić miejsce, jeśli można wiedzieć?

–Nie mam pojęcia – niedbale odparł naukowiec. – Ale to już się zaczęło. Nie bez powodu wezwano nas tutaj, prawda? Wygląda na to, że policja ani wojsko nie potrafią sobie poradzić z ostatnimi wydarzeniami.

Claude Dechamps nie odpowiedział. Twarz nabiegła mu krwią, jej lewa część zadrgała w nerwowym tiku. Miał wielką ochotę obić laską przemądrzałego młokosa. Znał się na ludziach. Kanalie i słabeuszy rozpoznawał w mgnieniu oka. Amerykanina uznał za zwykłego nieudacznika i tchórza, przemądrzałego wymocznika, który zamiast walczyć, wymyśla teorie, aby usprawiedliwić bezczynność. Po co w ogóle tacy ludzie przyjeżdżają do Paryża? Niech gówniarz wraca do Ameryki i tam przekonuje słabych, że najlepszym wyjściem dla ludzkości jest zbiorowe samobójstwo albo bierne oczekiwanie na śmierć. Może znajdzie zrozumienie wśród tamtejszych dzikusów albo

tych czarnuchów, co kiedyś od rana do wieczora pracowali na plantacjach bawełny i tytoniu, a teraz plądrują Waszyngton, Nowy Jork i Filadelfię. Wielka Francja z całą pewnością nie potrzebuje takich ludzi jak Benjamin Cartwright.

Lecz Amerykanin nie chciał zostawić go w spokoju.

–Niech mi pan teraz powie, na cóż zdała się cała nasza cywilizacja? – pochylił się ku staremu żołnierzowi, który patrzył gdzieś w kąt sali z miną wyrażającą obrazę i z trudem tłumioną wściekłość. – Tysiące lat filozofii, kultury, bogowie, kolej żelazna, telegraf, wszystkie te armaty i maszyny parowe świata... Na cóż nam to teraz? Bezużyteczny naddatek, nieporęczny bagaż, tyle panu powiem. Na nasze miejsce wejdą stworzenia, które nie komponują symfonii ani nie obracają wielkimi kapitałami. Być może nie są nawet świadome, przynajmniej w takim sensie, w jakim my pojmujemy świadomość.

–Bezrozumne zwierzę nigdy nie zastąpi człowieka – powiedział Dechamps, nie odwróciwszy głowy w stronę Amerykanina.

–Tutaj się pan niestety myli, i to bardzo. Rozum nie jest niezbędny do przetrwania, a czasami może wręcz przeszkadzać.

–Mnie tam nie przeszkadza – uśmiechnął się Dechamps.

Naukowiec zdjął okulary.

–Rozum jest dla nas ciężarem – rzekł poważnie. – Czasami mam wrażenie, że rozwinął się niejako naszym kosztem i nie jest żadną tam koroną stworzenia. Raczej, by tak rzec, śmiertelną chorobą trawiącą ciało Matki Natury, rodzajem wyjątkowo złośliwego nowotworu. W każdym razie nowym władcom tej planety wystarczy czysty instynkt. Działając niczym maszyny, zajmą się tylko tym co dla nich najważniejsze, nie tracąc czasu ani energii na bzdury, którymi zwykle zaprzatają sobie głowę ludzie. Znikną dylematy moralne, obawy przed podejmowaniem nieodwracalnych decyzji, wszystkie te pozorne sprzeczności, irracjonalne zachowania. Pozbawione świadomości stworzenia działają szybciej i efektywniej, dla instynktu bowiem najważniejsze jest tylko przetrwanie. Owszem, nie zbudują takie stworzenia kolei żelaznej ani parowca, choć dla podtrzymania życia taka wynalazczość nie jest im potrzebna. Podobnie jak religia, filozofia, historia. I to stanowi o ich sile. Jeśli dodatkowo będą miały zmysły pozwalające sprawniej egzystować w warunkach, jakie nastąpiły po katastrofie, to proszę mi wierzyć, w konfrontacji z nimi nie będziemy mieli żadnych szans.

–Wszystko to bardzo piękne, ale skąd według szanownego pana przybędzie ta nowa rasa? Spod ziemi?

Amerykanin obnażył w uśmiechu zęby, które zdawały się wielkie jak klawisze fortepianu.

–Strzał w dziesiątkę.

–Taki pan pewny? Czemu nie z kosmosu?

–Po prostu nie widzę innej możliwości. Gdzie indziej sukinsyny mogłyby się ukrywać do tej pory? – Cartwright przestał spekulować, teraz mówił tak, jakby inwazja już się dokonała. – Myślę, że mamy do czynienia z gatunkiem, który od tysięcy lat zamieszkuje głęboko pod ziemią. Historia naszej planety jest bardzo długa, *monsieur*, znalazłoby się więc w niej zapewne miejsce dla alternatywnej linii życia. Według niektórych zwolenników teorii Lamarcka wszystkie rodzaje i gatunki posiadają wspólnego przodka. Być może zatem to jacyś nasi krewni, którzy w odległej przeszłości schronili się pod powierzchnią Ziemi i pod wpływem nowych warunków przekształcili w coś pomiędzy człowiekiem a na przykład olbrzymim insektem?

–Robactwo? – parsknął gniewnie Claude Dechamps.

–Proszę posłuchać dalej – spokojnie kontynuował Benjamin Cartwright. – Owady czy nie, gatunek ten istnieje, niepodobna w to w dalszym ciągu wątpić. Przez jakiś czas przebywał zapewne w głębokim letargu, skoro dotąd nie zdawaliśmy sobie sprawy z jego istnienia. Zakładam, że owe istoty nie wiedziały też o nas. Być może ani im się śniło, że poza ich światem istnieje jeszcze coś, coś „u góry”. Uderzenie planetoidy nie dość, że obudziło stworzenia z drzemki, wyzwoliło ich fluid życiowy, to jeszcze stworzyło warunki sprzyjające wyjściu poza ich naturalne środowisko, czyli na powierzchnię. Tak to sobie wyobrażam.

–No i co z tego? To dla mnie w dalszym ciągu byłoby tylko robactwo. Bóg nie stworzył przecież świata dla karaluchów.

–Proszę posłuchać dalej, panie Dechamps. Te na pozór prymitywne i niegroźne stworzenia mogą okazać się niezwykle skuteczne, jeśli chodzi o kolonizację naszej planety. Na razie tylko badają nowy teren. Są niczym dzieci wychodzące nocą na strych. Zbierają informacje. To jeszcze nieśmiałe próby, ale przecież wkrótce istoty te odkryją, że odkąd nastąpiła Wieczna Noc, na powierzchni zrobiło się dla nich bardzo wygodnie i bezpiecznie. A wtedy zacznie się prawdziwa ekspansja, zapewniam pana. Bardzo szybko opanują planetę, ponieważ jeśli rzeczywiście mają coś wspólnego z owadami, to pod względem sprawności organizacyjnej przewyższą nas w niewyobrażalnym stopniu.

–Więc zamieszkają w naszych miastach i będą zamiast ludzi rządzić z tego pałacu? – roześmiał się żołnierz. – Doprawdy, jak na

naukowca ma pan chyba zbyt wielką skłonność do fantazjowania, młody człowieku.

–Jestem pewien, że one już mają swoje miasta, i to dużo potężniejsze, niż się panu zdaje, *monsieur*. -

Cartwright wzruszył ramionami. – Zwiedził pan kawał świata jako żołnierz, mam rację?

Dechamps przytaknął w milczeniu.

–Słyszał więc pan zapewne historie o podziemnych metropoliach w Rosji, Chinach i Mongolii?

Claude Dechamps spowaźniał nagle i wreszcie spojrzął naukowcomi prosto w oczy.

–To tylko bajki i legendy – powiedział. – W dodatku o ile pamiętam, mało mają wspólnego z insektami.

–Być może to tylko legendy, ale uczono nas przecież, że w każdej legendzie jest ziarno prawdy. Popuśćmy na moment wodze fantazji. Cóż zatem, jeśli te mityczne metropolie to właśnie ich podziemne gniazda? Może budowniczo wie nie są aż tak całkiem bezrozumni, jak przed chwilą mówiłem? Może posiadają na przykład jedną wspólną świadomość, na którą składają się mózgi wszystkich osobników? W dodatku mogłaby to być świadomość przez większą część życia pozostająca w uśpieniu i wynurzająca się tylko na krótkie chwile, kiedy naprawdę byłaby potrzebna. Istnieje też ewentualność, że...

–Bzdury – przerwał siwowłosy weteran, dając do zrozumienia, że nie ma ochoty na kontynuowanie dyskusji. – Gównu tam posiadają. Kto posiada? A pan, młody człowieku, marnuje jako naukowiec swoją energię i wiedzę. Czy nie uważa pan, że w obecnej sytuacji byłoby rzeczą właściwszą zastanawiać się raczej nad tym, w jaki sposób nauka mogłaby nam pomóc przetrwać ten trudny okres?

Staremu żołnierzowi przeszła cała złość, ustępując miejsca poczuciu dziwnego odrętwienia. Był zmęczony.

Gmach paryskiej Opery

–Pewnej nocy Zbawiciel przyszedł do mnie we śnie! Przybył otoczony cudownym, nieziemskim światłem. Powiadam wam, bracia moi, było to najpiękniejsze światło, jakie kiedykolwiek widziałem. I usłyszałem głos, mocny i czysty jak dzwon: „Bądź gotów, Stanisławie, albowiem zbliża się płomienny potop! Aniołowie wyleją czaszę gniewu, aby położyć kres nieprawości. Ciebie wybrałem, Stanisławie, i ciebie naznaczę! Ty pomożesz sprawiedliwym przejść przez ogień, mróz i ciemność! Wszystko jest duchem, a ciało do diabła należy”.

–Co mam czynić? – zapytałem.

–Oddaj mi swoje oczy, Stanisławie.

Pałac Tuileryjski

Claude Dechamps zapadł w drzemkę. Widział wewnątrz wiejskiego kościoła, którego już dawno nie było, i twarz księdza, który już dawno nie żył, kiedy nagle otworzyły się wysokie drzwi i do sali wkroczył premier François Guizot. Był to drobny przygarbiony mężczyzna w żołnierskim płaszczu narzuconym na elegancki czarny surdut.

–Jego wysokość prosi do swojego apartamentu. – Głos zabrzmiał zaskakująco donośnie jak na tak niepozornego człowieka.

Claude Dechamps, Benjamin Cartwright oraz ministrowie podnieśli się energicznie ze swoich miejsc.

–Tylko chłopiec – powiedział premier, nakazując gestem ręki, żeby wszyscy inni usiedli z powrotem.

Gmach paryskiej Opery

Prócz zmęczenia i zimna było coś jeszcze, co od kilkudziesięciu minut dręczyło inspektora policji.

Gustave Klossovsky starał się o tym zbyt często nie myśleć, ale po ostatnim spotkaniu z prefektem nie opuszczało go przykre wrażenie, że tylko marnuje czas, zbierając wiadomości na temat samozwańczego proroka. Ani Stanisław Filaret Szyłowski, ani pozostałe osoby, którymi się zajmował, nie miały najprawdopodobniej nic wspólnego z morderstwami nad Sekwaną i na wyspie Cité. Do takiego wniosku doszedł, obserwując reakcje prefekta na składane mu raporty. Szczególnie ostatnia rozmowa dała mu do myślenia. Wyglądało na to, że jego przełożonego nic a nic nie interesują sprawozdania z Opery, jakby głowę miał zajętą zupełnie czymś innym.

Do tego dochodziły jeszcze krążące po mieście plotki. Sprawa, mówiono nad nikłymi płomieniami świec, jest dużo bardziej tajemnicza i skomplikowana, niż to się na początku wydawało. Dlaczego więc mimo wszystko polecono mu w dalszym ciągu obserwować Poparzonego Proroka?

Komuś na górze najwyraźniej zależało na takim właśnie pozorowanym śledztwie. Tylko co się za tym kryło? Przecież nie owe tajemnicze potwory wychodzące z opuszczonych kopalń, aby

opanować Paryż, jak utrzymywał pewien były pracownik drukarni, z którym inspektor rozmawiał ostatnio przy butelce wina.

Być może za morderstwami stoi jakaś znaczniejsza osoba? Ktoś z wyższych sfer, nawet z najbliższego otoczenia króla? Dlatego śledztwo kierowane jest na fałszywy tor. Aby odwrócić uwagę od rzeczywistych sprawców.

Na sali paliły się już tylko cztery świece. Sylwetka proroka zniknęła w mroku, lecz jego głos wciąż wypełniał całe pomieszczenie. Wydawał się nawet donośniejszy, jakby sam Bóg przemawiał do zgromadzonych w Operze ludzi.

–Chmury diabelskiego pyłu przeszkadzają Bogu w dotarciu do ludzkich serc! Ale ci, którzy naprawdę pragną Go usłyszeć, nie pozostaną samotni.

Jakiś osobliwy odgłos rozległ się gdzieś z tyłu. Gustave Klossovsky drgnął, nie odwrócił jednak głowy.

Wyspa Cité

Za plecami rudego dowódcy jakiś żołnierz powiedział coś niewyraźnie i wybuchnął basowym śmiechem. Frochot nawet się nie odwrócił.

–Cisza.

To Marcel Levitau – Łysy Diabeł. Czterdzieści trzy lata. Niedźwiedziowaty olbrzym.

Pracował kiedyś jako maszynista w teatrze. Trudno go było zrozumieć, odkąd pewien marsylczyk pozbawił go za pomocą kolby karabinu czterech przednich zębów. Powszechnie uważano, że to największa kanalia wśród gwardzistów. Człowiek, który w

normalnych warunkach powinien już dawno wisieć. Krążyły na jego temat przerażające historie. Najświeższa: podobno kilka dni temu zgwałcił i zatłukł na śmierć przydybaną w jakimś kościele nieletnią Kreolkę. Poderżnął też gardło księdzu, używając do tego celu noża, który zrobił sobie z długiego bagnetu.

Wiadomo, to już nie była ta gwardia co kilka lat temu. Składała się w przeważającej części z przypadkowych osób. Kupców, rzeźników, straganiarzy, najczęściej zwykłych skurwysynów. Wcale nie lepszych od tych, przeciwko którym została powołana.

Frochot – wymuskany syn chirurga i włoskiej śpiewaczki – nienawidził takich jak Levitau. Zastrzeliłby psa z największą przyjemnością. Bez żadnych skrupułów wypaliłby mu prosto w ten łysy łeb. Ale wiedział doskonale, że tego nie robi. Nie podniesie na niego ręki, nie pociągnie za spust gdzieś w ciemnej bramie. Nie robi tego, ponieważ się go boi. Boi się noża z bagnetu. Strach przed własnymi podwładnymi był ostatnio dla rudego dowódcy prawdziwą torturą.

Znowu jechali powoli przed siebie, prawie nie widząc się nawzajem. Zza każdego węgła atakował ich lodowaty wichur. Konie, a właściwie wynędzniałe szkapy, które im przydzielono na posterunku, zapadały się po pęciny w śniegu. Zwierzęta i bijące od nich ciepło były dla nich w tych warunkach prawdziwym wybawieniem.

–Uważajcie na okna.

Tęsknił do ogniska i gorącego bulionu. Gdzieś na drugim brzegu skutej lodem Sekwany zawył wilk. Frochot pogłaskał uspokajająco kark konia. Potem włożył pistolet za pas, wydobył spod kożucha

flaskę, odkorkował i pociągnął łyk wódki. Za plecami usłyszał pogardliwe prychnięcie.

Levitau czy Tautin?

Zamarznięty trup został daleko za nimi. Pochłonęła go ciemność, a za kilka godzin śnieg zasypie całkowicie lodowate ciało. Frochot już o nim zapomniał. Raczej nie było żadnego związku między tą śmiercią a wczorajszym bestialskim atakiem przy Sainte Chapelle. Ciała strażników wyglądały zupełnie inaczej. Właściwie nie były to już nawet ciała, tylko fragmenty ciał.

Ktoś porąbał żołnierzy, jakby obrabiał mięso w rzeźni.

A najgorsze było to, że napastnicy nie zabrali ze sobą nic ze strzeżonego przez ofiary kościoła.

Nie zabrali nawet karabinów.

Pałac Tuileryjski

Ludwik Filip wyglądał w tej chwili bardziej jak bankier albo kupiec zagłębiony w księgach rachunkowych niż jak głowa państwa. Ubrany w ciemnoczerwony szlafrok siedział przy mahoniowym biurku, popijając rosół z filiżanki i przeglądając raporty oraz korespondencję. Widać było, że dopiero co wstał z łóżka.

Ale Achilles Bovary i tak nie mógł go zobaczyć.

–Guizot, czy mógłby pan zostawić nas na chwilę samych? – powiedział król, nie podnosząc wzroku znad papierów.

Premier uklonił się, wyszedł i delikatnie zamknął za sobą dwuskrzydłowe drzwi.

–Jak się nazywasz, chłopcze? – spytał król po chwili.

–Achilles Bovary.

–Jesteś z Rouen?

–Tak.

–Długo jechaliście?

–Bardzo długo. Było zimno.

–Głodny?

–Nie. Zjadłem przed chwilą chleb z serem.

–Zaraz dostaniesz coś ciepłego, Achillesie. Ale najpierw sobie chwilę porozmawiamy, dobrze?

–Dobrze.

Ludwik Filip przetarł palcami powieki, pod którymi wciąż majaczyły senne obrazy: wieczór w Operze, obserwowana z wysokości królewskiej łoży widownia, wachlarze, wysokie fryzury kobiet, lornetki i laski ze złocionymi gałkami w dłoniach elegantów, rozjarzony żyrandol i ciężka czerwona kurtyna.

Tylko dlaczego obudził się zlany zimnym potem?

–Naprawdę rozumiesz mowę zwierząt? – spytał, patrząc uważnie w bezkrwistą twarz stojącego przed nim chłopca.

–Tak. Czasami z nimi rozmawiam.

–O czym?

–Najczęściej opowiadają o swoich chorobach.

- Skarżą się?
- Tylko kiedy je coś boli.
- Psy i konie?
- Bardzo często.
- Owce też?
- Też.
- Świnie i krowy?
- Tak. Osły również.

Król uśmiechnął się. Ułożył listy w równy stosik i odsunął na bok. Przez chwilę milczał, popijając rosół i uważnie obserwując chłopca. Ten sen miał coś wspólnego z manekinami, pomyślał. Wszyscy w Operze byli sztywni jak lalki, czyżby o to chodziło? Tego się przestraszył?

Uśmiechnięte kukły?

Wstał, odszedł od biurka i z rękami w kieszeniach szlafroka zaczął krążyć po pokoju, to wchodząc w krąg światła lampy, to znikając w ciemnościach.

-Mamy tutaj jedno chore, bardzo chore zwierzę, Achillesie – powiedział wreszcie, przystanąwszy ze wzrokiem wbitym w ciemny kąt pokoju. – Pomyślałem, że może umiałbyś mu pomóc.

Wyspa Cité

Kwadratowe otwory z żelaznymi kratami. Studzienki prowadzące do rozgałęzionego systemu kanałów.

Mundus subterraneus.

Trzewia Paryża. Miejskie ścieki. Ponad sto mil podziemnych korytarzy, pełnych odgałęzień i ślepych zaułków. Stare kamienne kanały z czasów Ludwika XIII oraz tunele wydrążone całkiem niedawno. Czarne wilgotne labirynty, podziemne ulice bez nazw, gdzie diabły powożą dorożkami zaprzężonymi w olbrzymie szczury.

Ileż dzieci wpadło do tego piekła?

Frochot pamiętał ostrzeżenia babki. Szalona Włoszka – tak o niej mówiono. Był wtedy kilkuletnim anemicznym chłopcem, który nienawidził lekcji fortepianu. Wprawdzie nigdy nie bawił się na paryskich ulicach, a już na pewno nie bez opieki dorosłych, ale ostrożności nigdy za wiele.

Uważaj na powozy i trzymaj się z daleka od studzienek. Rudy dowódca poczuł się nieswojo na samo wspomnienie głosu babki.

Pod ulicami mieszkają potwory, które porywają niegrzeczne dzieci. Pamiętasz małą Sophie? Pamiętasz, jaka była nieznośna? Jak bawiła się na ulicy po zapadnięciu zmroku? Nie posłuchała swojego taty...

Sophie Duval, najmłodsza córka piekarza. Pamiętał ją jak przez mgłę. Zdziorna dziewczynka ze znamieniem na ramieniu. Znalaziono ją martwą w kanale. Od tamtego dnia bał się wyjść na ulicę.

Nawet jadąc powozem, nie patrzył przez okno.

Pałac Tuileryjski

Achilles Bovary siedział obok kominka z talerzem na kolanach, podczas gdy król uważnie przyglądał mu się znad papierów, pałac cienkiego tureckiego papierosa i popijając gorącą kawę. Chłopak był tak kruchy, że zdawał się wręcz niematerialny. Gdyby spojrzeć na niego pod światło, pomyślał Ludwik Filip, okazałoby się, że jest przezroczysty. Niewidomy rozumiejący mowę zwierząt. Nawet to zabawne. Z jednej strony ministrowie, marszałkowie, generałowie i prefekci, z drugiej natomiast – cudowne dzieci, mesmeryści, szamani z Ameryki, szaleni naukowcy, pisarze pozbawieni piątej klepki.

Dwa sztaby kryzysowe.

Wojska już wychodzą ze swoich kwater, żeby zebrać się na placach Carrousel i Ludwika XV, do wszystkich posterunków i prefektur zostały przekazane odpowiednie rozkazy. Tymczasem tutaj, w pałacu, niewidome dziecko z Rouen miało pomóc monarsze zrozumieć, z kim lub z czym właściwie przyjdzie mu się zmierzyć.

Jak chłopiec zareaguje na więzione w pałacu zwierzę? Zwierzę?...

Właśnie.

W jaki sposób wytłumaczyć chłopcu, że stworzenie, do którego za chwilę zostanie zaprowadzony, to nie jest ani koń, ani pies? Ani cokolwiek, co posiadałoby jakąś nazwę w słowniku?

Dostrzeżono je w pałacowych ogrodach. Żołnierze otworzyli ogień. Bestia została ciężko raniona, wciąż jednak żyła. Zamknięto ją w jednej z opuszczonych komnat. Wezwani natychmiast uczeni i lekarze nie potrafili wytłumaczyć Ludwikowi Filipowi, co to jest i skąd się wzięło. Sam król widział to tylko raz, przez krótką chwilę, natychmiast bowiem uciekł do swoich apartamentów.

Zobaczył coś czarnozielonego, bezokiego, jakiś niewykończony kształt.

Długo nie chciał przyjąć do wiadomości, że ma do czynienia z czymś realnym. Jeszcze do niedawna taka istota mogła być dla niego tylko stworzeniem ze snu. Nocną marą – która teraz zmaterializowała się w pałacowej komnacie.

Zdawało mu się, że uderzenie meteorytu musiało naruszyć delikatną granicę między jawą a snem, rozedrzeć zasłonę, umożliwiając wzajemne przenikanie się obu światów. Miał nadzieję, że po jakimś czasie bestia sama

zniknie, rozplynie się jak nocny majak. Ale bestia zniknąć nie chciała.

W dodatku wszystko wskazywało na to, że nie jest to pojedynczy wybryk natury. Potwierdzał to każdy nowy list, każdy nowy raport. Niepokojące doniesienia z wybrzeża; istoty wychodzące z opuszczonych kopalń; przypadki, które miały miejsce w Auxerre, w Lyonie, na plaży w Calais. Czy choćby niedawne zdarzenie przy Sainte Chapelle.

Czterech uzbrojonych mężczyzn poćwiartowanych na śniegu z jakąś bezduszną precyzją. Dokładnie i metodycznie.

Gwardia i policja poszukiwały sprawców wśród mieszkańców Paryża. Trudno się zresztą dziwić. Takie było oficjalne stanowisko rządu. Król do samego końca wierzył, że za tymi czynami stoją ludzie, a nie demoniczne stwory. Obserwowano więc wszystkie podejrzane grupy, stowarzyszenia i religijne sekty w stolicy, chociaż z każdą upływającą godziną stawało się jasne, że to tylko strata czasu. Wiedzieli o tym wszyscy prefekci i prawie wszyscy żołnierze. Dopiero kilka godzin temu Ludwik Filip rozkazał poinformować posterunki i urzędy o tym, jak naprawdę wygląda sytuacja.

Dlaczego wojsko wychodzi z kwater.

Zaczęła się wojna.

Wielka wojna z ludźmi, którzy – jak przekonywał w swoich szalonych pismach Benjamin Cartwright – tysiące lat temu uciekli pod ziemię, aby przekształcić się w owady.

Gmach paryskiej Opery

Osobliwy dźwięk powtórzył się i tym razem Gustave Klossovsky odwrócił już głowę. Zdjął okulary o pomalowanych na niebiesko szklach i uważnie spojrzął w głęboki mrok rozciągający się za jego plecami. Wstrzymał oddech. Poczł się dziwnie. Po raz pierwszy zrobiło mu się naprawdę nieswojo. Znudzenie i niesmak ustąpiły miejsca pełnej napięcia czujności.

Słyszę łopot ich skrzydeł pod sufitem.

Nie, to nie jest łopot czarcich skrzydeł, *monsieur* Szyłowski. To raczej łopot skrzydeł twojego szaleństwa, pomyślał inspektor. Szaleństwa, które wisi tu w powietrzu i najwyraźniej jest zaraźliwe.

Spokojnie. Pomyślmy racjonalnie.

Za pierwszym razem zignorował dobiegający z tyłu odgłos, sądząc, że to kolejny wariat snujący się w ciemnościach westybulu czy gdzieś pomiędzy ostatnimi rzędami zakurzonych foteli. W pierwszej chwili zabrzmiało to bowiem jak skrzywienie fotela albo niemelodyjne pogwizdywanie. Teraz zdał sobie sprawę, że to nie jest ludzki odgłos ani tym bardziej zepsuty fotel. Do budynku Opery musiał się dostać jakiś ptak albo niewielkie zwierzę, nie było innego wytłumaczenia.

Oprócz takiego: *Obserwują nas, moi bracia, pozostajcie czujni.*

Znowu to usłyszał.

Tym razem odgłos, który skojarzył się inspektorowi z szelestem skrzydła. Tak, to musiał być ptak. Albo nietoperz. Może złamał skrzydło i szamocze się teraz na podłodze? Tyle że w tych warunkach niepodobna go dostrzec. Gustave Klossovsky przez

chwilę próbował jeszcze wyłowić z ciemności jakikolwiek ruch, ale w końcu uświadomił sobie, że to nie ma sensu. Odwrócił się z powrotem w stronę przemawiającego ze sceny proroka. Brodaty Polak powinien już za chwilę opowiedzieć wszystkim po raz kolejny, w jaki sposób pozbawił się wzroku, zrywając tym samym kraty z okien lochu, jakim dla ducha jest materia.

A więc jego przedstawienie zbliżało się do punktu kulminacyjnego.

Tyle że agent dawno przestał go słuchać.

Był obserwowany, to pewne. *Synowie czarnych otchłani są pośród nas.*

Bzdura.

Ale obejrzał się raz jeszcze, a potem, całkowicie bezwiednie, wsunął dłoń pod futro i zacisnął palce na kolbie ukrytego tam pistoletu.

Wyspa Cité

–Ktoś tam jest! – krzyknął nagle Maurice Tautin, wskazując otwartą bramę mijanej właśnie kamienicy.

Nie czekając na rozkaz, zeskoczył z konia i z karabinem w ręce rzucił się w stronę budynku. W ślad za nim podążył chłopak z latarnią. Żołnierze podnieśli broń, rozległ się szcęk odwodzonych kurków.

–Zostańcie w siodłach! – krzyknął Frochot do reszty oddziału. Uniósł głowę i zaczął się rozglądać na wszystkie strony.

W ciemnościach nie widział okien. Jeżeli to zasadzka, to i tak nie zobaczymy luf pistoletów, pomyślał przygotowany na huk wystrzałów. Dopóki nie wypalą. Serce uderzało gwałtownie, oddech stał się szybki i płytki, mięśnie zeszywniały. Frochot starał się zapanować nad drżeniem rąk. Bezskutecznie.

Błogosławił więc ciemność, która czyniła go niewidocznym nie tylko dla potencjalnych napastników, lecz również dla żołnierzy z własnego oddziału. Jego strach był na razie dobrze ukryty.

Czego się boisz, głupcze? Przecież to tylko umierający z głodu nędzarze, zapewne nawet nieuzbrojeni. Zębami nas nie zaatakują.

–Rozsuńcie się! Nie stójcie tak jeden obok drugiego!

Przynajmniej jedno było w tym wszystkim dla Frochota pocieszające: miał niezawodny instynkt żołnierza.

Przecucia go jednak nie myliły. Od samego początku, odkąd tylko wjechali w labirynt średniowiecznych uliczek, wiedział, że są obserwowani. Mówił im, że ktoś na nich patrzy.

Tylko czy będzie to miało jakiegokolwiek znaczenie?

–Maurice zobaczył pewnie własny cień – zaśmiał się Levitau. – Tracimy tutaj czas, Rudy.

–Cisza! – ryknął Frochot. – Zeskakuj i sprawdź, czy nie potrzebują pomocy.

Młody dowódca miał nadzieję, że jeśli już ktoś musi dzisiaj zginąć, będzie to właśnie Łysy Diabeł.

–Z przyjemnością.

Jean-Baptiste Frochot usłyszał, jak Levitau zeskakuje z konia, a następnie pada na śnieg.

–Ja pierdole... – wydyszał Łysy Diabeł. – Chyba zwichnąłem nogę w kostce.

Pewnie był już kompletnie pijany, jak zwykle, gdy patrolowali miasto. Szkoda, że to tylko kostka, pomyślał Frochot.

–Zapolujemy sobie na cienie, sierżancie – wybełkotał Levitau. – Rozkaz to rozkaz. Kurwa, moja noga! Nie mogę wstać.

Zanim zdążył się podnieść, z bramy wypchnięty został jakiś człowiek.

Sekundę później stanął w niej Tautin oświetlony z tyłu ruchomym blaskiem latarni.

–Nikogo więcej nie ma – powiedział wesoło. – A to śmierzące straszdyło na śniegu to chyba dziewczyna.

Pałac Tuileryjski

Achilles Bovary doskonale wyczuwał napięcie otaczających go mężczyzn.

Prowadzili go najpierw przez amfiladę sal, a potem długimi, pogrążonymi w ciemnościach korytarzami lewego skrzydła. Ta część pałacu była całkowicie wyludniona. Wszystkie komnaty stały puste.

Wszystkie poza jedną.

Dziwny to był orszak. Mały chłopiec trzymany za rękę przez samego premiera i ubezpieczany ze wszystkich stron przez żołnierzy z gotowymi do strzału karabinami. Szli w milczeniu, słychać było jedynie echo ciężkich żołnierskich kroków i przytłumione, dochodzące zza okien uderzenia siekier.

Im bardziej zbliżali się do komnaty, gdzie więziono tajemniczego gościa, tym napięcie stawało się większe. Kiedy wreszcie stanęli przed wysokimi drzwiami, których pilnowało dwóch wartowników, Achilles poczuł, że uginają się pod nim kolana.

–Spokojnie – szepnęła premier Guizot. – Nie pozwolimy, żeby stała ci się krzywda.

Wyspa Cité

–Jak się nazywasz, dziewczyno?

–Sophie.

Frochot drgnął. Sophie, córka piekarza, porwana przez bestie żyjące w kanałach pod ulicami Paryża. Oblęd. Otrząśnij się, człowieku.

–Pytałem o nazwisko.

–Lafitte. Sophie Lafitte.

Ustawili się obok niej półkolem.

–Ile masz lat, panienko?

–Piętnaście.

–Gdzie są twoi rodzice?

–Nie mam rodziców.

–W takim razie z kim tutaj mieszkasz?

–Nie mieszkam tutaj.

Na podstawie samego wyglądu trudno byłoby ustalić jej wiek. Okutana w gałgany i szmaty, z włosami ukrytymi pod wełnianymi chustami, w świetle latarni wyglądała jak stara czarownica. Gdyby nie młodzieńczy głos, nikt by zapewne nie uwierzył, że ma dopiero piętnaście lat.

–Więc co robisz na tej ulicy? Po jakiego diabła się tutaj kręcisz?

–Sierżancie, może ja przesłucham to maleństwo? – odezwał się Levitau. – Będzie szybciej. A potem mogę jeszcze sprawdzić, czy przypadkiem nie ukrywa czegoś pod tymi szmatami.

Jakiś żołnierz z tyłu zaśmiał się krótko.

–Stul pysk, moczymordo! – warknął Tautin.

–Odpierdol się – odpowiedział Łysy Diabeł.

–Sophie, pytam raz jeszcze, co robiłaś w tej kamienicy?

–Szukałam brata. Ma na imię Horacy.

–A jak na niego mówią na ulicy? Odpowiedz, nie bój się.

Dziewczyna milczała przez chwilę, patrząc gdzieś pod nogi.

–Mówią na niego Bagnet – rzekła wreszcie.

–Ile ma lat?

–Jedenaście.

Jedenastoletni Bagnet. Wszystko jasne. Braciszek należał zapewne do jednej z tych dziecięcych band, które rozpleniły się na wyspach i po obu stronach Sekwany. Wyspa Cité – ze swoimi opuszczonymi domami i wąskimi ulicami, z omijanym przez wszystkie patrole budynkiem Hôtel-Dieu – stanowiła dla nich doskonałą kryjówkę. Być może Horacy Lafitte był nawet członkiem „Sierotek”. Jeśli tak, to raczej trudno było mówić o nim jak o dziecku. Mali mordercy z tej grupy byli równie skuteczni i bezwzględni jak starzy recydywiści.

A może nawet bardziej.

–Kiedy widziałas go ostatni raz?

–Dawno.

–Powinien być gdzieś tutaj?

–Tak, oni wszyscy powinni być gdzieś tutaj.

–Jacy oni? – spytał Frochot, choć przecież doskonale wiedział, o kogo chodzi.

–Chłopcy.

–„Sierotki”?

Sophie Lafitte nie odpowiedziała.

–Może gdzieś się przenieśli? – zasugerował Tautin i splunął. – Niewiele tu teraz okazji do zabawy. Sąsiednia wyspa chyba się lepiej nadaje, prawda?

–Nie – odparła Sophie. – Nie przenieśli się. Uciekli.

–Przed kim? – nie odpuszczał Frochot.

Dziewczyna zaczęła szlochać.

–Odpowiedz, Sophie. – Rudy dowódca postarał się, żeby jego głos zabrzmiał w miarę łagodnie. – Powiedz nam wszystko, co wiesz, inaczej nie będziemy mogli pomóc twojemu bratu. Gdzie są teraz ci, przed którymi uciekł Horacy?

Gmach paryskiej Opery

Zanim zgasła ostatnia świeca i zrobiło się zupełnie ciemno, Gustave Klossovsky przedzierał się już pomiędzy rzędami foteli w stronę sceny – w rozpiętym futrze, z pistoletem gotowym do strzału. Powoli, jak w koszmarnym śnie. – Wszystko zaczyna się wypełniać, bracia! – zagrział niewidoczny już Stanisław Filaret Szyłowski.

Potem Poparzony Prorok umilkł na zawsze.

Zdyszany inspektor usłyszał pierwsze niemal zwierzęce krzyki przerażenia, ale nie potrafił dostrzec napastników. Słyszał jedynie hałas, jakby do sali dostało się stado nietoperzy. Pokonywał kolejne rzędy, powoli i niezgrabnie, z trudem łapiąc oddech. Po drodze zgubił szeroki kapelusz i swoją drogocenną laskę z gałką w kształcie trupiej czaszki. Był policjantem i miał obowiązek chronić tych ludzi, choćby byli to obrzydliwi wariaci.

Poza tym za sceną znajdowało się tylne wyjście.

Potknął się o oparcie fotela i runął między dwa rzędy. Pistolet wypadł mu z dłoni, na moment stracił orientację.

Wtedy właśnie, szukając po omacku zgubionej broni, zdał sobie sprawę, że nie opuści już żywy budynku Opery.

Była to jego ostatnia myśl.

Wyspa Cité

Katedra Notre Dame wynurzyła się z ciemności tak nagle, że aż wstrzymali bezwiednie konie. Jakby w jednej chwili zmaterializowała się w miejscu, gdzie sekundę wcześniej była tylko czarna pustka. Było tak, jak gdyby sama noc przyoblekła się w kamień.

Poczuł się przytłoczony.

Podjechali bliżej i zatrzymali zwierzęta na wprost szerokiego środkowego portalu. Latarnia oświetliła wyrzeźbione na nim sceny z Sądu Ostatecznego oraz stojące na wysokich cokołach posągi apostołów, którzy bardziej niż świętych przypominali teraz złośliwe, poruszające się w jakimś dziwnym tańcu pogańskie demony.

Reszta budowli kryła się w mroku. Jean-Baptiste Frochot zeskoczył z konia.

–Po cholere tam wchodzimy? – spytał Łysy Diabeł. – Objedźmy ją i będzie spokój. Nie wierzysz chyba tej małej dziwce, Rudy. Wysłała nas tutaj tylko po to, żebyśmy się przestali kręcić po jej ulicy. Nie bądź znowu taki gorliwy.

–Złaż z konia – warknął dowódca. – Wchodzimy, sprawdzamy i wracamy na posterunek.

Rudy też nie uwierzył dziewczynie. To co powiedziała im piętnastoletnia Sophie Lafitte, brzmiało tak niewiarygodnie, że każdy inny dowódca zapewne darowałby sobie wycieczkę do katedry. Ale nie Frochot. Zdawał sobie sprawę, że nie może zupełnie zlekceważyć jej słów. Miał obowiązek przeszukać katedrę, choćby tylko pobieżnie. Gdyby któryś z jego żołnierzy wygadał się przed dowództwem, że nie sprawdzili tej wiadomości, z pewnością musiałby się gęsto tłumaczyć.

Albowiem według relacji dziewczyny w Notre Dame zagnieździło się coś złego. Coś, co śmiertelnie przeraziło chłopców, kiedy próbowali dostać się do środka.

–Jakaś inna banda? – dopytywał Frochot. – Rosjanie? Kanibale?

–Nie. To chyba nie byli ludzie.

–Jakieś zwierzęta?

–Nie wiem.

Kilku chłopców podczas próby wejścia do katedry straciło rozum. Potem nie można się było już z nimi dogadać.

Byli przerażeni.

–Żaden z nich nie potrafił mi odpowiedzieć.

Pałac Tuileryjski

Zostawili go samego. Zamknęli za nim dwuskrzydłowe drzwi komnaty i czekali na korytarzu.

Achilles Bovary postąpił krok w stronę łoża, do którego przywiązane było umierające stworzenie. Przystanął ostrożnie, jakby zbliżył się na sam skraj przepaści. Kolana mu się trzęsły, a serce boleśnie uderzało o klatkę żeber. Mówiono mu, że nie ma się czego obawiać. Że zwierzę jest spokojne, a w dodatku nie może się ruszyć. Poproszono go, aby spróbował tylko nawiązać z nim kontakt. Dowiedzieć się, skąd przybywa i dlaczego wtargnęło do pałacowego ogrodu.

Tylko tyle.

Mimo wszystko chłopiec nie potrafił opanować narastającego z każdą sekundą przerażenia.

Obcy zapach – to pierwsze, co zarejestrował.

Zupełnie obcy zapach, który nie należał do żadnego znanego mu stworzenia.

Przez chwilę nic się nie działo, jak gdyby zwierzę było martwe. Achilles nie potrafił wyłapać najdrobniejszego choćby sygnału z jego strony. Czuł tylko ten dziwny zapach. Nawet nie smród, raczej słodkawą woń, jakby w komnacie ustawiono kosz z owocami.

Już miał zrezygnować i opuścić pomieszczenie, kiedy to coś się obudziło. Chłopiec doznał naraz wrażenia ruchu. Zdawało mu się, że spada łagodnie poprzez pustą przestrzeń. Przestał się bać, spłynął na niego dziwny spokój.

Coś się obudziło i otworzyło oko.

Oko spojrzało na chłopca.

Wyspa Cité

Pierwszy wszedł Levitau.

Odebrał od młodzika latarnię, karabin oparł nonszalancko na ramieniu i z gromkim, choć szyderczym okrzykiem: „Niech żyje gwardia!” wkroczył do wnętrza świątyni. Jego głos odbił się potężnym echem od niewidocznego w ciemnościach sklepienia.

Jean-Baptiste Frochot podążył w ślad za Łysym Diabłem. Wchodząc do katedry, chciał się przeżegnać, ale nie mógł w tej chwili zwolnić rąk – w lewej trzymał pistolet, w prawej obnażoną szablę. W jego żyłach płonęła jałowcówka, nie czuł się jednak dzięki temu pewniej. Strach bez żadnych przeszkód zawłaszczwał w nim nerw po nerwie.

Za Frochotem ruszyli Tautin, młodzik i Rossi, powoli, z karabinami trzymanymi na wysokości twarzy, w przeciwieństwie do Łysego Diabła spięci i czujni, choć nie bardzo wiedzieli, czego właściwie szukają i na co mają uważać. Olbrzymia nawa tonęła w mroku.

Pod ciężkimi butami żołnierzy chrzęściło szkło z rozbitych witraży. W świetle trzymanej przez Łysego Diabła latarni widać było przede wszystkim te kolorowe szkiełka pokrywające czarno-białą szachownicę posadzki. Czasami – kiedy latarnia zakołysała się mocniej – z ciemności wynurzały się na moment fragmenty siedzeń i oparcie ustawionych po obu stronach przejścia między ławkami.

–Nie marnować prochu – wyszeptał rudy sierżant. – Strzelać tylko na mój rozkaz.

–Tutaj nikogo nie ma – odezwał się Tautin.

–To się dopiero okaże. Zachowajcie ostrożność.

Nim przebrzmiały jego słowa, nastąpiło to, co wcześniej czy później musiało nastąpić.

Pijany Marcel Levitau, który całkowicie już chyba zatracił instynkt samozachowawczy, zatoczył się nagle do przodu i zahaczył rozkołysaną latarnią o jedną z podtrzymujących sklepienie kolumn. Rozległ się brzdęk i głośne przekleństwa – wszystko to zwielokrotnione przez niesamowite echo.

A potem zapadła cisza.

Ciemność zamknęła ich w swoim łonie, tak jak ocean zamyka wody wokół tonących.

Pałac Tuileryjski

Coś obserwowało chłopca – i nie było to uwięzione w komnacie stworzenie.

Było to coś o wiele potężniejszego, coś pierwotnego, głęboko ukrytego. Zwierzę odgrywało jedynie rolę pośrednika pomiędzy tym czymś a światem. Chłopiec zrozumiał to natychmiast. Prawdziwy obserwator znajdował się gdzieś daleko, bardzo daleko, ale Achilles czuł, że istota ta w jakiś sposób potrafi być w wielu miejscach równocześnie. Miejsca te były dla chłopca w większości dziwne i obce, niektóre jednak sprawiały wrażenie dobrze znanych. Istota – ani człowiek, ani zwierzę – badała je wszystkie naraz, nie opuszczając swojej kryjówki. Otwierała oko i przyglądała się tysiącom obiektów, w tym również chłopcu, a następnie znowu je zamykała. Jakby na przemian budziła się i zasypiała.

Przyływ i odpływ, przyływ i odpływ. Zanurzała się w mrokach nieświadomości i z coraz większym trudem wynurzała się z powrotem. Była ranna. Była przerażona.

Wyspa Cité

–Wynoście się stąd! Ich już tu nie ma!

Frochot obrócił pistolet w kierunku, z którego dochodził głos.

–Kto mówi? – zapytał załamującym się głosem. – Kto tam jest? Odpowiadać!

Nie widział nawet wyciągniętej ręki z pistoletem. Czerń była absolutna. Frochot był jak ślepiec uwięziony na dnie kopalni. Zdawało mu się, że zniknął, że całkowicie rozpuścił się w ciemnościach.

–Wynoście się! One rozbiegły się po mieście! Całkowicie zgłupiały!

–Kto zgłupiał? O czym ty mówisz, człowieku?!

–Nasi towarzysze w nieszczęściu, któż by inny? Podziemni bracia – w głosie zadźwięczały ironiczne tony. –

Przecież wychodzą na powierzchnię już od dawna. Jeszcze o tym nie słyszeliście? Nasi podziemni bracia zgłupieli nawet wcześniej niż my, co nie ukrywam, jest dla mnie małą niespodzianką.

–Podziemni bracia? – spytał Frochot.

–Mordercy, których szukacie.

–Co wiesz o mordercach?

–Niewiele. Na początku zabijali z czystej ciekawości, przez przypadek, a może nawet w celach badawczych.

Cholera ich wie!

Teraz zaczynają to robić ze strachu! Jazda stąd! Zostawcie mnie w spokoju!

–Pokaż się, Quasimodo! – krzyknął Tautin. – Czemu chowasz się w ciemnościach?

–Spierdalajcie!

Krzyk dobiegał gdzieś z prawej strony.

Frochot zgięty wpół posuwał się już w kierunku źródła głosu. Czuł teraz dziwny przyływ sił. To nie demony wystraszyły chłopców, tylko ludzie.

–Levitauz, co z tobą? – zapytał szeptem, który zabrzmiał we wnętrzu katedry niczym szum lasu. – Żyjesz jeszcze?

Odpowiedział mu niezrozumiały bełkot.

–Staniesz za to pod ścianą, dopilnuję.

–Niczego nie dopilnujesz! – zabrzmiał głos ukrytego w ciemnościach mężczyzny. – Nie zdążysz! Niedługo będziesz szukał już tylko ciepła i pożywienia.

–Poddaj się! – krzyknął Frochot. – Wiemy, że to wy zabiliście żołnierzy przy Sainte Chapelle. Zaraz przybędzie tu wojsko!

Mężczyzna wybuchnął wariackim śmiechem. Jest szalony albo kompletnie pijany, pomyślał rudy sierżant.

–Głupcze, skoro jesteś już w świątyni, to zacznij się modlić, póki jeszcze możesz. Weź przykład ze mnie, starego drania, który choć przez całe życie wyklócał się z Bogiem, ostatnie chwile zamierza spędzić w katedrze. Nie trać więc czasu na bezsensowne polowanie, chłopcze. Zaczęła się prawdziwa Apokalipsa i nie ma to nic wspólnego z wychodzącą spod ziemi szarańczę. Sami zamieniamy się w szarańczę. Zacznij się modlić. Albo stąd odejdz!

Gmach paryskiej Opery

Skulony pomiędzy drugim i trzecim rzędem foteli Gustave Klossovsky czekał na śmierć. Nie rozumiał, co się wokół niego dzieje. Zrezygnował z walki i prób ucieczki. Obejmując kolana, trząsł się ze strachu. Był niczym zwierzę złapane w potrzask.

Wyspa Cité

–Straciłeś rozum, człowieku! – krzyknął Frochot, czując, że jest coraz bliżej ukrytego w ciemnościach mężczyzny.

–To nie my mamy rozum, tylko rozum ma nas – zaśmiał się tamten. – Ale chyba właśnie przestaliśmy być mu potrzebni, więc wyrzuca nas jak stare zabawki. Nie tylko zresztą nas, jak się okazuje. Rozum obraził się chyba na całą naszą planetę.

–Jesteś pijany.

–Owszem. I przyznam nawet, że jest mi z tego powodu niezmiernie głupio. Ostatnie świadome myśli przytępiłem alkoholem. No cóż, po prostu słaby ze mnie człowiek.

–Poddaj się!

–Jestem słaby, jestem słaby! Popatrz, chłopcze: wciąż jeszcze zdaję sobie z tego sprawę – znowu się zaśmiał. – *Cogito ergo sum!* Kurwa twoja mać! Cóż za radość! Niedługo moje myśli staną się tylko zlepkiem wrażeń pojawiających się szybko i równie szybko znikających. Za chwilę być może będę żył sobie już tylko w wąskim wycinku terażniejszości, pomiędzy poczuciem przyjemności a strachem.

–Za chwilę cię zastrzelę!

W ciemnościach rozległo się potężne beknięcie.

–A więc wyświadczysz mi wielką, przeogromną przysługę, nieszczęsny durniu.

Nagle Jean-Baptiste Frochot usłyszał za plecami jakieś dziwne pomruki, chrząkania, a potem słowa. Całe ciągi słów, które nie chciały się jednak ułożyć w sensowne zdania.

Maurice Tautin. Rozpoznał go po głosie.

Pałac Tuileryjski

Achilles Bovary wydostał się na korytarz wstrząśnięty i niemal nieprzytomny z wrażenia. Korytarz był pusty. Nikt na niego nie czekał. Premier i żołnierze gdzieś znikli, na podłodze pozostały tylko karabiny.

Chłopiec usiadł na moment, a następnie wstał i zaczął po prostu biec z wyciągniętymi przed siebie rękami.

Wyspa Cité

–Co się tutaj właściwie dzieje? – krzyknął Jean-Baptiste Frochot. – Co się stało z moimi ludźmi? Co ich zaatakowało?

Tautin bełkotał, a Rossi nie odzywał się w ogóle, jakby całkowicie rozpuścił się w ciemnościach. Młodzik też zniknął. Frochot był zdany już tylko na siebie.

–Dobre pytanie, chłopcze, ale nie jestem chyba aż tak mądry, aby udzielić ci na nie odpowiedzi.

Błysnął płomień zapalniczki i Frochot nareszcie zobaczył swojego rozmówcę. Siedział kilkanaście metrów od niego, na jednej z ławek po prawej stronie nawy. Olbrzym w kapeluszu z szerokim rondem, trzymający przed sobą butelkę wina. Mężczyzna zapalił wysoką gromnicę i odwrócił się w stronę rudego sierżanta.

–Ciągle chce mnie pan zastrzelić, młody człowieku?

Pałac Tuileryjski

Benjamin Cartwright zwrócił uwagę na siwowłosego weterana dopiero w momencie, kiedy tamten podniósł się z fotela. Chwilę wcześniej w ogóle go nie dostrzegał. Siedział w odrętwieniu, patrząc w podłogę niewidzącym wzrokiem.

Ale teraz oczy Benjamina zarejestrowały ruch. Ministrowie również zwrócili na to uwagę.

Amerikanin przestraszył się.

Wstał z krzesła i powoli cofnął się pod ścianę. Czujnie i nerwowo przyglądał się staruszkowi, gotowy w każdej chwili odeprzeć atak. Mechanicznie, z przyzwyczajenia podniósł do ust trzymaną w dłoni fajkę, lecz nie bardzo wiedział, co miałby z nią dalej zrobić.

Rozluźnił palce i fajka upadła na podłogę. Benjamin Cartwright drgnął przestraszony hałasem.

Claude Dechamps krążył po sali popychany przez uczucie dojmującego głodu. Głód kazał mu chodzić, ruszać się. Cała nagromadzona w ciele energia znalazła ujście w tym ruchu. Wyglądało to dosyć komicznie, w pomieszczeniu nie było jednak nikogo, kto mógłby się śmiać.

Żołnierz na moment przystanął przed wiszącym na ścianie olbrzymim lustrem. Ze szklanej tafli spoglądało na niego dziwne przestraszone stworzenie. Zamarło w bezruchu, uznał zatem, że nie stanowi bezpośredniego zagrożenia.

Claude Dechamps nie rozpoznał w nim siebie, szybko więc odwrócił wzrok i zaczął się rozglądać po pomieszczeniu w poszukiwaniu pożywienia.

Benjamin Cartwright i ministrowie w galowych mundurach zdążyli już opuścić salę.

Wyspa Cité

Mężczyzna nie wyglądał na więcej niż pięćdziesiąt lat.

–Z początku wydawało mi się, że to jakaś zaraza – powiedział, kiedy Jean-Baptiste Frochot stanął nad nim z pistoletem gotowym do strzału. – Choroba, która niszczy mózgi ofiar, pozbawia je umiejętności mowy i logicznego myślenia. Ale teraz mam wrażenie, że to nie jest żadna epidemia.

–Kim jesteś? Jak się nazywasz?

–Nie przerywaj mi, gówniarzu! – Olbrzym podniósł do ust butelkę i pociągnął potężny haust. Odbiło mu się. Oczy zaszyły łzami. – Teraz jednak jestem niemal pewien, że przyczyna tkwi gdzie indziej – podjął po kilkunastu sekundach. – To uderzenie meteorytu przegoniło rozum z tej planety. To aerolit sprawił, że światło rozumu gaśnie. – Nie rozumiem.

–To proste. Rozum nie znajduje się w naszych głowach, ale prawdopodobnie gdzieś na zewnątrz.

–Gdzie? – spytał Frochot i natychmiast zdał sobie sprawę z niedorzeczności tego pytania. Gdzież może być rozum, jak nie w głowie? – Przestań filozofować, człowieku, tylko zacznij odpowiadać wreszcie na pytania! Kim właściwie jesteś? Co tutaj robisz?

Mężczyzna uśmiechnął się krzywo.

–Być może jego źródło znajdowało się pod powierzchnią planety, a katastrofa sprawiła, że przestało istnieć – powiedział, nie zwracając uwagi na słowa sierżanta. – Zostało zniszczone, uszkodzone, a może wyciekło przez pękniętą skorupę Ziemi, jeśli jesteś w stanie coś takiego przełknąć, młodzieńcze. Albo docierało do nas z kosmosu w postaci jakiegoś fluidu – podniósł do góry butelkę. – Przylatywało tu w postaci jakiegoś, kurwa, psychicznego eteru, a teraz spopielenona materia zablokowała temu czemuś dostęp.

–Chyba tracę tutaj czas...

–Najprawdopodobniej jednak aerolit rozdarł warstwę ochronną Ziemi, wskutek czego siedzibę rozumu zaatakowała niewidzialna niszczycielska siła.

Frochot pomyślał nagle o ojcu, byłym chirurgu, który od wielu miesięcy nie wypowiedział słowa i zachowywał się jak zwierzę. Przeszedł go dreszcz.

–Siedzibę rozumu?

–Właśnie. Gdzieś się, drań, musi w końcu znajdować, prawda? Może jest w naszych głowach, może w sercach, a może w ogóle gdzieś poza nami? Jak już mówiłem, najbardziej skłaniam się ku tej ostatniej możliwości.

–Skąd wzięłeś te wszystkie informacje?

–Mam oczy i w przeciwieństwie do tysięcy mieszkańców Paryża potrafię jeszcze myśleć. Trzeba być ślepym, żeby tego nie dostrzec. Napijesz się?

Podniósł butelkę w zachęcającym geście.

–Po raz ostatni pytam o nazwisko.

Mężczyzna westchnął.

–Broussais – powiedział. – Henri Broussais. Byłem lekarzem. Teraz jestem już tylko filozofem. Bardzo ci te wiadomości pomogły?

–Jest tutaj jeszcze ktoś oprócz nas i moich... – Frochot zawahał się, przypomniawszy sobie ostatnie słowa Tautina -...ludzi?

–A jak myślisz?

Sierżant opuścił pistolet. Broussais podniósł do ust szyjkę butelki.

–Nasze zdrowie!

–Wszystkich nas to czeka? – spytał rudy sierżant innym już tonem.

–Tak. – Mężczyzna upił łyk. – Kto wie, może jesteśmy ostatnimi rozmawiającymi osobami na świecie?

–Nie wierzę ci – rzekł Jean-Baptiste Frochot.

Pałac Tuileryjski

Claude Dechamps przemierzał puste ciemne korytarze w poszukiwaniu pożywienia, coraz bardziej rozdrażniony i dezorientowany. Nie potrafił odnaleźć wyjścia z pałacu, jego serce uderzało mocno i szybko, a krew pulsowała pod czaszką, jakby lada chwila miała ją rozsadzić.

W tym samym czasie zamknięty od wewnątrz w swojej komnacie Ludwik Filip z niepokojem wyglądał przez okno. Na dziedzińcu coś zaczęło się dziać. Dochodziły stamtąd podniesione głosy, pojedyncze wystrzały.

Król ukrył się za kotarą, zjadając resztki znalezionej na stole chleba i wypowiadając z pełnymi ustami jakieś bezsensowne słowa. Nie tylko Francja, za którą jeszcze przed godziną czuł się odpowiedzialny, ale i wszystkie państwa tego świata przestały się liczyć. Kosmos zwęził się do rozmiarów dziedzińca i apartamentu.

Czas również przestał dla niego istnieć. Stał przy oknie, nie zdając sobie sprawy z jego upływu.

Najpierw zgasły ogniska na dziedzińcu, potem dopaliły się świece w stojącym na biurku lichtarzu. Na samym końcu przyszła kolej na kominek. Ludwik Filip wciąż nie opuszczał swojego miejsca za kotarą, sparaliżowany strachem.

Tymczasem ciemność opanowała cały pałac i zagarniała coraz to nowe obszary miasta. Zgaszonego ognia nikt już nie potrafił rozpalić. Kiedy wydawać się mogło, że znikły wszystkie światła w Paryżu, przez jakiś czas paliła się jeszcze gromnica w katedrze Notre Dame – w jej nikłym blasku siedziało dwóch mężczyzn z pochylonymi głowami. Jeden z nich trzymał przy ustach butelkę, a drugi nabitą pistolet.

W końcu gromnica zgasła i nastąpiła prawdziwa ciemność.

RIFFY

Miodrag przyłączył się do nas w ostatni piątek października, trzy dni po odejściu Cichego. Polecił go koleś, który grał kiedyś u nas na basie. Pamiętam, że piliśmy z Mariuszem piwo na nowohuckim przystanku, a ja żaliłem się na brak gitarzysty.

–Znam odpowiedniego gościa – rzekł Mariusz. – Ma na imię Miodrag. Facet jest raczej niepozorny, ale wymiata jak mało kto w mieście.

–Miodrag? – spytałem. – A cóż to znowu za imię?

–Serbskie. Jego ojciec jest Serbem.

–Aha.

Podniosłem do ust puszkę, była już pusta, więc zgmiotłem ją i wrzuciłem do kosza. Z kieszeni kurtki wyjąłem następną, zimną i przyjemnie ciężką.

–Nie przejmuj się, Seweryn, prawie nikt nie mówi do niego po imieniu – uśmiechnął się Mariusz.

–Tylko jak?

–Jugol. Po prostu Jugol.

–Ale chyba rozumie po polsku? – spytałem.

–Jasne, to przecież Polak. Tylko ojciec jest z Bałkanów.

Zapisałem sobie numer do Miodraga i jeszcze tego samego dnia zadzwoniłem. Poszło łatwo i szybko. Nie, nie gra teraz w żadnym zespole. Tak, miałby ochotę spróbować z nami. Pewnie, też lubi ostre gitarowe granie. Jasne. Piątek mu pasuje. Do piątku. Nara.

Nie nastawiałem się za bardzo, bo dla Mariusza każdy, kto tylko potrafił porządnie nastroić wiosło i złapać cztery chwyt, był już nie lada wymiataczem. Nic jednak nie szkodziło posłuchać gościa, zwłaszcza że chwilowo nie mieliśmy innych kandydatów, a bardzo potrzebowaliśmy drugiej gitary.

Tego piątkowego popołudnia okropnie padało i kiedy Miodrag pojawił się w mojej piwnicy, gdzie zwykle odbywaliśmy próby, wyglądał jak zmokła kura. Rzeczywiście był niepozorny: drobny, chudziutki, z bladą twarzą i rzadkimi czarnymi włosami przyklejonymi do czaszki jak pływacki czepek. Miał na sobie kurtkę niemieckiej artylerii przeciwlotniczej, czarny T-shirt z napisem South of Heaven, spodnie w kolorze khaki. Mimo to sprawiał wrażenie bardzo nieśmiałego i nerwowego. Ledwo się przywitał, zapalił papierosa, a następnie w milczeniu wyłuskał gitarę z futerału – na oko podróbkę stratocastera – podłączył się i zaczął ją stroić.

Patrzyliśmy na niego, starając się ukryć rozbawienie. Banderas mrugnął do mnie porozumiewawczo zza bębnow. Wszyscy chyba wtedy spodziewaliśmy się, że za chwilę Jugol zademonstruje jakieś słodkie arpeggio i zacznie śpiewać piosenkę Grechuty albo innego elfa.

Tymczasem Miodrag skończył się stroić, stanął sobie skromniutko w samym rogu piwnicy, zaciągnął się raz i drugi, potem

zatknął dymiącego papierosa za górne struny gryfu, wyjął z kieszeni spodni czarną kostkę i zaczął grać.

Z początku były to tylko palcówki dla rozgrzania dłoni. Pobiegał sobie trochę w tę i we w tę po gryfie, wiecie, zwykle mechaniczne garnki i pasaże, nic więcej, chociaż już wtedy zwróciłem uwagę, że wychodzi mu to całkiem równo i czysto. Potem zaczęły się popisy, czyli cały ten cyrk, którego nie lubię, coś w stylu tych różowych amerykańskich pudli z gitarami: spływające w zawrotnych tempach kaskady dźwięków, młoteczkowanie, podciągania strun, glissanda i flażolety. Mimo to rozluźniłem się. Wiedziałem już, że facet z taką techniką będzie dla nas skarbem. Był dużo lepszy niż Cichy – kurwa, był sto razy lepszy. Nie przewidziałem jednak, że to nie koniec przedstawienia, a jedynie dalsza część rozgrzewki. Większość gitarzystów zakończyłaby bowiem na tym swój występ. Nie Miodrag.

On dopiero zaczynał.

Kiedy się wreszcie wyszalał, kiedy wygasły fajerwerki w stylu MTV, przeszedł do delikatnych, cichych i wysublimowanych pasaży, opartych chyba na jakichś egzotycznych skalach, bo zabrzmiało to bardzo, ale to bardzo oryginalnie. Zobaczyłem, że Banderas już się nie uśmiecha, tylko patrzy na mnie z miną wyrażającą zdumienie i niedowierzanie. Artur, nasz wokalista, przestał przeglądać wiadomości w swoim telefonie, a Oktawian zapomniał o strojeniu basu. Szkoda, że nie mam przy sobie aparatu, pomyślałem, patrząc na ich gęby.

Miodrag zaś zaczął improwizować, lecz bez szaleństw, każdy dźwięk na swoim miejscu, żadnych bajerów i jałowych popiskiwań, wręcz klasycznie. Widać było, że wszystko w tej grze jest przemyślane, poukładane, a każda następna modulacja naturalnie wynika z poprzedniej. Włączył fuzz. Na chwilę nastrój zrobił się niemal bluesowy, jednakże Miodrag natychmiast zburzył go, wpalając w swoje solo agresywne, poszarpane riffy, oparte na prostych kwintach i kwartach, a mimo to brzmiące wspaniale. Muzyka nabrała ciężaru i kiedy zdawało się, że teraz zacznie się prawdziwa młócka, nastąpiła kolejna niespodzianka: wszystko się zatrzymało, dziesięć sekund wygasł ostatni akord, a potem już tylko cisza, przerywana jedynie od czasu do czasu krótkimi figurkami w wysokim rejestrze, czymś, co zabrzmiało jak skarga lub lament, aż wreszcie pojedynczy, samotny dźwięk zakończył utwór.

Kapela nazywa się Spam.

Wiem, wiem, trochę chujowo, można było znaleźć coś lepszego, coś dużo lepszego, tyle że w sumie przyzwyczailiśmy się do tej nazwy. Nie pamiętam już, kto ją zaproponował, pewnie Artur, bo to nawet do niego podobne. Chcieliśmy w pewnym momencie przerobić ją na s.p.a.m. – co brzmiałoby trochę tak jak stary, dobry w.a.s.p. – ostatecznie zostaliśmy przy pierwszej wersji. Nieważne. Spam istnieje od dziesięciu miesięcy, powołaliśmy go do życia z Oktawianem na drugim roku – typowe: dwaj kumple ze studiów zapragnęli zrobić światową karierę albo przynajmniej pohałasować sobie dwa razy w tygodniu. Oktawian chodził ze mną jeszcze do liceum założenie zespołu planowaliśmy co najmniej od czterech lat. Banderasa i Artura ściągnęliśmy z metalowej ekipy, której wysłuchaliśmy pewnej nocy w knajpie przy Rynku. Zaraz potem przyłączył się Cichy, kuzyn Oktawiana.

Chcieliśmy grać ostrą, gitarową muzykę. Brudne brzmienia, mocne teksty, głośno i agresywnie. Punk, rock, metal – zdawało nam się, że wystarczy wymieszać to wszystko i wyjdzie coś oryginalnego.

Próby odbywały się w mojej piwnicy, na jednym z najstarszych osiedli w Nowej Hucie. Kiedyś urządziłem tam prowizoryczną siłownię, ale znudziło mi się machanie ciężarami, więc wypieprzyłem te wszystkie graty do mieszkania Aldony i zniósłem na dół swój wzmacniacz. Miejsca było sporo, bez problemu weszły tam bębny Banderasa oraz piecyki Cichego i Oktawiana. W każdy wtorek i piątek urządzaliśmy próby.

Najpierw, jak zwykle, przeróbki klasyków – Sex Pistols, Deep Purple, Metallica, Tool – potem własne kawałki, najczęściej mojego autorstwa. Gdy odchodził Cichy, mieliśmy już w repertuarze jedenaście utworów. Szykowaliśmy się właśnie na przegląd w Nowohuckim Centrum Kultury i brak drugiej gitary był dla nas katastrofą.

Kiedy pojawił się Miodrag, stało się oczywiste, że większość z tych kawałków trzeba będzie gruntownie przerobić.

–Nieźle wymiatasz – odezwałem się, kiedy Jugol wyjął papierosa spomiędzy strun i zaciągnął się łapczywie.

–Dzięki.

–Kto cię uczył grać?

–Sam się uczyłem. Słuchałem płyt.

–Byłeś już kiedyś w kapeli?

–Nie.

Samouk, pomyślałem nie bez pewnej zawiści. Oto prawdziwy, samorodny talent. Ja od półtora roku brałem lekcje u jednego z najlepszych gitarzystów w Krakowie, a on nauczył się wszystkiego, słuchając nagrań w swoim pokoju. Można się załamać. Było już pewne, że to on w tym zespole będzie miał wszystkie solówki, a ja zejść na drugi plan, odgrywając w każdym utworze partię gitary rytmicznej.

No nic, zaprezentowaliśmy mu swój repertuar, wszystkie te zbudowane na trzech funkcjach podróbki nieśmiertelnych utworów, beznadziejne i schematyczne jak weselne przeboje. Odgrywałem też fragmenty partii Cichego. Szukałem na twarzy Jugola wyrazu rozczarowania czy wręcz zażenowania, lecz on zachował kamienną minę, słuchał uważnie, nawet kiedy przychodziło do moich szkolnych solówek, na koniec zapytał tylko, czy ma grać dokładnie to samo, co grał Cichy.

–Nie – oznajmiłem. – Nie będziesz grał jego partii. Ja się nią zajmę. Ty będziesz miał w Spamie gitarę solową.

Po próbie chciałem z nim jeszcze pogadać, zaproponowałem, że podwożę go do domu, też mieszkał w Hucie, ale na Wzgórza Krzesławickie jest ode mnie całkiem spory kawałek, w dodatku padało, więc z radością wpakował mi się do auta.

–Słuchaj – powiedziałem, kiedy mijaliśmy kościół w Bieńczycach. Z moich głośników płynęła muzyka Satrianiego. – Te numery są jeszcze zupełnie surowe. Sam zresztą słyszałeś. Jakbyś tylko miał jakieś pomysły na wzbogacenie tego szajsu, to wal śmiało. Jesteśmy otwarci na wszelkie sugestie.

–Rozumiem.

–Przydałoby się przearanżować to i owo, no nie?

–Pewnie. Mam też kilka swoich kompozycji, gdyby was to interesowało – poprawił kosmyk włosów, który zasłonił mu oko. – Takie tam instrumentalne kawałki.

–Coś w rodzaju dzisiejszej improwizacji?

–Nie, o wiele bardziej rozbudowane.

Przez chwilę milczałem, starając się znaleźć odpowiednie słowa.

–Wiesz, Miodrag, szczerze mówiąc, nie planowaliśmy takich... długich kawałków – odezwałem się wreszcie. – Gramy proste riffy, dwie zwrotki, refren, krótka solówka. Takie trzyminutowki. Może coś z tych twoich utworów dałoby się przenieść do naszych piosenek. Jakies solo albo riff.

–Jasne, spróbujemy.

–To fajnie. Powiedz mi teraz, gdzie mam skręcić, bo nie znam tych terenów.

–Koło przystanku w lewo. Wiesz co? – odwrócił bladą twarz w moją stronę. – Mam małe pytanko, Seweryn.

–Wal śmiało.

Zatrzymałem się na przejściu, żeby przepuścić grupę łysych gówniarzy z piwami. Robotnicze dzieci, robotnicze wnuki. Nowa Huta – nasz mały Manchester.

–Czy byłaby możliwość korzystania z twojej piwnicy częściej niż dwa razy w tygodniu? – spytał tak cicho, że

ledwo go usłyszałem poprzez dźwięki gitary Satrianiego. – Nie za bardzo mogę ćwiczyć u siebie. Stara jest chora, nie znosi hałasu, a ze słuchawkami to już nie to samo.

–Myślę, że nie będzie z tym większych problemów – odparłem.

Wróciłem do chaty w doskonałym nastroju. Nie dość, że znaleźliśmy gitarzystę, to jeszcze facet miał niesamowity talent. Dar, którego sam chyba nie był w pełni świadomy, skoro zgodził się grać w naszej ekipie. Wcześniej czy później dojdzie do wniosku, że jest dla nas za dobry, i odejdzie do lepszej grupy, ale na razie gra u nas. I to się, kurwa, liczy. Na razie jest nasz. Może się nawet czegoś od niego nauczymy, szczególnie Oktawianowi przydałoby się trochę więcej ćwiczeń na basie.

Wyjąłem z lodówki browarek, kawałek kielbasy i słoik musztardy z alarmującą datą ważności, poczłapałem z tym wszystkim do swojego pokoju, rozwaliłem się na tapczanie i włączyłem telewizor. Byłem sam w domu. Matka miała dyżur w szpitalu, a siora siedziała pewnie gdzieś u koleżanki albo szwendała się po centrum handlowym, które było chyba jej prawdziwym domem.

Trafiłem na Eurosport i skróty wczorajszych meczów Ligi Mistrzów. Powiększone męskie ciała w ruchu, w dodatku pokazywane w zwolnionym tempie. Kult umięśnionych nóg. Dziwne, że miliony facetów na całym świecie patrzą na to bez zakłopotania. Jakaś umowa społeczna czy co? Potem złapałem na Discovery swój ulubiony program o katastrofach lotniczych, tyle że nie

zdażyłem zobaczyć, co tym razem było przyczyną tragedii, bo zadzwoniła komórka.

–No cześć, tu Miodrag – usłyszałem.

–Cześć. Co się dzieje?

–Chodzi mi o twoją piwnicę.

–No.

Chwila ciszy w słuchawce, podczas której usłyszałem, że wieża kontrolna straciła właśnie kontakt z załogą.

–Miałbyś coś przeciwko, gdybym przyszedł sobie trochę pograć jutro rano? – zapytał Miodrag.

–O siódmej wychodzę na zajęcia.

–To mógłbym być na siódmą?

Trochę mnie zaskoczył. Że też chce mu się wstawać tak wcześnie, żeby poćwiczyć na gitarze! Napalił się chłopak, nie ma co. Przynajmniej wiedziałem już, skąd się wzięła ta jego bajeczna technika.

–A nie lepiej ci przyjść po południu? – spytałem ostrożnie. – Moglibyśmy pograć coś razem.

–Wolałbym rano, lecz jeśli to dla ciebie problem...

–Nie – przerwałem mu. – To żaden problem, tylko mnie zaskoczyłeś. Przyjeżdżaj o siódmej.

–Dzięki. Będę punktualnie.

Był nawet wcześniej.

Nie skończyłem jeszcze porannej kawy, nie mówiąc o śniadaniu, a on już stał i palił papierosa na chodniku pod oknem. Przygarbiony, zziębnięty, z rękami w kieszeniach, wyglądał jak półtora nieszczęścia, niby jakiś żebrzący w przejściu podziemnym narkoman. Spokojnie, jakby nigdy nic dopiłem kawę i dopiero wtedy

zszedłem na dół, żeby wręczyć mu klucze od piwnicy.

–Jak skończysz, to zamknij porządnie i zostaw je mojej starej, dobra? Ona do drugiej będzie w domu, potem idzie do roboty.

–Dobra – odparł. – Przed drugą się stąd wyniosę.

Rzecz jasna nie wyniósł się przed drugą, tylko siedział w tej zasranej piwnicy aż do mojego powrotu, czyli do szesnastej. Kiedy zapytałem go, czemu tak długo, odpowiedział po prostu, że nie patrzył na zegarek i nie zauważył, że jest już czwarta. Chciał pograć jeszcze, lecz wygoniłem go do domu, żeby coś zjadł, bo wyglądał naprawdę kiepsko. Nie potrzebujemy gitarzysty, który zdechnie nam z głodu podczas pierwszego koncertu, wyjaśniłem. Uśmiechnął się i wyłączył gitarę.

–Jutro o siódmej? – spytał.

–Zobaczymy. Idź już do domu.

Przychodził codziennie z wyjątkiem weekendów. Nie opuścił też oczywiście żadnej próby, nawet choroba nie była w stanie zatrzymać go w domu.

Muszę przyznać, że mój początkowy entuzjazm nieco ostygł. Dotarło do mnie wreszcie, że jego sposób gry i pomysły muzyczne pasują do naszej stylistyki jak kwiatek do kozucha. Jako instrumentalista gość był genialny, nie ma dwóch zdań, ale długie eksperymentalne sola rozsadały prostą formę rockowych piosenek i za każdym razem trzeba było facetowi klarować, żeby się zanadto nie rozpędzał, bo odlatuje za daleko od podstawowej tonacji.

Słowem, grał pod siebie, a nie dla zespołu.

Dlatego bałem się, że zamiast topornych, za to przynajmniej ostrych kawałków powstaną jakieś dziwaczne hybrydy. Nie byliśmy gotowi na awangardowe granie. Zresztą Miodrag i tak nie miałby z nas wielkiego pożytku.

On grał jak sam Diabeł, my byliśmy kompletnie do dupy, co tu dużo ukrywać.

Po jednej z prób miałem na ten temat rozmowę z Oktawianem. Oczekaliśmy, aż reszta zespołu pójdzie do domu, potem skoczyłem do Lewiatana po dwa browce i z puszkami w rękach usiedliśmy na gołej podłodze.

–Czuję, że francowaty Jugol zmyje się jeszcze przed przeglądem – rzekł Oktawian, ostrożnie otwierając swoją tatrę. Na jego szyi poruszył się ogon wytatuowanego smoka. – On potrzebuje tylko twojej piwnicy, żeby ćwiczyć, a nas ma głęboko w dupie. Takie jest moje zdanie.

Zapaliłem viceroya lighta i siedziałem przez chwilę, gapiąc się w ścianę przy drzwiach. Wyglądało na to, że pod sufitem zrobił się jakiś zaciek. No to pięknie. Brakowało jeszcze, żeby nas zalała ta pyskata wariatka spod jedenastki.

–Raczej nie odejdzie tak wcześnie – odparłem po chwili. – Za mało jest obrotny. To cipa, niczego lepszego sobie sam nie znajdzie, nie bój się. Nie wydaje mi się też, żeby nas tak całkiem zlewał. W końcu na próby przychodzi częściej niż ty i Banderas.

Oktawian spojrział na mnie z wyrzutem.

–Sam wiesz, Seweryn, jaki mam teraz młyn...

–Wiem, wiem, stary. Przecież ci nie wypominam. Mówię tylko, że Miodrag na razie nie zaniedbuje kapeli. Gorzej z tymi jego improwizacjami. Przegląd w nck-u to nie Jazz Jamboree, niestety. Ludzie nas zjedzą, jak będzie tak wydziwiał w każdym utworze.

–Właśnie. Facet za bardzo kombinuje. To już Cichy moim zdaniem bardziej pasował, nie?

Wypuściłem dym nosem, strzepnąłem popiół do zakrętki po słoiku i upiłem łyk piwa. Mogłoby być zimniejsze, pewnie dopiero co wstawili do lodówki. Pierwsze przykazanie: nigdy nie bierz z samego brzegu, nawet jeśli się śpieszysz.

–Na razie i tak nie mamy nikogo na jego miejsce, więc nic nie zrobimy. Postaram się z nim poważnie pogadać.

–Ustaw koleś.

–Ustawię, nie bój nic.

Kiedy wychodziliśmy, spojrziałem jeszcze raz na płamę pod sufitem. Przypominała ludzką twarz. Jak te wizerunki Matki Boskiej czy Chrystusa, które co jakiś czas pojawiają się na ścianach bloków i szybach okien. Nowohucki cud. Pielgrzymki z całej Polski, piętnaście złotych za wstęp. No nic, będę musiał wspomnieć o tym matce, bo sam do tej wariatki w życiu nie pójdę. Raz już mnie pogoniła swoją laseczką. Jak dla mnie – w zupełności wystarczy.

Wróciłem do mieszkania, zrobiłem sobie kolację i włączyłem telewizor. Kolejna dawka lotniczych katastrof przed snem. Tym razem w trakcie nocnego lotu nad Pacyfikiem otworzyła się kłapa luku bagażowego i wyrwało w samolocie dziurę na trzy rzędy siedzeń. Jakiś młody Australijczyk wyfrunął wraz z fotelem na zewnątrz i jeśli nie zmielił go silnik samolotu, to musiał bardzo długo

spadać do oceanu. Ile to trwało? Kilka minut czy raczej kilkanaście? Czy przez cały ten czas był żywy? Tej nocy śniły mi się koszmary.

Pewnego poniedziałkowego przedpołudnia, zaraz po zajęciach, kiedy czekałem przy szatni na kurtkę, podeszła do mnie Tamara, kumpela z farmakologii. Dziwna laska, mówię wam, naprawdę trudno ją rozgryźć. Zaraz na początku studiów próbowałem z nią kręcić, chociaż robiłem to bez większego przekonania. Myślałem po prostu, że dupa na mnie leci, więc ciekaw byłem, co z tego może wyjść. Nic nie wyszło, bo jak się okazało, wcale na mnie nie leciała.

Taki po prostu miała sposób bycia.

–Cześć – powiedziała teraz. – Słyszałam, że macie nowego gitarzystę.

–Zgadza się.

Uśmiechnęła się i poprawiła włosy. Dopiero teraz zauważyłem, że zmieniła fryz. Albo może tylko kolor włosów. Wyglądała chyba ciut gorzej niż wcześniej.

–Ma na imię Miodrag, prawda?

–Tak. Skąd wiesz?

–Mam swoich agentów.

–Dupa. Oktawian ci pewnie mówił.

Skrzywiła się, jakby zobaczyła pajaka.

–Przecież wiesz, że nie gadam z tym kretynem.

–Prawda. Zapomniałem.

Otworzyły się drzwi do przedsiionka sali wykładowej, odsłaniając widok na zakonserwowane w formalinie narządy, nudne

eksponaty, przez trzy lata każdy się przyzwyczai, nawet wrażliwy Oktawian. Patrzyliśmy na nie teraz jak na zwykłe ogórki w słoikach.

–Tak się składa, że Miodrag to chłopak mojej kumpeli – wyjaśniła wreszcie. – Właściwie były chłopak.

–Teraz to mnie zaskoczyłaś – odparłem z uśmiechem. – Myślałem, że ten gość nie ma i nigdy nie miał dziewczyny.

Naprawdę się zdziwiłem. Chłopak wyglądał na odludka, który świata poza gitarą nie widzi.

–Wiesz, chodziła z nim chyba pół roku, w końcu dała sobie spokój, bo podobno straszny był z niego pojeb. Bała się go.

Odebrałem kurtkę i ruszyliśmy schodami w stronę wyjścia.

–Też zauważyłem, że całkiem normalny to on nie jest – powiedziałem już na zewnątrz, zapaliwszy papierosa. Było zimno i wiał dosyć silny wiatr, zrywając foliowe torby z gałęzi drzew, aby mogły się uczepić następnych. – Ale nic mnie to, kochanie, nie obchodzi. Dla mnie ważne jest tylko to, jak kolo gra na gitarze. A gra kolo zajebiście, uwierz mi. Jeśli należysz do rockowej kapeli, to musisz mieć trochę nasrane w głowie, no nie? Podrzucić cię kawałek?

–Nie, dzięki. Umówiłam się w knajpie z Goską. Na razie.

–Cześć – mrugnąłem do niej, a potem podniosłem kołnierz kurtki i szybkim krokiem ruszyłem w kierunku samochodu. Przydałoby się trochę przeczyścić karoserię, pomyślałem ponuro, bo perspektywa mycia auta zawsze jest przygnębiająca. Nie dało się ukryć: bryka wyglądała okropnie. Jakbym ją odkupił od Mojżesza, i to zaraz po sławetnej przeprawie przez pustynię i Morze Czerwone.

–Podobno w jego pokoju coś jest – usłyszałem za plecami, kiedy wyjmowałem z kieszeni kluczyki.

Odwróciłem się zaintrygowany.

–To znaczy? – spytałem.

Tamara patrzyła na mnie bez cienia uśmiechu.

–Laska mówiła, że on hoduje w swoim mieszkaniu jakieś paskudztwo.

Przejechał tramwaj, robiąc tyle hałasu, że musiałem wstrzymać się ze swoją błyskotliwą kwestią.

–Może po prostu trzyma w akwarium chomika albo jakąś inną świnkę morską – wypaliłem zupełnie bez sensu, żeby cokolwiek powiedzieć.

–Bardzo śmieszne, Seweryn, jesteś przegość, mówię ci. Prawdziwy z ciebie kabareciarz. Brakuje tylko oklasków z taśmy.

–Leć do tej Gośki, bo się spóźnisz – zaśmiałem się nieszczerze i otworzyłem drzwi swojego brudnego auta. – Pozdrów ją ode mnie.

Tamara rzuciła mi spojrzenie pełne nieukrywanej pogardy.

Wspominałem już, że dziwna z niej laska?

Mimo wszystko jej słowa przez dłuższy czas nie dawały mi spokoju, było w nich coś niepokojącego, zwłaszcza że Tamara nie należała do osób stosujących tanie melodramatyczne efekty. Wychodziło na to, że zarówno ona, jak i eksdziewczyna Miodraga są

naprawdę przestraszone. O co w sumie chodzi z tym pokojem? Co on tam hoduje? Jakieś robale? Piaseczniki? Zmutowanego szczura? Może po prostu zrobił lasce idiotyczny kawał, bo pragnął tylko, żeby dała mu święty spokój? Chciałem zapytać samego Miodraga, lecz nie wiedziałem, jak zacząć. W końcu postanowiłem, że mógłbym go przecież odwiedzić. Nigdy jeszcze u niego nie byłem.

–Może wpadłbym do ciebie jutro? – zaproponowałem tuż po wtorkowej próbie. – Jest mecz. Gra Barcelona. Przyniosłbym jakieś piwa albo flaszkę. Trzeba obgadać parę spraw związanych z przeglądem...

–A nie moglibyśmy tutaj? – przerwał, siląc się na swobodny ton. Głowę miał spuszczone, zdawał się całkowicie pochłonięty zamykaniem futerału.

–Będziemy siedzieć w piwnicy? Wiem, że tu jest dobry filing, ale bez przesady. W piwnicach siedziało się chyba podczas bombardowań.

–Nie przeszkadza mi to.

Westchnąłem.

–To z powodu choroby matki? – spytałem po chwili.

–Ciężko tam teraz wytrzymać, Seweryn, naprawdę atmosfera w domu jest ostatnio nie najlepsza.

Tyle na temat odwiedzin. Zapomnij o całej sprawie, Seweryn.

No i zapomniałem aż do pewnego grudniowego popołudnia, kiedy zadzwoniła do mnie była dziewczyna Miodraga.

Ćwiczyłem właśnie riff z „Master of Puppets”. Bez prądu, na sucho.

–Cześć, Seweryn. Jestem Emilia. Mam twój numer od Tamary.

–Cześć.

–Chciałabym z tobą pogadać. To bardzo ważne. Chodzi mi o Miodraga Kranjcara.

Pierwszy raz w życiu usłyszałem jego nazwisko. Kranjcar. Takie bałkańskie, po tatusiu, którego – nie wiedzieć czemu – wyobraziłem sobie jako czarnowłosego olbrzyma z długim nosem i wąsami.

–Domyśliłem się, że o niego chodzi – odparłem, opierając wiośło o łóżko.

–Tamara już ci mówiła?

–Tak.

–Miałbyś dzisiaj czas?

–Teraz?

Spojrzałem przez okno na ulicę: padał śnieg z deszczem i pewnie było kurewsko zimno. Prawdę mówiąc, ani trochę nie chciało mi się wychodzić z domu.

–Nie, nie teraz – odpowiedziała. – Tak gdzieś po dwudziestej. Stoję teraz na promocji w Realu. Moglibyśmy zajrzeć do jakiejś knajpy, jak skończę.

–W którym Realu pracujesz? – spytałem zły na siebie za skandaliczny brak asertywności.

–Na Bora-Komorowskiego. Jestem przy alejce z piwem.

W sumie można by zrobić jakieś zakupy, pomyślałem bez entuzjazmu. Kończy się kawa, nie ma już chyba musztardy ani majonezu. Zero piwa. Podrapałem się gitarową kostką po głowie.

–Przyjadę po ciebie. Będę przed ósmą.

–Super.

Przez dziesięć lat to był francuski Géant, teraz przerobili go na niemiecki Real. Tylko od środka, bo z zewnątrz wygląda tak samo jak przedtem. Zresztą wszystkie te hipermarkety wyglądają identycznie: rozświetlone statki kosmiczne Obcych, które lądują regularnie na zapuszczonych pustkowiach Nowej Huty i Krakowa, aby porywać mieszkańców i przerabiać ich na osobników zupełnie nowej rasy.

Wjechałem na parking za dwadzieścia ósma.

Kiedy wreszcie przebrnąłem przez te wszystkie pasaże i dotarłem do alejki z piwem, dziewczyna w zielonym mundurku i śmiesznym kapelusiku w tym samym kolorze składała właśnie swój stand oraz stolik, na którym wcześniej stały pewnie jakieś promocyjne szklanki. Jej wyželowany kolega napastował jeszcze klientów, bez entuzjazmu polecając czteroprocentowego sikacza o smaku jabłkowym.

–Cześć – powiedziałem do dziewczyny. – Ty jesteś Emilia?

–Seweryn? Kurczę, dzięki, że przyjechałeś. Pomożesz mi to złożyć?

Była niebrzydka i całkiem zgrabna, chociaż osobiście wolę laski o nieco bardziej zaokrąglonych kształtach.

–Spóźniłeś się na promocję – oznajmiła z uśmiechem. – Załapałbyś się na otwieracz do butelek, a może nawet na kufel.

–Szlag by to trafił. Ale niefart – mrugnąłem do niej, zastanawiając się, jakim cudem Miodrag Kranjcar ją wyrwał. Bałkańskiego temperamentu to on na pewno po przodkach nie odziedziczył, umówmy się. Chłopak z gitarą byłby dla mnie parą? Coś w tym musi być.

No nic, pół godziny później siedzieliśmy już w jednej z knajpek na Kazimierzu.

Nie przepadam za lokalami, gdzie barmanki same przynoszą piwo do stolików i pilnują, żeby broń Boże nie zgasa ci świeczka, a to był właśnie jeden z takich lokali. Kulturalnie i klimatycznie, jak to się mówi, aż do zrzygania. Człowiek boi się zostawić na wypucowanym blacie mokre kółko po kuflu. Wolę już nowohuckie mordownie, gdzie można swobodnie polać sobie piwem przód koszuli i zatoczyć się w drodze do kibla.

Ale nie przyjechałem tu na popijawę. Zamówiłem małego beczkowego żywca, a Emilia poprosiła o dżin z tonikiem.

–Chciałaś porozmawiać o tym swoim byłym chłopaku – rzekłem wreszcie.

–Tak – odparła Emilia. – Dalej gra w waszym zespole?

–A coś jest z nim nie tak?

Uciekła spojrzeniem gdzieś w bok.

–Słuchaj, Seweryn. Musimy mu pomóc. Mnie nie chce słuchać, może posłucha ciebie.

Upiłem łyk piwa, potem drugi.

–Jest chory czy co? – spytałem.

–Nie, nie o to chodzi.

–Więc o co?

Nie odpowiedziała, wpatrzona w swoją szklankę, jakby to w niej miała nadzieję odnaleźć brakujące słowa.

–Tamara mówiła mi kiedyś, że coś tam hoduje w pokoju – próbowałem jej pomóc. – To prawda? O tym chciałaś pogadać?

Przytaknęła z miną, która sprawiła, że poczułem się nieswojo. – Tak.

–Powiedz coś o tym?

–To co on tam u siebie robi, jest jakieś... poronione – odezwała się wreszcie. – Nie wiem, jak to nazwać.

–Przynajmniej spróbuj – zachęciłem.

Wyjęła z drinka słomkę i zaczęła ją wyginać w palcach.

–Wiesz, Seweryn, to co teraz powiem, zabrzmie pewnie jak kompletne wariactwo: on lepi w ścianie swoją podobiznę, swoją maskę. Miodrag lepi w ścianie samego siebie. Lepi, a może rzeźbi. Sama już nie wiem. Masz papierosy?

–Rzeźbi siebie w ścianie? – spytałem, z kamienną twarzą sięgając do wewnętrznej kieszeni kurtki.

–Właśnie.

Wyjąłem niebiesko-białą paczkę. Został jeden. Poczęstowałem ją. Ręka jej się trzęsała, kiedy brała ode mnie ostatniego wiceroya.

–Tyle że to nie jest z gliny ani z kamienia. To jest żywe. Jakaś biomasa czy coś w tym stylu, nie znam się na tym w ogóle.

–Aha.

–Takie gąbczaste paskudztwo, które uformowało się w jego rysy...

–Wiesz co? Pójdę kupić przy barze fajki – powiedziałem, wyjmując portfel. – Mam wrażenie, że będą nam potrzebne.

Blond barmanka miała biust jak z rozkładówki „Playboya” i w innych okolicznościach pewnie bym coś do niej zagadał, a jakże, lecz teraz patrzyłem na nią obojętnie jak na nadmuchiwaną lalkę z sex-shopu. Kupiłem papierosy i zamówiłem pięćdziesiątkę czystej, którą wypilem od razu przy barze, żeby Emilia mnie nie widziała, rzecz jasna.

W końcu przyjechałem tutaj samochodem. Już kombinowałem, gdzie będę czekał, aż mi to wywietrzeje.

Wróciłem do stolika, zapaliłem drogiego jak jasna cholera camela, wypilem duszkiem pół szklanki piwa. Patrzyłem na Emilię w milczeniu, nie bardzo wiedząc, jak mam na te jej rewelacje reagować. Nie wyglądała na nawiedzoną, a jednak opowiadała rzeczy z szerokiego repertuaru kompletnych świrów.

–Nie wiem, jak on to robi, to coś wyrasta ze ściany jak grzyb. – Jej głos był cichy i opanowany, bez cienia hysterii czy też jakiejś wariackiej egzaltacji, jakby opowiadała o czymś bolesnym, lecz najzwyczajniejszym w świecie. Wyglądała nawet na nieco zażenowaną.

–Więc może to jest grzyb? – zasugerowałem.

Ot, proste rozwiązania prostego chłopaka z Nowej Huty. Grzyb na ścianie – powiadom administrację. Potrząsnęła głową w geście zniecierpliwienia.

–To przypomina jego twarz. Taka płaskorzeźba z mięsa. Jakby jakiś jego sobowtór był wtopiony w ścianę, wystawał spomiędzy cegieł i tynku. Powiedz mi: czy to nie jest chore, Seweryn?

Jasne, że jest chore, pomyślałem ponuro, i to śmiertelnie chore. A może i sama Emilia jest troszeczkę chora, mimo że sprawia wrażenie tak opanowanej i poukładanej? Gadka-wariatka.

–Pokazał ci to czy sama zobaczyłaś? – spytałem, jakby to miało teraz największe znaczenie. Naprawdę jednak nie wiedziałem, co mam powiedzieć.

–Sama. To było zakryte jakąś taką tkaniną, chciałam sprawdzić, co to za materiał. No i zauważyłam, że na ścianie rośnie ten... no wiesz... ta twarz, ta maska... znaczy się...

–No i co on na to?

–Nic.

–Nic?

–Tłumaczył, że to grzyb, a przecież ja nie jestem ślepa. To była jego podobizna. Od razu to zauważyłam.

–Spokojnie. Zdawało ci się pewnie – rzekłem bardzo rzeczowym tonem. – Wiesz, oko ludzkie ma tendencję do porządkowania chaotycznych linii. Ile było gadania o tej twarzy na Marsie? Oglądałaś ten program?

Discovery Science. Piątek 17.30. Tajemnice Czerwonej Planety.

–To nie jest jakiś Mars, tylko twarz Miodraga na ścianie jego pokoju – odparła cicho i spokojnie. – Zresztą sam mi się kilka dni potem przyznał, że ją rzeźbi.

–Czym ją rzeźbi, dziewczyno?

Uśmiechnęła się niewesoło.

–Mówił, że dźwiękami – powiedziała, nie patrząc mi w oczy. – Musisz mu pomóc, Seweryn, bo czuję, że to co Miodrag robi, jest nie tylko nienormalne, ale i bardzo niebezpieczne. Kurde, on z tym eksperymentuje, nie zdając sobie sprawy, że niszczy w ten sposób sam siebie.

–Skąd wiesz?

–Przecież go znam. Widzę, co się dzieje. Mówię ci, Miodrag wplątał się w coś, co go przerasta.

Wracałem lekko wstawiony, a jakże. Jechałem tak ostrożnie, że gdyby mnie zobaczyła policja, pewnie miałbym przerąbane. Udało mi się dojechać bez przeszkód. Alkohol plus rewelacje Emilii wprowadziły mi do głowy niezły mętlik. Nie miałem pojęcia, co o tym wszystkim myśleć. Prawdę mówiąc, odrobinę mnie to przerastało. Dziewczyna wzbudzała zaufanie, lecz w jej opowieść ciężko było raczej uwierzyć. Albo ją Miodrag robi w balona, albo ma bidula jakieś zwidy. Może się czegoś nawdychali w jego pokoju?

A może nasz nowy gitarzysta rzeczywiście eksperymentuje z jakimś gównem, o którym mi się nawet nie śniło?

Zanim wszedłem do chaty, zajrzałem jeszcze do piwnicy, aby rzucić okiem na płamę. Tak dla świętego spokoju.

Ciężko mi było skupić wzrok, jakbym namierzał ją kursorem. Niby przypominała twarz, niby nie. Wszystko zależało od tego, gdzie człowiek stanął. Nie chciało mi się przynosić krzesła, żeby przyjrzeć jej się z bliska. Olać to dzisiaj. Jutro odwiedzę Miodraga. Bez uprzedzenia.

Wybrałem się o szóstej po południu.

Pojechałem tramwajem, bo miałem ze sobą cały plecak browców, które zamierzałem wspólnie z Miodragiem obalić. Do Wzgórz

Krzestawickich są najwyżej trzy przystanki, jakby się człowiek uparł, mógłby pójść nawet na butach, ale ta trasa nie zachęca do wieczornych spacerów, wierzcie mi. To są peryferia Nowej Huty, tu znalazły swoje miejsce

zajezdnie tramwajowe, zapuszczone boiska piłkarskie, brzydkie cementarz dla tych, co nie załapali się na klimatyczne Rakowice; zadupia, gdzie pośród chaszczy wyrastają tablice reklamowe, hurtownie, warsztaty i magazyny. Frezowanie. Toczenie. Szlifowanie. Obróbka. Blacharstwo. Od samych słów człowiekowi puchną uszy. Trashowe rify Nowej Huty, no nie? Odjazd. Gdzieniegdzie stoją tam jeszcze wiejskie chałupy, krzywe i zaniedbane, całe w starczych bezzębnych uśmiechach, otulone spalinami przejeżdżających Kocmyrzowską tir-ów i srebrzystych samochodów dostawczych.

Wsiadłem więc w piątkę i po kilku minutach byłem na miejscu. Osiedle jak osiedle. Z tych nowszych, kościół przypominający kosmiczną raketę, nudne bloki z lat sześćdziesiątych lub siedemdziesiątych, do tego jakieś pawilony handlowe.

Bez trudu odnalazłem blok, w którym mieszkał Miodrag. Zapamiętałem go z poprzedniej wizyty na osiedlu, kiedy po pierwszej próbie odwoziłem chłopaka do domu.

Drzwi z domofonem, ale udało mi się skorzystać z okazji i wskoczyć do środka za plecami kobiety z psem. Dowiedziałem się od niej, pod jakim numerem mieszkają Kranjcarowie. Osiemnastka, drugie piętro. Bardzo dziękuję. Proszę bardzo, Diana, uspokój się, zostaw pana w spokoju!

Miodraga nie było w domu. Drzwi otworzyła jego matka, potężna kobieta w fartuchu, jakie noszą sprzedawczynie w warzywniakach. Nawet zachowywała się trochę jak kierowniczka sklepu z czasów komuny. Zeskanowała mnie od stóp do głów. Potem poinformowała, że Miodrag pojechał do dentysty i że dlatego pewnie wyłączył komórkę. Ale jest umówiony na dziewiętnastą, więc niedługo powinien już być.

–Poczekaj pan na niego? – spytała grubym głosem, w którym nie wyczułem nawet cienia zachęty.

–Bardzo chętnie – odparłem ładując się do środka. – Nazywam się Seweryn Górecki. Jestem kolegą Miodraga z zespołu.

Mieszkanie było nieduże, choć zadbane. Rzuciło się w oczy, że pani domu lubi domowe porządki.

–Seweryn? – spytała, kiedy weszliśmy do ciasnej kuchni. – To imię zawsze będzie mi się kojarzyło z pewnym zmarłym chłopcem. Proszę, niech pan siada. Te gazety dać na podłogę. Przygotowałam je do wyrzucenia. To już jak Miodrażek wróci.

Zrzuciłem z ramion plecak, zdjąłem z krzesła stos kolorowych czasopism z programami telewizyjnymi i usiadłem przy kuchennym stole.

–Herbatka?

–Jeśli to nie kłopot.

–To był Seweryn Kazimierczak, wie pan? Bardzo ładny chłopiec – podeszła do kuchenki i zapaliła gaz. – Umarł w pięćdziesiątym dziewiątym. Byłam go oglądać. Chce pan posłuchać?

–Aha.

No to się wrobiłem, nie ma co, pomyślałem ponuro. Szeherezada ze Wzgórz Krzesławickich. Coś jak moja matka. Znam ten model. Pewnie kobiecina trzymała w zanadru makabryczną opowieść na każdy dzień w kalendarzu. Jakbym miał na imię

Septymusz, też by znalazła jakąś godną opowiedzenia historię o innym Septymuszu, co mieszkał kiedyś w Nowej Hucie, dopóki go tramwaj nie rozjechał.

–To był taki dziwny zwyczaj, wie pan. Ludzie nawet nie znali tych zmarłych, szli ich tylko oglądać, bo nie można tego było przecież nazwać czuwaniem przy zwłokach. – Zaszumiła woda z kranu, czajnik stuknął o brzeg zlewu. – Czuwała najbliższa rodzina, gapie przychodzili i oglądali, a potem było o czym rozmawiać na ławkach przed blokami. Że ta wyglądała pięknie jak żywa, a tego ubrali w najgorszy garnitur i tekturowe buty, bo szkoda im było czegoś lepszego do trumny. A wie pan, że do trumny produkowano właśnie takie specjalne buty, trumniaki, z tektury czy czegoś równie mało trwałego?

–Nie. Nie wiedziałem o tym – odparłem zgodnie z prawdą.

–W każdym razie któregoś dnia mama zabrała mnie na takie oglądanie trupa. Nie wiem, skąd się o tym dowiedziała, ale poszliśmy na sąsiednie osiedle, którego zupełnie nie znałam. Zmarłym był chłopiec w moim wieku, pamiętałam go ze szkoły, chociaż nie chodziliśmy do tej samej klasy. Miał na imię Seweryn, jak pan, dlatego przypominała mi się teraz ta historia.

Za oknem ktoś krzyknął ochryplym głosem: „Cra-co-via! Łowcy psów!”, ktoś inny wykrzyczał odzew: „Jebać Wisłę i policję!”. Chwila nieskoordynowanych oklasków i strasznego śpiewu, a potem znowu cisza zakłócana tylko odległym dudnieniem tramwaju.

–Zginął tragicznie przysypany piaskiem na Skarpie – kontynuowała matka Miodraga, wyjmując z kredensu szklanki. – Wie

pan, to te łąki koło Placu Centralnego. Chyba wydobywano kiedyś stamtąd piasek, a może przeprowadzano jakieś inne prace, w każdym razie pełno tam było dziur i osypisk. Istne góry piasku, po którym można było zjeżdżać jak po śniegu, drążyć tunele i jamy. I właśnie któregoś dnia, podczas takiej zabawy, osunął się kawał skarpy i przysypał Seweryna. Zanim koledzy sprowadzili pomoc, chłopak zdążył się udusić. Podobno długo trwało, nim go odkopali, tyle piasku się na niego osunęło. Słodzi pan?

–Jedną. Dziękuję.

Postawiła przede mną szklankę z gorącą herbatą i z westchnieniem usiadła na krześle obok.

–Pamiętam, że na klatce schodowej minęliśmy tych, którzy już wracali. Jakaś kobieta popychała swojego syna, mówiąc: „Niech ja cię tylko zobaczę kiedyś na skarpie, to nogi z dupy powyrywam!”. Inna, pewnie jej sąsiadka, zachwycała się, że taki aniołek i tak pięknie w tej trumnie wygląda, no i gorszyła, że matka wcale nie płacze, tylko siedzi tam taka zacięta i milcząca jak głaz, i że to trzeba nie mieć w ogóle serca... Niewielu widziałam zmarłych. W zasadzie tylko moją babcię, której po jej śmierci usiłowałam ustawić inaczej szczękę, żeby ładniej wyglądała, jak przyjdą sąsiedzi. Złamałam ją niechcący.

Uśmiechnąłem się, za późno zdając sobie sprawę, że to wcale nie miało być do śmiechu. Zakłopotany zająłem się swoją herbatą.

–Drzwi na klatkę schodową były otwarte na oścież – kontynuowała kobieta załamującym się głosem, jakby chłopaka przysypało kilka dni temu, a nie w latach pięćdziesiątych. – Weszliśmy z mamą do pokoju, gdzie na dwóch taboretach ustawiona była

trumna. Seweryn ubrany był w biały komunijny garnitur, jeszcze nieużywany, bo dopiero przygotowaliśmy się do komunii. Wyglądał naprawdę ładnie, to był ładny chłopak, podobał mi się w szkole. Wymyli go dokładnie, wiem, że podobno cały był oblepiony tym piaskiem. Jasne starannie uczesane włosy, woskowo blada skóra, spomiędzy białych warg widać było drobne zęby. Ani śladu tego piachu, jakby sobie po prostu usnął. Stałam zafascynowana i niemal czekałam, aż się obudzi, zacznie oddychać i uśmiechnie się do mnie. Zupełnie się go nie bałam. Mama zawołała mnie po cichu, a ja nie mogłam oderwać wzroku od jego twarzy.

–I nagle stało się coś strasznego. W świetle migoczącej gromnicy zauważyłam jakiś ruch na jego twarzy. W lewej dziurce od nosa nagle coś błysnęło. Na ułamek sekundy, ale wystarczyło, żebym zdążyła to zauważyć i uciec stamtąd z krzykiem, na łeb na szyję po schodach, goniona przez zaniepokojoną matkę.

Spojrzała na mnie, a ja odwróciłem wzrok. Przez chwilę patrzyłem na leżący pod nogami tygodnik telewizyjny z Angeliną Jolie na okładce.

–Było to ziarenko piasku. Jedno, jedyne, które przeoczyli podczas mycia. Jedno z tych, które go zabiły.

Miodrag wrócił po dziewiątej.

Kiedy zobaczył mnie siedzącego w kuchni, mało się nie przewrócił. Zdjął puchową kurtkę, odsłaniając sweter po dziadku, i nerwowo odgarnął włosy. Boże, jaki on blady! – pomyślałem. Jak topielec.

–Cześć, Seweryn – wykrztusił wreszcie z niepewnym uśmiechem. – Stało się coś? Trzeba było zadzwonić.

–Padła mi komórka – skłamałem, wyszczerzywszy zęby. – Próbowałem po pijanemu wpisać pin i ze trzy albo cztery razy się pomyliłem. No cóż, zdarza się.

–Pewnie, że tak – odrzekł bez przekonania.

–Przyszedłem pogadać. Nie będę długo siedział, bo wracam tramwajem, a nie wiem, do której jeżdżą. Jak tam u dentysty? Bolało?

–Tylko kontrola.

–Zuch chłopak.

Bez entuzjazmu zaprosił mnie do swojego pokoju, a ja poczułem się jak filmowy agent fbi na progu piwnicy człowieka podejrzanego o seryjne morderstwa kobiet. Tutaj perfekcyjna pani domu nie miała już dostępu, cuchnęło bowiem niedopałkami i starą pizzą. Nie zapalił górnego światła, tylko małą lampkę przy biurku, gdzie ledwo mieścił się ekran z klawiaturą. Usiadłem na brzegu łóżka i wyjąłem z plecaka dwa piwa. Jedno rzuciłem Miodragowi. Złapał je niezgrabnie, jak klasowy dupek, któremu ktoś wreszcie podał piłkę w trakcie meczu koszykówki.

–Przyniesiesz jakieś szklanki? – spytałem.

–Lepiej wypijmy z puszek – rzekł niemal szeptem. – Nie chcę, żeby stara... no wiesz, widziała, że pijemy piwo. Ma na tym punkcie świra. To przez ojca.

–Dużo pił?

Piwo w jego puszcze było mocno wstrząśnięte, więc przy otwieraniu popryskał sobie cały wieśniacki sweter.

–Tak – odpowiedział, wycierając przód swetra rękawem. – To go wykończyło. Chcesz pewnie porozmawiać o moich solach do „Smoke on The Water”.

–Nie – odparłem, delikatnie podnosząc kapsel. Leciutki trzask i psyknięcie. Kilka kropli piany osiadło jednak na palcach, a miało być tak elegancko.

Spojrzał na mnie uważnie.

–Nie przyszedłeś w sprawie przeglądu?

–Słuchaj, Miodrag. Rozmawiałem z Emilią.

–Że co?

–Że Sarajewo. Powiedziała mi o wszystkim.

–Co za suka...

Usiadł na dywanie, oparł się plecami o szafę i bez słowa włączył mały telewizor. Na tle mapy frontów

atmosferycznych pogodynka o wyglądzie modelki jak zwykle wychodziła ze skóry, aby przekształcić prognozę pogody w występ artystyczny. Głos był ściszony, więc dziewczyna wyglądała, jakby śpiewała jakąś piosenkę w kabarecie. Pilot w ręce Miodraga powędrował do góry i zmieniliśmy półkulę: cnn, kwadratowa amerykańska twarz, typowa kopara do przerzucania żużlu, a pod spodem napis, którego nie umiałem przetłumaczyć, mimo że teksty naszych piosenek są głównie po angielsku.

–Wyłącz to gównno – nie wytrzymałem wreszcie. – Musimy pogadać.

–To nie twoja sprawa – odparł cicho.

–Teraz już moja. To samo robisz w naszej piwnicy. Myślałeś, że nikt tego nie zauważy, do kurwy nędzy?

–Ciszej, bo matka usłyszy.

Pochyliłem się nad nim.

–Jeśli mi nie powiesz, co tutaj jest grane, to sam ją zawołam i będziesz się tłumaczył przy niej – zagroziłem. –

Podobno masz na ścianie swój wizerunek. To prawda?

–Można tak powiedzieć.

–Masz czy nie masz? Przełknął łyk piwa.

–Mam – przyznał, nie odrywając wzroku od ekranu, gdzie amerykańscy żołnierze wyskakiwali z lądującego śmigłowca, pewnie w Iraku, bo wokół było pusto, puściuteńko.

–Chcę to zobaczyć.

Wreszcie na mnie spojrział. W jego oczach widziałem lęk.

–Po co? – spytał.

–Żeby wiedzieć, co to jest. Proste.

–To taki rodzaj twórczości, Seweryn.

–Czyjej twórczości?

–Mojej.

–Więc się, kurwa, pochwal.

Przez kilka chwil siedział, sapiąc ciężko, nie odwracając głowy od ekranu telewizora.

–Dobra, sam chciałeś – rzekł wreszcie. – I tak miałem ci o tym powiedzieć.

Z ciężkim westchnieniem podniósł się na nogi, podszedł do drzwi i zamknął je na klucz. Potem włączył górne światło. Z ciemności wyskoczyły tanie meble i plakat z Władcy Pierścieni na ścianie. Aragorn, Legolas i Gimli – nawet po dziewiętnastolatku można by się spodziewać czegoś sensowniejszego. Brakowało tylko plastikowych figurek Vadera i Skywalkera na półkach.

–Pomożesz mi przesunąć szafę? – spytał cicho.

Szafa była wysoka, w dodatku ustawiono na niej jakieś kartony po sprzęcie agd, zasłaniała więc ścianę prawie do sufitu. Chwyciliśmy ją z obu stron i starając się nie robić hałasu, przestawiliśmy dziadostwo prawie na środek pokoju.

Zanim jeszcze zobaczyłem to dokładnie, poczułem ciary przechodzące po plecach. Potem eksplodowała we mnie mieszanka fascynacji, strachu i obrzydzenia. Żołądek skurczył mi się boleśnie, a krew zaczęła dudnić w czaszce. Bezwiednie cofnąłem się o krok, o mało się nie wywróciłem.

Jasna cholera!

Na pierwszy rzut oka mogło to przypominać zawieszoną na ścianie maskę, jakąś szpanerską pamiątkę z Afryki albo Meksyku. Tylko że ja już przecież wiedziałem, czego mam się spodziewać.

Emilia miała rację: to była twarz Miodraga Kranjcara.

A nawet więcej, bo zobaczyłem również zarys szyi, barków i klatki piersiowej, cielesne wypukłości, jak gdyby ściana pokoju była w tym miejscu błoną, poprzez którą usiłował przebić się do środka sobowtór mojego kumpla.

Płaskorzeźba, pomyślałem. Żywa płaskorzeźba.

Tak, widać już było wyraźnie fragmenty tułowia i kończyn. Dostrzegalem nawet wypukłości żeber.

Lecz to przede wszystkim twarz rzucała się w oczy. Na wysokości mniej więcej metra dziewięćdziesięciu, odrobinę ponad moją głowę, wyrastała żywa gęba. Nie grzyb, nie narośl, nawet nie woskowa maska, lecz najprawdziwsze ludzkie oblicze z długim nosem i zamkniętymi oczami. Było białe jak brzuch ryby i przywodziło na myśl twarz na wpół zanurzonego w wodzie topielca. Mimo to miałem nieodparte wrażenie, że wystarczy dotknąć lekko kości policzkowej, musnąć ją zaledwie czubkami palców, a uwięziony w ścianie demon rozklei cienkie powieki, odsłaniając brązowe oczy Miodraga.

Podszedłem krok bliżej, potem wyciągnąłem powoli dłoń i cofnąłem ją zaraz ze wstrętem. Nie zniósłbym ciepłego dotyku skóry pod palcami.

Twarz zdawała się uśmiechać. Kąciki ust były leciutko uniesione, górna warga błyszczała jak od śliny. Było w tym uśmiechu coś, co przejmowało grozą. Sięgnąłem po piwo. Raz-dwa opróżniłem puszkę, po czym usiadłem na tapczanie, bo nogi nie chciały mnie utrzymać w pionie. Naraz zrobiło mi się duszno.

–Ja pierdołę... – wyrzuciłem z siebie tylko, patrząc tępo w telewizor, gdzie trwała w najlepsze relacja z turnieju tenisowego.

–Nieźle, no nie? – odezwał się po chwili Miodrag, patrząc na mnie uważnie.

Pokręciłem w milczeniu głową.

–Jesteś w szoku? – spytał ostrożnie.

–A jak ci się wydaje?

–W sumie ci się nie dziwię.

–Jezus Maria, cóż to jest?

Podniosłem się i jeszcze raz podszedłem do ściany w nadziei, że osobliwa płaskorzeźba znikła i że wszystko już jest w porządku. Przedstawienie skończone, możemy się teraz pośmiać.

Ale to wciąż tam było. Co gorsza, dostrzegłem teraz coś, czego – nie wiedzieć czemu – nie zauważyłem za pierwszym razem. W okolicach żeber wydobywającej się ze ściany istoty miarowo

pulsowała ciemnobrunatna masa, rozdymając się i kurcząc na przemian. Aż zadrzałem przejęty wstrętem i strachem. Znowu usiadłem, tym razem na podłodze. Podciągnąłem kolana pod brodę i wlepiłem wzrok w ekran telewizora.

–Powiesz mi wreszcie, co to jest? – spytałem po kilkudziesięciu sekundach.

–Najpierw to była tylko plama, taka jak u ciebie w piwnicy, potem nabrała ciała – mówił szybko, jakby się bał, że mu przerwę. – Wiesz, zaczęła w pewnym momencie przypominać ukwiał uczepony skały. To było takie szkliste i miało jak gdyby czułki. Później przeistoczyło się w bezkształtną galaretę, a na końcu w coś w rodzaju pęcherza, z którego wydobyła się ta twarz i cała reszta. To był cały proces. Musiałem przestać, bo stara nie znosi hałasu, a tak się składa, że nic, tylko siedzi całymi dniami w domu. U ciebie moglibyśmy doprowadzić to do końca, no nie?

Spojrzałem na niego zaskoczony.

–O czym ty mówisz, człowieku?

Stanął nade mną podekscytowany, z szaleństwem w oczach. Gestykulował ręką, w której trzymał puszkę, bałem się, że mnie zaraz poleje.

–To rośnie, kiedy gram. Tworzę to za pomocą dźwięków. Rozumiesz? Możemy ulepić go całego, a nawet ożywić. Jestem pewien, że można będzie go ożywić.

–Co ty bredzisz? Chcesz ulepić swojego sobowtóra? Miodrag uśmiechnął się.

–Właśnie.

–Swoją kopię?

–Tak.

–Jesteś...

–Słuchaj – przerwał mi gorączkowo. – Z początku też się przestraszyłem, i to nie na żarty. Pomyśl teraz, że możemy zrobić razem coś... coś naprawdę niesamowitego, coś, czego nikt jeszcze do tej pory nie zrobił.

Stworzymy żywą istotę za pomocą fal dźwiękowych. Zmaterializujemy ludzki organizm. Wiem, że to brzmi jak lekka schiza, ale zastanów się na spokojnie, Seweryn.

Zgniotłem w dłoni pustą puszkę i wypuściłem ją z palców. Miałem ochotę jak najszybciej wyjść z tego pokoju.

–Schiza to mało powiedziane – skwitowałem.

–Wyluzuj.

–Nie załamuj mnie!

–Pozwól mi przynajmniej...

–Zamknij się, człowieku!

–Czy ty naprawdę nie rozumiesz? Dźwięk stanie się ciałem! Jak w pierwszych dniach Stworzenia!

Zacząłem się podnosić, bo po pierwsze, miałem jego krocze na wysokości twarzy, a po drugie – nie mogłem już dłużej tego słuchać.

–Sorry, Miodrag, to mnie chyba przerasta – powiedziałem cicho, starając się nie spoglądać w stronę ściany i przyczepionego do niej gówna. – Cześć. Nie przychodź już więcej na próby. Wywalam cię. Nie pasujesz do zespołu.

–Co?

–To co słyszałeś.

Twarz mu zadrgała.

–To nie fair – rzekł załamującym się głosem.

–Zejdź mi z oczu, palancie.

Ruszyłem ku drzwiom. Próbował mnie zatrzymać, złapał nawet kurczowo za nadgarstek, oswobodziłem rękę i odepchnąłem go, aż cherlak zatoczył się na odsuniętą szafę. Gwałtownie szarpnąłem za klamkę, zapomniawszy, że zamknął drzwi na klucz. Kiedy wreszcie wydostałem się z pokoju, zobaczyłem kątem oka matkę Miodraga stojącą w drzwiach kuchni.

–Już pan wychodzi?

Wróciłem do domu na piechotę. Musiałem przecież jakoś ochłonać. Poukładać sobie ten wieczór w głowie, jeśli coś takiego w ogóle można sobie poukładać.

No dobra, widziałem to.

Podobnie jak Emilia. Więc halucynacji raczej nie miałem. Chyba że matka dodaje Miodragowi i wszystkim gościom jakiegoś narkotyku do herbaty. Albo sam Jugol zahipnotyzował nas za pomocą głosu. Bzdury. Hipnoza i narkotyczne wizje nie wchodziły w grę, tego byłem pewien na stówę.

Na głupi kawał również mi to nie wyglądało. Ani trochę. Miodrag Kranjcar, o ile zdążyłem się zorientować, w ogóle nie miał poczucia humoru, a i sam żart byłby trochę jakby nazbyt skomplikowany i rozciągnięty w czasie, no nie? Zresztą nie zaprosił mnie do domu, tylko sam się tam wtrynąłem.

Co więc zostaje?

Ze ściany wyrasta twarz i prawie cała reszta, w dodatku jest to twarz mojego kumpla, który opowiada, że sam ją wyrzeźbił, wykorzystując do tego celu zwykłą gitarę ze wzmacniaczem. Trudna

sprawa, lecz przecież zdarzają się na świecie różne dziwne rzeczy, czyż nie? No dobrze, skupmy się.

Słyszałem o gościach, którzy gdzieś w Indiach czy Tybecie potrafią materializować przedmioty, a nawet kwiaty. Był nawet kiedyś w dwójce program o facecie z nieprawdopodobną fryzurą à la Jackson Five, umiejącym podobno tworzyć kopię własnego ciała, dzięki czemu gość mógł przebywać równocześnie w różnych miejscach.

Biolokacja czy coś w tym stylu. Nie wiem, może Miodrag ma podobne zdolności? Zapewne tak, skoro potrafi wyczyniać takie rzeczy w swoim pokoju. Być może jest kimś w rodzaju miejskiego szamana, który do komunikacji z innymi wymiarami używa nie bębna, lecz elektrycznej gitary? Cholera, przecież to jakiś tani horror! Gotycka powieść grozy, szalony naukowiec krzyżący w pracowni: *It's alive!*

Maszerowałem wzdłuż ulicy, którą przejeżdżały same TIR-y. Było ciemno jak na wsi, jakiś pies obszczał mnie zza drucianej siatki, zapewne w obronie zafajdanego skupu złomu. Wyjąłem z plecaka puszkę ciepłego piwa i opróżniłem ją na trzy podejścia, aby ukoić nerwy. Potem przerzuciłem ją przez siatkę, do kolekcji złomiarzom. Zapaliłem papierosa od papierosa. Ciekawe, czy to rzeczywiście dźwięki kształtują tę postać czy tworzy ją umysł Miodraga, a muzyka jest mu potrzebna jedynie do osiągnięcia pewnego stanu, czegoś w rodzaju transu? W sumie to chyba żadna różnica, co nie? Pomyśleć tylko, że koleś zamierzał to powtórzyć w mojej piwnicy! W jaki sposób chciał to utrzymać w tajemnicy? Myślał, że tego nie zauważymy? Niezły palant, nie ma co.

Facet jest dla mnie skreślony, raz na zawsze. Niech się gnój cieszy, że nie dostał dzisiaj po mordzie.

Buc.

Zanim dotarłem na swoje osiedle, zdążyłem tyknąć jeszcze dwa piwa. Rzecz jasna, kiedy byłem już na klatce schodowej, musiałem zajrzeć do piwnicy. Plama wyglądała tak samo jak ostatnim razem. Ani się nie powiększyła, ani nie pociemniała, ani nie przekształcała w ukwiał z mackami.

Dzięki browarom i długiemu spacerowi spałem tej nocy jak zabity.

Przez parę dni Miodrag Kranjcar próbował się do mnie dodzwonić – nie odbierałem komórki. Przesłał też kilka sms-ów, które na ogół kasowałem bez czytania. Zauważyłem tylko jakieś pogrożki w ostatnim z nich. Że będę jeszcze żałował i gorzko płakał czy coś w tym stylu. Śmieszny dureń, pomyślałem, jak go kiedyś spotkam na mieście, to poproszę, żeby mi to powtórzył prosto w twarz.

Strasznie byłem naiwny.

Oczywiście chłopakom nawet nie wspominałem o tym, co zobaczyłem w mieszkaniu Miodraga. Szczerze mówiąc, nawet nie wiedziałbym chyba, jak im to powiedzieć. Zresztą i tak by mi nie uwierzyli, więc nie ma się co nawet zastanawiać. Jak ich znam, nabijaliby się ze mnie do końca życia. Poinformowałem tylko, że wywaliłem Jugola, bo nie chciał się przystosować do naszego stylu, co było po części prawdą. Zaskoczyło ich to, lecz nie zszokowało.

Znali temat. Chcieli wiedzieć tylko, co dalej. Do przeglądu zostało bardzo mało czasu, a my znowu nie mieliśmy gitarzysty. Obiecałem, że kogoś znajdę i że w ogóle wszystko będzie ok, chociaż sam już w to przestałem wierzyć. Szybko zapomnieli o Miodragu.

Ja nie potrafiłem tak łatwo zapomnieć.

Jeszcze przez kilka tygodni prześladowała mnie wizja zatopionego w ścianie ciała. Przed snem wyobrażałem sobie, jak stopniowo sobowtór się wynurza – głowa, tors, kończyny, palce – aż wreszcie otwiera oczy, uśmiecha się i z paskudnym mlaśnięciem odrywa plecy od ściany, aby opaść na podłogę, nagi i lepki jak noworodek.

Często śniła mi się też piwnica.

Ściany oddychały, było ukryte w nich serce. Plama przekształcała się w moją twarz, było to oblicze jakieś takie opuchnięte i fioletowe, jak u trupa po wypadku, z wąskimi szparkami niewidzących oczu. Sine usta, które przypominały ranę po nożu, z zakrzepłą krwią wewnątrz, mówiły coś do mnie, a ja im odpowiadałem. Prowadziłem długie rozmowy z własną zniekształconą gębą. Budziłem się rano rozstrojony, szybko wkładałem spodnie i koszulę, aby zejść na dół i raz jeszcze przyjrzeć się plamie. Nic się z nią nie działo, ani trochę nie przypominała mojej twarzy.

Zwykła plama pod sufitem. Zaciek. Znowu zacząłem wierzyć, że zalewa nas sąsiadka spod jedenastki.

Minął grudzień i połowa stycznia. Rzecz jasna, nie znaleźliśmy odpowiedniego gitarzysty i musieliśmy zrezygnować z przeglądu. W dodatku pokłóciłem się z Banderasem, przez co przestał przychodzić na próby,

tłumacząc się za każdym razem jakimiś pierdołami. Zespół zaczynał nam zdychać. Zamiast ćwiczyć i komponować nowe kawałki, siedziałem teraz w Necie, przeglądając serwisy dotyczące zjawisk paranormalnych.

Można rzec, że stało się to moją obsesją. Mimo że od wizyty u Miodraga minęły tygodnie, nie potrafiłem wyrzucić z pamięci tego, co tam zobaczyłem. Uparcie szukałem jakiegoś wyjaśnienia dziwnego zjawiska. Całymi godzinami wyszukiwałem stronki z najdziwniejszymi informacjami. Bioloekacje, materializacje i dematerializacje, demony, klonowanie, nawet zupełnie już fantastyczne stworzenia z mitologii Cthulhu. Po trzech tygodniach przyswajania tego typu rewelacji miałem w głowie istny gabinet osobliwości. W większości wypełniony śmieciami.

Nie zamierzałem się jednak poddawać. Grzebałem coraz głębiej. Szczególnie zainteresowały mnie teorie dotyczące cudownych właściwości muzyki, wpływu fal dźwiękowych na fizyczną rzeczywistość. Zastanawiałem się, czy dźwięk i wibracje rzeczywiście mogą mieć zdolność tworzenia. No cóż – jak to zazwyczaj bywa w Sieci – znajdowałem same pierdoły.

Zarejestrowałem się nawet na jakimś forum, dostałem masę linków, najczęściej po angielsku, lecz nie tego szukałem. Dowiedziałem się coś niecoś o Pitagorasie i Platonie, muzyce sfer niebieskich, harmonijnym kosmosie – to wszystko wyglądało tylko na pewne konstrukcje myślowe, na zwykłe fantazjowanie bez większego związku z muzyczną praktyką. Kiedy przychodziło do gry na fletach, kitarach i lirach, muzyka Greków potrafiła wpływać już tylko na nastrój słuchającego. Dźwięki ludzkiego śpiewu i instrumentów widać nie miały według filozofów żadnego wpływu na

strukturę rzeczywistości.

Nie o to mi chodziło.

Pewnego wieczoru, jadąc Straszewskiego obok filharmonii, przypomniałem sobie o ojcu. Niedawno zapraszał mnie na koncert swojej orkiestry i uprzytomniłem sobie, że to jest właśnie ten dzień. Wprawdzie było już za późno, bo koncert zaczął się przed godziną, ale i tak postanowiłem się z nim spotkać.

Mój stary wywił w orkiestrze na altówce i uczył dzieci gry na instrumentach smyczkowych. Miał mnóstwo książek na temat muzyki, lecz zabrał je ze sobą do nowego mieszkania, kiedy odchodził od matki dla dwadzieścia lat młodszej koleżanki z orkiestry. Flecistka o czarującym imieniu Róża, wiecznie przestraszona blondynka z odrostami, zastąpiła tęgą pielęgniarkę, która nie odróżniała Bacha od Offenbacha. Rzadko się z ojcem widywaliśmy, nasz kontakt ograniczał się na ogół do wymiany maili.

Tym razem postanowiłem pogadać ze staruszką bez pośrednictwa światłowodów.

Był sobotni wieczór, mokro i ponuro, odwilż pozbawiła właśnie Kraków resztek śniegu. Zostawiłem auto na parkingu przy Hotelu Maltańskim i poszedłem pod gmach filharmonii. Koncert właśnie się skończył, wiara wychodziła na ulicę, za moment powinni pojawić się także muzycy. Stałem pod afiszem zapowiadającym uwerturę do „Cyrulika sewilskiego” Rossiniego, koncert skrzypcowy

D-dur Brahmsa i Siódmą Symfonię A-dur Beethovena. Żelazny repertuar jak zwykle, żadnych eksperymentów, żeby nie zrazić sobie abonamentowej publiczności.

Zapaliłem papierosa, przyglądając się opuszczającym budynek ludziom. Same siwe dziadki i szkolna młodzież. Prawie w ogóle nie widziałem ludzi w średnim wieku, tak między trzydziestką a pięćdziesiątką. Nic dziwnego. Pewnie ludziska pchają teraz wózki między regałami i podjadają darmowe sery na promocjach, ot i cała tajemnica. Teseo, Géant, Real, Carrefour – tam puszcza się przez głośniki melodie naszych czasów. Do każdego produktu piosenka gratis.

–Dobry wieczór państwu – krzyknąłem, kiedy ojciec i jego nowa towarzyszka życia wyszli drzwiami przeznaczonymi dla muzyków. – Może podwieźć?

Ojciec zatrzymał się, nieco chyba zaskoczony, a jego kobieta spojrzała na mnie ze strachem. On wysoki i łysy, z altówką w czarnym futerale pod pachą, ona mała, wtulona w niego jak dziecko. Nie patrzyła mi w oczy. Czuli się winni rozpadu małżeństwa moich starych, więc denerwowała się za każdym razem, kiedyśmy się spotykali.

Niepotrzebnie.

–Cześć, Seweryn – zareagował wreszcie staruszek. – Byłeś na koncercie?

Uśmiechnąłem się.

–Beethovena to ja mam całego w wykonaniu Filharmoników Wiedeńskich. Nie potrzebuję słuchać kiepskich interpretacji jakiejś trzeciorzędnej orkiestry. Stoję na parkingu. Idziecie?

–Jasne, że tak – ucieszył się ojciec. – Prowadź.

Poszliśmy w stronę auta, siłąc się na płaskie dowcipy o światowej sławy maestro i jego osobistym szoferze.

Podczas jazdy opowiedziałem o swoich poszukiwaniach. Ściemniłem, że potrzebuję tych informacji do artykułu, który zamierzam umieścić w branżowym piśmie.

–Dźwięk jest tradycyjnie uważany za jedną z głównych sił kryjących się za kreowaniem materii – ojciec rozpoczął swój wykład, kiedy uporał się wreszcie z pasami. – Na początku było Słowo, rozumiesz, a Słowo było u Boga.

–O tym już czytałem, tato. Wiem również o starożytnych szamanach, o wierzeniach Indian Hopi, a nawet o Pitagorasie i Platonie.

–A słyszałeś o Hermesie Trismegistosie? – spytał po chwili zastanowienia.

–Raczej nie. Co to za jeden?

–Legendarna postać, że tak powiem. Egipski mag i wizjoner, który podobno żył jeszcze przed Pitagorasem.

–W sumie dziwnie się gość nazywał.

Zatrzymaliśmy się na światłach obok teatru Bagatela. Mokra ulica wyglądała w czerwonym blasku sygnalizacji, jakby była skąpana we krwi. Zapaliłem papierosa, przyglądając się pasażerom stojącego obok nas tramwaju.

–Tak go nazwano później – wyjaśnił ojciec. – Trismegistos znaczy: „po trzykroć wielki”. Podobno wymyślił pismo hieroglificzne. Jego spadkobiercą miał być sam Orfeusz. Mam nadzieję, że tym razem wiesz, o kogo chodzi?

–Tym razem chyba kojarzę – odwróciłem się do niego z uśmiechem. – Dostałem się na studia, jakbyś zapomniał.

–Śpiewak i największy mistrz gry na lirze.

–Fajnie. To już wszystko, co ten Hermes miał wspólnego z muzyką?

Ruszyłem z piskiem opon, żeby podrażnić się trochę z moimi ekspertami.

–Nie, nie wszystko – odparł ojciec po dłuższej chwili. – W jego księgach potomni poszukiwali sposobów wykorzystywania za pomocą muzyki kosmicznych energii. Chcieli, że tak powiem, przywołać ducha wszechświata. Studiowali księgę, aby nauczyć się od Hermesa tworzenia hymnów współbrzmiących z muzyką kosmosu. Seweryn, naprawdę musisz palić w samochodzie?

–Spoko, już gaszę – powiedziałem. – No i jak, stworzyli te hymny?

Otworzyłem okno i wyrzuciłem peta na jezdnię.

–To tylko legenda – rzekł ojciec, pokręciwszy z dezaprobatą głową na widok mojej akcji. – Nic prawie nie zachowało się ze starożytnej muzyki, co najwyżej, rozumiesz, parę fragmentów melodii greckich. Z tego co pamiętam, to będzie między innymi: „Hymn do Nemezis”, „Pean o samobójstwie Ajaksa”, jakiś chór z tragedii Eurypidesa, coś tam jeszcze. Nie mamy pojęcia, jak brzmiała muzyka Sumerów, Egipcjan czy Izraelitów. Wiemy tylko, w jakich okolicznościach była zwykle wykonywana i na jakich instrumentach.

–Nawijaj – zachęciłem. – Wszystko mi się przyda.

–W sumeryjskich świątyniach instrumentalści i chór to była uczona społeczność – odezwała się z tylnego siedzenia Róża flecistka. – Rodzaj kolegium. Zajmowali się nie tylko muzyką, lecz również astronomią.

–A Izraelici? – spytałem.

–Śpiewali jak wszyscy – odparł ojciec. – Śpiew jest najstarszym i chyba najbardziej naturalnym przejawem muzyki. Trudno określić, jak to brzmiało. Może przypominało mongolskie lamentacje? Prawdopodobnie skandowano tekst na jednym dźwięku albo układano skąpe melodie na dwóch, rozumiesz, góra trzech dźwiękach w średnim rejestrze.

–Tylko tyle?

–No nie, Izraelici grali też na lirach, obojach, bębenkach i różnych tam talerzach.

–No i na trąbach, których dźwięk zburzył podobno mury Jerycha – dodała Róża.

Odwróciłem się.

–O, o, o. Właśnie o coś takiego mi chodziło – ucieszyłem się. – Dźwięk, który kruszy mury miasta. Wprawdzie nic nie tworzy, tylko niszczy, ale to już jest jakiś trop.

–Patrz na jezdnię – skarcił mnie ojciec.

Odwiozłem ich pod sam dom. Nie skorzystałem z propozycji wypicia herbaty z sokiem malinowym w małym, lecz przytulnym mieszkanku z widokiem na szkielet wieżowca. Przy pożegnaniu obiecali, że jak coś ciekawego znajdą, to mi prześlą.

Tego samego wieczoru próbował dodzwonić się do mnie Miodrag. Trochę mnie gość zaskoczył, bo myślałem, że już dawno dał sobie spokój. Nie odebrałem, chociaż z czystej ciekawości odsłuchałem potem wiadomość, którą mi nagrał. Brzmiało to dziwnie. Przez kilka sekund słychać było tylko hałasy ulicy, szczekanie psa, a potem odezwał się Miodrag:

–Co tam u ciebie, Seweryn? Chyba zapomniałeś o kumplu? Nieładnie, naprawdę nieładnie.

Jego głos przypisał mi o dreszcz. Był monotony i mechaniczny, jak gdyby wygenerowany przez jakiś syntezytor mowy. Całkiem mu odbiło, pomyślałem. Pewnie jest na jakichś prochach. Jak mamusia.

Zastanawiałem się przez chwilę, czy do niego nie oddzwonić, w końcu uznałem, że ostatnie, czego mi trzeba, to odnawianie znajomości z Miodragiem i jego szaleńczym dziełem.

Kilka dni później dostałem od ojca mail:

Cześć, Synku.

Znalazłem coś, co może Cię zainteresuje.

Pierwszy fragment pochodzi z Biblii. Kawalek o królu Salomonie, który postanowił poświęcić świątynię. Otóż Lewici ustawili się na wschód od ołtarza, grając na cymbałach, harfach i cytrach, a za nim stanęło ponad stu kapłanów z trąbami. Może coś pomyliłem w tym ustawieniu, nieważne.

A więc: „Kiedy tak zgodnie, jak jeden, trąbili i śpiewali, tak iż słychać było tylko jeden głos wysławiający majestat Pana, kiedy podnieśli głos wysoko przy wtórze trąb, cymbałów i instrumentów muzycznych przy

wychwalaniu Pana, że jest dobry i że na wieki jego łaskawość, świątynia napelniła się obłokiem chwały Pańskiej, tak iż mogli kapłani tam pozostać i pełnić swej służby...”

Obłok. To brzmiało ciekawie, dużo ciekawiej niż matematyczno-muzyczny kosmos Greków. Czytałem dalej: Istnieje również pewna francuska legenda z xii albo xiii wieku dotycząca pośrednio klasztoru benedyktynów w Normandii. Od ósmego wieku jest to miejsce kultu świętego Michała Archanioła, a znajduje się na skalistej wyspie na Oceanie Atlantyckim.

Otóż: „Pobożny sługa Ukrzyżowanego, czcigodny i święty brat z Perugii, Dominik” przybył tam za panowania Henryka I i podobno sprawiał swym śpiewem, że wprost z murów kościoła wyrastały najpiękniejsze kwiaty o fantastycznych kształtach. A śpiewu uczył się między innymi podczas pobytu w Maroku, Egipcie i Syrii. Więc możemy przypuszczać, że miał coś wspólnego z pogańskimi hymnami, o których ci mówiłem w sobotę. Może studiował nawet hymny samego Hermesa Trismegistosa, kto wie? Opowiadano o bracie Dominiku, że jego głos czyni cuda. Na kwiatkach wyrastających z kamienia się nie skończyło. Raz podczas mszy świętej pod wpływem jego śpiewu objawił się mnichom Jezus Chrystus. Wisiał pod sklepieniem kościoła i uśmiechał się łagodnie, a rysy twarzy Zbawiciela bardzo przypominały rysy samego brata Dominika.

Według legendy czynił też inne cuda. Uzdrawiał ponoć chorych, a także w jakiś sposób potrafił przebywać w dwóch miejscach równocześnie.

Cytat: „Między innymi zdarzyło się w czasie tego postu, że zamknięty w celi brat Dominik śpiewał Bogu tak żarliwie, z takim uczuciem miłości, że naraz doznał zachwycenia i opuścił swoje ciało. Ujrzano go w tymże czasie stojącego przed bramą kościoła. Tam pozdrawiał wychodzących ze świątyni braci, którzy dziwowali się wielce na ten widok, bowiem słyszeli jego pobożny śpiew dochodzący z okna celi”. Koniec cytatu.

Wstałem od komputera i zacząłem krążyć po pokoju, zbyt podniecony, by czytać dalej. Kwiatki świętego Dominika, niech mnie szlag trafi. Legenda, która jeszcze dwa miesiące temu wydałaby mi się zapewne naiwna i śmieszna, teraz sprawiła, że poczułem na sobie podmuch piekielnej grozy. Ponury klasztor na szczycie skały, wokół szumią ciemne wody Atlantyku, a krążgankami przebiega złowieszczą postać w habicie, istota stworzona za pomocą śpiewu opartego na pogańskich skalach, na skalach wykoncypowanych przez diabolicznego Hermesa Trismegistosa. Demon wprost z koszmarów sennych starożytnych Egipcjan i Greków. W końcu ochłonąłem nieco, poszedłem do kuchni, zaparzyłem kawy i z czerwonym kubkiem Nescafe w ręce wróciłem do kompa.

Aldona jest dostępna. No i niech sobie będzie. Nie miałem ochoty czytać, co napisała jej Karolina na temat Beaty, która pokłóciła się z Maćkiem. Wyłączyłem Gadu-Gadu i wróciłem do maila od ojca.

Nasz bohater zginął ostatecznie z rąk rozbójników podczas podróży do Rzymu.

Z rzeczy bardziej współczesnych: Ernst Chladni w xviii wieku udowodnił, że dźwięk ma bezpośredni wpływ na materię fizyczną oraz zdolność tworzenia geometrycznych wzorów. Chodzi o tak zwane „figury Chladniego”, czyli kształty pojawiające się pod wpływem dźwięku na posypanych piaskiem płytkach.

Uśmiechnąłem się. Płytki posypane piaskiem. Niewinne igraszki osiemnastowiecznego naukowca. Czymże były te

eksperymenty wobec tego, co robił Miodrag Kranjcar?

W roku 1967 Hans Jenny wydał książkę pod tytułem „Cymatics: The Structure and Dynamics of Waves and Vibrations”, w której potwierdził odkrycie Chladniego, wykorzystując kryształkowe oscylatory. Eksperymentując ze skonstruowanym przez siebie urządzeniem (tonoskopem), wykazał, że dźwięki starożytnych języków, hebrajskiego i sanskrytu, tworzą w piasku własne symbole. Nie wiem, w jaki sposób, tak jest napisane w niemieckim artykule o nim. Hans Jenny utrzymywał również, że biologiczna ewolucja jest wynikiem wibracji i że każda komórka posiada własną częstotliwość. Uważał chyba wszystkie istniejące rzeczy za muzykę, która przybrała widzialną formę.

Mam nadzieję, że Ci się to do czegoś przyda. Pozdrów mamę i Klaudię. Cześć.

–Dzięki, ojciec – odezwałem się do komputera.

No to teraz mam się nad czym zastanawiać.

Wibracje jako siła napędowa wszechświata. Muzyczny kosmos. Sanskryt i hebrajski jako języki obdarzone magiczną mocą zmieniania rzeczywistości. No i ten Dominik z Perugii, który według legendy stworzył własną kopię. Rozbójnicy zabili mnicha – może tak, może nie, pomyślałem, wychodząc kliknięciem z poczty. Żli kolesie ukryci po lasach. A jeśli zginął z rąk własnego sobowtóra? Może nie zabił go leśny gangster, a łagodnie uśmiechnięty Chrystus o rysach przypominających rysy brata Dominika? Ten sam, który wisiał podczas mszy nad głowami mnichów. Zabił swojego

stworzyciela, a potem udał się do Egiptu, do Syrii, a może nawet do samych Chin Ludowych, żeby siać strach między ludźmi.

Taki Frankenstein wczesnego średniowiecza.

Start. Zamknij komputer. Czy na pewno chcesz?... Tak. Kliknięcie myszą. Obraz zgasł. Przez chwilę siedziałem, wpatrując się w ciemny ekran i zastanawiając, czy naprawdę Miodrag Kranjcar jest współczesnym bratem Dominikiem z Perugii czy to tylko dziwny zbieg okoliczności. Potem wstałem, wyjąłem z kieszeni kurtki telefon i odszukałem numer do Emilii.

Może ma jakieś nowe informacje na temat swojego byłego chłopaka.

Nie udało mi się z nią połączyć ani tamtego, ani następnego dnia.

W końcu postanowiłem tyrknąć do Tamary, jej kumpeli. Kiedyś tam wziąłem od niej numer, licząc na zacieśnienie naszej znajomości. Wiadomo, o co chodzi. Nie potoczyło się to tak, jak sobie zaplanowałem, ale przynajmniej został mi jej numer w spisie telefonów.

Wracałem właśnie samochodem od Oktawiana, z którym przez trzy godziny zastanawialiśmy, jak ożywić trupa o nazwie Spam.

–Hej, tu Seweryn. Co u ciebie? – zagałem gromko.

–W porządku – odparła Tamara, zapewne nieco zdziwiona tym moim nieoczekiwanym telefonem.

–Słuchaj, masz jakiś kontakt z Emilią, z tą byłą Miodragą?

–Z Emilią?

–Właśnie. Nie mogę się do niej dodzwonić, a mam sprawę.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

–Emilia zaginęła – odezwała się wreszcie Tamara nieswoim głosem. – Szuka jej policja. Nie słyszałeś o tym?

Poczułem się, jakby mi ktoś nieoczekiwanie przywalił w ryj.

–Poczekaj sekundkę – powiedziałem zdławionym głosem. – Jestem w samochodzie. Zjadę gdzieś na bok i zadzwonię drugi raz.

Zatrzymałem się pod Statiolem i wyszedłem z auta. Musiałem odetchnąć świeżym powietrzem, bo zrobiło mi się słabo. Kominy elektrociepłowni mrugały czerwonymi światełkami na tle ciemniejącego nieba. Wiało i padał drobny deszcz. Jak ten głupi schowałem się za billboardem reklamującym Media Markt, mimo że tablica reklamowa umieszczona była wysoko nad moją głową. Trzęsącymi się rękami zapaliłem papierosa, a następnie ponownie wybrałem numer.

–Emilia zaginęła trzy tygodnie temu – rzekła Tamara, kiedy się z nią połączyłem. – Jej współlokatorka mówiła, że wyszła pewnego dnia rano na zajęcia i od tamtej pory nie dała znaku życia. Nikt nie widział jej wtedy na uczelni, nie przyszła też po południu do Teseo, gdzie miała stać na promocji. Nie zostawiła żadnej wiadomości, z nikim się nie skontaktowała. To do niej niepodobne. Mam najgorsze przeczucia.

–Większość zaginionych podobno się odnajduje – zauważyłem bez przekonania.

–Oby tak było. To naprawdę paskudnie wygląda.

–Rozmawiałaś z policją? – spytałem po kilku sekundach milczenia.

–Tak.

–A mówiłaś im o Jugolu?

–Przesłuchiwali go. Nie wiedziałaś o tym?

–Wywaliłem gościa z zespołu. Nie mam z nim kontaktu.

Obok mnie przejechał autobus, a tuż za nim dwie brudne scanie. W tym hałasie ledwo słyszałem głos Tamary.

–On już nie mieszka na Wzgórzach Krzesławickich – oznajmiła.

–Tylko gdzie?

–Gdzieś w Bieżanowie, nie wiem dokładnie. Starsza siostra wzięła go do siebie, kiedy matkę zabrali do czubków.

–Jego matka jest w wariatkowie? – poczułem, że to wszystko dzieje się za szybko. Mój mózg po prostu nie nadążał za kolejnymi rewelacjami.

–Tak. Jest teraz w Kobierzynie. Miała jakieś odpały. Schizofrenia. Twierdziła, że syn chce ją zabić, a Diabeł próbuje dostać się do kuchni przez okno. Miodrag mieszka teraz u siostry i szwagra, tyle że i tak codziennie przyjeżdża do starego mieszkania, żeby ćwiczyć. Tak mówili sąsiedzi. Skarżyli się, że jest strasznie głośno. Policja chyba nic na niego nie ma.

–A wspominałaś im o tym... no wiesz, że on coś tam hodował w pokoju?

–Znaczy?

–Wiesz, o tym, czego się tak wystraszyła Emilia.

–Nie, bo nic konkretnego o tym nie wiem. Zresztą oni byli u niego w mieszkaniu, to pewnie wszędzie zajrzeli.

–Myślisz, że jej zaginięcie ma coś wspólnego z Miodragiem? – spytałem.

–Na stówę, Seweryn.

Przez chwilę milczałem. Deszcz przybrał na sile i byłem już cały mokry.

–Może powinniśmy im powiedzieć? – zasugerowałem, doskonale wiedząc, że przecież tego nie zrobimy. Musiałem coś takiego zaproponować.

–Nie – odparła Tamara zgodnie z moimi oczekiwaniami. – Sam wiesz, jaka jest policja. To matoly, a my nie mamy żadnych konkretów, tylko jakieś niestworzone historie. Jeszcze zaczną nas podejrzewać, po cholere nam to?

–No, w sumie racja.

Wróciłem do samochodu, przez kilkanaście minut nie uruchamiałem silnika, tylko siedziałem, gapiąc się na spływające po przedniej szybie strużki deszczu. Emilia zaginęła. Niech to wszystko szlag trafi! Taka fajna, wrażliwa

dziewczyna. Im dłużej myślałem o jej zniknięciu, tym mniej pozostawało we mnie nadziei, że odnajdzie się cała i zdrowa. Byłem niemal na sto procent pewien, że Emilia nie żyje i że ma to jakiś związek z eksperymentami Miodraga.

Trochę potrwało, nim doszedłem do siebie i ruszyłem poprzez deszcz do domu.

Nie myliłem się przynajmniej co do jednego: dziewczyna była martwa.

Pozbawione głowy półnagie ciało Emilii wyłowiono z Wisły jakoś tak na początku marca. Podobno pomógł w tym białoruski jasnowidz. Nieważne. Owinięta w prześcieradło głowa odnalazła się kilka dni później w okolicach Zalewu Nowohuckiego. Wrzucono ją do studzienki kanalizacyjnej, zasypano trawą i chwastami. Patolog badający zwłoki stwierdził, że dziewczyna zginęła od licznych ran zadanych nożem. Została dosłownie zadżgana. Przed śmiercią była również gwałcona i torturowana, na plecach morderca pozostawił płytkie ślady po ostrym narzędziu. Wiadomo też, że związał ofiarę, a usta i oczy zakleił jej taśmą. Twarz była tak potłuczona, że matka nie mogła jej rozpoznać.

Szczegółów dowiedziałem się od kumpla, którego ojciec pracuje w dochodzeniówce. Rzecznik prasowy Wojewódzkiej Komendy Policji w Krakowie poinformował tylko, że zbrodni dokonano z wyjątkowym okrucieństwem. Gliniarze nie chcieli, rzecz jasna, wywoływać paniki. Zabezpieczono ślady butów i opon. Podano rysopis podejrzanego: wysoki blondyn z wąsami, około trzydziestu, trzydziestu pięciu lat, skórzana kurtka i wojskowe buty. Ktoś go tam widział i zapamiętał, ale ja przecież wiedziałem, że to nie jest ten gość.

Tamara była podobnego zdania.

–A może to naprawdę Miodrag ją zabił? – zapytała łamiącym się głosem, kiedy wracaliśmy z pogrzebu Emilii Kruczek. Wciąż była w szoku, podobnie zresztą jak ja. – Wiem, że nie wygląda na potwora, ale przecież wszyscy ci psychopaci są na ogół tacy niepozorni i zakompleksieni.

Jugóła nie było na cmentarzu ani w kaplicy. Ktoś wspomniał, że podobno leży w szpitalu. Coś z nerkami, jeśli dobrze pamiętam.

–Nie – odparłem wtedy. – To nie Miodrag jest mordercą. On by czegoś takiego nie potrafił zrobić. To nie on zabił.

Przynajmniej nie bezpośrednio – tego nie wyraziłem już na głos.

Gdy dwa dni po pogrzebie jechałem na Wzgórza Krzesławickie, padał tak gęsty śnieg, że ledwie widziałem przed sobą drogę. Ale to niezaskakujący powrót zimy był tego wieczoru moim największym problemem. Warunki atmosferyczne niewiele mnie obchodziły, nawet kataklizm nie zrobiłby na mnie większego wrażenia.

W mojej głowie pulsował strach. W miarę zbliżania się do osiedla narastał, aż stał się nie do zniesienia. Z nerwów bolał mnie brzuch i było mi niedobrze. Ręce ślizgały się na kierownicy. Żeby się trochę uspokoić, krążyłem przez kilka minut wokół obcych bloków i placów. Zatrzymałem się na parkingu przed supermarketem. Wysiadłem z auta i przespacerowałem się trochę, nie zważając na sypiący śnieg.

Na niewiele się to zdało. Wciąż czułem nudności i skurcze żołądka.

Byłem maksymalnie wydygany.

Poprzedniego wieczoru, po wielu godzinach wahań i walki z samym sobą, podjąłem wreszcie decyzję. Zadzwoiłem do Miodragi poprosiłem o spotkanie. To był z całą pewnością najtrudniejszy telefon w moim życiu. Słowa ledwie przechodziły mi przez gardło. Najprostsze słowa. Cześć, chłopie. Co tam u ciebie? Może się spikniemy?

Odpowiedział tym samym bezbarwnym, syntetycznym głosem, jaki nagrał się na mojej poczcie. Cześć. Po staremu. W czym problem? Z początku nie chciał nawet słyszeć o spotkaniu, zgodził się dopiero wtedy, kiedy wyjaśniłem, o co mi chodzi. Zaproponował, żebym przyjechał pod jego blok o dziewiętnastej i czekał. Cała rozmowa trwała najwyżej dwie minuty, a ja byłem mokry, jakbym przebiegł właśnie dziesięć kilometrów w czterdziestostopniowym upale.

A więc klamka zapadła.

Kiedy wjechałem na osiedle Na Stoku, była 18.43. Minąłem sklep, kosmiczny kościół, potem abc, pod którym stał samochód firmy Justus, potem skręciłem w prawo i wjechałem powoli między bloki. Zaparkowałem najbliżej, jak tylko się dało, niemal pod samą klatką. Zapaliłem papierosa i uchyliłem lekko szybę. Ciemność i gęsty śnieg nie pozwalały dojrzeć, czy ktoś stoi w pobliżu. Światło reflektorów grzęzło w mroku, nie wyławiając żadnych kształtów. Włączyłem radio, ale niemal natychmiast je zgasilem. Byłem cały spocony. Rozpiąłem kurtkę, pod którą miałem jeszcze gruby polar.

Czekałem.

Jakże chciałem mieć to już z głowy! Wrócić do domu, napuścić gorącej wody do wanny, otworzyć piwo, włączyć telewizor, obejrzeć jakiś głupi program o rywalizacji kucharzy albo tancerzy. Wiedziałem, że nigdy się od tego całkowicie nie uwolnię. To się ode mnie już nie odczepi.

–Masz przesrane – powiedziałem sam do siebie.

Godzina 18.57.

Zaczerpnąłem głęboko powietrza. Serce odrobinę zwolniło, lecz niepokój pozostał. Miałem wrażenie, że jestem obserwowany. Tak, to się dało odczuć. Koleś na pewno patrzy na mnie przez okno albo stoi gdzieś z tyłu, niewidoczny w ciemnościach. Bawi się ze mną. Nerwowo zerkałem we wsteczne lustro, gasiłem i zapalałem papierosy. Godzina 19.03. Chyba mi o dwie minuty śpieszy. Zacząłem bębnić palcami po kierownicy, pogwizdując dla dodania sobie odwagi. Potem wsadziłem spoconą dłoń do kieszeni kurtki i dotknąłem palcami zimnego metalu. Wszystko będzie w porządku, pomyślałem. Przecież się zgodził, prawda?

O 19.11 usłyszałem głos elektrycznej gitary Miodraga. Po plecach przeszedł mi lodowaty dreszcz.

Przytłumiony dźwięk, ale przecież grę Jugola rozpoznałbym wszędzie. Wiosło w rękach geniusza. To już nie były nawet sola. Geniusze nie grają solówek. Monotonne ciężkie riffy brzmiały tak, jak gdyby Miodrag postanowił zagrać na rozstrojonej gitarze. Szarpiące nerwy współbrzmienia, hipnotyczny rytm – tak musi muzykować sam Diabeł. Słuchałem zafascynowany, niemal zapomniawszy, po co tu przyjechałem. Wyobraziłem sobie Jugola siedzącego na tapczanie, oświetlonego jedynie blaskiem z ekranu telewizora, z głową przy samym gryfie gitary, oczy zamknięte, włosy opadają na twarz. A wszystkie cztery ściany i sufit oblepione są pulsującymi człekopodobnymi istotami.

Minęło kilka minut, nim się otrząsałem i wyjąłem telefon, żeby przypomnieć Miodragowi o naszym spotkaniu.

Już wystukiwałem numer, kiedy nagle rozległo się pukanie w szybę. Spojrzałem w lewo i omal nie wrzasnąłem. Strach był jak uderzenie prądem.

Spoglądała na mnie twarz nachylonego do okna Miodraga Kranjčara. Jego nos niemal dotykał uchylonej odrobinę szyby. Jugol stał tuż obok mnie.

Tyle że muzyka wciąż rozbrzmiewała.

Kto w takim razie grał na gitarze?

Chciałem włączyć silnik i odjechać stamtąd jak najprędzej, tyle że sygnał z mózgu nie dotarł do rąk. Siedziałem jak sparaliżowany, trzymając w palcach dymiącego papierosa. Riffy brzmiały teraz, jakby ktoś wrzucił radio do wody. Dźwięki zniekształcone, rozciągnięte, pozostawiające po sobie osobliwy pogłos. Muzyka piekiel.

Wreszcie przełamane ten bezruch. Powoli, bardzo powoli zgasiłem fajkę. Potem opuściłem szybę do samego dołu.

–Cześć – wyrzuciłem przez ściśnięte gardło.

Nie odezwał się. Patrzył na mnie bez emocji, twarz miał nieruchomą. Jego oczy były puste jak ślepiea jakiegoś podmorskiego stworzenia.

–Przyjechałem. Zgodnie z umową.

Wciąż milczał.

Położyłem prawą dłoń na kolanie i powoli przesunąłem w stronę kieszeni kurtki. Trzęsa się i byłem wściekły, że nie umiem nad tym zapanować. Że nie potrafię ukryć swojego strachu.

–Będzie między nami zgoda? – spytałem.

Cisza.

Odchrząknąłem. W ustach miałem tak sucho, że nie mogłem przełknąć śliny. Jeszcze w domu planowałem zapytać go o Emilię, o pogrzeb, o chorobę nerek – najwyraźniej przeceniłem swoją odwagę.

Dłoń znalazła się w kieszeni i zacisnęła na metalu.

–Przywiozłem ci... – głos odmówił mi posłuszeństwa.

Z sercem bijącym jak trashowy perkusista wyjąłem z kieszeni klucz od piwnicy i nie patrząc Miodragowi w oczy, wystawiłem go przez okno.

–Możesz przyjeżdżać i grać, kiedy tylko chcesz – oznajmiłem. – Piwnica jest twoja.

Wykrzywił usta, odsłaniając zęby.

–Między nami zgoda? – spytałem raz jeszcze.

Ledwie dostrzegalnie skinął głową. Potem odebrał ode mnie klucz.

–Po staremu? – nalegałem. – Jesteśmy kumplami?

Ale on już odwrócił się do mnie plecami, by po chwili zniknąć w ciemnościach.

Teraz siedzę w domu zamknięty w swoim pokoju, otoczony pustymi puszkami po piwie. Niedługo minie tydzień od tamtego spotkania. Kawał czasu, jeśli ani przez chwilę nie przestaje się o nim myśleć.

Przychodzi codziennie i siedzi w piwnicy po kilka godzin. Nie widzimy się, ani razu nie zszedłem na dół. Nawet nie wyglądam przez okno, kiedy wychodzi. Mam tylko nadzieję, że nie żywi już do mnie urazy i że nie zrobi krzywdy swojemu kumplowi.

Wspólnikowi, można by rzec.

Nie reaguję na dzwonek telefonu. Mam już kilkadziesiąt nieodebranych połączeń. Boję się pytać o Tamarę. Wiem, że zaginęła, chociaż nikt mi jeszcze o tym nie doniósł. Po prostu wiem.

Telewizor nastawiłem teraz na cały regulator, żeby nie słyszeć dobiegających z dołu drapieźnych riffów oraz kolczastych jak gniazda drutu solówek. Podziemny łoskot, niczym odgłosy z fabrycznej hali.

Z papierosem w ustach patrzę w ekran telewizora. Katastrofy lotnicze. Ten odcinek już widziałem. Bagno

wchłonęło czterdziestosześcioletni samolot. Spadł zaraz po starcie. Rozbił się na tysiące kawałków o skalne dno. Uderzył z szybkością ośmiuset kilometrów na godzinę. Ekipy ratownicze przeszukują bagno, a po przerwie na reklamy zgromadzi się pewnie grupa dochodzeniowa, żeby wyjaśnić przyczyny.

Trzęsącą się ręką odkładam papierosa na brzeg przepelnionej popielniczki.

Czekam.

Florence

Lorenzo Pacioli, wydobywszy z kieszeni błękitnozielonego płaszcza powiększające szkło, raz jeszcze zbliżył się do obrazu i przez dłuższą chwilę przyglądał się mu z iście kupiecką skrupulatnością. Oddychał ciężko, a z każdym oddechem z jego ust wydobywał się obłoczek pary.

–Powiadacie więc, że to Jan Chrzyciel – rzekł wreszcie, odwracając się w stronę malarza, który rozgrzewał dłonie nad ustawionym w kącie pracowni żelaznym piecykiem. – Święty Jan Chrzyciel na pustyni.

–Tak – odparł bez wahania Antonio Bandello.

–Święty Jan Chrzyciel klęczący na piasku?

–Właśnie.

–Kaznodzieja i męczennik?

–Otóż to.

Lorenzo Pacioli popadł na krótko w zamyślenie. Na jego szerokiej, poranej bruzdami twarzy zastygł wyraz głębokiej zadumy, wskutek czego zmieniła się niemal nie do poznania. Spojrzał na swoją młodziutką żonę w futrzanym kapturze, a potem znów

przeniósł wzrok na malarza.

–Powiadacie również, że jest nagi – rzekł ostrożnie.

–Można tak to określić.

Z mieszczącego się za ścianą warsztatu dobiegał rytmiczny stukot młotka. Na zewnątrz zaszczekał pies, zaturkotał wózek. Antonio Bandello zaczynał żałować, że nie ukrył gdzieś obrazu przed przybyciem kupca.

–Czy całkowicie nagi?

Malarz wzruszył ramionami.

–Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Dzieło nabiera pełnego znaczenia dzięki spojrzeniu wrażliwego obserwatora. Nie wszystko zostało tu namalowane.

–Wielce interesujące... – Ciężki pierścień z rubinem dotknął mięsistego podbródka, czoło sfałdowało się niczym kosztowna materia płaszcza. – Przyznam jednak, że chyba nie do końca pojmuję. Czyżby obraz nie był jeszcze ukończony? Zabrakło wam farb czy czasu? – Lorenzo zmierzył malarza przeciągłym, badawczym spojrzeniem. – Gdzie właściwie znajduje się ten Jan Chrzyciel?

–Na pustyni.

–To wiem – powiedział kupiec nieco już innym tonem. – Chodzi mi o obraz. W żaden sposób nie mogę na nim dojrzeć świętego, jakkolwiek Bóg mi świadkiem, bardzo się staram. Po prostu nie mogę odnaleźć tego człowieka. Widzę tylko pomarańczową plamę, która nie skłania do żadnej pobożności. Czy to właśnie on?

–Należy całkowicie zanurzyć się w kolorze...

–Czy to jest właśnie Jan Chrzyciel?

–I tak, i nie...

Zapadło złowrogie milczenie. Kupiec schował z powrotem szkło powiększające i splótł ręce na brzuchu.

–Ile wam zapłacono za ten obraz?

–Nic.

–Nic?

–Ani florena. Nie powstał na zamówienie. Malowałem go dla własnej przyjemności.

–*Dio mio* – westchnął Lorenzo Pacioli.

–Tej zimy nie mam zbyt wielu zamówień – powiedział gorzko Antonio Bandello, podciągając poplamione farbą i połataną *calzoni*. Wciąż starał się unikać wzroku zakapturzonej kobiety. – Kiepski okres.

W to akurat nietrudno było uwierzyć, wystarczyło rozejrzeć się wokół, aby zdać sobie sprawę, że interes nie idzie najlepiej. Ścisłej mówiąc, czterdziestodwuletni malarz nie prowadził żadnego interesu – odkąd w połowie 1510 roku przybył do Florencji, tworzył jedynie dla siebie, zarabiając na życie jako tragarz, robotnik budowlany, pomocnik kamieniarza, pomywacz, sprzedawca, chociaż nigdzie dłużej niż dwa tygodnie. Lorenzo Pacioli doskonale o tym wiedział.

W pracowni, która służyła malarzowi również za mieszkanie, było zimno jak w kostnicy szpitala Santo Spirito. W koszu na węgiel leżało tylko trochę wygrzebanego spod śniegu drewna, toteż czarny żelazny piecyk nie tyle ogrzewał, ile raczej stwarzał iluzję ciepła. Antonio ani na moment nie rozstawał się ze swoją wełnianą czapką i nausznikami, a rozpadający się ze starości kubrak był na razie jego jedyną szansą na przetrzymanie zimy. Od kilku tygodni, czego już Lorenzo nie wiedział, Antonio Bandello odżywiał się wyłącznie chlebem i jarzynami, pijał najtańsze wino, które i tak najczęściej brał na kredyt, a bywały dni, kiedy nie jadł nic, pijąc jedynie wodę. Jeśli

dodamy do tego fatalny stan zdrowia – przede wszystkim kłopoty z sercem – będziemy mieli pełny obraz nędzy, w jakiej ostatnio się znalazł.

–Potrafię również malować w bardziej tradycyjnym guście – powiedział cicho, utkwivszy wzrok w naznaczonej zaciekami ścianie. – Chociaż nie wydaje mi się, żeby naśladowanie natury...

–Mniejsza o to, co wam się wydaje – przerwał mu Pacioli. – Zapewne w sprawach malarstwa nie jestem wielkim znawcą, ale jeśli zamawiam portret żony, oczekuję naśladowania natury właśnie. Oczekuję podobieństwa. Chcę, żeby obraz był jak żywy.

–Malarstwo portretowe nie jest mi obce.

–Miło mi to słyszeć – powiedział kupiec. Podeszedł do malarza i położył mu dłoń na ramieniu. Wionęła od niego fala perfum, dzięki którym łatwiej było mu znieść fetor panujący w tej części miasta. Zniżył głos do szeptu: – Postawię sprawę jasno: przybyłem tutaj, ponieważ Botticelli odszedł z tego świata, Perugino jest dla mnie za drogi, Leonardo wyjechał do Mediolanu, a wszyscy inni na razie są zajęci.

–To dla mnie prawdziwy zaszczyt – odparł Antonio z irytacją.

–*Piano, piano*. Bez obrazu. Oferuję piętnaście florenów plus pokrycie kosztów farb. *Va bene?*

Malarz obrzucił kupca wyniosłym spojrzeniem, zbyt późno uświadamiając sobie, że dziadowska czapka i śmiechu warte nauszniki musiały mocno osłabić zamierzony efekt.

–Umowę podpiszemy w kancelarii notariusza – ciągnął Lorenzo niezrażony miną Antonia. – Ale to później, może w przyszłym tygodniu. Natomiast pracę rozpoczniecie od jutra. Im szybciej, tym lepiej – klasnął w dłonie. – Chciałbym, aby obraz był gotowy na wiosnę.

–Nie mogę obiecać.

–Bardzo prosimy – odezwała się nagle żona Lorenza, po raz pierwszy od chwili wejścia do pracowni. – Koniecznie muszę mieć ten portret, zanim zrobię się stara i brzydka.

Mimo woli Antonio spojrzał na kobietę, napotkał jej spojrzenie i w jednej chwili z przerażeniem zdał sobie sprawę z tego, że przyjmie zlecenie kupca, i to bez względu na stawiane warunki. Choćby miał nawet pracować za darmo.

–Słyszałam, że malujecie niezwykle szybko...

Długie jak u lutnistki palce odchyliły kaptur bogato haftowanego, lamowanego po brzegach zielonym aksamitem płaszczka, ukazując twarz, jakiej z całą pewnością nie sportretował jeszcze żaden florencki artysta.

–...a portrety kobiece są waszą specjalnością...

Dotknęła ciemnych, gładko przyczesanych nad czołem włosów i uśmiechnęła się. Siła, jaka emanowała z tego uśmiechu, skruszyłaby serce samego Savonarolli i starczyłoby jej jeszcze dla trzech klasztorów dominikanów.

–Podobno pochodzicie z Niemiec.

–Tak, pani. Przyjechałem z Lubeki. Moja matka była Niemką. To znaczy niezupełnie Niemką, ale tam się, że tak powiem, urodziłem.

Zielone oczy i duże, wyzywające usta. Cóż za zwierzęca zmysłowość! Spod płaszczka wyzierała haftowana perłami suknia z adamaszku.

–Jedyny taki pędzel na północ od Alp... To o was tak mówią?

–Prawdę rzekłszy... – zaczął Antonio, lecz zapomniał, co właściwie chciał powiedzieć. Zapatrzony w głęboki dekolt, starał się znaleźć jakieś stosowne do sytuacji włoskie słowa. Bez skutku.

Nie oszukujmy się. Jego pędzel nie był znany nikomu ani po tej, ani po tamtej stronie Alp. Nigdy w życiu nie sportretował również żadnej kobiety. Dziewczyna kłamała albo musiała go z kimś pomylić. Prawdę mówiąc, powinien teraz, zachowując nędzne resztki godności, stanowczo odrzucić propozycję Paciolego. Obiecał sobie przecież nie przyjmować tego typu zleceń. Był artystą. Nawet bez grosza przy duszy, przyciśnięty długami, głodny i przemarznięty miał podążać swoją drogą, tworząc rzeczy, które o całe stulecia wyprzedzą epokę. Oto jak się pokrótce przedstawiał jego artystyczny manifest. Mógł oczywiście obrać łatwiejszą drogę, ale wbrew panującej modzie postanowił odwrócić się od realizmu bez względu na konsekwencje. Powtarzał wszystkim, co prawda najczęściej po pijanemu, że gotów jest nawet spłonąć na stosie w obronie swych artystycznych racji. Był zdecydowany zostać męczennikiem sztuki.

Tyle że nie w tej chwili.

–Postaram się – wybąkał tylko.

–Doskonale – powiedział Pacioli, który wyrósł nagle pomiędzy artystą a jego przyszłą modelką. – Nie ma subtelniejszych malarzy kobiet niż Niemcy z Lubeki. Oto cztery floreny zaliczki. Proszę przyjść do nas jutro w południe. Traficie bez problemu, to niedaleko Piazza della Signoria. Chodźmy już, Cecylie. *A rivederci!*

–*A rivederci...* – powiedział malarz, niczym Judasz zaciskając kurczowo w dłoni zimne monety.

Jeszcze długo po ich wyjściu czuć było w pracowni słodkawy zapach perfum, najmodniejszej mieszanki w kupieckich kręgach.

Wkrótce po tej nieoczekiwanej wizycie wciąż oszołomiony Antonio Bandello, bijąc się z myślami, wyszedł na

oświetloną zimowym słońcem ulicę i skierował się w stronę Via del Proconsolo, niedaleko której znajdowała się miejska łaźnia, gdzie oprócz zażywania kąpeli, a najczęściej w ich trakcie, ubijano różne, zazwyczaj niezbyt legalne interesy. Zamierzał umyć się dokładnie – po raz pierwszy od trzech albo nawet i czterech miesięcy – a także spotkać z pewnymi ludźmi, żeby załatwić parę naglących spraw.

Ulice Florencji tonęły w śniegu, błocie i śmieciach. Było bardzo zimno, a do tego hulał nieprzyjemny północny wiatr, przeganiający z placów nie tylko przechodniów, ale również sklepikarzy i żebraków.

Jak ta dziewczyna mogła poślubić takiego aroganckiego wieprza? – myślał Antonio, krzywiąc się z zimna oraz niesmaku, zapatrzony w rozkołysane i parujące zady prowadzonych z targu krów. Przecież jest młodsza od męża co najmniej o dwadzieścia pięć lat. Zapewne uciekła w ten sposób przed ubóstwem albo despotycznym ojcem, który okładał ją kijem i zmuszał do pracy

ponad siły. A może, jak to zwykle bywa, w ogóle nie miała w tej sprawie nic do powiedzenia. Bardzo prawdopodobne. Rzecz jasna, nie kocha męża, to pewne, a dzielenie z nim łóża musi być dla niej istną udręką. Stąd niedwuznaczne spojrzenia, jakie rzuciła malarzowi w pracowni, i usilne (ach, jakże słodkie, *Dio mio*) nalegania, żeby jednak zgodził się na wykonanie tego portretu.

Przeskoczył mulistą kałużę i przepuścił wózek zaprzężony w osła. Płosząc gołębie, przeciął niewielki plac, gdzie mieli swoje stragany handlarze starzyzną, po czym skręcił w pobliską bramę, żeby opróżnić pęcherz.

–To musi być jakieś grube nieporozumienie – powiedział do siebie. – Jestem ostatnim artystą w mieście, którego można było poprosić o namalowanie portretu dla jakiegoś starego bogatego pierdoły.

Rzeczywiście, wszystko to wyglądało co najmniej dziwnie. A najśmieszniejsze, że przytrafiło się właśnie teraz, kiedy w drodze mozolnych eksperymentów udało mu się wreszcie wypracować nowy styl, być może mniej radykalny niż wcześniejszy, to prawda, za to rokujący, jak przypuszczał, dużo większe nadzieje na przyszłość. „Święty Jan Chrzciciel na pustyni” był właśnie tego stylu zwiastunem. Antonio planował całą serię obrazów o tematyce religijnej, w których za pomocą koloru chciał wyrazić takie uczucia, jak ekstaza, cierpienie, miłość czy też nienawiść. Czysty kolor, czysta forma, całkowity brak zewnętrznego wyglądu rzeczy, który zawsze jest powierzchowny i przypadkowy. Brak modnej perspektywy, żadnych uciekających kolumnad. Za pomocą prostego koloru chciał pobić wszystkich malarzy nie tylko Florencji, ale i całej Italii.

Ecco!

Rzucić ich na kolana.

Ale co w takim razie z portretem pięknej Cecylii? W jaki sposób powinien go wykonać? Lorenzo Pacioli żądał podobieństwa, sęk w tym jednak, że Antonio nie był pewien, czy potrafi namalować zwykły portret. Czy potrafi uchwycić podobieństwo? *Più vive che vivezza*. Wymagało to przecież rzemieślniczej sprawności, a on nie był rzemieślnikiem, tylko artystą. Z drugiej strony miał teraz szansę udowodnić wszystkim, że gdyby chciał, potrafiłby malować portrety nie gorzej niż inni.

Miał więc dylemat.

Do łaźni publicznej wchodziło się po zapaskudzonych przez gołębie kamiennych schodach, gdzie przy sprzyjającej pogodzie wysiadawali żebracy, znudzeni studenci, artyści, złodzieje, paserzy oraz *puttane* i zdesperowani homoseksualiści. Dzisiaj były puste. Antonio zauważył jedynie paroletniego chłopca o jasnych, opadających na ramiona kędziorkach, tulącego do siebie czarnego kociaka.

–Widziałeś może Lukę Martiniego?

–Nie, panie.

–A Giuliana Salviatego?

–Był tu wczoraj.

–Czyli dzisiaj go nie ma?

–Nie.

–No to zjeżdżaj stąd, bo ktoś się na tobie wywróci.

Uchylił ciężkie drzwi i wszedł do środka. Parne i wilgotne wnętrze przesiąknięte było mdłymi zapachami spoconych ciał, drewna,

mydła i olejków do nacierania skóry, które wobec chwilowego braku odzienia wielce ułatwiały identyfikację statusu społecznego i stopnia zamożności kąpiących się. Antonio śmierdzał tylko farbami i potem.

Wyszedłszy z rozbieralni, nagi niczym Jan Chrzciciel na pustyni, śmiało wkroczył w zwijające się, nieuchwytne kłęby pary i prawie natychmiast dostrzegł pomiędzy nimi ociekające wodą purpurowe ciało Giacoma Viscontiego, byłego gonfaloniera, którego młody łaźiebny właśnie metodycznie okładał różgą.

–Antonio, *amico mio!* Come va? Dawno cię tutaj nie widziałem! – wykrzyknął były gonfalonier na widok rozebranego malarza. – Myślałem już, że spalili cię na stosie, ty stary niemiecki zbrojeńcu. Papież nie wie nic jeszcze o twoich czarujących obrazach? Skoro żyjesz, znaczy, że nie widział „Madonny wśród”...

–Mam sprawę, Giacomo – przerwał mu malarz.

–Siadaj.

–Potrzebuję niedrogiego płaszcza.

Antonio usiadł na śliskiej ławie, przyglądając się własnym genitaliom.

–To znaczy? – spytał Giacomo.

–Do trzech, czterech florenów – rzekł malarz. – Ale musi być w miarę porządnym. Bez dziur po sztylcie.

–Przyjdź pojutrze.

–Muszę go mieć na jutro.

Giacomo wytarł z oczu wodę i oblizwał usta. Strużka potu spływała mu po miękkiej piersi, zbierając się w okolicy pępka. Odkąd stracił urząd przełożonego cechów florenckich, jego życie nabrało prawdziwego rozmachu.

Dzień i noc załatwiał interesy, a dzięki rozległym znajomościom, nabytym przez długie lata działalności publicznej, praktycznie nie było dla niego spraw nie do załatwienia. Prócz tego grał na wioli, pisał wiersze po łacinie i układał pieśni miłosne, o których mówiono, że nie są pozbawione swoistego uroku.

–Siedem florenów – powiedział. – Brokat. Podbity futrem lisa. W całkiem niezłym stanie. Dostaniesz do tego jeszcze kałamarz.

–Nie potrzebuję kałamarza, *amico*. Dzisiaj dam ci trzy, a resztę za tydzień, zgoda?

Giacomo uśmiechnął się.

–Niech stracę. Mam do ciebie słabość. Tylko skąd ty weźmiesz siedem florenów? Ciągłe sprzedajesz studentom te świńskie rysunczki?

–Dostałem pracę.

–*Bravissimo!*

–Dziękuję.

Wyłonił się przed nimi jakiś dobrze zbudowany mężczyzna o czerwonym obliczu i rudawej brodzie, lecz po sekundzie na powrót zniknął w gęstej parze, pozostawiając za sobą tylko mocny zapach mydła. Antonio patrzył za nim przez chwilę w zamyśleniu. Gdyby nie było to raczej niemożliwe, dałby głowę, że to bezdomny, który kręcił się ostatnio w okolicy. Dziwny człowiek... Nigdy go nie zagadywał, unikał bliższego kontaktu, a jednak malarz miał wrażenie, jakby tamten go śledził.

Czego mógłby chcieć od takiego biedaka jak ja? – bezwiednie wzruszył ramionami i nagle zdał sobie sprawę, że Giacomo przygląda mu się uważnie, jakby o coś pytał.

–Przepraszam, zamyśliłem się.

–Właśnie widzę. Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha. Pytałem, czy potrzebujesz jeszcze czegoś. Jeśli nie, to zgłoś się do mnie wieczorem. Żegnam.

–Jeszcze jedno – powiedział malarz. – Słyszałeś coś o rodzinie Paciolich?

–Nic a nic.

–Jesteś pewien? Lorenzo i Cecylia. Mieszkają przy Piazza della Signoria. Zamówili u mnie portret.

–W takim razie muszą być tutaj od niedawna. Uważaj, żeby cię nie wykiwali.

Antonio Bandello podrapał się leniwie pod pachą.

–Więc mówisz, że są spoza Florencji?

–Na to wygląda. Nie znam nikogo o takim nazwisku. Może Martini będzie coś wiedział.

Późnym wieczorem, a właściwie prawie już nocą Antonio Bandello wrócił do swojej pracowni czysty, dokumentnie pijany, rozśpiewany i znów bez grosza przy duszy. Miał na sobie czarny brokatowy płaszcz z futrzanym podbiciem – do niedawna własność jakiegoś mało rozgarniętego studenta prawa z Krakowa, który przypadkiem wpadł do Arno – nieco za długi, ale rzeczywiście w świetnym stanie.

Zanim malarz położył się spać, wyjął jeszcze z kieszeni ciężki kałamarz (właściciel ten sam), postawił go na stole i przez kilkanaście minut przyglądał mu się z niekłamanym zachwytem.

–Kim jesteś, Cecyljo Paciole, moja słodka, zepsuta łasiczko? – podśpiewywał przy tym pod nosem.

Nawet Giuliano Salviati, który był notariuszem, nie znał tego nazwiska.

Nazajutrz rano Antonio niewiele pamiętał z tego, co się zdarzyło po wyjściu z gospody, gdzie wypił co najmniej trzy butelki chianti, nie zapomniał jednak o umówionym spotkaniu. Punktualnie o jedenastej opuścił pracownię i udał się w kierunku Piazza della Signoria. Zabrał ze sobą szkicownik i srebrny ołówek.

Nowy płaszcz okazał się o wiele za długi, toteż Antonio musiał uważać przy każdym kroku, aby go nie przydeptać. Pocięszał się myślą, że przynajmniej nie widać było teraz jego mocno zniszczonych butów.

Padła drobny śnieg, ale przestało już wiać i ogólnie pogoda była całkiem znośna, oczywiście jak na drugą połowę stycznia. Malarz nabrał głęboko w płuca zimnego powietrza. W wąskim prześwicie pomiędzy domami widział kamienną fasadę kościoła zaprojektowanego przez jakiegoś miejscowego geniusza. Florencja – pierwsze miasto świata, miasto kościołów, urzędników, cwanych bankierów, szukających poklasku architektów i ograniczonych przez prawa perspektywy pacykarzy wyrobników; miasto, którego on nie chciał ozdabiać. Te wszystkie mozaiki, freski, marmury i brązy wprawiały go w przygnębienie. Czuł się w tym mieście jak w kamiennym labiryncie bez wyjścia, chociaż tak wiele sobie po nim kiedyś obiecywał. *Basta!* Nie było tutaj klimatu dla jego sztuki. Może najwyższa pora przeprowadzić się gdzieś bardziej na północ? Spróbować w Parmie albo w Mediolanie, a może nawet

wyjechać do Francji? Po prostu zmienić otoczenie, rozpocząć wszystko od nowa.

Tak, ale do tego potrzebne są pieniądze, a on ich nie posiadał.

Kiedy znalazł się na Piazza della Signoria, podszedł do niego jakiś starzec z pomarszczoną łysą głową osadzoną na długiej szyi.

–Szukacie domu państwa Paciolich? – spytał.

–Tak – odparł cokolwiek zaskoczony Antonio.

–Zaprowadzę was – powiedział tamten, po czym odwrócił się i ruszył przed siebie.

Malarz bez słowa podążył za nim. Przestał się już nawet dziwić. Wyglądało na to, że wydarzenia po prostu muszą się toczyć w ten sposób.

Przeszli przez wyłożony kamieniem plac i zabudowaną ładnymi domami ulicę, skręcili w następną, weszli w nieco już mniej efektowny zaułek z zamkniętymi na głucho warsztatami. Zapachy stajni mieszały się z wonią wilgotnego drzewa.

–To tutaj mieszka Lorenzo Pacioli? – zapytał Antonio.

Staruszek odwrócił się i uśmiechnął szeroko, odsłaniając wilgotne dziąsła, ale nie odpowiedział na pytanie, co jeszcze bardziej zbiło malarza z tropu.

Przez żelazną bramę, przy której kręcił się wychudzony pies, przedostali się na ciemne podwórko, mężczyzna odnalazł jakieś tylne wejście do budynku z omszałego kamienia, weszli do środka, wspięli się krętymi schodami na najwyższe piętro i stanęli przed drzwiami z kołatką.

Przez chwilę odpoczywali, dysząc ciężko w ponurym półmroku.

–Wchodźcie. Ona tam czeka – powiedział staruszek z lubieżnym uśmiechem. Zmrużył jedno oko. – Niezła sztuka, nie ma co. Gdybym był młodszy, też bym się za nią wziął – odkaszlnął. – Miałem kiedyś krzepę.

–Słucham?

–Potrafiłem zadowolić sześć kobiet w ciągu jednej nocy, taki był ze mnie ogier. Spytajcie Ambrosiniego. Jest strażnikiem miejskim.

–Jak śmiesz, sukinsynu! – ryknął Antonio, ale mężczyzna już schodził po schodach, zanosząc się od śmiechu i kaszlu.

Zastukał kołatką i wszedł do środka. Znalazł się w niewielkim pomieszczeniu o gołych ścianach, z jednym wysokim oknem, płonącym kominkiem, krzesłem i okrągłym stolikiem, na którym leżały jakieś papiery.

–*Buongiorno* - powiedział cicho.

–*Buongiorno* – odpowiedziała Cecylia Pacioli.

Była sama. Stała przy oknie z ręką wspartą o biodro, przyglądając się ośnieżonym dachom i wieżom Florencji. Miała na sobie ciemnoniebieską suknię o bufiastych rękawach, szeroką i fałdzistą, gęsto haftowaną perłami. Dekolt przysłaniała lekka jak mgiełka koronka. Spojrzała na niego.

–Przyszliście punktualnie – powiedziała. – To znakomicie, bo czeka mnie dzisiaj jeszcze mały koncert. Mój mąż nad wszystko przedkłada taniec i muzykę.

–A więc możemy chyba zacząć.

–Jestem gotowa – oznajmiła z frywolnym niemal uśmiechem. – A wy?

Antonio poczuł, że robi mu się gorąco. Przełknąwszy głośno ślinę, zdjął płaszcz i powiesił go na wysokim oparciu krzesła. Został w samej koszuli i spodniach, które dzisiejszego przedpołudnia próbował, bez widocznego skutku, nieco doczyścić z farby. Jeszcze raz rozejrzał się po pomieszczeniu: żadnych zbędnych sprzętów, żadnych ozdób – prawdę mówiąc, nie tak to sobie wyobrażał.

–Tutaj będziemy pracować? – zapytał, siląc się na swobodny ton.

–Mój mąż wybrał to miejsce. Zapewniał, że nikt nam nie przeszkodzi.

Zdumiewające, pomyślał Antonio. Cóż za naiwność zostawiać młodą, ponętą żonę sam na sam z obcym mężczyzną. Czy to możliwe, żeby ten człowiek był rzeczywiście aż takim głupcem? Coś tutaj nie grało, i to bardzo.

–Czy Luigi wskazał wam drogę? – spytała dziewczyna, mając, jak przypuszczał, na myśli wyglądającego niczym gnom staruszka.

–Tak, pani – odparł.

–To wyjątkowej kultury człowiek, nieprawdaż?

–Rzeczywiście.

–Wielce wykształcony, chociaż z powodu skromnego ubioru ludzie biorą go często za prostaka. Mam stać czy usiąść na krześle?

W samej tylko sukni Cecylia Pacioli wydawała się dużo drobniejsza, wręcz krucha, jakby nie skończyła piętnastu lat, jednakże duże usta, a nade wszystko śmiałe spojrzenie zielonych oczu nadawały jej twarzy zgoła nie dziewczęcy wyraz.

–Nie mam jeszcze koncepcji – odpowiedział Antonio, mimowolnie rozbierając dziewczynę wzrokiem. – Spróbujemy może różnych pozycji.

–Od jakiej zaczniemy? – spytała z ożywieniem.

–*Non importa*. Wedle waszego uznania.

Ołówek upadł mu na podłogę i potoczył się pod stół.

–Może być przy oknie – powiedział, schylając się. – Jest dobre światło.

–W istocie – ponownie uśmiechnęła się Cecylia. – Więcej dzisiaj słońca niż wczoraj.

Przybrała pretensjonalną pozę z wypiętym biustem i wysoko uniesionym podbródkiem, sztywna niby jakaś księżna.

–Troszeczkę bardziej w lewo – poinstruował ją malarz. – O, tak jest doskonale. Jakże pięknie światło załamuje się na fałdach tkaniny!

–Naprawdę?

–Proszę się przez chwilę nie ruszać.

Antonio Bandello zaczął rysować wstępny szkic. Na początek miał zamiar uchwycić ogólny zarys, bez niepotrzebnych szczegółów, sprowadzić właściwości twarzy i ciała Cecylii do niezbędnego minimum. Ot, po prostu kilka linii i kresek, aby rozgrzać nieco odzwyczajoną od rysowania rękę. Ku własnemu zaskoczeniu zaznaczenie konturów postaci poszło mu jednak zupełnie nieźle. Ołówek ślizgał się po brązowym papierze jakby niezależnie od jego woli, szybko i pewnie, z niespodziewaną łatwością.

–Macie takie silne ramiona i dłonie – powiedziała w pewnym momencie modelka, bawiąc się rąbkiem okrywającego ramiona tiulu. – Aż dziw, że potrafiały być równocześnie tak delikatne i precyzyjne.

–Byłem kiedyś żołnierzem – skłamał malarz coraz bardziej podniecony. Dorzucił kilka nowych linii, które popsęły trochę efekt, więc sięgnął po następną kartkę. – Walczyłem w młodości przeciw islamowi. Być może zabrmi to jak najczystsza fantazja, ale dwa razy uciekałem z tureckiej niewoli, a raz wymknąłem się nawet spod katowskiego topora. Proszę mi wierzyć, założyłem ja sułtanowi za skórę. Doszło do tego, że niektórzy janczarzy utożsamiali moje imię z diabłem. Wkradałem się między ich namioty i wywlekałem jednego po drugim... Podbródek trochę niżej.

–Więc jesteście zdolni również do okrucieństwa?

Antonio milczał przez chwilę, jakby się zastanawiał.

–Mam dwie natury – rzekł w końcu. – Jestem artystą, ale kiedy widzę, jak opluwa się święte symbole chrześcijaństwa, budzi się we mnie dzikie zwierzę. Zresztą jako artysta też

często podejmuję walkę. Bardzo niewiele o mnie wiecie, pani.

Rysował coraz bardziej niestarannie, nie zwracając już sobie głowy podobieństwem ani podobnymi bzdurami. Postanowił uwieść dziewczynę, ponieważ był już całkowicie pewien, że ona również tego pragnie. Tak, Cecylia Pacioli naprawdę miała na niego ochotę. Czuł to instynktownie, a instynkt rzadko go w tych sprawach zawodził.

–Czy ci Turcy są rzeczywiście tacy straszni? – spytała Cecylia, patrząc malarzowi prosto w oczy, jakby czytała w jego myślach. Zmieniła pozycję, dając wyraźnie do zrozumienia, że jest już odrobinę znudzona pozowaniem. – Słyszałam, że budują wieże z ludzkich czaszek.

–To prawda – odparł poważnie. – Sam byłem świadkiem.

–A kobiety zamykają w haremach.

–W samym Konstantynopolu jest ich kilkaset.

–Widzieliście je?

–Haremy?

–Tak. Czy byliście w środku?

–Raz jeden – rzekł niedbale. Przestał nawet stwarzać pozory, że wciąż rysuje. Schował szkicownik za pasek spodni i wolnym krokiem podszedł do Cecylii. – O mało nie przyplącałem tej brawury życiem. Do dzisiaj mam bliznę po sztylcie. Troszeczkę wyżej i byłoby po mnie.

Dwa gołębie z furkotem przysiadły na białym od śniegu parapecie, próbując przegonić się nawzajem skrzydłami.

–Gdzie jest ta blizna?

–W okolicach serca.

–Mój Boże...

Odchrząknął i przełknął ślinę.

–Mogę pokazać – powiedział drżącym z emocji głosem.

Zanim kobieta zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, Antonio Bandello jednym błyskawicznym ruchem zdarł przez głowę koszulę, ukazując bezwłosy tors z ledwie widoczną blizną niedaleko obojczyka.

–*Ecco!* - wykrzyknął.

–*Bravissimo!* - usłyszał głos za plecami.

Antonio Bandello nie musiał się odwracać. Wiedział aż nazbyt dobrze, kto wszedł właśnie do pomieszczenia.

–*Buongiorno* - rzekł Lorenzo Pacioli, zamknąwszy za sobą drzwi na ciężką zasuwę. Miał na sobie płomiennoczerwony płaszcz i śmieszny czarny beret, na którym topniały płatki śniegu. – Cóż to za mina, Cecylio? Czyżbym przyszedł nie w porę? Pewnie przeszkadzam w pracy nad portretem.

–Ależ nie... – wybąkał malarz, pospiesznie wkładając koszulę. – Właśnie skończyliśmy pierwszą sesję. Wykonałem wstępne... znaczy szkice. Całkiem udane, jak myślę – sięgnął po szkicownik, wciąż jeszcze nie mogąc uporać się z rękawami. – Proszę tylko spojrzeć.

Lorenzo uśmiechnął się.

–Rzeczywiście niezłe – powiedział, zanim jeszcze rzucił okiem na efekt pracy Antonia.

–Kilka różnych ujęć. Potem wybierze się najtrafniejsze...

–Napracowaliście się, nie ma co – powiedział kupiec, przejrząwszy pobieżnie rysunki. – Aż poczerwienieliście z wysiłku, panie malarzu.

Artysta włożył wreszcie koszulę do spodni i przeczesał palcami siwiejące włosy. Dlaczego mężczyzna zamknął za sobą drzwi? Czyżby zamierzał go zabić?

–Dawno nie rysowałem – rzekł bezradnie oparty plecami o ścianę.

–Koszulę musieliście zdjąć. – Lorenzo Pacioli był bezlitosny. – Toż to cięższa praca niż przy wyrębie lasu, słowo daję.

Nastąpiła chwila złowrogiej ciszy. Antonio spojrzał przez okno, jakby zastanawiał się, czy uda mu się uciec po ośnieżonym gzymsie.

–Prezentowałem bliznę – powiedział cicho.

–Bieliznę?

–Bliznę – wtrąciła się Cecylia, która jakoś dziwnie nie przejawiała zakłopotania w tej niezręcznej przecież sytuacji. – Pamiątkę po tureckim sztylcie.

–Racja, byliście przecie postrachem Turków – powiedział Lorenzo, siadając ciężko na krześle. – Usłyszałem coś niecoś przez drzwi.

–Dawne czasy.

–To prawda – skinął głową kupiec. – Bardzo to dawne czasy. Niektórzy już ich nie pamiętają. Utrzymują, że wasza blizna skądinąd pochodzi.

Antonio Bandello zeszywniał.

–Niby skąd? – spytał.

–Mówią, że to pamiątką po operacji wszczepienia rozrusznika – rzekła z szerokim uśmiechem Cecylia Pacioli. – Rozrusznika serca, panie Heckel.

Antonio Bandello zareagował błyskawicznie. Rzucił się ku drzwiom, zapominając nie tylko o szkicowniku, lecz również o niespłaconym jeszcze do końca brokatowym płaszczu, który wciąż wisiał na wysokim oparciu. Wyliczył sobie, że jeśli uda mu się otworzyć zamknięte na zasuwę drzwi, nim dużo starszy i dużo cięższy mężczyzna podniesie się z krzesła, ma olbrzymią szansę się wymknąć.

Byle tylko jak najszybciej znaleźć się na schodach, a potem nie powinno już być problemów.

Popełnił jednak zasadniczy błąd – w swoich obliczeniach nie wziął pod uwagę stojącej przy oknie dziewczyny.

Podcięła go, kiedy już niemal dotykał zasuwy. Była tak szybka, że usłyszał za sobą tylko krótki szelest wytwornej tkaniny, jakby ktoś wypuścił strzałę z tureckiej kuszy.

–Zostawcie mnie! To jakaś pomyłka! – krzyknął z podłogi, krzywiąc się ze złości i bólu. Z rozbitego nosa popłynęła krew. – Skręciłem sobie nadgarstek – dodał już płacząco.

–Spokojnie, koleś – powiedziała dziewczyna, przyciskając go kolanem do ziemi. – Mogę ci zrobić dużo większą krzywdę, uwierz mi. W tej niewygodnej kiece trudno jest kontrolować wszystkie ruchy. Pomóż mi go przytrzymać, Laszlo – zwróciła się do współnika.

–Wytrzymaj jeszcze chwileczkę – rzekł mężczyzna, który nie musiał już udawać florenckiego kupca. – Trzeba przygotować Bramkę.

–Więc się pośpiesz!

Ale Laszlo nie był stworzony do pośpiechu. Z kieszeni płaszcza wyjął papierosa i zapalił

go zapalniczką ukrytą w sygnecie.

–Pan Heckel nie będzie się wyrywał – powiedział, zaciągnąwszy się z lubością. – Zdażył już zrozumieć, że popełnił błąd. Powinien raczej pięknie podziękować tbc za interwencję. – Znow się zaciągnął, wydmuchnął błękitny dym i leniwie zabrał się do rozstawiania sprzętu, który wyjął z za ciężkiej kotary. – Gdyby nie my, najpóźniej za miesiąc umarłby nieborak z głodu. Wracamy do domu.

–Nazywam się Antonio Bandello, jestem malarzem i nie znam człowieka, którego szukacie – odparł leżący na podłodze artysta. – Tutaj jest mój dom.

–Nazywasz się Adolf Heckel – powiedziała spokojnie dziewczyna, wciąż nie pozwalając mu unieść się nawet na centymetr. – Imion rodziców nie pamiętam. Urodziłeś się drugiego grudnia w 1987 roku – odchrząknęła. – Akademia Sztuk Pięknych w Dreźnie, sześć miesięcy w Londynie, a następnie przeprowadzka do Nowego Jorku. Popraw mnie, jeśli coś pomyliłam. Dwa małżeństwa, trójka dzieci, niekarany. Byłeś krytykiem sztuki. Pieprzonym niemieckim krytykiem sztuki, który zapragnął przejść do historii jako największy innowator wszech czasów, więc przeniósł się do szesnastowiecznej Florencji, aby tworzyć nudne i pozbawione talentu bohomy. Laszlo, nie przeginaj z tym papierosem.

–Już gaszę.

–Nazywam się Bandello – powtórzył z rezygnacją malarz.

–Tyle że jako malarz jesteś do niczego – kontynuowała kobieta, puszczając jego słowa mimo uszu. – Nawet tutaj nie potraktowano poważnie twoich ekscesów, Heckel. Miernota pozostanie zawsze miernotą.

–Cóż ty możesz wiedzieć o malarstwie, kobieto? – spytał mężczyzna z urazą, starając się zachować resztki godności, co z uwagi na sytuację było raczej trudne.

–Wiem, że narobiłeś nam kłopotów, a mogłeś narobić dużo więcej – wykręciła mu rękę, aż syknął z bólu. – Zawsze najtrudniej jest wyłapać szaleńców. A ty, Heckel, jesteś szalony. Naprawdę myślałeś, że cię tutaj nie dopadniemy?

–To wy jesteście szaleni. Złamałaś mi nos.

–Siedź cicho – warknęła. – Laszlo, co z tą Bramką?

–Za dwie minuty.

Do pomieszczenia wszedł pomarszczony bezzębny starzec, ten, który wskazywał drogę malarzowi na Piazza Della Signoria.

–Najwyższy czas, za chwilę wyruszylibyśmy bez ciebie. Posprzątaj pokój – rozkazała dziewczyna. – I nie zapomnij o niedopałku tego idioty Laszla. Kiedyś przez was wpadniemy w prawdziwe tarapaty. Z kim ja muszę pracować! – mruknęła pod nosem, patrząc na poruszających się niezdarnie kolegów.

Sprzęt został już rozłożony. Nie rzucał się w oczy, ale moc miał naprawdę niesamowitą. Zbyt często jednak korzystali z niej niewłaściwi ludzie.

Zniknięcie Antonia zaniepokoiło tylko dwie osoby we Florencji, mianowicie byłego gonfaloniera, któremu malarz był winien jeszcze cztery floreny za podbity lisim futrem płaszcz, oraz bezdomnego z rudą brodą. Giacomo Visconti uchodził za człowieka nadzwyczaj cierpliwego, toteż odczekał cały tydzień, zanim wreszcie odwiedził pracownię dłużnika.

Towarzyszyło mu dwóch ponurych mężczyzn z drewnianymi pałkami ukrytymi w

wędkawach. Musieli wyważyć drzwi, co nie było zresztą zbyt trudnym zadaniem, ponieważ wąż zamek dawno przestał już spełniać swoją funkcję.

–Nie ma go.

–Szukajcie płaszcza albo pieniędzy.

–Zabrał ze sobą wszystko. Nawet obrazy.

–Przecież nie mógł tak po prostu zniknąć – powiedział Visconti lodowatym tonem. – Nie bez mojej wiedzy. Musi ukrywać się gdzieś w mieście.

Przytaknęli mu równocześnie.

–Dopadniemy go.

–I wyprujemy flaki.

Pracownia była pusta, jeśli nie liczyć stołu, krzesła, kałamarza oraz deski pokrytej mieszaniną kleju i gipsu, która cierpliwie czekała na dotknięcie pędzla. Pustka i przenikliwy ziąb. Jakby nigdy nie mieszkał tu nikt o nazwisku Bandello.

Żelazny piecyk mógł jeszcze sprzedać – pomyślał Giacomo z właściwą mu przenikliwością – ale co zrobił z tymi wszystkimi obrazami?

Rozdeptał leżący na podłodze brunatny filtr i usiadł przy koślawym stole.

–Ta sprawa śmierdzi – powiedział głośno, machinalnie strzepując z blatu szary słupek popiołu. – Nie wiem, o co tu chodzi, ale się dowiem. Możecie być pewni.

Ponownie pokiwali potakująco głowami. Dla byłego gonfaloniera nie było w tym mieście żadnych tajemnic.

Adolf Heckel obserwował z ukrycia wychodzących mężczyzn. On też był zaniepokojony tak długą nieobecnością malarza. Artysta, zwłaszcza taki, który zaczął eksperymentować z nowymi, nikomu jeszcze nieznanymi technikami, był dla Adolfa jedynym ratunkiem. Tylko takim malarzem mogli się zainteresować ci z

tbc, gdyby zaczęli go szukać. A na pewno zaczną. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby nie sprowadzili z powrotem kogoś, kto czy to przez przypadek, czy rozmyślnie skorzystał z Bramki.

Ale to nic, przecież go znajdą – mężczyzna przycisnął dłoń do piersi, jakby chciał uspokoić kołoczące niespokojnie serce. Niewielka, lekko wypukła blizna po wszczepieniu rozrusznika pulsowała leciutko. Wystarczy, że nie będzie się oddalał od mieszkania malarza, a wszystko będzie w porządku. Przecież ten musi się w końcu pojawić.

Że też musiałem się akurat rozchorować! – pomyślał nagle ze złością. – Mogłem sobie darować wtedy tę łaźnię, za zimno było na kąpiele. Wygląda na to, że Bandello wyjechał akurat tego dnia, kiedy gorączka nie pozwoliła mi stanąć na nogi. Co za pech!

Heckel ruszył ostrożnie w stronę mieszkania malarza. Nieobecność gospodarza miała też swoje dobre strony, z pewnością jest tam cieplej niż w wilgotnej norze, którą musiał dzielić ze szczurami. Tam zamieszka, czekając na jego powrót. A może zamieszkają razem? – rozmarzył się. – Mógłby mu niejedno podpowiedzieć, w końcu jest krytykiem sztuki.

Będzie dobrze.

Pasażer

Naciskając klawisz fortepianu, wprawiamy w ruch mechanizm złożony z drewna, metalu oraz filców. Oto cała magia. Młoteczek swobodnie opada po łuku, uderza w

napiętą strunę, ta zaś zaczyna wibrować. Rodzi się dźwięk.

Rodzi się i natychmiast zaczyna gasnąć.

Każdy instrument brzmi oczywiście nieco inaczej. Słyszałem, że w samym Paryżu jest już około stu wytwórni fortepianów. Cóż znaczy moda! Produkuje się małe szpinety i olbrzymie, lśniące koncertowe pudła, kwadratowe i owalne, kryte mahoniem albo palisandrem, podwójne, ba! nawet potrójne, z przesuwaną klawiaturą, ze strunami wykonanymi z platyny lub też, jeśli kto woli, powleczonymi jedwabiem. Są takie, co wywołują efekt echa, inne jeszcze naśladują klawesyn...

Żaden z tych wynalazków nie może się jednak pod względem brzmienia równać z instrumentem istniejącym jedynie w wyobraźni kompozytora. Niematerialny fortepian posiada bowiem

idealny dźwięk. Wiem coś o tym.

W trakcie tej okropnie długiej i monotonnej podróży z prawdziwą przyjemnością witam chwile, gdy muzyczna wyobraźnia siedzącego obok mnie kawalera nagle ożywa, gdy dłonie w kremowych uperfumowanych rękawiczkach dotykają urojonej klawiatury, wypróbują nowe układy na kolanie, potem na udzie, na skórzanym siedzeniu, a czasami nawet na cienkiej, rozdygotanej ścianie dylizansu. Słyszę ową muzykę wyraźnie, niemal równie wyraźnie jak sam kompozytor.

Pełne, soczyste dźwięki, które nie zamierają nigdy.

Dzień wtorkowy 19 września roku Pańskiego 1831 okazał się – co do aury – całkiem znośny, ale w późnych godzinach wieczornych znów zaczął padać deszcz, nie pozwalając należycie obeschnąć rozmokłym po ostatnich ulewach niemieckim drogom. To nam w oczywisty sposób utrudnia podróż. Nawet w tym nad podziw uporządkowanym kraju, choć dużo rzadziej niż w okolicach Warszawy czy Krakowa, zdarzają się odcinki prawdziwie wyboiste i podłe: glina, piaski, błota, a także kamienie -teraz na dobitkę śliskie od wilgoci. Istne grzędzawiska. W tego rodzaju przykrych miejscach nasz zaprzężony w trójkę koni pakowny pocztowy dylizans posuwa się dwakroć wolniej niż na bitych traktach, gdzie zwykle pokonuje milę w ciągu trzech kwadransów. Za każdym razem gdy koła grzędzą w lepkiem piachu lub ślizgają się na glinie, zdaje mi się, że staniemy na dobre i nie obejdzie się bez pomocy

miejscowej ludności, a przecież wszystkim wojażerom, w tym także mnie, zależy na tym, by jak najszybciej przekroczyć francuską granicę.

Październik siedzi już karku, dni są bure, noce niosą coraz większe zimno, Paryż zaś ciągle zdaje się tak bardzo odległy.

Dwa dni wcześniej, więc 17-ego, opuściliśmy Stuttgart i od tamtej pory zatrzymujemy się w przydrożnych karczmach i na stacjach pocztowych tylko dla przepręgu i krótkiego wypoczynku, podczas którego pasażerowie mogą zjeść jakiś ciepły posiłek, napić się gorącej czekolady, wypalić cuchnące cygaro, obmyć z grubsza twarz, szyję i ramiona w miednicy za jesionowym parawanem, a jeśli zmiana koni akurat trwa dłużej, pozostaje jeszcze chwila na skrobnięcie paru słów do bliskich, posypanie kartki piaskiem, złożenie jej i zapieczerowanie lakiem.

Nigdzie nie stajemy na nocleg. Woźnica zostawia przesyłki, zabiera, co tam ma do zabrania, a podróżni w minorowych nastrojach dopijają bulion, gotując się na kolejne

monotonne godziny w rozkołysanym pudle pojazdu.

Jak dotąd podróż nasza przebiega bez przygód, jeśli nie liczyć pierwszych godzin po wyjeździe ze Stuttgartu, kiedy to ukryci w przybrzeżnych zaroślach wiejscy chłopcy obrzucili dyliżans jabłkami i grudkami błota. Dzieciarnia biegła potem jeszcze za nami wzdłuż rzeki, póki nie ukryliśmy się za najbliższym zakrętem drogi. Incydent ten – tyleż przykry, co komiczny – wzbudził jedynie pobłażliwe uśmiechy na twarzach wojażerów i szybko poszedł w zapomnienie. Zdaje się, że jedno z jabłek utkwiło gdzieś wśród bagaży, usłyszeliśmy bowiem głucho uderzenie w dach.

Tego samego dnia, tyle że już pod wieczór, jadąc wzdłuż niskiego, pobielonego wapnem muru przykościelnego cmentarza, mijaliśmy powracające z pastwiska zwierzęta. Prowadziły je dwie młode, szesnastoletnie najwyżej dziewczyny, jedna powabniejsza od drugiej. Śliczniutkie. Żadne tam panny postrojone w suknie z magazynów mody, z włosami na wzór paryski przez fryzjera przypieczonymi, lecz zwykłe wieśniaczki w rozdeptanych butach, w spódnicach przesiąkniętych zapachami trawy i zwierząt. Pod nogami plątał się im rudy psiak o skudłonej sierści. Kiedyśmy się z nimi zrównali, ciekawie zajrzały przez okienko, niemal równocześnie poprawiły włosy, a potem roześmiały się głośno, tak jak tylko te urocze smarkule potrafią. Młodsza z nich miała znamię na prawym policzku. Niby drobiazg, lecz – przyznajcie sami – jakże rozkoszny.

Mniej wesoło jest za to nocami, a już drugą z rzędu przyszło nam spędzić w drodze. Naokoło gęste lasy, straszno i ciemno jak w piecu, tylko zawieszane po obu stronach koźła latarnie wydobywają z mroku kawałek zrytej koleinami drogi przed nami, a także pnie rosnących najbliżej drzew, z których każde w tym chybotliwym świetle przywodzi na myśl jakąś upiorną postać z zaświatów Dantego. Aby uniknąć takich widoków, pasażerowie zaciągają ciemnoniebieskie zasłony w oknach, a i tak drżą serca, ponure myśli zaś nie dają spać. Rozległe tutejsze lasy kryją w sobie, jak mówią miejscowi, straszliwą tajemnicę, nie dziwota więc, że imaginacja podsuwa obrazy, które nie pozwalają spokojnie zasnąć.

Dzkie zwierzęta, zjawy i dziwadła rodem z ludowych opowieści – to jeszcze fraszka. Stuttgarckie dzienniki informowały ostatnio o serii okrutnych morderstw, które miały miejsce gdzieś w tej właśnie okolicy, morderstw na wilkołaka upozorowanych. Tak, nie inaczej. W potoku odnaleziono straszliwie okaleczone ciało młodego chłopca. Ciało pozbawione głowy. To już czwarta ofiara.

Egipskie ciemności. Słysząc szum deszczu, skrzyp powozu, parsknięcia koni, muśnięcia niewidzialnych liści o dach i szyby drzwiczek, czasami zadzwoni podkova na kamieniu albo rozkasze się pocztylion, lecz pośród tych dobrze znanych dźwięków ucho próbuje wyłowić inne, bardziej tajemnicze i złowieszcze. Czy to nie aby wycie wilków dobiega z oddali? Czyje to nawoływania rozbrzmiewają pomiędzy ciemnymi drzewami? Jakie to dziecko płacze przy drodze?

Lepiej więc pasażerom pograć się w marzeniach o ciepłym kominku, wygodnym łóżku, a nawet o wybitej brązową tapetą poczekalni najbliższej stacji pocztowej, gdzie na kanapie lub sofie będzie można śmiać się serdecznie z leśnych dziwów czy innych wilkołaków, popijając czarną słodkawą kawę i rozprostowując zdrętwiałe członki.

Jeśli wszystko dobrze pójdzie, kolejna noc zastanie nas już na francuskich traktach.

Rozwidniło się. Jest środa 20 września. Za chwilę wszyscy się rozbudzą i trzeba będzie

się zatrzymać.

Moja bezcielesna dłoń wędruje w stronę niewidzialnej peruki, aby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Chociaż nikt nie może mnie zobaczyć, staram się dbać o siebie. Pewne nawyki okazują się niezniszczalne. Poprawiam więc perukę, bacznie obserwując, jak pozostali pasażerowie powoli wynurzają się z płytkiego męczącego snu, w który zapadli na jakieś cztery godziny przed świtem.

Siedzący przodem do kierunku jazdy otyły fabrykant zabawek z Monachium odkleja policzek od firanki i pochyla swoją łysą głowę, jakby kłaniał się śpiącemu naprzeciwko chudemu młodzieńcowi z szeroką białą chustą na szyi. Młodzieniec z kolei niebezpiecznie przechyla się w stronę czterdziestoczteroletniej żony wiedeńskiego aptekarza, Klary Webern, a nawet lekko trącają kolanem. Nadaremnie. Kobieta nie zwraca uwagi na jego zaczepki. Głowę ma odchyłoną do tyłu i zdaje się podziwiać wyściełany szary sufit, oddychając głośno i kiwając się nieznacznie w rytm kołysania pojazdu. Sam aptekarz, mężczyzna wyżej pięćdziesiątki, otwiera szeroko usta, tylko drapie się przez sen pod pachą, po czym wydaje z siebie głośne sapnięcie i splata dłonie na brzuchu.

Podczas snu małżeństwo to pozwala sobie wreszcie na nieco swobodniejsze pozy – kiedy nie śpią, są sztywni jak stojące na biurku dwa biusta gipsowe.

Właśnie aptekarz budzi się pierwszy, kiedy wehikuł podskakuje na jakimś większym wertepie. Zaraz po nim otwiera oczy fabrykant zabawek. Ziewając okrutnie, łysinę gładzi, rudych bokobrodów dotyka, jakby upewniał się, czy wciąż znajdują się na swoim miejscu, za czym z kieszeni kamizelki wyjmuje złoty zegarek na łańcuszku. Na skutek niedomagań wzroku nader długo się weń wpatruje.

Godzina siódma.

–Ach, *guten morgen*.

–*Guten morgen*.

Panowie wymieniają nikłe uśmiechy.

Po chwili nikt już nie śpi. Żona aptekarza tłumi ziewnięcie zaciśniętą dłonią w rękawiczce, chudy kawaler dyskretnie się przeciąga i sprawdza nogą, czy jego kuferek wciąż tkwi pod siedzeniem, odsłania następnie firankę, aby przekonać się, że deszcz ustał, jakkolwiek zapowiada się kolejny bezsłoneczny dzień. Za oknem powoli przesuwają się mokry bukowy las. W półświatle chmurnego poranka przyroda nie wydaje się już tak dzika, tchnie nawet jakąś dziwną melancholią.

Wszystkie twarze blade i niewyspane, wszystkie kości obolałe, a wszystkie pęcherze pełne. No, prawie wszystkie.

–Przydałby się chyba mały postój – mówi fabrykant zabawek, ponieważ ktoś musi to w końcu powiedzieć. Pozostali przytakują w milczeniu, więc grubas uchyla drzwiczki, wytyka głowę na zewnątrz i krzyczy do woźnicy, żeby się zatrzymał.

Do środka dostaje się chłodne, rzeźwiące powietrze, niosące z sobą zapachy grzybów, wilgotnej ziemi, paproci i martwych liści.

–Dziesięć minut przerwy!

Trzeba uważać, aby nie przemoczyć butów i ciepłych skarpet, bo mnóstwo tu mulistych kałuż, a w koleinach stoi deszczówka.

Istne grzęzawisko! Szczególnie aptekarz i młodzian skłonni są do katarowej febry

połączonej z kaszlem – ten ostatni już ma zatkaany nos, który wydmuchuje teraz w płócienną chustkę. Oddalił się od pojazdu na tyle, aby nikt go nie słyszał. Pozapinał się też na wszystkie guziki podszytego flanelą płaszcza i nałożył kapelusz. W kapeluszu tym – jak zapewniał ospowaty salzburski sprzedawca – arcy mu jest do twarzy.

–Zrobiliśmy spory kawałek drogi, nieprawdaż? – krzyczy do woźnicy fabrykant zabawek, chociaż dzieli ich ledwie jeden krok. Stoją obok uchylonych drzwiczek, w których oknie odbijają się rdzawe korony drzew i zielonawoszare niebo.

–Mokro jest – woźnica na to. – Przydałby się czwarty koń, bo mokro jest okrutnie. Woźnica, jak mi się zdaje, mało co jest umysłowo rozwinięty, a na dobitkę kaleka na nogę, bo dziwnie utyka. Poły jego płaszcza obryzgane są błotem, podobnie jak brzuchy pochrapujących koni.

–Zdążymy dzisiaj do granicy? – dopytuje się fabrykant.

–Teraz drogi lepsze...

–To i pewnie zdążymy.

–Jak Bóg da... Chociaż deszcz naniósł trochę kamieni...

Aptekarzowa już weszła w mokrą buczynę, znikła wśród czerwieni i złota, więc panowie – w niejakim od siebie oddaleniu – żwawo ruszają w kierunku drzew po przeciwnej stronie drogi, omijając i przeskakując kałuże.

–Trzeba uważać, bo ślisko! – woła za nimi woźnica, który nigdzie się nie wybiera, tylko zasłonięty przez konia oddaje mocz wprost na drogę.

Niepodobieństwem jest zapuścić się w ten las dalej niż na kilkanaście kroków. Teren wznosi się stromo, glazy są śliskie, poszycie gęste, drogę hamują powalone drzewa i korzenie, o które potknąć się jak najłatwiej. W dodatku wszystko tu mokre po całonocnym deszczu. Kawaler wylazł najwyżej, skąd prawie nie widać drogi. Nic to, że kapelusz trzy razy spadał mu z głowy podczas tej wspinaczki.

Trzeba uważać, kiedy będzie schodził, żeby jakiegoś figla nie sprawił.

Aptekarz ulżył sobie w nieco bardziej dostępnym miejscu, z kolei łysy fabrykant, który znalazł kryjówkę za pierwszymi z brzegu drzewami, zapiął już pantalon i wraca w stronę pojazdu, wesoło pogwizdując jakąś bawarską melodyjkę.

Nagle poważnieje.

–To chyba gdzieś w tej okolicy miały miejsce te okropne morderstwa, prawda? – pyta woźnicy. – Czytałem w przedwczorajszym dzienniku, że znaleziono kolejną ofiarę. To już trzecia?

–Czwarta – odpowiada woźnica i zwyczajem woźniców spluwa siarczyście. – Już minęliśmy to miejsce. Jeszcze nie znaleźli czaszki. Coś mi się widzi, że jej już nigdy nie odszukają.

–Musi to być jakiś szaleniec.

–Mówią, że wilkołak. Tfu! Bestia jakaś. Chłopi widzieli go w lesie, nie dali rady złapać, za daleko był. Ja go tam jeszcze nigdy nie widziałem, a już piętnaście lat jeżdżę na tej trasie.

–Przerażająca historia – mówi fabrykant. – I pomyśleć, że to sami młodzi ludzie.

–Sami młodzi. Jeden z nich, mówią, ślepotą był porażony. Nic od dziecka nie widział. Nie wiem, po co sam szedł w las. Po co tam laź?

–W Monachium swego czasu podobny mieliśmy przypadek. Szalenciec zbezczescił i zamordował kilka kobiet. Jedną znaleźli dopiero, kiedy zerwali podłogę w jego domu. Inną zakopał po prostu w ogródku, wyobraża pan sobie? Do tej pory go nie znaleźli.

–Takie już czasy – wzdycha woźnica. Odwraca się i podchodzi do koni. – Czasy są coraz gorsze.

–Święta prawda – mówi fabrykant.

Należy jeszcze trochę rozprostować kości przed dalszą podróżą, jako że następny postój pewnie dopiero za godzinę.

O sto kroków od nas huczy potok, więc po chwili całe towarzystwo udaje się w jego stronę, jakkolwiek nie jest to łatwa sprawa, a to z powodu rozległych kałuż i błota. Wszyscy starają się iść po kamieniach, poruszają się niepewnie, co nie jest niczym dziwnym po nocy spędzonej w tak niewygodnych pozycjach. Docierają wszakże na miejsce bez żadnej szkody.

Tymczasem szaroczarne chmury dotykają lesistych wierzchołków gór, nadając całemu pejzażowi jakiś posępny nastrój.

Balladowy nastrój.

Lewa ręka zawisa nad klawiaturą. Następnie opada jak ostrze gilotyny. Oktawa C uderzona w niskim rejestrze fortepianu, a potem powolny pasaż unisono zakończony operowym zgoła recytatywem. Ten kilkutaktowy tajemniczy wstęp, skupiony i surowy, powstał całkiem niedawno – później niż następujący po nim

pierwszy temat. Narodził się w trakcie spontanicznej improwizacji, w dziwnym jakimś stanie ducha, można zatem powiedzieć, że to same palce na klawiaturze go odnalazły. Instrument był podły, jego brzmienie brzękliwe, za oknem słychać było turkot blaszany w rynkach i pokrzykiwania pijanej kobiety. Stuttgart, jedenasta w nocy, dziesięć palców błędziło po zakurzonych klawiszach wypożyczonego fortepianu i coś z tego błędzenia można odnaleźć w nutach. Za dużo tu dla mnie romantycznej tęsknoty i chorobliwego pesymizmu.

–Ostrożnie na tych kamieniach! – ostrzega aptekarz. – Istna ślizgawka.

Woda w potoku nadzwyczajnie chłodna, co widać po reakcjach pochylonych nad nim osób.

–Jakże orzeźwiająca – mówi Klara Webern. Do jej lśniącego płaszcza podróżnego przyłgnęły dwa falisto ząbkowane liście. – Wyborna.

–To prawda – przytakuje mąż. – Może tylko zanadto mulista.

–Z powodu ulewy – wyjaśnia fabrykant, a następnie zmrużywszy oko, pochyliwszy się, mówi przesadnie złowrogim szeptem: – Mam nadzieję, że żaden wilkołak nie obserwuje nas teraz z lasu. Miejscowi uważają, że to bestia winna jest tych wszystkich zbrodni. Tak powiada woźnica.

–Zabobony!... – prycha aptekarz.

–Myślałam, że w naszych czasach takie historie mogą się rodzić jedynie wśród ludów słowiańskich – mówi aptekarzowa. – W Rosji albo gdzieś...

Milknie i cała trójka spuszcza głowy, starając się nie patrzeć w stronę kawalera. Następuje chwila niezręcznej ciszy.

Młodzieniec zdaje się nie zwracać na to uwagi.

Jako ostatni zanurza ręce w zielonkawoszarej wodzie. Sukno jego płaszcza nasiąkło

wilgocią podczas przeprawy przez zarośla, a i skarpety już mokre. Nie odzywa się w ogóle, pewno ze względu na ból zęba, który go od wczoraj nęka. Niemczyzną rozumie, owszem, uśmiecha się nawet, kiedy fabrykant opowiada anegdoty o mieszkańcach Xieżyca i napowietrznych żeglarzach, lecz przez całą prawie podróż milczy, zatopiony w sobie.

Fizycznie – cherlak. Mężczyzny nie przypomina, raczej delikatne dziewczę. Miernego wzrostu, źle zbudowany. Twarz jego pociągła, usta małe, oczy niebieskie, w czerwonych obwódkach, podkrążone teraz ze znużenia.

–Jedziemy! – krzyczy woźnica.

Ochlapał się już wodą, ciągle nie wstaje, chociaż towarzystwo wraca gęsiego do dyliżansu. Nachyla się nad korytem potoku, jakby mu tam coś wpadło, i dopiero po kilku chwilach z wolna się podnosi i poprawia miękki kapelusz.

Idę za nim i razem pakujemy się do pojazdu, gdzie wita nas dobrze już znany zapach wytartej skóry siedzeń. Trzaskają drzwiczki. Kawaler – z kapeluszem pod pachą – siada na wprost fabrykanta zabawek, aja lokuję się na wolnym miejscu, vis à vis aptekarzowej, która patrzy przed siebie niewidzącym wzrokiem.

Szkoda, że nie może mnie teraz zobaczyć w mojej pudrowanej peruce, haftowanym fraku i kamizelce, obcisłych pluderkach, białych pończochach i trzewikach ze srebrnymi sprzączkami.

Pięćdziesiąt lat temu był to najparadniejszy strój w całej cywilizowanej Europie.

Widzę, że najwyższa już pora powiedzieć to i owo o sobie.

Nazywam się Pietro Maldini i pochodzę niewielkiego miasteczka pod Neapolem.

Urodziłem się w 1733 roku, a ubyłem spośród żywych siedemdziesiąt dwa lata później, czyli – jeśli dobrze liczę – w roku 1805. Do daty własnej śmierci nie przywiązuję tak wielkiej wagi jak do daty urodzin. Pamiętam, że umarłem podczas wyjątkowo ulewnej nocy w Wenecji, chociaż pochowany zostałem w Neapolu, gdzie spędziłem większą część swojego długiego życia.

A za życia byłem kompozytorem.

Maestro Maldini, proszę państwa, zostawił po sobie cztery msze, dwa oratoria, trzy tuziny symfonii, dziewiętnaście oper, trzydzieści koncertów skrzypcowych, dwadzieścia jeden obojowych, czternaście albo piętnaście fletowych, dziewięć wiolonczelowych, ponad pięćdziesiąt kwartetów smyczkowych, a do tego jeszcze mnóstwo większych lub mniejszych utworów na instrumenty klawiszowe, których chyba nikt, łącznie ze mną, nie jest w stanie policzyć. Dość powiedzieć, że samych menuetów napisałem około setki. Nie ma co, imponujący dorobek!

Moje metody kompozytorskie były całkiem proste: unikałem pstrokacizny, muzycznej brzydoty, wymuszonej przesady i męczącej kakofonii, czyli wszystkich tych rzeczy, które stały się tak modne pod koniec mego życia. Zamiast fałszywej pogoni za oryginalnością i osobliwym efektem starałem się raczej dążyć do

tworzenia dzieł o klarownej budowie, doskonałych proporcjach, pełnej uroku melodii i tego czegoś, co można by od biedy nazwać muzycznym wdziękiem. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że nie wszystkie te kompozycje przynoszą mi zaszczyt – duża część mojej twórczości była ukłonem wobec panującej akurat mody, wiele utworów dyktowała troska o niewybredny efekt (jedenaście tańców na harmonijkę szklaną) i łatwy poklask – acz

znajdowało się wśród tych błahostek kilka dzieł, które poczęte były w prawdziwym uniesieniu ducha i które przynajmniej moim zdaniem nie zasłużyły sobie na tak rychłe zapomnienie.

Albowiem dzisiaj ta muzyka już nie istnieje, to znaczy – istnieje tylko na papierze. Umarła nawet w umysłach tych, którzy ją słyszeli. Żaden skrzypek nie wykonuje moich koncertów, opery znikły z repertuaru neapolitańskiego teatru i wątpię, czy znalazłby się jakiś uliczny muzykant potrafiący teraz zagrać lub zagwizdać chociaż jeden z „pełnych wdzięku i gracji” menuetów, które z taką łatwością wpadały niegdyś ucho. Mimo długiego życia byłem tylko meteorem na rozgwieżdżonym niebie muzyki.

Lecz dość już uzalania się. Moje życie było przecież długie i pełne sukcesów. Opowiem o nim pokrótce, korzystając z tego, że nic ciekawego w tej chwili się nie dzieje.

Ot tak, dla zabicia czasu.

Otóż przyszedłem na świat jako ostatnie z sześciorga dzieci jednej z najbardziej umuzykalnionych rodzin w okolicach Neapolu. Już mój dziadek, świętej pamięci Giovanni Maldini (1690-1751), który codziennie ponuro spoglądał na mnie zza stołu oraz z portretu wiszącego w bibliotece, nauczał gry na różnych instrumentach i śpiewu co bogatszych mieszkańców miasteczka, a w każde niedzielne przedpołudnie, zanim upił się domowej roboty winem, improwizował na kościelnych organach.

Byłem uroczym, ładniutkim chłopcem – do końca życia zresztą z satysfakcją spoglądałem w lustro – a do tego nad wiek rozwiniętym. Słowem, prawdziwy ulubieniec rodziny. Niewiele pamiętam z rodzinnych stron, kiedy bowiem miałem zaledwie pięć lat, cała nasza familia przeniosła się do Neapolu, gdzie ojciec mój – ceniony śpiewak i kontrabasista – otrzymał od Rady Miasta długo oczekiwaną posadę kapelmistrza jakiegoś drugorzędnego teatru.

Nietrudno chyba sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywarło na nieśmiałym i skromnym (choć nie do przesady) wyrostku z prowincji to gwarne, pstrokate i rozmuzykowane miasto. Na ulicach i placach zagradzały drogę stragany sprzedawców, zewsząd tłum, pojazd za pojazdem, słyhać różnorakie języki, kupcy i szarlatani, śpiewacy i tancerze, wróżbici i akrobaci, wypychacze ptaków, najpospolitsza hołota, sodomici, teatry jarmarczne – słowem, wrzawa nie do wytrzymania. Do tego mnóstwo kurewek... chciałem rzec: kobiet nierządnych, z których usług w przyszłości miałem obficie korzystać. Muszę przyznać, że pobudliwość seksualna obudziła się we mnie bardzo wcześnie (z rozkosznego dziecka wyrosłem na pięknego, strzelistego młodzieńca), dopóki jednak pozostawałem pod opieką i nadzorem surowego ojca, nie mogłem nawet marzyć

o erotycznych przygodach. A klimat – trzeba to powiedzieć – był niezwykle sprzyjający. Niedawno skończyła się trwająca ponad dwa wieki okupacja hiszpańska wraz z jej surową, tak nieprzystającą do włoskiego temperamentu obyczajowością, więc nieco szaleństwa wsącżyło się teraz między mury miasta.

Tak, nie da się ukryć, że Neapol oczarował mnie i oszołomił.

Co do muzyki, to działało tu wielu nie byle jakich kompozytorów, a teatr San Carlo cieszył się wysokim uznaniem w całej kulturalnej Europie. Kształcono w Neapolu również kastratów, z których największym podziwem darzono, o ile pamiętam, Farinello i Cafarello. Słynni *castrati* wywodzili się najczęściej z ubogich chłopskich rodzin, które w

zamian za odpowiednią kwotę pieniędzy pozwalały okaleczać swoich utalentowanych chłopców.

Powróćmy do mnie. Muzyka była w naszym domu powszechnym obowiązkiem, nic zatem dziwnego, że już od najmłodszych lat ja również kształciłem się w tym kierunku. Stary, znaczy poczciwy ojciec mój uczył mnie gry na wiolonczeli i śpiewu, pod jego czujnym okiem rozpocząłem również trudną naukę harmonii i kontrapunktu. Moi starsi bracia – a miałem ich dwóch – uczestniczyli w tych lekcjach wraz ze mną, wszelako ich zapał, jak również zdolności dalekie były od tego, co można by nazwać talentem z Bożej łaski czy choćby tylko wrodzoną muzykalnością, toteż prześcignąłem ich w nauce do tego stopnia, że po pewnym czasie ojciec całą swoją niemałą energię poświęcał już tylko mojej osobie, nie szczędząc pieniędzy i wysiłków, aby choć jeden z jego

synów wyrósł na prawdziwego muzyka. Chodziło przecież o honor rodziny!

Po kilku latach tej domowej nauki poszedłem do szkół. Skończyłem Scuola dei Padri Conventuali, a następnie uczęszczałem do Conservatorium Di S. Maria di Loreto, gdzie moimi nauczycielami byli między innymi: Manno, Gallo i Piccini – czy ktoś jeszcze pamięta te nazwiska?

Mówiąc krótko i na temat, otrzymałem rozległe wykształcenie muzyczne. Prócz kompozycji i teorii muzyki studiowałem śpiew, grę na organach, klawesynie i wiolonczeli. Już podczas studiów pisałem pierwsze sonaty i kwartety. Dzień w dzień gorliwie zaczerpiałem papier nutowy i chociaż przychodziło mi to z dużą łatwością, na swój prawdziwy sukces musiałem jeszcze trochę poczekać.

Nadszedł on wraz z wystawieniem w San Carlo mojej pierwszej opery – „Parys i Helena” – w marcu 1760 roku. Nigdy nie zapomnę chwili, kiedy kurtyna z czerwonego aksamitu uniosła się, ukazując wspaniale malowane dekoracje do pierwszego aktu spektaklu. Tego wieczora w blasku oliwnych kinkietów moje życie zmieniło się całkowicie. Z nikomu nieznanego muzykanta przeobraziłem się w artystę, który rzucił na kolana całutki artystyczny Neapol. Sukces był ogromny. Oklaskiwano niemal każdą arię, każdy duet, każdy ansambl, po zakończeniu drugiego aktu aż siedem razy wychodziłem na proscenium, aby podziękować wiwatującej publiczności.

Miałem dwadzieścia siedem lat, a przed sobą życie w sławie i bogactwie.

Talent swój zawsze traktowałem jako kapitał, który powinien procentować, toteż postanowiłem kuć żelazo póki gorące. Podpisałem nowy kontrakt z impresariem teatru, opera następna

powtórzyła sukces pierwszej – doczekała się dwudziestu czterech kolejnych przedstawień. Ówczesna moda szybko uplasowała mnie na szczycie, a ja za nic w świecie nie zamierzałem oddać tego miejsca żadnemu ze swoich konkurentów. Natychmiast nawiązałem ściślejszą współpracę z zarządem teatru i napisałem jeszcze kilka oper („Młodzieniec starcem”, „Dowód prawdy”, „Wyspa Amazonek”), które nie tylko potwierdziły moją reputację wśród publiczności, lecz zyskały również uznanie wybitnych muzyków i znawców tematu. Kariera moja nabrała rozmachu, interes prosperował znakomicie i w wieku lat trzydziestu byłem już kompozytorem o ustalonej renomie. Fortuna mi sprzyjała, talarów nie brakowało, kupiłem wspaniałe mieszkanie z widokiem na morze, dobrze urodzone młode neapolitanki pobierały u mnie lekcje śpiewu i gry na klawesynie, a ja

ćwiczyłem się dzięki nim w sztuce flirtu i uwodzenia, ilekroć tylko była po temu sposobność.

Zgoda, byłem muzycznym wyrobnikiem, składaczem dźwięków dość zręcznym, by komponować wciąż w modnym guście. Fabrykantem muzycznych przysmaków. Twórczość moja idealnie wprost pasowała do tej epoki menuetów, gawotów, pudru, wachlarzy, sztucznych włosów i masek.

Lata płynęły, a moja sztuka, choć już nie tyle ceniona co dawniej, wciąż potrafiła zapełniać łoże i partery teatrów. Nigdy się nie ożeniłem, co nie znaczy, że nie byłem czuły na kobiece wdzięki, wręcz przeciwnie, przygód erotycznych nie brakowało mi do późnej starości. Dzięki jaskrawemu makijażowi i kosztownym strojom, wszystkim tym fatalaszkom, koronkom, haftom i innym duperelom, łatwo potrafiłem ukryć swój wiek – ma się rozumieć: do

pewnego momentu. Oj, bywało wesoło! Wiele organizowanych przeze mnie tak zwanych wieczorów muzycznych kończyło się wesołymi, zgoła nieartystycznymi harcami. Bywało, że golusieńki jak mnie Pan Bóg stworzył siedziałem przy klawesynie, a kilka dam tańczyło wokół instrumentu, za całe odzienie mając jedynie lakierowane pantofelki. Co skromniejsze zasłaniały twarze wachlarzami. Tak było! Nie ma w tym żadnej blagi!

Niestety, jak powszechnie wiadomo, nic nie trwa wiecznie, a już w szczególności dobra passa. Pod koniec życia sława moja, mówiąc delikatnie, mocno przygasła. Pojawili się nowi ulubieńcy publiczności, niektórzy __ z nich zaczęli powoli reformować włoską operę, jawnie szydząc z mojej twórczości. Okazałem się doskonale bezbarwnym tłem, na którym można było dostrzec jaskrawy geniusz takich wywrotowców, jak Gluck czy Mozart. Muzyka Pietra Maldiniego musiała ustąpić smakowi nowej mody. Nie miałem zamiaru przystosowywać się do nowych wymagań, toteż publiczność odwróciła się ode mnie, ostatnia moja opera – „Szaleństwo Nerona”, rzecz całkiem, całkiem – znikła ze sceny niespełna trzy tygodnie po premierze.

No cóż. Przeprowadziłem się do skromniejszego apartamentu, sprzedawałem kilka obrazów oraz kosztownych mebli, dawałem więcej lekcji, rzadziej odwiedzałem eleganckie domy publiczne, częściej zaś pospolite burdele.

Jak już wspomniałem, śmierć zastała mnie w Wenecji. Przyjechałem tam na zaproszenie pewnego dziwnaczalnego irlandzkiego arystokraty, który pragnął, abym napisał operę do jego libretta (coś o mieszkańcach we wnętrzu ziemi). W trakcie podróży

nabawiłem się zapalenia płuc i umarłem podczas pierwszej nocy po przyjeździe do miasta. Pogoda była wtedy wyjątkowo paskudna.

Nie pozostawiłem po sobie żadnego prawowitego potomka, cały mój majątek odziedziczył bratanek.

Tak więc nie żyję.

Tyle że zamiast przenieść się w zaświaty, zamknąć oczy na wieki czy też po prostu gryźć ziemię, siedzę w tym dylizansie i muszę patrzeć prosto w twarz aptekarzowej.

– Jest coś specjalnego w słowiańskich melodiach – mówi fabrykant zabawek, patrząc na siedzącego naprzeciwko młodzieńca, który bazgrze ołówkiem w notesie. – Coś, co błogo przemawia do duszy. Nie wiem, czy państwo znają „Polenlieder” Kuffnera? *Auf, Polen, auf, zum Kampf herbei, das Vaterland zu retten!* - zaczyna nucić i bębnić palcami na opiętym oliwkowym materiale kolanie. – Zna pan to może?

–Niestety, nie słyszałem – odpowiada kawaler.

–Wydane w firmie Schotta. Proszę pytać w Paryżu. Przepyszna muzyka.

–Będę szukał.

–O ile oczywiście nie wykupili, bo miało szalone powodzenie.

–Lepsze to niż piosneczki francuskie – wtrąca się aptekarz, zwracając się do kawalera.

On również pragnie zatrzeć przykre wrażenie, które wywołały nad potokiem słowa jego żony. – Osobiście najbardziej lubię muzykę gitarową, taką bardziej we włoskim

guście. Wie pan, że Paganini pisze łatwiejsze rzeczy na gitarę niż na skrzypce? Słyszał pan o tym? Przepyszne miniatury. Pan jest, zdaje się, fortepianista?

–Tak – odpowiada młody Polak. – Dawałem koncerty w Wiedniu.

Aptekarzowa podnosi wzrok znad „Elegante Welt für Damen” i grzecznie pyta:

–Znaczy to, że ma pan już ustaloną reputację?

–Wszystkie miejsca na sali były zapełnione, a recenzje po dziennikach nader pochlebne

– odpowiada muzyk. – Ja sam już nie tak bardzo byłem kontent – drapie się w wydatny nos. – Wolę koncertować w szczuplejszym gronie.

–Czemuż to?

–Z wielu powodów. Raz, że zbyt wielka liczba słuchaczy mnie żenuje, zwłaszcza gdy odgrywam własne kompozycje. Po drugie, duże sale wymagają innego rodzaju dźwięku.

Aptekarzowa kiwa w milczeniu głową, jakby wszystko to rozumiało się samo przez się, po czym powraca do lektury. Suknie z tiulem i gazą, jak się okazuje, nie tyle już są modne co w roku przeszłym, podobnie jak błękit.

Najmodniejszy w Paryżu jest teraz perłowoszary, no i niespodzianka: woda lawendowa wraca w użycie!

Fabrykant pochyla się nagle ku młodzieńcowi.

–A niech mi pan powie taką rzecz: ile to trzeba się uczyć, żeby dobrze grać? Zapewne kilka lat, prawda? Chodzi mi o jakieś takie łatwiejsze utwory, menuety albo walce.

–Zależy od zdolności.

–Bo widzi pan, kupiłem córce orzechowy fortepianik...

–Aha.

–Nienowcy, aczkolwiek wygląda jak prosto z fabryki. Żadnych zadrapań ani nawet zarysowań, widocznie nie był w ogóle używany. Dziewczyna ma już siedemnaście lat. Niektórzy mówią, że jest już za stara na naukę. Mimo to szukam nauczyciela...

Milknie, ponieważ dylizans zjeżdża właśnie z pochyłości, kolebiąc się na prawo i lewo. Wstrząsy sprawiają, że w ramach drzwiczek dzwonią obłuzowane szyby. Obręcz koła zgrzyta o wilgotny kamień.

Mój pupil chowa notes do kieszeni i odwraca bladą twarz ku oknu, za którym widać polanę, a na jej skraju jakieś zwierzę, najpewniej sarnę. W tych warunkach nie można myśleć o komponowaniu. Trzeba poczekać na chwilę samotności. Przydałby się fortepian, żeby raz jeszcze sprawdzić, jak brzmi ten wstęp. Czy rzeczywiście oddaje niuanse mowy ludzkiej czy jest po prostu dziwaczny?

–O dobrego nauczyciela szalenie trudno – podejmuje aptekarz, kiedy przestaje wreszcie tak chybotać. – Źle teraz uczą.

–Ma pan całkowitą słuszość – przytakuje fabrykant.

–Był jeden dobry muzyk, starszy już człowiek, nazwiska nie pamiętam, który udzielał lekcji gry na skrzypcach. Miał swego czasu dużą wziętość.

–Na wiolonczeli, mój drogi – poprawia go żona, nawet nie podnosząc wzroku znad czasopisma. Kapelusik na jej głowie przesunął się nieco, chociaż przytrzymują go związane pod brodą szale.

–Przejechał go omnibus... – Aptekarz robi pauzę dla lepszego efektu. – Koła zaczepiły o podudzie i przejechały po nim. Równiutko.

Koła pojazdu toczą się gładko i szparko, miażdżąc wilgotną roślinną papkę na drodze, a pasażerowie przerywają rozmowę, sięgają do swoich tobołków i wydobywają z nich prowianty. Za godzinę i tak musimy zatrzymać się w jakiejś wsi, gdzie będzie można zjeść prawdziwy posiłek, wszelako do tego czasu trzeba jakoś oszukać pierwszy poranny głód.

Fabrykant zabawek wyjmuje z tłumoka pomarszczone jabłko i bardzo starannie wyciera je chusteczką, rozmyślając jednak o jędrnym mięsie i gorzkim piwie w ciężkim kuflu. Aptekarzowa rozkłada na podołku serwetkę, a na niej wiklinowy koszycek, w którym oprócz wczorajszej bułki znajduje się jeszcze tylko suchy plasterek sera i kawałek kielbasy w zatłuszczonym papierze. Jej mąż już żuje żytni chleb, ze spojrzeniem utkwionym w oknie zastanawiając się, czy w najbliższej karczmie będą mieli düsseldorfską musztardę („... zaostrza apetyt i zroszone nią potrawy czyni pożywniejszymi!”), a także jakieś porządne wino, najlepiej reńskie, które pozwoli mu pozbyć się przykrego posmaku, jaki od momentu przebudzenia ma w ustach.

Młody kawaler nic nie je. Wciąż dokucza mu bolący ząb. Pocierając palcami powieki, usiłuje przypomnieć sobie, gdzie znajduje się jeszcze świeża para skarpet – w kuferku pod siedzeniem czy w skórzanej walizie na dachu? A może w kufrze? Robi w myślach przegląd zawartości kufra: spodni sukiennych par trzy, jedna kamizelka atlasowa, pięć koszul płóciennych, cztery pary śnieżnobiałej bielizny batystowej, dwa jedwabne krawaty, stary kapelusz

(do wyrzucenia), szlafrok (lekką przetarty na łokciach), dwa fraki, filcowe pantofle, surdut letni, płaszcz, parasol, cztery pary rękawiczek, szal na szyję, ręczniki... O dach dyliżansu zaczynają uderzać krople deszczu.

Zaświaty okazały się dla mnie krainą lodu i ciemności.

Przynajmniej na samym początku miałem o tym takie właśnie pojęcie. Dopiero co unosiłem się tuż pod sufitem weneckiej sypialni, beznamiętnie obserwując pochylonego nad moim martwym ciałem otyłego lekarza, by nagle stwierdzić, że znajduję się już zupełnie gdzie indziej. Gdzieś w obcym mieście.

Quis his locus, quae regio, quae mundi plaga?

Nie była to Wenecja ani tym bardziej Neapol, lecz miasto podobne do tych, które za życia jeszcze miałem podczas podróży do Rosji – na wpół prowincjonalne, melancholijne, brzydkie, o ulicach i placach zasypanych śniegiem i niemal całkowicie wyludnionych po zapadnięciu zmroku. A ciemnych wtedy jak tabaka w rogu.

Pamiętam, że stałem na zbiegu dwóch takich właśnie ulic, tuż obok zadaszonej studni, w miejscu, gdzie tworzyła się już spora zaspą. Śnieg dookoła mnie gęstniał, latarnie na słupach odrobinę tylko rozpraszały ciemności, oświetlając fragmenty kamienic o ponurych fasadach. Nie, to nie była z pewnością moja *bella Italia*.

Łatwo pojąć, jak bardzo czułem się dezorientowany. To musi być majaczenie chorego umysłu, pomyślałem. Miałem na sobie swój najlepszy letni surdut, płócienne pludry i zupełnie niestosowne

o tej porze roku trzewiki, a mimo to mróz mi nie dokuczał. Moje wszystkie zmysły zdawały się odbierać wrażenia jakby we śnie. Czułem zapachy, widziałem wirujący śnieg, słyszałem skrzypienie drzew na mrozie, odczuwałem nawet lekki dotyk śnieżnych płatków na twarzy. Ale nie byłem już organizmem z krwi i kości. Ciało zachowało swój kształt, wszelako zdawało się zbudowane z jakiejś odmiennej substancji. Byłem duchem.

A więc to tak!...

Jestem duchem, pomyślałem. Umarłem, więc naturalnie muszę być duchem.

Dlaczego wszakże trafiłem w to dziwne miejsce, zamiast przenieść się do idealnego królestwa muzyki i myśli, gdzie jak sądziłem, powinni przebywać wszyscy artyści? Dlaczego nie stałem się czystym dźwiękiem w wyśpiwywanej przez aniołów kosmicznej kantacie? Przez pomyłkę?... Za karę?... Czy w owej niebiańskiej krainie naprawdę nie ma miejsca dla takiego składacza dźwięków jak ja? Nie potrafiłem na razie odpowiedzieć na te pytania, podobnie jak na kilka innych, równie niepokojących. Jakieś ustępy z Dantego po myślach mi krążyły. Czyżbym znalazł się w owym sławetnym mieście utrapienia? Czy tak właśnie wygląda Piekło? Rozejrzałem się wokół: labirynt ulic i zaułków z pozakładanymi na parterach okiennicami, śnieg na kalenicach, śnieg na żeliwnych balustradach balkonów, sople zwisające z okapów, gzymsów i sklepowych szyldów, zaparowane witryny, słowem, wszystko razem ponure, smętne i arcynudne. Niesamowicie obce.

To prawda, miałem na sumieniu kilka grzeszków, nad którymi nie będę się teraz rozwodził, lecz czy byłem aż takim grzesznikiem?

Raczej nie. Osobiście znałem i znam dziesiątki większych ode mnie łotrów, zbereźników i kanalii, by ograniczyć się jedynie do płci brzydkiej.

A wyglądało na to, że przyjdzie mi tutaj odbywać jakąś pokutę.

No trudno, pomyślałem, nie ma rady. Skoro już tutaj trafiłem, widocznie istnieje jakiś ważki powód. *Nihil sine ratione*, jak się to mówi. Postanowiłem trochę się rozejrzeć po tym dziwnym mieście.

Rychło okazało się, że nie jestem sam. W oddali, u wylotu ulicy, dostrzegłem jakiegoś mężczyznę opierającego się plecami o ścianę drewnianej przybudówki. Muszę przyznać, że jego widok nappełnił mnie otuchą, piekielne miasto nie było widać tak wyludnione, jak mi się z początku wydawało. Któż to taki? Czyżby inna jakaś potępiona dusza? Poczulem, że jakoś tak sam z siebie przesuwam się do przodu – najwyraźniej czysta ciekawość zmusiła mnie do ruchu.

Uwolniony od materialnego ciężaru, niezwykle łatwo przemieściłem się wzdłuż bielusieńkiej ulicy i znalazłem się tuż przy mężczyźnie, nie wywołując przy tym żadnego dźwięku i nie zostawiając za sobą śladów na miękkim śniegu. Było to dziwne uczucie, do którego musiałem się później długo przyzwyczajać, wszelako nie powiem, żeby sprawiało mi jakąś szczególną przykrość. Poruszałem się bowiem bez żadnej trudności, jak gdyby samą tylko siłą woli. Nie koniec na tym! Nie wiem, w jaki sposób, ale popłynąłem wzdłuż ciemnej ulicy, równocześnie wciąż pozostając w tym samym miejscu, z którego wyruszyłem. Jakbym rozprzestrzeniał się w otoczeniu. Poczulem taką zachciankę, a jakaś część mnie –

niczym zwiadowca – w mgnieniu oka dotarła do opierającego się o ścianę człowieka.

Był to niemłody już bardzo wysoki mężczyzna, który z trudem zachowując zmysł trzeźwości, nadaremnie szarpał kieszenie pobielonego śniegiem kożucha w poszukiwaniu czasomierza. Czuć było od niego potem, alkoholem i cygarowym dymem. Sapał i mruczał coś pod nosem w obcym języku, lecz nie musiałem wcale wsłuchiwać się w ten pijacki bełkot, żeby dowiedzieć się o człowieku wszystkiego, co chciałem.

Nazywał się Aleksiej Grigoriewicz Chowański, tak właśnie, i był rosyjskim oficerem, który zaczynał wojskową karierę w Petersburgu, w Szkole Pietropawłowskiej, potem brał udział w wielkiej wojnie, teraz zaś pełnił służbę w obcym kraju, straciwszy nadzieję na powrót do rodzinnego miasta. Ukochana matka zmarła, kiedy miał osiemnaście lat. Żony za to nigdy nie kochał. Lewą część ogromnej, okolonej ciemnoszarymi bokobrodami twarzy miał paskudnie oszpeconą, a to wskutek cięcia szablą podczas utarczki z Francuzami. Przed chwilą rozegrał kilka partyjek bilardu z młodym Polakiem, wypił trzy szklanki wódki i pojęcia nie miał, która jest godzina.

Wszystkie te fakty dotarły do mnie niemal równocześnie, jasne i zrozumiałe. Mogłem przejrzeć na wylot myśli oficera, a nawet więcej, ponieważ w tej chwili osobnik ten niewiele myślał. Oderwał się wreszcie od ściany, uniósł głowę, jak gdyby chciał zmierzyć bieg planet, i ruszył przed siebie, na przemian podśpiewując i przeklinając. Po krótkim czasie zniknął w śnieżnej mgle.

Umiałem więc swobodnie czytać w ludzkich myślach.

Szybko odkryłem, że potrafię również bez żadnego odczuwalnego oporu przenikać przez materialne przeszkody, obojętne, czy na swej drodze napotykałem człowieka, drzewo, drewniany płot czy ceglana ścianę.

No tak, byłem przecież najprawdziwszym duchem!

Przez jakiś czas, dla samej tylko zabawy, przenikałem przez grube mury i swobodnie przyglądałem się temu, co się za nimi kryło: magazynom sklepów, rzęsiście oświetlonym salonom i zadymionym wnętrzom szynków, nędznym izbom, gdzie na sznurach suszyła się połatana odzież, suterynom, zimnym poddaszom, stryszkom, handlowym kantorom, warsztatom, składom na węgiel i drewno. Opustoszałe na pozór miasto nagle zaczęło tętnić życiem. Czułem się jak dziecko zaglądające do domków dla lalek.

Widziałem siedzącego w fotelu mężczyznę, który opierał nogi o kratę kominka i gładził łysinę, dwóch młodzieńców pochylonych nad zielonym sukniem bilardowego stołu, stolarza zajadającego się zupą selerową, bladą dziewczynkę skrobiącą w kajecie przy blasku oliwnej lampki, podobną do Cyganki kobietę z dzieckiem na ręku. Obfitość person, owszem, tyle że dziwaczne to jakieś były figury. Wykrzywiona staruszka krzątała się przy garnkach, portier tasował karty, doktor z siwiejącymi faworytami zapinał pludry w sraczu.

Wszyscy byli śmiesznie ubrani, nosili osobliwe fryzury i porozumiewali się dziwną jakąś mową. Słyszałem brzęk kubków, szcęk noży, dźwięki gitary, gwar rozmów, kaszel, poszczekiwanie psów.

Aż wreszcie pośród tych wszystkich hałasów usłyszałem daleki odgłos dzwonków. Były to najzwyczajniejsze w świecie dzwonki na

końskich uprzężach, lecz ja poczułem się tak, jakby ktoś nagle przywołał mnie do

porządku.

Dzyń, dzyń, dzyń. Niczym uderzenia w klawisz fortepianu. Crescendo. Wstęp do jakiegoś poloneza w stylu *brillant*, dajmy na to.

Po krótkiej chwili zaprzężone w dwójkę koni sanie wyłoniły się zza zakrętu ulicy, a ja z niezwykłą jasnością zdałem sobie sprawę, że właśnie na ten moment przez cały czas czekałem. Nie wiem, skąd wzięła się ta pewność, lecz od tej pory wszystkie wydarzenia zaczęły nabierać dla mnie sensu.

Pojedyncze nuty jęły się układać w muzyczną frazę.

Sanie minęły mnie, skręciły w następną ulicę, wjechały na niewielki plac otoczony dwupiętrowymi kamienicami, po czym wciąż podzwaniając, przejechały kilkadziesiąt metrów wzdłuż północnej pierzei i zatrzymały się przed żelazną bramą. Podążyłem tam za nimi.

Śnieg topniał na końskich grzbietach. Woźnica, który miał już co nieco w czubie, wyjął z pazuchy pękatą flaszkę, pociągnął z lubością długi łyk i otarł usta rękawem baranicy. Tymczasem spod przykrywających sanie ciężkich futer wygramolił się mężczyzna, a za nim mały chłopiec – jeden i drugi w śmiesznym kapeluszu.

Mężczyzna zdjął zębami rękawicę, odliczył pieniądze, wręczył woźnicy.

–Dziękujemy – powiedział. – Dobranoc panu.

–Wielkie dzięki.

Śnieg skrzypiał pod ich butami, gdy szli do bramy. Chłopiec poślizgnął się na oblodzonym stopniu kamiennych schodów, ale utrzymał równowagę.

–Uważaj, bo złamiesz rękę.

–Nie złamię, papa.

Ojciec i syn, oczywiście. Wracali od najparadniejszego krawca w mieście, który zdjął miarę na nowy surdut dla chłopca. W drodze powrotnej wstąpili jeszcze do kawiarni, gdzie zjedli pączki z malinami we wnętrzu i wypili gorącą czekoladę.

–Sypie i sypie – powiedział teraz ojciec. – Zasypie nas.

–Aha.

–Będą mieli jutro co odśnieżać, nie?

–Tak, tato.

Mężczyzna otworzył bramę wielkim kluczem i po chwili znaleźliśmy się na ni to podwórzu, ni to dziedzińcu jakiegoś marnego pałacyku. Przeszliśmy do oficyny. Druga brama, tym razem otwarta.

–Zaraz się napijemy herbatki – powiedział mężczyzna. – A potem do spania.

–Chciałem jeszcze poczytać – chłopiec chwycił ojca za rękę. – Zostały mi dwa rozdziały.

–Wiesz, że jutro wstajemy wcześniej?

–Wiem, tato.

Przez sklepioną długą sień o kamiennej posadzce dotarliśmy do dębowych schodów. Mężczyzna i chłopiec zdjęli swoje arcyzabawne kapelusze, otrzepali płaszcze i buty ze śniegu, a następnie ruszyli w górę po trzeszczących stopniach, przytrzymując się wypolerowanej balustrady, jako że klatka schodowa pogrążona była w głębokim mroku.

Podobnie jak to było w przypadku rosyjskiego oficera, nie miałem żadnych trudności z rozszyfrowaniem ich myśli. Mężczyzna – pół żabojad, pół Polak, nauczyciel francuskiego języka – miał głowę zaprzątniętą stroicielem fortepianów i listem, który jeszcze tego

wieczora trzeba było napisać do rodziny, aby móc go z samego rana zanieść na pocztę, natomiast młody kawaler koncentrował się tylko na tym, by nie potknąć się na jakimś wysokim stopniu. A to właśnie ten niepozorny chłopiec przyciągał moją uwagę. Wiedziałem już, że gra na fortepianie i że uważa się go w mieście za cudowne dziecko, nieledwie za drugiego Wolfganga Amadeusza Mozarta. Pisano o nim w gazetach. Nie byłoby w tym nic szczególnie interesującego – w swoim życiu miałem do czynienia z całą masą wybitnie zdolnych dzieci, na ogół nieznośnych bachorów – gdyby nie dziwna moc, jaka z niego emanowała. Właśnie owa siła kazała mi zaczekać na sanie i podążyć za dziwną parą. Nie potrafiłem ustalić, czy źródłem tej mocy jest muzyczny talent chłopca czy – co chyba mniej prawdopodobne – charakter, w każdym razie poczułem, że mam do czynienia ze zjawiskiem niezwykłym.

Był rozpieszczony i nieco zarozumiały, często nadmiernie bojaźliwy. Typowy pupilek dam z towarzystwa. A jednak nie umiałem go do końca rozgryźć. Przyznam szczerze, że do dzisiaj mi się to nie udało.

Zatrzymaliśmy się na drugim piętrze, nauczyciel zastukał kołatką do drzwi, które po chwili otworzyła kobieta – przyodziana w czerń, w czepcu na głowie i ciemnym koronkowym szalu na ramionach. Za jej plecami ujrzałem dwie małe dziewczynki, niewiele chyba bardziej materialne niż ja sam.

–Jesteście – powiedziała kobieta w tym samym dziwnym języku.

–Ano jesteśmy.

Wpłynąłem do środka, starając się – zapewne z przyzwyczajenia – nie potrącić nikogo po drodze. Dobrze, że się nie ukloniłem. Minąłem ciepłą sień i przystanąłem skromnie w rogu pokoju o wyfroterowanej posadzce, tuż obok kamiennego wazonu. Podczas gdy mężczyzna i chłopiec wytrząsali w sieni resztki śniegu z ubrań, ja ciekawie rozglądałem się po pomieszczeniu.

Było duże i nadspodziewanie przytulne. Przy ścianie stała pyszna kanapa, przed nią okrągły stolik mahoniowy, po przeciwległej stronie prezentował się dębowy kredens z fajansowymi figurkami (kominiarczyk i pastereczka), a obok niego uchylone drzwi do następnego pokoju. Pomieszczenia miały tutaj układ amfiladowy.

Gipsowy sufit obiegał gzyms, na ścianach wisiały obrazy w częściowo złożonych ramach. Najbardziej przypadła mi do gustu miniatura wystawiająca kucie konia. W podwójnych szybach okiennych i w lustrze nad kominkiem odbijały się chybotliwe ogniki płonących w kinkietach świec. Swojego odbicia, ma się rozumieć, nie odnalazłem.

Mężczyzna powiesił płaszcz, wszedł do pokoju, zatarł okrutnie zziębnięte dłonie, potem rozpiął kamizelkę, rozluźnił nieco halsztuk i podszedł do kominka. Rozgrzebał żar, aż strzelił ogień.

–Ignacy solennie obiecał, że surdut będzie gotów za tydzień – powiedział, podnosząc się ciężko z kucek. – A Wacławowi trzeba było otworzyć ropień.

–Skąd wiesz? – spytała z sieni kobieta.

–Spotkaliśmy jego brata.

–Tego strojnisia?

Jedna z dziewczynek, kilkuletnia może smarkula o wyjątkowo bladej cerze i delikatnych rysach, parsknęła śmiechem.

–Nosi pasiaste pantalony – wyjaśniła. – Tylko że mu spadają.

–Cóż ty znowu opowiadasz, *ma petite*? – zapytał ojciec.

–To najprawdziwsza prawda.

Rozmowa ta, jakkolwiek dziwaczna i mimo moich nowych zdolności nie do końca dla mnie zrozumiała, wprowadziła mnie w nader przyjemny nastrój. Prawdziwie rodzinna atmosfera, pomyślałem.

–Zaraz będzie herbata – poinformowała wszystkich kobieta. – Widziano go w piątek w teatrze. Na „Cyruliku sewilskim”. Rzeczywiście pantalony miał w paski. Frak też w najświeższym guście, podług nowej paryskiej mody. Wyładniał.

–Chudy jak pies! – krzyknęła dziewczynka – Chudszy niż mój brat!

Wszystkie dzieci w tym domu były chude i blade. Wątle ramiona, przygarbione plecy, wszelkie możliwe wady postawy. Bez dwóch zdań, lekarz powinien zaordynować gimnastykę. Szczególnie chłopakowi przydałoby się trochę ruchu po tych wszystkich godzinach spędzonych przy klawiaturze.

Klawiatura! Otóż właśnie, panowie i panie.

Zwróciłem na nią uwagę niemal natychmiast po wejściu, a jakże. Przez otwarte drzwi do sąsiedniego pokoju widziałem uśpiony instrument. Pianoforte. Masywne czarne pudło, bogato zdobione, podobne do staroświeckiej skrzyni albo komody, kryjące pod mahoniem swoje metalowe struny, drewniane młoteczki, filcowe tłumiki oraz wszystkie te łożyska i wiązania, dzięki którym mechanizm może funkcjonować. Instrument większy niż klawesyn, wydający nie tak może srebrzysty, za to cieplejszy dźwięk.

Podpłynąłem bliżej. Na pulpicie umieszczono etiudy niejakiego Clementiego, na płycie rezonansowej, tuż obok mosiężnego świecznika, lekko podniszczony pierwszy tom sonat Wolfganga Amadeusza Mozarta.

Czy istnieje na świecie coś wspanialszego niż dobrze nastrojony instrument? Fortepianik gotowy w każdej chwili odpowiedzieć na twój dotyk. Medium, które potrafi za pomocą następstw dźwięków lub ich współbrzmień wyrazić nastrój, emocje, a także to, czego w słowach wyrazić niepodobna. Jakaż przyjemność czuć pod palcami chłód kości słoniowej, uderzyć akord w niskim rejestrze i wsłuchiwać się w łaskoczące kręgosłup wibracje metalowych strun.

–Herbata gotowa – powiedziała kobieta.

–Siadamy – ojciec odszedł od kominka. Zegar wybił godzinę dziewiątą.

Chłopak jest mój, pomyślałem zdumiony własną decyzją.

Tym oto sposobem maestro Pietro Maldini – sławetny niegdyś nicpoń, lekkoduch, karierowicz i hulaka, a do tego egoista jakich mało – przeobraził się naraz w anioła stróża smarkatego muzykanta z prowincji. Czyż to nie paradne? Człowiek, który w trakcie całego swojego długiego żywota nie zaopiekował się nawet nędzną papugą, nagle postanawia czuwać nad bezpieczeństwem obcego dziecka. Postanawia poświęcić mu cały swój czas i uwagę. Wprost nie do wiary. Gdyby towarzysze moich zabaw i awantur dowiedzieli się, jaki to los przypadł mi po śmierci, rozchorowaliby się najpewniej ze śmiechu. Maestro Maldini opiekunem! Aniołem stróżem!

Jak to się mogło stać?

Do dzisiaj tego nie wiem. Mogę powiedzieć tyle tylko, że wbrew pozorom to był mój

wybór. Prawda, że nie z własnej woli znalazłem się w tym okropnym lodowatym mieście, prawdą jest również, że w wielce dyskretny sposób jakaś siła pokierowała mną, wskazując drogę do mieszkania francuskiego nauczyciela. Lecz odczytałem tę interwencję tak właśnie: jako niezwykle delikatną sugestię, nic więcej. Nikt mnie przecież ani nie straszył, ani nie szantażował, ani nawet nie namawiał. Pokazano mi chłopca, a także jego rodzinę, mieszkanko oraz miasto. Wybór należał wyłącznie do mnie. Zdecydowałem się sam, i to raz-dwa, pod wpływem jakiegoś dziwnego impulsu. Zanim rodzina zasiadła do herbaty, ja już wiedziałem, gdzie w tym układzie jest moje miejsce.

Przejąłem tego chłopca albo raczej – on przejął mnie. Skromnie wkroczyłem na jego orbitę.

Od tej pory jesteśmy już ze sobą związani.

Trzaskają zasuwy oraz skoble wewnątrz karczmy, słychać kaszel i przekleństwa, uchylają się drzwi i staje w nich miernego

wzrostu mężczyzna w pomiętej koszuli, z bokobrodami zaczesanymi do przodu, rozczochrany i zaspany.

–*Scheisse* – mruczy do siebie, ufając, że nikt go nie słyszy w chlupoczącym deszczu.

Nad lewym okiem gospodarz ma dziwną narośl, a w okolicach grdyki niewielką bliznę. To pamiątka po brzytwie pewnego pijanego parobka z sąsiedniej wsi. Stara historia, o której mało kto już pamięta.

Mężczyzna wpycha teraz koszulę do spodni, zapina kamizelkę i kłania się przesadnie nisko, jakby odgrywał jakąś komedię.

–*Guten morgen*. Już otwarte. Zapraszam.

–*Guten morgen*.

Karczma – murowany budynek z drewnianym gankiem i ciemnoczerwonym jak krew dachem – rozsiadła się wśród starych drzew, na samym skraju niemieckiej wsi, do której prowadzi naprawdę kiepska droga.

–Witam najuprzejmiej szanownych wojażerów. Z daleka?

–Ze Stuttgartu.

–To pewnie do Paryża?

–W rzeczy samej.

Wchodzimy do środka: najpierw Webernowie, za nimi brzuch fabrykanta zabawek, potem on sam, młodzian, a na koniec ja. Aptekarz składa kawowy parasol, strząsa wodę. Czuć zapach piwa i tytoniowego dymu. Panujący w izbie półmrok miłosiernie skrywa zakurzone pajęczyny pod sufitem i archipelagi plam na dębowych stołach i ławach. W rogu, obok pieca, widzę stelaż na fajki. Po parapecie okna spaceruje jakiś niemiecki owad.

Nie podoba mi się tutaj.

–Proszę uprzejmie – mówi karczmarz podchodząc do szynkwasu. – Proszę usiąść, zaraz rozpalimy w piecu, bo zimno okropnie. Ale się rozpadało, prawda?

–Nie ma dnia bez deszczu – aptekarz na to. – Wszędzie tylko woda i błoto. Wyjątkowo brzydki wrzesień, nieprawdaż? Czy dostaniemy może u pana karpia po czesku?

–Niestety nie mamy karpia. Jest za to zupa selerowa, są, proszę pana, kotleciki, kartofle, flaki i mizeria. Szczególnie polecam państwu pieczone nerki. Pyszne.

–A piwo jest? – pyta fabrykant, bawiąc się cybuchem fajki, którą wypala po każdym

posiłku.

–Najlepsze w okolicy!

Całe towarzystwo sadowi się na ławach. Jakaż to ulga odpocząć trochę po przykrościach całonocnej jazdy. Za oknem strugi deszczu wyglądają jak fortepianowe struny, poprzez nie widać kawałek zarośniętego pokrzywami podwórka ze studnią i fragment stajni z przydaszkiem, dalej skrawek burego pola. Nasz wóz pocztowy został ukryty pod wiatą po drugiej stronie karczmy, dwaj bladzi chłopcy w przemoczonych koszulach wyprzegają właśnie konie. Dochodzi do nas chlupot deszczu, skrzypienie zardzewiałej furtki, przytłumione porykiwanie bydła i odległe ujadanie psa.

–Zaraz robi się tutaj przytulniej, ma się rozumieć – mówi karczmarz. Rysy jego twarzy wydają się rozmyte w półmroku, jakby ktoś zmazał malowidło na szkłe. – Tylko chłopak przyniesie szczap z komórki. Rudolf, pospiesz się! – krzyczy w stronę zamkniętych drzwi. – Goście się niecierpliwią!

Mój podopieczny zabrał ze sobą notes i ołówek, miał zamiar pobazgrać w trakcie posiłku, lecz przy tym świetle nie będzie to łatwe. Uzbierało się parę nie zakończonych jeszcze utworów, w tym wcale nie żartobliwe scherzo i nowy nokturn, którego temat, nostalgiczny i jak zwykle na wskroś romantyczny, objawił mu się ostatniej nocy w Stuttgarcie. Zdążył go tylko z grubsza zanotować w świetle dogasającej łójówki, aby nie zapomnieć, jak mu się to już z wieloma pomysłami zdarzało. Teraz niech sobie przez jakiś czas poleży spokojnie w notesie. Pomysły muzyczne trzeba leżakować niczym młode wino, twierdzi. Niech fermentują i nabierają szlachetnego smaku.

Oparty plecami o pobieloną wapnem ścianę, z kapeluszem na głowie, skubie teraz muzykant końce fularu. Wygląda niczym postać z jakiejś opery buffo: dziewczę przebrane za mężczyznę. Przed wejściem do karczmy spryskał się obficie wodą kolońską, by zamaskować nieco dokuczliwy zapach potu i nieświeżej bielizny. Jest na tym punkcie przeczulony, wprost nie może znieść myśli, że śmierdzi. Prawdziwy elegant, nie ma co. Jak tylko dotrze do Paryża, dopiero się zacznie zabawa. Wizyty, fety, obiady, wieczory towarzyskie, koncerty i opera, harce i bezeceństwa. Skąd my to znamy? Francuzkom będzie pewnie głowy zawracał, tak jak tym rozchichotanym mediolańskim śpiewaczkom, z którymi wyjechaliśmy z Wiednia. Jest w tej materii dużo już mniej niezdarny i lękliwy niż dawniej, wierzcie mi. Ach, ta młodość! Trzeba przez to przejść.

Ma nowy kapelusz, nader gustowny frak z długimi połami, tyle modne rękawiczki, uczesanie w najnowszym guście, no i tabakierkę w heban oprawną, z wizerunkiem Wenery na wieczku –

słowem, szykuje się w Paryżu niejedna paradna rzecz.

Co tu dużo mówić, sam wielce jestem ciekaw nadsekwańskiej stolicy. Na ile się zmieniła przez te kilkadziesiąt lat, które minęły od mojej ostatniej wizyty? Podobno wciąż najlepsza tam socjeta, najszykowniejsze magazyny mody, opera, teatry, giełdy, a ruch prawie już jak w Londynie. Omnibusy na każdej ulicy, powiadają, że strach przejść na drugą stronę. Do tego, rzecz jasna, oświetlenie gazowe, nie jakieś tam kaganki jak w Warszawie! Bulwary pełne są zapewne przesuwających się eleganckich cylindrów, zamiatających krawężniki sukien, a także przystrojonych kwiatami przepoconych kapeluszy, wykwinnych parasolek i czego tam jeszcze! *Mon Dieu*, jakże chciałbym już zobaczyć porewolucyjny Paryż!

–Czy są jakieś nowe wieści na temat epidemii cholery? – pyta nagle gospodarz zza kontuaru. – Co się na ten temat mówi w Stuttgarcie, jeżeli można wiedzieć? Podobno dotarła na wyspy.

–Zgadza się – potwierdza aptekarz. Dłonie splótł na rączce parasola. – Zanotowano w Londynie przypadki wodnistej biegunki, która jest pierwszą oznaką choroby.

–Biegunka, powiada pan. To niedobry znak.

–W rzeczy samej. Biegunka i wymioty powodują odwodnienie organizmu.

–A więc zgon – dopowiada pani Webern.

–Zgon – powtarza jak echo fabrykant zabawek.

Coś dzieje się za zamkniętymi drzwiami. Coś niedobrego. Gęsty mrok zalega w kątach izby, nie jest go w stanie rozproszyć mętne światło wpadające przez szyby okna. Szum deszczu narasta, zagłuszając wszelkie inne odgłosy z zewnątrz. Ze szczelin w podłodze wylażą pająki i rozbiegają się po całej izbie. Jestem chyba przeczulony.

–Okropne nieszczęście – wzdycha gospodarz. – Nie daj Boże, żeby dotarło do nas. Nawet nie chcę o tym myśleć.

–To moskiewskie wojsko przywlokło ją do Europy – wrywa się młodzian, patrząc wyzywająco na towarzyszy podróży. Jego niemczyzna jest troszeczkę kulawa. Lepiej gada po francusku. – Carowi należy podziękować za ten prezent. Wysłał swoich żołdatów, żeby stłumili... powstanie. No i przy okazji moskale oraz... kozacy wywołali epidemię.

Wszyscy przytakują w milczeniu. Polityka.

Rozmowa dyskretnie schodzi na cudowne mikstury, które rzekomo mają chronić od morowego powietrza, lecz ja w tym właśnie momencie przestaję słuchać.

Albowiem do karczmy wchodzi wilkołak.

Wchodzi z naręczem drew na opał. Nie wygląda na więcej niż osiemnaście, dziewiętnaście lat. Dziecko.

Jak wspomniałem, już od paru chwil odczuwałem dziwny niepokój związany z tymi drzwiami, a raczej z tym, co czaiło się za nimi. Zdawało mi się, że narasta tam coś mrocznego, coś obmierzłego, i teraz widzę, iż przeczucia mnie nie myliły. Za tymi drzwiami otworzyła się naraz najprawdziwsza otchłań.

To on.

–Dzień dobry.

Wilkołak stoi przez chwilę w progu, z nieśmiałym uśmiechem przyglądając się dyskutującym o chorobach gościom, a potem nogą zamyka za sobą skrzypiące drzwi i powoli, jakby spacerował po linie, przez całą jadalnię rusza w stronę pieca.

Lekko utyka. Nie przypomina baśniowego stwora: chudy i niski, blada twarz bez wyrazu, oczy jak guziki kamizelki. Nerwowo pociąga nosem. Ma na sobie mokrą od deszczu kuszą kurtkę, zniszczone portki i ubłocone buty, które pozostawiają na podłodze wyraźne ślady. Po twarzy i odsłoniętej szyi ścieka woda.

To na pewno on. Nie mam żadnych wątpliwości.

Bije od młodego mężczyzny fetor kurnika zmieszany z zapachami świeżo porąbanego drewna, mokrej trawy, piwnicznej pleśni i jeszcze jakimś ledwo wyczuwalnym smrodem: słodkawy zapach kadzidla? gnijących ciał? woń śmierci?... Przecież to niemożliwe. Boże drogi, co się ze mną dzieje?

Śmierdzi zgnilizną.

–Za mało przyniosłeś, Rudolf – krzyczy gospodarz. – Trzeba jeszcze do kuchni, będziemy gotować.

–Zaraz doniosę, ojciec.

–Tylko uważaj, żebyś tu psa nie wpuścił.

–Dobra.

–To mój syn, Rudolf – zwraca się do gości gospodarz. Jego twarz jest już tylko szarą plamą w ciemnościach. – Pomaga w interesie, chociaż chciałbym go wysłać do Stuttgartu. Zdolny jest, marnuje się tutaj.

–Przesadza ojciec. – Rudolf jest wyraźnie zakłopotany. Chowa głowę w wątle ramiona i spuszcza wzrok. Smród staje się coraz bardziej natarczywy, niemal namacalny.

Pasażerowie nie zwracają już na młodziana uwagi. Zdolny czy nie, mało jest dla nich ciekawy. Nikt też najwidoczniej nie czuje zapachu śmierci unoszącego się w powietrzu. Nikt prócz mnie nie odczuwa tchnienia grozy. Tymczasem groza wypełnia sobą całą przestrzeń.

–A co pan myśli o noszeniu flanelowych pasów na brzuchu? – pyta aptekarza fabrykant zabawek.

–Szwindel. Niech pan w to nie wierzy.

Zdaję sobie sprawę, że nadchodzi dla mnie, jako dla anioła stróża, godzina próby. Do jadalni wszedł właśnie człowiek, który ma już na swoim sumieniu kilkanaście zabójstw. Dużo więcej, niż podają gazety. Morderca. Okrutny morderca kobiet i młodych zniewieściałych mężczyzn.

Tylko spokojnie. Muszę zacząć działać, nie wolno mi pozostawać w tej chwili jedynie zdumionym obserwatorem. Ostrożnie zbliżam się do mężczyzny, podpływam, a raczej, jak to mam w zwyczaju, rozciągam się na całą szerokość izby. Jestem już przy nim, otaczam go ze wszystkich stron, ale to wciąż za mało, powinienem wejść głębiej, pomimo odrazy muszę dotrzeć do mrocznego jak grób wnętrza jego czaszki.

Rudolf Handke.

Rozbłyśki światła i kolorów. Osiemnaście lat. Matka odumarła go we wczesnym dzieciństwie: gruźlica. Od małego nieśmiały i chorowity – przeszedł zapalenie stawów, a potem tyfus. Nauka przychodziła mu z trudem. Napastowany przez ojca i przynajmniej raz – przez łysęgo jak armatnia kula nauczyciela algebry.

Zamknięty w sobie, nieufny wobec obcych, zafascynowany chorobami oraz śmiercią, odurzający się alkoholem, męczący zwierzęta, a potem ludzi.

Eksplozja białego światła.

Pierwsze morderstwo popełnił w wieku lat piętnastu, kiedy to wypchnął z łódki młodszego kuzyna. Słyszę głos tonącego chłopca, daleki, bardzo słaby, gdzieś na granicy słyszalności.

–Ile jeszcze mam przynieść tych drew, ojciec? – pyta Rudolf ochryłym z podniecenia głosem.

–Drugi raz tyle.

Błysk.

Szary pejzaż, błotnista droga biegnąca przez pola, w górze stado wron. Samotny wędrowiec z podróznym workiem. Zachodzi go od tyłu, ciężki kamień uderza w głowę.

Strzęp skrwawionej koszuli powiewa na kolczastej gałęzi krzewu. Martwa dłoń zaciśnięta na kępce trawy.

Wystarczy.

–I powiedz dziadkowi, żeby zawiózł taczki do szopy.

–Już to zrobił.

–To idź już. No, biegiem. Goście czekają.

Rudolf Handke nie rusza się z miejsca. Stanowczo zbyt długo przygląda się mojemu chłopakowi. Jest podniecony. Krew huczy mu pod czaszką, oddech przyśpiesza, bicie jego serca słyszę tak głośno, jakby ktoś uderzał w bęben. Chłopak kątem oka obserwuje młodego Polaka, niby to zajęty układaniem klocków drewna. Co powinienem teraz uczynić?

Przecież to absurd, izba pełna jest ludzi. Handke to niewątpliwie człowiek bardzo chory, ale nie do tego stopnia, żeby zaatakować

przy świadkach. Musi być niezwykle ostrożny, skoro do tej pory nie dał się złapać, prawda? Nie, nic nam tutaj nie grozi. On zabija z dala od ludzkich oczu. Przecież nie wywabi kompozytora do lasu.

–Mam cię kopnąć w tyłek, żebyś wreszcie wyszedł na zewnątrz, hrabio? – pyta gospodarz.

Rudolf Handke powoli podnosi się z kucek

Wraz z upływem lat zadaję sobie pytanie, dlaczego nie pozwolono mi zająć się chłopcem od samego początku, czyli od kołyski. Czemuż to nie było mnie przy narodzinach, a później podczas wczesnych lat dzieciństwa? Wydawałoby się to naturalne i logiczne. Tymczasem po raz pierwszy ujrzałem go, kiedy chodził już w licealnym mundurku. Kto opiekował się nim do tej pory? Czyżby przez te wszystkie lata pozostawał bez żadnej opieki? A może wszystkim dzieciom w chwili narodzin przydzielany jest zwykły anioł stróż, a specjalista wtedy dopiero, gdy już wiadomo, co z takiego delikwenta wyrośnie, kiedy jako tako wykrystalizuje się jego przyszłość? Na co bankierowi albo kupcowi, choćby w dzieciństwie zapowiadali się na pierwszorzędnym fortepianistów, duch kompozytora czy też kapelmistrza? Po co im w ogóle jakikolwiek opiekun? Tak, to by miało jakiś sens, przejąłem chłopaka, kiedy było już pewne, że poświęci się muzyce.

Do tej pory nie miałem zbyt dużo roboty przy moim podopiecznym. Takie tam drobne interwencje chroniące go przed nieszczęśliwymi wypadkami, zwykła praca zwykłego anioła stróża.

Nic nadzwyczajnego. Nie zawsze jednak wystarczy krótkie ostrzeżenie, jak tego mroźnego przedpołudnia w Pradze, gdy – nieprzytomny jak zawsze – o mało nie wszedł pod rozpędzone konie. Krzyknąłem: „Stój!” i zatrzymał się nagle, jakby mnie usłyszał. Czasami trzeba odrobinę bardziej się postarać, a często nawet ciut zmaterializować.

Nie mam w tym zbyt dużego doświadczenia i prawdę mówiąc, nie mogę się pochwalić żadnymi efektownymi interwencjami w swojej karierze. Raz jeden próbowałem przestraszyć służącą, która podkradała jedzenie w kuchni, lecz skończyło się to dla mnie żałością. Gdyby nie to, że już nie żyłem, pewnie sam umarłbym ze strachu. Ukazałem się mianowicie złodziejce w całej swojej może lekko zamazanej, mimo wszystko efektownej postaci, no i nic, w ogóle mnie nie zauważyła. Natomiast ciotka chłopaka, która niespodziewanie znalazła się za moimi plecami, narobiła takiego wrzasku, że jeszcze do dziś go słyszę. Miałem

ochotę i ja prosić o te sole trzeźwiące, z którymi zleciała się za chwilę cała rodzina. I wcale nie dlatego, że ona się przestraszyła – w końcu jestem duchem i muszę się z tym pogodzić. Najgorsze było to, jak mnie potem opisywała – jako monstrum jakieś okropne. Mnie, na którego widok kobiety mdlały z rozkoszy, a jeśli nawet krzyczały, to w miłosnym upojeniu!

Nie mogę się już przejrzeć w zwierciadle, ale nie wierzę, żebym się aż tak zmienił, i nie będę chyba zbyt zarozumiały, jeśli przypomnę, że niewielu mężczyzn w moich czasach dorównywało mi urodą. Krótko mówiąc: zniechęciło mnie to skutecznie i na zawsze do pokazywania się komukolwiek.

Basta!

Postanowiłem, że nikt już nie będzie wrzeszczał na mój widok.

A jednak...

–Jeszcze raz bardzo państwa przepraszam w imieniu mojego syna. – Karczmarz przytrzymuje drzwi dyliżansu, nie bacząc na wciąż padający deszcz. Pocztylion już siedzi na koźle i tylko czeka, aż będzie można ruszać. – Naprawdę nie mam pojęcia, co go napadło.

–Bardzo nerwowy jest, to prawda. – Aptekarz, lekko zażenowany, pieczołowicie wymiata okruchy z siedzenia. – Dałbym mu coś na uspokojenie, ale akurat nic nie mam przy sobie.

–Po matce jest taki wrażliwy i chorowity. Praca fizyczna to nie dla niego, dlatego myślałem, że może by w mieście, w jakimś urzędzie, wie pan, tyle że nie znam nikogo...

–Tak, tak – kiwa głową Webern. – Dziękujemy panu. Do widzenia.

–Do widzenia.

Fabrykant zabawek zatrząskuje drzwiczki, lecz karczmarz wciąż nie odchodzi, jego bulwiasty nos niemal dotyka mokrej szyby okna.

–Do widzenia.

Szarpnięcie. Pasażerowie zderzają się kolanami, znowu zaczyna skrzypieć i kołysać. Powóz powolutku wydostaje się na drogę, toczymy się wzdłuż płotu, mijamy olbrzymi dąb, a potem pomarszczony staw, w którym zamiast kaczek pływa beczka ze złamaną obręczą. Jest dwadzieścia minut po jedenastej.

–Pierwszy raz widziałem, żeby kogoś tak wykrzywiło – odzywa się cicho fabrykant zabawek, kiedy karczma i wieś znikają wreszcie za drzewami. – Widzieli państwo jego twarz?

–Jakby się skurczyła... – szepcze pani Webern.

–Tak – powiada aptekarz. – Widać, że chłopak przemęczony.

–Co on właściwie zobaczył? Bo nic nie zrozumiałam. Widział ducha?

–Podobno tak. – Fabrykant nie potrafi powstrzymać uśmiechu. – Ciekawie tutaj, nie ma co. Nie dość, że wilkołaki, to jeszcze duchy. Słowo daję, Paryż wyda nam się po tym wszystkim szalenie nudny!

Śmieją się wszyscy, nawet fortepianista, który z całego tego zdarzenia tak naprawdę niewiele widział. Nie zauważył, jak twarz Rudolfa w pewnym momencie zmieniła się nie do poznania, nie dostrzegł również momentu, gdy chłopak zatoczył się i upadł na podłogę. Kompozytor ocknął się z zamyślenia dopiero wtedy, kiedy zrobiło się prawdziwe zamieszanie. Syn karczmarza płakał i krzyczał coś o okrutnie uśmiechającej się zjawie, o duchach zamordowanych, które poszukują zemsty. Trzeba mu było dać po pysku, żeby się

wreszcie uspokoił. Biedny, przemęczony chłopak.

Tak więc umknęło uwadze kompozytora najciekawsze wydarzenie podczas tej podróży. Nie zobaczył efektów mojej brawurowej interwencji. Zbyt głęboko zanurzony był w świecie dźwięków, by zwracać uwagę na takie głupstwa. Jak zwykle zmagał się z muzyczną materią. W trakcie posiłku nad talerzem gulaszu udało mu

się wreszcie dopasować do siebie dwa luźne do tej pory fragmenty ballady. Teraz tworzą już organiczną całość, zazębiają się, teraz każde kolejne ogniwo utworu wyrasta z poprzedniego w sposób naturalny i całkowicie logiczny, cały utwór zaczął oddychać, stał się dynamiczną całością. Różnorodne elementy ujawniły ukryte dotąd podobieństwo, forma została domknięta. Po raz kolejny chaosowi narzucony został ład.

Taką muzykę właśnie chciałby teraz pisać: gęstą, ruchliwą, zmienną, bogatą w różnorodne barwy i odcienie, harmonicznie wyszukaną, melodycznie równie naturalną i giętką jak operowe *bel canto*. Muzykę trudną i skomplikowaną. Ten szczeniak jak diabeł święconej wody boi się muzycznego banału. No i bardzo dobrze. Pytanie tylko, czy Paryż będzie mu chciał za taką muzykę płacić, bo fundusze ojca topnieją w zastraszającym tempie.

Zobaczymy już wkrótce.

Za kilka godzin francuska granica, trzeba więc przygotować paszporty i świadectwa zdrowia. Czy mogę wreszcie odetchnąć z ulgą? Czy jesteśmy już bezpieczny? Roztrzęsiony wilkołak nikomu chyba krzywdy nie robi, epidemia cholery też nas raczej nie dogoni, daleko w tyle pozostawiliśmy łoskot armat, odgłosy uderzeń w bębny, stukot żołnierskich butów. Przed nami Paryż, miasto mody i muzyki. Można by pomyśleć, że największym moim zmartwieniem będą teraz omnibusy i powozy na bulwarach. Obym się nie mylił.

–W związku z tym duchem – mówi fabrykant zabawek – przypomina mi się pewna ciekawa historia, która wydarzyła się bodajże dwa lata temu w Monachium.

–Mam nadzieję, że nie jest zbyt straszna – przerywa mu Klara Webern.

–Ani trochę. Proszę posłuchać. Duch młodej kobiety, którą w dniu ślubu stratowały konie...

Oto więc nadszedł moment, kiedy bez większych wyrzutów sumienia mogę się na chwilę wyłączyć. Myślę, że zasłużyłem sobie na mały odpoczynek i że nikt nie będzie miał do mnie o to żadnych pretensji. Głos fabrykanta oddala się jakby i po chwili przestaje do mnie docierać. Dyliżans kolebie się i trzęsie, a ja patrzę na przesuwające się za oknem mokre drzewa, słucham bębnienia deszczu o brezent, którym przykryte są bagaże na dachu, wdycham wilgotne zapachy lasu i od czasu do czasu uśmiecham się do szyby swoim niewidzialnym uśmiechem.

Tak, zgadliście: jestem z siebie niesamowicie dumny.

Frankfurt

Była środa, trzeci lipca 1974 roku, kiedy nasza furgonetka pojawiła się na autostradzie prowadzącej do Frankfurtu. Pojawiła się, jak to zresztą zaplanowaliśmy, o godzinie czwartej piętnaście nad ranem. Można by pomyśleć, że wszystko potoczyło się bez większych przeszkód, i tak nam się właśnie zdawało jeszcze na minutę przed lądowaniem.

–Poczułeś to? – spytała moja żona.

–To znaczy co?

–Sama nie wiem. Wydaje mi się, że to już. Nie poczułeś tego szarpnięcia przed chwilą?

–Nie.

Siedzieliśmy ramię w ramię, plecami do szoferki. Wszędzie wokół nas, nawet na suficie, brzęczała i migotała elektroniczna aparatura, bez której jak sądzę, nigdzie byśmy się nie przenieśli. Szkoda tylko, że zabierała tyle miejsca, bo dla naszej trójki pozostało go już naprawdę niewiele. Akurat tyle, by móc w miarę swobodnie podnieść rękę do głowy.

Poprawiłem więc swój kapelusz,

który dostałem zamiast peruki, i całkiem bezwiednie sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni marynarki, gdzie obok portfela miałem ukryte papierosy. Zamarłem.

–W każdym razie coś szarpnęło – powiedziała Julia.

–Nie wiem, o czym mówisz – odparłem sucho. – Co miało niby szarpnąć?

–To był lekki wstrząs.

–Akurat.

–Jakby coś w nas uderzyło.

–Nie opowiadaj bzdur. Przecież musiałbym to zauważyć.

Otóż to. Od dobrych piętnastu minut nie odczułem żadnej zmiany, co najwyżej lekki spadek ciśnienia. Swoją drogą zastanawiałem się, czy to dobrze czy wręcz przeciwnie. Może powinno się coś wydarzyć?

Popatrzyłem kątem oka na żonę. Chyba nie dostrzegła mojego ruchu. Ostrożnie, by nie zaczepić łokciem o jakieś przewody, położyłem dłoń z powrotem na kolanie. Była cała spocona. Gdyby Julia zobaczyła, że mimo wszystko przemyciłem papierosy, z pewnością zrobiłaby z tego aferę, wołałem więc nie dawać jej powodów do podejrzeń.

–Albo raczej jak przy hamowaniu – uściśliła.

–No i dobrze. Skończmy ten temat.

–Nawet jeżeli mi nie wierzysz, to nie musisz krzyczeć.

–Ależ oczywiście, że ci wierzę. Przed chwilą nastąpił wstrząs. Jak przy hamowaniu.

Zgadza się?

–Mocniej! – wtrącił Adrian.

–Co powiedziałaś?

Nasz dziewięcioletni syn siedział dokładnie naprzeciwko mnie, chociaż w tej plątaniu kabli i rur ciężko było cokolwiek dostrzec.

Na dobrą sprawę słyszałem tylko jego podekscytowany głos:

–Jakbyśmy zahamowali, tato, tylko że mocniej!

Chciał jeszcze coś dodać, lecz już nie zdążył, ponieważ właśnie wtedy koła uderzyły o asfalt i zaczęło się.

Nie wiem, czy udałoby się nam wyjść z tego cało, gdyby nie pasy, którymi przypięci byliśmy do foteli. Jeśli mam być szczerzy, nie przypominało to ani hamowania, ani nawet zderzenia. Od potężnego wstrząsu zgasły wszystkie lampy, ekrany oraz cała reszta aparatury. W mgnieniu oka zrobiło się całkiem ciemno. Niemal równocześnie usłyszeliśmy zgrzyt hamulców i coś, co w moich uszach zabrzmiało jak trzask gnieczonego metalu. Na zewnątrz zawyły klaksony, podczas gdy ja nie mogłem nawet porządnie wrzasnąć, bo kolejne targnięcie pozbawiło mnie tchu.

Nie ulegało już wątpliwości, że wylądowaliśmy na autostradzie. Pozostało jeszcze pytanie, jak długo zdołamy się na niej utrzymać, biorąc pod uwagę tak gwałtowny przebieg zdarzeń. Miałem nikłą nadzieję, że może to koniec, ale gdzie tam, nowe uderzenie wstrząsnęło furgonetką i dla odmiany wszystkie te kurewskie przyrządy zaczęły pracować jak oszalałe. Zamknąłem oczy. Sztwywny jak manekin, z plecami wbitymi w oparcie fotela, mogłem tylko bezsilnie czekać na to, co robi kierowca.

–Mieliśmy wypadek! – z dumą wykrzyknął mój syn.

Dopiero po dłuższej chwili zorientowałem się, że jest po wszystkim. Kapelusz jakimś cudem wciąż tkwił na mojej głowie. Tyle wiedziałem na pewno. Kiedy w końcu otworzyłem oczy, zobaczyłem pochyloną nad sobą twarz Julii.

–Dlaczego rozpięłaś pasy? – spytałem ze złością.

–Myślałam, że straciłeś przytomność. Miałeś zamknięte oczy.

Światła to zapalały się, to znowu gasły, od czasu do czasu coś brzęczało po mojej prawej stronie, za to przestało już nami rzucać i wyglądało, że najgorsze mamy za sobą.

–To przez to wasze zawracanie głowy – powiedziałem.

Julia na powrót usadowiła się w swoim fotelu. Adrian, który ważył już prawie tyle co matka, wiercił się za zasłoną z przewodów, usiłując zapewne uwolnić się z tej plątaniny. Spoza metalowych ścian dobiegał spokojny nareszcie głos silnika. Prawdopodobnie cofnęliśmy się właśnie o blisko pięćdziesiąt lat, jednakże mój humor daleki był od szampańskiego. Inaczej to sobie, że tak powiem, wyobrażałem.

Dziesięć minut później nasz ukraiński kierowca, Wiaczesław, zatrzymał furgonetkę na zwirowym parkingu przy autostradzie.

–Jezus Maria, co to było? – zapytałem, kiedy podniósł klapę. – Uderzyła w nas ciężarówka czy jak?

–Gdzie tam ciężarówka – powiedział wesoło. – Zarzuciło nami trochę przy lądowaniu i porysowaliśmy karoserię.

Nie mam pewności, czy Wiaczesław jest rzeczywiście Ukraińcem: jego polski wydaje mi się irytująco doskonały. Nawet śladu wschodniego zaśpiewu.

–Od wewnątrz wyglądało to raczej nieciekawie – mruknąłem, uwalniając się z uprzęży.

–Możliwe – zgodził się. – Najważniejsze, że jesteśmy na miejscu. Prawie na miejscu.

Nogi ugięły się pode mną, gdy zeskakiwałem na ziemię, jakbym powracał z wieloletniego pobytu na orbicie. Bądź co bądź to sto dziesięć kilogramów żywej wagi.

–To znaczy, żeśmy się przenieśli? – spytała wyskakująca w ślad za mną żona. – Mówiłam ci, że to już, ale mi nie wierzyłeś. Która jest teraz godzina, proszę pana?

–Po czwartej – powiedział kierowca. – Dokładnie dwadzieścia pięć po.

–Strasznie zimno.

–Bo to czwarta rano – wyjaśnił.

Rozpieczętował paczkę papierosów i zapalił, odwracając się plecami do wiatru. Parking położony był tuż przy autostradzie, między stacją benzynową a motelem. Oprócz naszego volkswagena stały tu jeszcze trzy samochody, w tym jeden z przyczepą kempingową, nikt się o tej porze przy nich nie kręcił. O ile mogłem się zorientować, byliśmy sami. Od czasu do czasu z autostrady dobiegał łoskot przejeżdżających ciężarówek.

–A który jest rok? – spytałem nieśmiało.

–Przecież widzisz, że te wozy są jakieś stare – powiedziała Julia.

–To żaden dowód – odparłem. – Te garbusy jeszcze do niedawna produkowano w Meksyku. A zresztą...

–Spokojnie, spokojnie – przerwał nam Wiaczesław. – Jest taki rok, jaki chcieliśmy, nie inny.

–Czyli tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty czwarty? – zapytał Adrian, który też miał problem z utrzymaniem się na nogach.

–Właśnie, kolego.

Ukrainiec podciągnął spodnie i z papierosem w zębach przykucnął obok przedniego koła furgonetki, przyglądając się śladom po zderzeniu. Wiatr szarpał jego zapuszczonymi specjalnie na ten wyjazd włosami i wielkim czarnym krawatem, bardzo zresztą podobnym do mojego.

Patrząc na naszego przewoźnika, ciężko było zapomnieć o własnym wizerunku. Aby nie wyróżniać się zbyt na tle mieszkańców Niemieckiej Republiki Federalnej, musieliśmy poddać się odpowiedniej charakteryzacji. Ciuchy i fryzury z lat siedemdziesiątych plus kilka nieprawdopodobnych gadżetów (kapelusz, szelki, koraliki). W efekcie tych zabiegów wyglądałem jak Robert Ga-docha do kwadratu, a moja żona, co można było zauważyć, wstydziła się pokazać nawet na pustym parkingu.

–Może lepiej zamknąć tę klapę – odezwała się teraz. – Po co ktoś ma zaglądać do środka?

Więcej niż połowę twarzy zasłaniały jej podobne do lotniczych gogli pomarańczowe okulary w plastikowych oprawkach. Okulary jak się patrzy!

–Już jedziemy – oznajmił Wiaczesław. – Tylko dopałę. Bardzo proszę ustawić sobie zegarki. Jak się komuś chce sikać, to szybciotko, bo mamy przed sobą ponad dwieście kilometrów.

Opróżniłem pęcherz w zaroślach oddzielających parking od autostrady. Woląłem nie korzystać z kiosku we, który wskazał nam Ukrainiec – wyglądał jak wielce skomplikowana pułapka. W drodze powrotnej, wciąż masując kark i rozprostowując zdrętwiałe kolana, doszedłem do wniosku, że wszystkim nam będzie

wygodniej, jeśli na pozostałą część trasy przeniosę się do szoferki. Miałbym więcej miejsca na nogi, a w dodatku mógłbym na bieżąco śledzić wjazd do miasta. Nie wspominając już o papierosach.

Wydawało mi się, że to znakomita myśl, dopóki nie wypowiedziałem jej głośno. Kierowca nie miał oczywiście nic przeciwko temu, za to żona zareagowała na swój sposób, czyli cierpko.

–Przecież wam też będzie wygodniej beze mnie – powiedziałem już zniechęcony.

–Skoro tak uważasz... – odparła.

Patrzyła spoza tych swoich okularów, jakby nie mogła mnie poznać w nowym kapeluszu.

–Jeśli to taki problem, mogę zostać tam z wami – zaproponowałem. – Jest mi to naprawdę obojętne. Albo lepiej: ty usiądziesz przy kierowcy i będziesz pilotować. Co ty na to?

–Ja też chcę siedzieć w szoferce, tato!

–Ciebie nikt nie pytał – huknąłem.

–Masz rację – zwróciła się do mnie Julia. – Bez ciebie będzie nam dużo wygodniej.

Teraz już wszyscy byliśmy obrażeni, nawet Adrian. W ponurym milczeniu pomogłem im zapakować się do furgonetki, sprawdziłem, czy dobrze zapięli pasy, a następnie pospiesznie opuściłem to klaustrofobiczne wnętrze, by wraz z Ukraińcem zatrzasnąć klapę.

Poczułem się jak zdrajca.

Chwilę potem Wiaczesław wyprowadził samochód z parkingu i z niepotrzebnym piskiem opon włączył się do ruchu na autostradzie. Czekają na nas mieszkanie w luksusowej dzielnicy Frankfurtu, skąd mieliśmy się udać na Stadion Leśny, aby obejrzeć na żywo mecz Polska – NRF.

Mecz o finał mistrzostw świata, jakby się ktoś pytał.

Odczekałem, aż ujedziemy kilka kilometrów, i dopiero wtedy sięgnąłem po papierosa.

–Wolno tu palić?

Ukraińiec skinął głową, nie odrywając wzroku od drogi. Po tym jak go zobaczyłem z papierosem na parkingu, przestałem się przejmować procedurą. Skoro on mógł, to ja tym bardziej. W końcu zapłaciłem za tę wycieczkę. Swoją drogą byłem ciekaw, ile jeszcze przepisów złamiemy dzisiaj.

O tej porze ruch na autostradzie był niewielki. Minęliśmy ledwie kilka samochodów, przeważnie ciężarowych, choć trafiały się i prastare osobowe na berlińskich rejestracjach. Wiaczesław dociskał gaz do dechy, jak gdyby mecz miał się rozpocząć o szóstej rano. Pochylony nad kierownicą wydawał się strasznie masywny. Sunęliśmy wzdłuż betonowej barierki, słuchając miejscowych radiostacji, a przelatujące nad nami ciemnoniebieskie tablice informacyjne uroczyście zwiastowały już Frankfurt.

–Coś jest nie tak z zawieszeniem – powiedział nagle Ukraińiec. – Słyszysz pan, jak dzwoni?

Mimo najlepszych chęci nie mogłem wyłowić nic poza rykiem silnika i dobiegającymi z radia dźwiękami jakiejś rzewnej szwabskiej ballady.

–Czyli mieliśmy jednak problemy z lądowaniem? – zapytałem ironicznie.

–Lepiej.

–To znaczy?

Na sekundę odwrócił w moją stronę szeroką twarz: – uśmiechał się.

–Teraz już mogę panu powiedzieć. Cud, że żyjemy. Sam pan rozumie, nie chciałem przy małżonce z takimi tematami. Ani przy dziecku.

–No tak...

Zastanawiałem się właśnie, gdzie mam strzepywać popiół z papierosa, lecz zanim zdążyłem coś znaleźć, szary słupek złamał się i spadł między moje kolana.

–Cud, że żyjemy – powtórzył. – Tyle panu powiem. Operatorzy widocznie coś źle policzyli i jechaliśmy, kurwa, pod prąd. Niech pan strzepuje przez okno. Małą szybkę można śmiało otworzyć.

Poczułem, że jest mi za gorąco w tym kapeluszu.

–Jak to: pod prąd? Pan chyba żartuje.

Nic nie powiedział, tylko zdjął lewą rękę z kierownicy, wystawił ją przez uchylone okno i wskazał kciukiem kierunek przeciwny do tego, w którym jechaliśmy. Przez cały ten czas uśmiech nie schodził mu z twarzy.

–Chce pan powiedzieć, że ktoś tam popełnił błąd, w wyniku którego mogła zginąć cała moja rodzina?

–Mniej więcej.

–Nie wierzę.

Wykorzystał to, że jego dłoń znajduje się chwilowo na zewnątrz, i zaczął manipulować przy bocznym lusterku.

–Każdemu się wydaje, wie pan, że przy całej tej technologii wszystko musi pójść jak z płatka – powiedział pogodnie. – Komputery i te rzeczy. Zresztą co ja będę mówił, sam pan widział ten sprzęt z tyłu. A tu się nagle okazuje, że gówno prawda. Wystarczy minimalny błąd, żeby wylądować na dachu. Nie pierwszy raz mi się coś takiego zdarza, nie pierwszy.

–To mnie nie obchodzi. Nie po to ładuję tyle forsy, żeby potem ktoś robił takie numery.

–Ten ktoś się widocznie zdenerwował. Człowiek jest tylko człowiekiem.

–Potrafię zrozumieć ludzkie słabości, proszę mi wierzyć. Tylko niech pan spojrzy na to z mojej strony. Zapłaciłem mnóstwo pieniędzy. Nie jestem magnatem finansowym, a jedynie właścicielem zakładu pogrzebowego i sieci kwaciarni.

–Słyszałem, że ten pański „Denat” przoduje na rynku.

–Przesada – powiedziałem skromnie. – Tylko w regionie. Ale miło mi, że pan o nim słyszał. W każdym razie zapłaciłem...

–Obojętne ile by pan zapłacił – przerwał kierowca – zawsze się znajdzie taki, który czegoś nie dopilnuje. Tak to już z nami jest.

–Z wami?

–Z nami wszystkimi. Wie pan, o kim mówię. Taką mamy naturę. Niezbyt to odkrywczę. Jak złączą w ten interes wchodzić inni, Amerykanie, Niemcy albo Szwedzi, może będzie to w miarę normalnie funkcjonować. Tyle że na razie, proszę pana, nie robi tego nikt oprócz Rosjan. Nie mam racji?

–Cholera jasna, powiedziano mi, że ryzyko jest prawie zerowe.

–A co mieli panu powiedzieć?

Wyrzuciłem przez okno całkiem dobrego papierosa i natychmiast zapaliłem następnego. Wiczesław wyjął ze schowka jakieś

ukraińskie wynalazki bez filtra. Po chwili w szoferce zrobiło się aż gęsto od tytoniowego dymu. Odechciało mi się rozmowy. Siedziałem i patrzyłem, jak po obu stronach autostrady w przerażająco równych odstępach przemykają stacje Sheila, zajazdy i motele ze zgaszonymi już neonami.

Im bliżej byliśmy Frankfurtu, tym większy robił się tłok na autostradzie i na jej poboczach. Sznur ciężarówek z naczepami zmusił nas do przeskoczenia na lewy pas, dwieście albo i więcej metrów przejechaliśmy w takiej chmurze spalin, że nie złągodził tego nawet dym z naszych tanich papierosów.

Aby poprawić sobie nastrój i uciszyć wyrzuty sumienia, zacząłem odtwarzać w pamięci wszystkie bramki, jakie strzelili Polacy na mistrzostwach w rfn. Po kolei. Nie jest to takie łatwe, bo na przykład drugi i trzeci gol w meczu z Haiti są do siebie tak podobne, że zwykle zlewają mi się w jeden. Poczuję się lepiej już przy strzale z trzydziestu metrów Gorgonia, a miałem przed sobą jeszcze ulubione spotkanie z Włochami, kiedy to Lato rozdawał

nieprawdopodobne całusy Szarmachowi i Deynie.

Po bramce ze Szwecją doszedłem do wniosku, że Ukrainiec ma sporo racji. Bo czego się niby spodziewałem? Szwajcarskiej precyzji? Przecież my właściwie przecieraliśmy szlaki. Cały ten interes z podróżami w czasie dopiero się rozwijał, a w dodatku – co tu dużo mówić – nie był całkiem legalny. Typki, które przejęły nad nim kontrolę, niewiele miały wspólnego z nauką, a jeszcze mniej z turystyką, trudno więc było uniknąć amatorszczyzny. Chcąc nie chcąc byliśmy pionierami, i to zdanymi na ludzi wyglądających jak rzeźnicy przebrani za telewizyjne gwiazdy...

Amerykanie, od których tak naprawdę wszystko się zaczęło, nie mogli nas przenieść, bo zajęci byli głównie wysyłaniem w przeszłość pojedynczych fotonów oraz badaniem paradoksów przewidzianych podobno przez teorię. Ukryli się w tajnych laboratoriach, udoskonalając technologię, i wyglądało na to, że jeszcze długo w nich pozostaną. Z tych samych powodów nie wysłali nas do Frankfurtu Japończycy ani Holendrzy.

Ani nawet Włosi.

Pozostali więc Rosjanie, którzy nie boją się niczego, a już najmniej paradoksów. Zwłaszcza gdy można zrobić całkiem niezły interes. Prędkość, z jaką przeszli od pojedynczego fotonu do dwóch najzupełniej materialnych węgierskich polityków, musi wzbudzać podziw. Nie znaczy to, że po drodze nie było żadnych etapów pośrednich. Chodzi o tempo i rozmach, którego zabrakło innym.

Jeden z Madziarów był kiedyś srebrnym medalistą olimpijskim w pływaniu (tylko na których igrzyskach?), a następnie, jak przeczytałem w prasie, wiceministrem sportu na Węgrzech. Załóżmy, że to wszystko prawda. Jego kolega też nie był zapewne byle kim, skoro tamten zabrał go ze sobą w tak kosztowną podróż. W pionierską podróż, trzeba od razu zaznaczyć. Bo przecież to właśnie ci dwaj bohaterscy Węgrzy, medaliści czy nie, zostali pierwszymi ludźmi, których Rosjanie oficjalnie przeszmyglowali w przeszłość. Przenieśli ich na jeden dzień do zimnowojennego roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego.

Do Szwajcarii.

No i dobrze. Tym, co mnie w tej historii najbardziej urzekło i zainspirowało, nie była sama podróż w czasie, lecz jej cel. Wydawałoby się, że Szwajcaria lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku to nie jest miejsce, które mogłoby rozpałcić czyjąkolwiek wyobraźnię. Są tysiące ciekawszych adresów. Ale Węgrzy doskonale wiedzieli, co robią. Przecież właśnie w tym czasie odbywały się tam V Mistrzostwa Świata w Piłce Nożnej, podczas których ich arcywybitna jedenastka biła na głowę całą futbolową resztę, jeśli nie liczyć pechowego doprawdy finału z Niemcami. To, w jaki sposób Puskas i spółka nie zdobyli wtedy pucharu, do dzisiaj stanowi największą tajemnicę w historii sportu.

Podróżnicy w czasie nie chcieli jednak rozwiązywać tej zagadki, lecz wybrali wcześniejszy mecz z Urugwajem, gdy jeszcze wszystko wyglądało dla Węgrów wspaniale. Przybyli, zobaczyli, zwyciężyli. Po fenomenalnym spotkaniu, które ich jedenastka wygrała 4:2, powrócili w nasze czasy, podobno zdrowi i szczęśliwi.

Nie jestem wprawdzie politykiem, ale umówmy się, pieniądze posiadam. „Denat” oraz wiązanki pogrzebowe z żywych kwiatów to nie są moje jedyne źródła dochodu. Gdyby tak było, mógłbym sobie pozwolić co najwyżej na Wyspy Kanaryjskie. Na szczęście mam

jeszcze w mieście parę niezłych interesów, o których nie pora teraz mówić. Tak więc strona finansowa przedsięwzięcia nie odstraszyła mnie. Obliczyłem sobie, że lata siedemdziesiąte muszą być dużo tańsze niż pięćdziesiąte, co okazało się nie do końca prawdziwe. Mimo to bardzo wcześnie rozpocząłem wstępne negocjacje z odpowiednimi ludźmi w Rosji, aby niecałe cztery miesiące później, wraz z żoną i synem, wsiąść do wehikułu, który spod Moskwy przeniósł nas w okolice Frankfurtu.

No a potem jechaliśmy autostradą pod prąd.

Prawdę mówiąc całkiem inaczej wyobrażałem sobie nasz wjazd do Frankfurtu.

Oglądając telewizyjne relacje z mistrzostw, można odnieść wrażenie, że wszystkie place i ulice miasta opanowane są na okrągło przez tłumy rozśpiewanych kibiców z flagami i transparentami. Powinny trąbić klaksony, a przez otwarte okna volkswagenów i innych niemieckich samochodów powiewać proporce albo kolorowe podobizny piłkarzy. Czegoś w tym stylu właśnie oczekiwałem. Tymczasem przyjechaliśmy przed szóstą, kiedy chodniki są niemal puste, sklepy i knajpy jeszcze zamknięte, a jeśli w ogóle można gdzieś poczuć atmosferę wielkiego turnieju, to na pewno nie pośród tych zastawionych zdezelowanymi samochodami uliczek na przedmieściach. Nieliczni napotkani ludzie wydawali się jacyś mało realni.

–Strasznie tu spokojnie – odezwałem się, żeby cokolwiek powiedzieć.

–Tak – zgodził się Wiaczesław. – I czysto. Jedno trzeba Niemcom przyznać: ulice to oni mieli zawsze czyste.

–Bardzo czyste.

–Niemiecki porządek. Nie to co u nas.

Skręcił, by ominąć autobus, który od jakiegoś czasu tarasował nam drogę. Zazgrzytały zmieniane biegi. Przejechaliśmy obok ślepej ściany z betonu i cegieł, a potem potoczyliśmy się wzdłuż ogrodzenia, za którym schowana była pewnie jakaś fabryka.

Zawieszenie podzwaniało teraz tak, że nawet ja słyszałem. Nasz wehikuł ewidentnie się rozlatywał.

–A swoją drogą to pana podziwiam – odezwał się Ukrainiec, kiedy przy skrzyżowaniu czekaliśmy na zmianę świateł. Tuż przed naszą maską przedefilowała staruszka w popielatym kapeluszu, trzymając na rękach coś, co zapewne było psem, choć wyglądało jak wypchana skarpeta. – Musi pan być naprawdę zapalonym kibicem, skoro tyle pan zapłacił za obejrzenie archiwalnego meczu.

–To mecz, który przeszedł do historii – odparłem.

–Przecież zna pan wynik.

–Znam na pamięć każdą akcję – powiedziałem z uzasadnioną dumą.

–No więc właśnie. Co tu jest do przeżywania, jeśli wiadomo, ile będzie?

Zapaliło się zielone i ruszyliśmy ostro z miejsca. Staruszka obejrzała się za nami przestraszona. Wypchana skarpeta wypadła jej z rąk i rozpaczliwie potoczyła się po chodniku w stronę drzew.

–To inny rodzaj emocji – wyjaśniłem.

Trudno jest wytłumaczyć komuś, kto się tym nie fascynuje, jak wiele taki historyczny mecz może znaczyć dla kibica narodowej reprezentacji, którego nie rozpieszczą terażniejszość. Julia też miała problem ze zrozumieniem. Za nic nie mogła pojąć, czemu

zamiast na Majorkę uparłem się zabrać ją do czarno-białych Niemiec lat siedemdziesiątych. W dodatku na mecz piłkarski. Bardzo wiele czasu zajęło mi przekonanie jej, że to jedyna szansa na przeżycie czegoś niepowtarzalnego. Nie wiem, czy mi się to do końca udało. W każdym razie i ona, i Adrian byli tutaj ze mną.

–Ja tam się piłką nie bardzo interesuję – oznajmił Ukrainiec. – Wolę boks. Nawet dwa razy miałem złamany nos. Pamiętam jeden mecz: Gruzja-Rosja, eliminacje do Mistrzostw Europy albo coś takiego.

Nasz wehikuł przeglądał się teraz w całym szeregu sklepowych witryn, nad którymi widniały azjatyckie nazwy. Z zaparkowanego przy chodniku volkswagena garbusa wyskoczył grubas w rozpiętej na piersi koszuli. Miał bokobrody i mnóstwo włosów nad uszami, zupełnie jak ja.

–Mecz odbywał się w Tbilisi – kontynuował Ukrainiec. – Komplet publiczności, sztuczne oświetlenie, te sprawy. Do osiemdziesiątej którejś tam minuty był bezbramkowy remis. I wtedy Gruzini przeprowadzają akcję prawą stroną, jedyną chyba składną akcją w całym meczu... – Zaciągnął się i wyrzucił niedopałek na jezdnię. – Ruscy obrońcy chcą ich złapać na spalonym, tylko że dwóch się zagapiło i sędzia nie gwizdże. Ryk na trybunach, publika wstaje z miejsc, o ile mają tam jakieś miejsca siedzące. Gruziński napastnik jest już sam na sam z bramkarzem, niech pan posłucha, ma może ze trzy, cztery metry do pola karnego i nagle gaśnie światło. Awaria, koniec. Mecz zostaje przerwany, a potem odłożony.

–To rzeczywiście mieli pecha – powiedziałem.

Popatrzył na mnie, jakby dopiero teraz zauważył, że ktoś koło niego siedzi.

–Pecha? Jakiego pecha? Ruscy wyłączyli światło w całej Gruzji, kiedy tylko tamten wyszedł na czystą pozycję.

–Myśli pan?

–A jak? Wiadomo – zabębnił paluchami o kierownicę. – Po prawej zaraz będzie Kaiserstrasse.

Spojrzałem w tę stronę: zobaczyłem tylko budkę telefoniczną i stoisko z gazetami.

–To znaczy, że jesteśmy blisko centrum? – spytałem nieufnie.

–Bardzo blisko. Wzięli i wyłączyli światło, oto co zrobili.

Ominęliśmy jednak centrum, zagłębiając się w labirynt bocznych ulic tak podobnych do siebie, że przestraszyłem się, iż po prostu jeździmy w kółko. Coś musiało w tym być, bo w pewnym momencie Ukrainiec rozłożył na kierownicy plan miasta i od tej pory już tylko częściowo pochłonięty był prowadzeniem furgonetki. Tymczasem minęła szósta.

–Długo to jeszcze potrwa? – nie wytrzymałem.

–Sekundkę – wybąkał, szeleszcząc planem, który rozlatywał się już ze starości.

–Tam w środku siedzi kobieta z dzieckiem. Za chwilę mi się uduszą.

–Jeden moment. Nic nie mogę odczytać z tego gówna.

Przed nami pulsował kierunkowskaz skręcającego w prawo opla. W jadącym z przeciwnej strony samochodzie siedziała sztywna jak lalka dziewczyna w pomarańczowych okularach. Raczej brzydka. Zahamowała, by przepuścić zaspanego mężczyznę z dzieckiem.

–Może ja spróbuję – zaproponowałem zrezygnowanym głosem.

–Nie. Zapytamy tego gnojka.

Pod daszkiem osłaniającym wejście do narożnego sklepu z tytoniem przycupnął chłopak

wyglądający na Araba albo Turka. Zjechaliśmy do krawężnika.

–Tutaj jest zakaz zatrzymywania się – powiedział Ukrainiec. – Zna pan może niemiecki?

Ujrzawszy moją minę, pospiesznie zgarnął plan Frankfurtu i wyskoczył na jezdnię. Musiał chłopakowi dać papierosa, zanim tamten w ogóle pozwolił się o cokolwiek zapytać. Sądząc po gestykulacji, można by pomyśleć, że poszukiwana przez nas ulica leży gdzieś na drugim końcu miasta, kiedy jednak Ukrainiec znalazł się z powrotem za kółkiem, zobaczyłem uśmiech na jego twarzy.

–W porządku – oznajmił. – To dwie przecznice stąd.

Na wszelki wypadek nie okazałem entuzjazmu.

Znaleźliśmy w końcu ulicę, zupełnie zwyczajną i rzeczywiście mało rzucającą się w oczy: jakieś garaże, tylne wejścia do sklepów oraz obleśne trzypiętrowe budynki mieszkalne. Do tego stosy pustych skrzynek i drewnianych palet za drucianą siatką.

Upłynęło kilka minut, nim mogliśmy otworzyć furgonetkę bez narażania się na ciekawskie spojrzenia tubylców.

Potem poszło już szybko i sprawnie. Julia z Adrianem, zataczając się, stanęli na świeżo zamiecionym chodniku, a Wiaczesław zamknął wehikuł. Przeszliśmy na drugą stronę ulicy, oglądając się na boki, jak gdyby w każdej chwili mógł nadjechać zielono-biały samochód zachodniemieckiej policji. W bramie śmierdziały

piwne szczyny, za to klatka schodowa była czysta, jakby ją ktoś przed chwilą wysprzątał. Na podeście drugiego piętra czyścił sobie ptaszka bury kot. Nie powiem, żeby był nami specjalnie zainteresowany.

–Ciekawe, jak ma na imię – rzekła Julia, przystając, by rozprostować plecy.

–Pewnie Hans albo Gunter – powiedziałem.

Adrian parsknął śmiechem i natychmiast umilkł, przypomniał sobie bowiem, że jest obrażony. Ukrainiec położył tylko palec na ustach, po czym wskazał nim na drzwi, które zaraz potem otworzył wydobytym z kieszeni kluczem.

Zgasił papierosa o poręcz i rzucił go na schody.

–To tutaj – wyszeptał.

Bardzo ostrożnie, jakby bojąc się kogoś obudzić, weszliśmy do ciasnego przedpokoju i po niemiłosiernie skrzypiącym parkiecie dotarliśmy do drzwi z mleczną szybą.

–Nie jest to może apartament kanclerza, ale jako tymczasowe lokum powinno się nadać – powiedział półgłosem.

Wystarczył jeden rzut oka, żeby przyznać mu rację.

Pokoik był, co tu dużo mówić, dosyć obskurny. Przykryty sraczkowatą narzutą tapczan zdominował całe pomieszczenie. Prócz niego władowano tu jeszcze malutki kredens z przesuwanymi szybkami, okrągły stolik, dwa krzesła i coś, co przynajmniej z daleka przypominało odbiornik telewizyjny. Śmierdziało papierosami i wodą po kwiatkach.

–I tak nie będziemy tu siedzieć, tylko pójdziemy zwiedzać miasto – powiedziałem ponuro, podchodząc do okna. Widać z niego było naszą zaparkowaną byle jak furgonetkę.

–Mogą się państwo odświeżyć w łazience – poinformował przewoźnik. – Jest chyba prysznic z ciepłą wodą. W kuchni znajdzie się herbata i coś do zjedzenia. Ja już będę jechał, bo muszę, cholera, gdzieś ukryć auto. Za bardzo się rzuca w oczy po tej stłuczce.

Wręczył nam zapasowy klucz, pieniądze i kartkę z adresem. Dokumenty oraz bilety na

mecz miałem już przy sobie. Schowałem to wszystko do staroświeckiego portfela, który umieściłem w wewnętrznej kieszeni marynarki obok papierosów.

–Spotykamy się tutaj punktualnie o dwudziestej – powiedział Ukrainiec. – Teraz jest, proszę sprawdzić, za dwadzieścia siódma. Jeszcze raz przypominam o procedurze, no i życzę wspaniałych wrażeń. Wszystko panu zostawiłem?

–Raczej tak.

Pożegnał się i zapalając kolejnego papierosa, szybkim krokiem wyszedł z mieszkania. Po chwili zobaczyłem, jak nasz volkswagen wytacza się z uliczki, odprowadzany wzrokiem przez dwóch zarośniętych facetów w roboczych kombinezonach.

–Wreszcie mamy go z głowy – powiedziałem.

–Co chcesz? – zapytała Julia. – Moim zdaniem jest sympatyczny. I dobrze mówi po polsku.

–Aż za dobrze.

Podszedłem do telewizora i wcisnąłem potężny guzik. Zielone niczym szkło butelki oko jakby zabłysło, tyle że nie pojawił się żaden obraz.

–Może to radio – zasugerowała Julia.

–Głosu też nie ma – powiedziałem, kręcąc gałką. – Zepsuty. Sprawdzę łazienkę.

Jak można było przewidzieć, nie znalazłem tam powodów do zachwytu. Niekompletne kafelki, ślady palców na lustrze i odświeżacz powietrza w kształcie szyszki. Na drzwiach wisiał męski szlafrok, o który niechcący się otarłem. Opłukując twarz nad umywalką, starałem się nie zaglądać w lustro, ale oczywiście zajrzałem. Nie wiem, czy nie lepszym rozwiązaniem byłaby jednak peruka. W każdym razie teraz już było za późno.

–Wszystko przez tę zmianę czasu – powiedziałem do swojego zniewalającego odbicia.

Urwałem z rolki papierowy ręcznik, wytarłem się, a potem zmiąłem go i wrzuciłem do muszli, gdzie pośród rozmiękłych niedopałków pływały już ze trzy takie kulki. Właściciel się raczej nie obrazi. Sądząc po wyglądzie umywalki, wanny i całej reszty, był to zapewne gość, który po mieszkaniu paraduje w samych slipkach, naczynia myje raz na tydzień, a wieczorami pali w łóżku, strzepując popiół do słoika po majonezie.

Przestraszyłem się, wychodząc z łazienki, bo usłyszałem, jak ktoś głośno mówi po niemiecku. Mój syn podbiegł do mnie i pociągnął za rękę do pokoju.

–Tato, telewizor sam się włączył!

Obraz był słabutki, z kolei dźwięk podkręcony chyba na cały regulator. Poprzez latające z góry na dół pasy zobaczyliśmy czarno-białego Breżniewa ściskającego dłoń czarno-białemu Nixonowi. Towarzyszył temu komentarz słowny i muzyczny.

–Żenada – stwierdził Adrian.

–Cud, że o tej porze w ogóle coś puszczają – powiedziałem, usiłując ściszyć to kurewstwo.

–Obudziłeś pewnie wszystkich sąsiadów – odezwała się Julia.

–Ja obudziłem? – spytałem.

–Ty to włączyłeś.

–Sam się włączył! – krzyknął Adrian.

Udało mi się ustawić normalną głośność. Przysunąłem sobie krzesło, żeby nie siadać na tapczanie.

Program sam w sobie nie był może porywający, ale w jakiś dziwny sposób przyciągał naszą uwagę. Przez kilkanaście minut oglądaliśmy dramatycznie wyblakłe twarze na niewyraźnym tle, słuchając niezrozumiałego komentara i pompatycznej muzyki. Potem nastąpiła studyjna rozmowa, która przypominała mi skecz z Monty Pythona, tyle że po niemiecku. Obejrzelismy ją w całości. Ledwie skończyli gadać, pojawiło się dwóch nowych dyskutantów, tym razem w plenerze. Już miałem zgasić telewizor, bo zaczęły mnie boleć oczy, kiedy nagle zobaczyłem Kazka Deynę z opaską kapitana na ręku, ustawiającego piłkę na jedenastym metrze.

–Patrzcie! – zawołałem, zrywając się z krzesła. – Polska-Jugosławia! Pokazują bramki! Deyna strzela karnego!

–Przestań się drzeć – syknęła Julia. – Jest szósta rano. Mieliśmy nie zwracać na siebie uwagi. Pamiętasz o procedurze?

Usiadłem z powrotem skruszony, ale i szczęśliwy. Drżącą ręką wyjąłem papierosa i zapaliłem go, nie spuszczając wzroku z telewizora. Patrzyłem, jak pada pierwszy gol dla Polski: Kaziu strzelił

po ziemi w prawy róg, podczas gdy bramkarz rzucił się w lewy. Piłka podskoczyła jeszcze na jakiejś nierówności, zanim wpadła do siatki. Potem były wysoko uniesione ręce, słynne całusy od kolegów z drużyny i podskoki jak na Księżycu. Obejrzałem powtórkę z wielkim R w rogu ekranu, a następnie znaną aż do bólu główkę Laty na 2:1. Gdy patrzyłem na to wszystko, trudno mi było uwierzyć, że mecz odbył się trzy dni temu. W tym mieście.

–Grają na naszym stadionie. Dzisiaj też na nim usiądziemy – powiedziałem do Adriana, bo Julka tymczasem poszła do łazienki.

O dziewiątej opuściliśmy mieszkanie i przez dobre dwie godziny szwendaliśmy się po mieście. Był to raczej ponury spacer. Przez pierwsze dwadzieścia pięć minut żadne z nas nie wypowiedziało ani słowa. Po prostu szliśmy przed siebie, starając się dotrzeć do centrum, chociaż nie mieliśmy pojęcia, czy podążamy w dobrym kierunku.

Ukraińiec nie zostawił nam planu miasta, a ja nie miałem zamiaru kupować nowego. Woląłem zdać się na intuicję. Gdzieś daleko przed nami majaczyły górne piętra szklanych biurowców, więc pomyślałem, że powinniśmy dalej trzymać się tego kursu.

Julia milczała. Jak przypuszczam, również przejrzała się uważnie w lustrze, ponieważ od czasu wyjścia z łazienki wyraźnie straciła humor. Potem sprawdzała jeszcze dyskretnie swoje odbicia w oknach sklepów i zaparkowanych samochodów, jak gdyby miała nadzieję, że przynajmniej jedno z nich poprawi jej nastrój.

W żadnej szybie nie wyglądała dobrze.

–Ładnie ci w tych okularach – skłamałem.

–Daruj sobie – odrzekła cierpko.

–Mówię tylko to, co widzę. Według mnie jesteś najfajniejszą laską na tej ulicy.

–Dobrze. Nie wysilaj się.

Co najgorsze, wiele musiała wycierpieć, aby uzyskać ten efekt. Wyskubano jej brwi, a potem kazano spać na wałkach, przez co skórę na głowie miała obolałą, a włosy komicznie zakręcone. Tapirowanie nie było już wprawdzie bolesne – podobnie jak lakierowanie paznokci – lecz zamiast pomóc, pogorszyło tylko sprawę.

–Faceci się za tobą oglądają – ciągnąłem z uporem.

W ogóle miałem dziwne wrażenie, że zwracamy na siebie uwagę przechodniów. Jakiś osobnik w czarnym skórzanym płaszczu odwrócił się za nami tak raptownie, że omal nie zgubił filcowego kapelusika z wąskim rondem. Przeszliśmy na drugą stronę ulicy, gdzie stały stragany z owocami, by zaraz potem znaleźć się na prawie pustym parkingu przed tajemniczym betonowym gmachem, zapewne sądem albo uczelnią. Kilka przecnic dalej w pasażu handlowym kupiłem papierosy, a Adrian bezskutecznie próbował wydobyć z automatu puszkę coli.

Pokraczna taksówka powolutku sunęła obok nas przy krawężniku, gdy ruszyliśmy skrajem chodnika w stronę zatłoczonego ronda. Staraliśmy się nie zwracać na nią uwagi, co wcale nie zniechęciło taryfiarza, więc zawróciliśmy i po piętnastu minutach znowu znaleźliśmy się na parkingu.

Powoli miałem już tego dość. Cały ten marsz przypominał niskobudżetową włoską komedię. Poruszaliśmy się niezgrabnie, jakbyśmy wylądowali na obcej planecie, gdzie grawitacja z grubsza tylko odpowiada ziemskiej. Na domiar złego zupełnie straciłem z oczu swoje biurowce i nie miałem już zielonego pojęcia, w którą stronę powinniśmy iść.

–Chyba mam dosyć – odezwałem się w końcu. – Może byśmy tak gdzieś usiedli?

Nawet nie podejrzewałem, jaki byłem głodny, dopóki nie poczułem zapachu smażonej ryby, frytek i ostrej musztardy. Knajpa, do której weszliśmy, znajdowała się poniżej poziomu ulicy, dzięki czemu panował w niej półmrok obiecujący względną anonimowość. To mi w zupełności odpowiadało. Postanowiliśmy ukryć się tutaj do piętnastej, bo prawdę mówiąc, odechciało nam się wałęsania po mieście.

–Strasznie tu nadymione – westchnęła Julia, kiedy zesliśmy po stromych schodkach.

Mimo wczesnej pory tylko kilka miejsc pozostało wolnych. Nawet wysokie stołki przy barze, nad którym zawieszono kolorowy telewizor, w większości były już zajęte. Ruszyliśmy w stronę pustego stolika pod ścianą, oddzielonego od sąsiednich przepierzeniami.

Stanowczo zbyt wiele osób śledziło nasz marsz przez salę. Chyba wszyscy klienci podnieśli wzrok znad talerzy i kufli. Siedzący tyłem do nas łysawy tłuścioch wykonał gwałtowny półobrót, zupełnie jakby ktoś klepnął go w ramię. Jego świńskie oczka

obserwowały nas, póki nie ukryliśmy się za przepierzeniem.

–Zachowujmy się naturalnie – powiedziałem szeptem.

Nie wiem, czy było to w ogóle możliwe. Jak się okazało, nie pomogły przebieranki i fryzjerskie zabiegi. Oprócz gównianego wyglądu nie dały nam nic. Byliśmy jak trzy niepasujące elementy łamigłówek i wszyscy to zauważali.

Ledwie usiedliśmy, natychmiast pojawiła się kelnerka, przynosząc kartę oraz czystą popielniczkę. Miała bezbarwną twarz, farbowane na blond włosy i jaskrawoczerwone paznokcie, od których nie mogłem oderwać oczu.

Lata siedemdziesiąte: złoty wiek porno.

–Co będziemy jedli? – spytała żona.

–Zapytaj, czy mają żeberka z kapustą – poprosiłem, bo ktoś mi mówił, że to miejscowa specjalność.

–Nie wiem, jak to będzie po niemiecku.

–Więc zamów cokolwiek. I piwo.

–Dla mnie tylko cola – powiedział Adrian.

Kiedy dziewczyna odchodziła, korsiło mnie, aby się za nią obejrzeć i sprawdzić, jaki ma tyłek. Nie miałem szans, bo siedząca naprzeciwko mnie Julia była czujna jak zwykle. Pewnie i tak nic specjalnego.

–Brzydkie te Niemki jak noc – oznajmiłem, zdejmując kapelusz i kładąc go na pustym krześle obok. Przełożyłem pięćdziesięciomarkowy banknot z portfela do kieszeni spodni. A jeśli okaże się fałszywy i ktoś wezwie policję? Co wtedy? Telefon do Wiaczesława?

Parę minut później wróciła kelnerka z tacą ciężką od talerzy i szklanek. Przyniosła parówki, jakąś zupę, dzbanek kawy, piwo i

lemoniade zamiast coli. Adrian omal się nie rozplakał, a Julia próbowała – pół po polsku, pół po niemiecku – wytłumaczyć, że zamawiała rybę. Nie trzeba chyba dodawać, że nawet nie powąchałem żeberek.

Po wypiciu dwóch kufli lokal zaczął mi się dużo bardziej podobać. Dawno zjedliśmy i upačkane musztardą talerze wróciły do kuchni. Wypaliłem jednego po drugim dwa papierosy, coraz mniej przejmując się robiącą miny Julią. Zaczynałem się rozluźniać. Nie przeszkadzały mi już natarczywe spojrzenia klientów ani dobiegająca z szafy grającej muzyka. Wszystko było super.

Kelnerka znowu pojawiła się w kadrze. Niosła trzecie piwo, które zamówiłem już samodzielnie.

Zachodnioniemiecka gościnność.

–Może wystarczy? – rzekła Julia.

Zapewniłem ją, że mam mocną głowę i że tak łatwo się nie upijam. Aby udowodnić, jaki jestem trzeźwy, wdałem się w zawile rozważania na temat historii polskiej piłki nożnej. Porównałem mecz na Wembley do bitwy pod Grunwaldem, co było o tyle niefortunne, że kolejnych sukcesów naszej reprezentacji nie miałem już z czym zestawić. Mimo to mój wykład zabrzmiał chyba nie najgorzej. Potem jeszcze raz zapewniłem Julkę, że świetnie wygląda, wywołując w końcu na jej twarzy blady uśmiech.

–Zobaczysz, jak już będziemy siedzieć na trybunach, to zrozumiesz, o co w tym wszystkim tak naprawdę chodzi. Tego nie da się wytłumaczyć słowami, to trzeba poczuć na kręgosłupie. Jeszcze

mi przynasz rację. O co zakład?

–Wierzę ci.

Mniej więcej w połowie trzeciego piwa wstałem od stolika i na miękkich nogach pomaszerowałem w stronę baru, żeby zapytać o ubikację. Atmosfera na sali wydała mi się niemal przyjazna. Dwie lub trzy osoby spojrzały na mnie przelotnie, ale przecież nic w tym dziwnego. Mrugnąłem do nich.

–Gdzie jest toaleta? – spytałem po polsku siwowłosego barmana.

Początkowo nie załapał. Kiedy powtórzyłem wolniej, uśmiechnął się i wskazał drzwi po prawej stronie. W telewizorze nad jego głową rysunkowy kot gonił animowanego kanarka. Co za miły kraj!

–Dziękuję.

Ubikacja była w porządku, jeśli nie liczyć ostrego zapachu środków czyszczących. Pogwizdując, stanąłem przy pisuarze. Kiedy skończyłem i płukałem ręce nad umywalką, ujrzałem w lustrze, jak za moimi plecami wychodzi z kabiny ten sam grubas, który nam się tak bezceremonialnie przyglądał na wstępie. Zmyłem się stamtąd szybciotko.

Albo kreskówka się skończyła, albo ktoś zmienił kanał, bo zamiast kanarka ekran wypełniał teraz piosenkarz ciągnący przez całą estradę kabel od mikrofonu. Jego fryzura przypominała hełm.

–Niemiecka muzyka rozrywkowa? – zapytałem barmana. Tym razem już nie zrozumiał.

Wracając do stolika odkryłem, że jest jeszcze jedna, nieco mniejsza sala, gdzie terkotały automaty do gier zręcznościowych.

Przy samym wejściu szczupły chłopak w obcistej koszulce wyginał się i napierał biodrami na maszynę, w której uwięziona była stalowa kulka. Postanowiłem pokazać flipery Adrianowi, choć nie liczyłem na jego entuzjazm.

Musiał się bardzo nudzić, zareagował bowiem natychmiast.

–Chodźmy już – nalegał, kiedy dopijałem piwo.

–Pójdiesz z nami? – spytałem Julię.

–Raczej nie.

–Dlaczego?

–Bo nie mam nastroju. Popilnuję ci kapelusza.

Chwyciłem ją za rękę i na siłę próbowałem podnieść z krzesła.

–Przestań. Ludzie patrzą.

–Mam to gdzieś.

–Mieliśmy nie zwracać na siebie uwagi – powiedziała po raz nie wiem już który – a ty robisz z siebie widowisko. W dodatku masz rozpięty rozporek i poruszasz się jak inwalida. Miałeś już nie pić.

Puściłem ją, zapiąłem się i bez słowa odszedłem od stolika. Jak myślę, z godnością. Adrian ruszył za mną. Dlaczego ta głupia pinda musi wszystko psuć? Czy chociaż raz nie mogłaby być dla mnie miła? Nie po to wyłożyłem tyle forsy, żeby teraz na każdym kroku znosić jej fochy. Wielka księżniczka. Mogłem jej powiedzieć, że wygląda jak półtora nieszczęścia.

Żadna z tych hałaśliwych maszyn nie chciała przyjąć naszych monet, więc przespacerowałem się do baru, żeby rozmiąć dziesięciomarkowy banknot. Po drodze spotkałem wracającą z zaplecza kelnerkę. Dyskretnie sprawdziłem, czy mam zapięty

rozporek,

i uśmiechnąłem się do niej, jednak mój uśmiech przeleciał kilka metrów nad poprzeczką: nawet na mnie nie spojrzała.

Nic nie szkodzi.

Ani barman, ani siedzący na wysokich stołkach klienci nie mogli zrozumieć, o co mi chodzi z tymi dziesięcioma markami, którymi wymachiwałem im nad kuflami. Już miałem odejść, kiedy ktoś położył mi dłoń na ramieniu.

–Ja panu rozmienię – odezwał się po polsku.

Odwróciłem się i zobaczyłem, a jakże, znajomego tłuściocha wydobywającego drobniaki z portmonetki.

–Niech pan policzy. Powinno się zgadzać.

–Dziękuję – wybąkałem, zabierając monety i wręczając mu fałszywy zapewne banknot.

–Nie ma sprawy. Musimy sobie, jak to się mówi, pomagać – uściśnął mi dłoń, w której wciąż jeszcze trzymałem bilon. – Czesław jestem. Może napijemy się piwka? Ja stawiam.

Wyczułem, że jest już troszeczkę wstawiony. Nie przeszkadzało mi to. Co prawda facet naraził się już na samym wejściu, ale gdy pomyślałem o czekającej przy stoliku Julii, z jej obrażonymi minami i złośliwościami, doszedłem do wniosku, że mimo wszystko skorzystam z propozycji.

Pojawiła się w najodpowiedniejszym momencie. W końcu zawsze to rodak.

Zaniósłem Adrianowi kilka monet i wróciłem do baru, gdzie czekał już na mnie kufel.

Czesław okazał się umiarkowanie równym gościem. Od razu przeszliśmy na „ty”.

Przyjechał z Katowic wraz z żoną i teściem,

który jak się domyśliłem, był jakimś partyjnym ważniakiem. Zostawił ich w hotelu cztery przecznice stąd, a sam poszedł zwiedzać miasto. Mecz zamierzał obejrzeć w telewizji, bo kupił bilety tylko na finał.

–Nie jestem tu prywatnie, tylko służbowo – oznajmił jakby nigdy nic, zapalając papierosa bez filtra.

Nie wiedziałem, co mam na to odpowiedzieć, więc upiłem dwa łyki piwa i niby to w zadumie pokiwałem głową.

–A ty co robisz? – spytał.

–Zapuszczam baki – odpowiedziałem grobowym głosem. – Widzisz, jak już pięknie urosły?

Spojrzał na mnie uważnie poprzez chmurę śmierdzącego dymu. To musiały być polskie papierosy.

–Można i tak – skwitował. – Coś taki markotny? Poprzytykałeś się z żoną?

–To takie czytelne?

–Naturalnie. Od razu widać – potarł piekące od dymu oczy. – Tak jak to, że przyjechaliście z Polski. Twoja żona to fajna babeczka. Nie obraż się, mówię to jako facet. Dzieciak też twój?

–Mój.

–Bardziej podobny do ciebie niż do niej.

–Bo jest gruby? – spytałem kwaśno.

–Raczej dobrze odżywiony. Przyjechaliście na mistrzostwa?

Pokiwałem głową. Przysunął bliżej swój stół, jakby się bał, że ktoś nas podsłucha.

–Orbisem?

–Słucham?

–Pytam, czy przyjechaliście Orbisem.

–Tak. To znaczy nie... Nie wiem.

Brzuch zakołysał mu się pod koszulą od potężnego wybuchu wesołości. Barman spojrział na nas z niepokojem.

–Juventurem? – nalegał Czesiek. – Też nie?

Zanim się zorientowałem, że chodzi mu o biura podróży, zdążył sobie ze śmiechu polać piwem przód popielatej marynarki.

–Człowieku, jesteś kapitalny! – wykrzyknął. – Twoje zdrowie!

–Przywiózł nas jeden Ukrainiec – powiedziałem ostrożnie. – Volkswagemem.

–Rozumiem – spowaźniał nagle. – No i jak myślisz, dojdą nasi do finału?

–Nie wiem – skłamałem, starając się nie patrzeć w te świńskie oczka.

–Może być ciężko – westchnął i wydobył z tylnej kieszeni spodni grzebykiem przeczesał resztki włosów. – Domarski nie jest taki szybki jak Szarmach, a ten cały Żmuda to przecież gówniarz. Nie wiem, czy to dobrze, żeby akurat on pilnował Mullera. Po za tym Niemcom wystarcza remis, więc nasi muszą atakować, nie ma siły – schował grzebień. – Bez Szarmacha mogą sobie, kurwa mać, nie poradzić.

–Pamiętaj, że to Domarski puknął bramkę na Wembley – powiedziałem znacząco.

–To była szmata.

–Weszła.

–Zgadza się.

Jeszcze przez godzinę dyskutowaliśmy na temat naszej drużyny, swobodnie przerzucając się nazwiskami graczy oraz statystykami. Moja nieufność stopniowo malała. Nawet nie przypuszczałem, że tak łatwo będzie mi się z nim rozmawiało. Prawie o każdym mieliśmy coś ciekawego do powiedzenia. Ustaliliśmy, że Lato jest w porządku, Deyna szczyt formy ma już za sobą, a Górski zbyt bezkrytycznie słucha Gmocha i tego drugiego, też brzydkiego.

–Strejlaua – przypomniałem sobie w końcu.

–Zgadza się.

Tymczasem zamówiłem następną kolejkę, a mój gruby syn dwukrotnie zgłosił się po nowe monety do automatu. Nie wiem, co działo się z Julią, bo ze swojego miejsca nie widziałem jej stolika. Pewnie wciąż pilnowała kapelusza. Miałem tylko nadzieję, że jest jej głupio. Skoro uparła się, żeby tak siedzieć, to niech sobie siedzi.

Może to ją czegoś w końcu nauczy.

–Podoba ci się tutaj? – spytał mój nowy znajomy po długiej chwili milczenia. Głowa zaczynała mu coraz bardziej ciążyć i nie śmiał się już tak często jak przedtem.

–Ta knajpa?

–Ogólnie: Niemcy, rfn... – uśmiechnął się ponuro. – Zgniły Zachód, jak to się mówi.

–Mało jeszcze widziałem.

–Lepiej niż u nas, nie? Powiedz szczerze.

–Lepiej – zgodziłem się na wszelki wypadek.

–Wszystko mają. Co tylko chcesz.

Przytaknąłem, gapiąc się na zastonę z paciorków, za którą przed sekundą znikła kelnerka. Może poszła zadzwonić na policję?

Zapaliłem kolejnego papierosa. Przybyło ludzi i gwar rozmów zagłuszał szafę grającą.

–Europa, człowieku – powiedział Czesław z głową wspartą na dłoniach.

–No...

–Kiedy u nas tak będzie? Tylko szczerze.

–Nie wiem.

Chciałem mu powiedzieć, że wszyscy ci Niemcy, łącznie z barmanem i kelnerką, są dla mnie zacofani o prawie pięćdziesiąt lat, ale nagle uświadomiłem sobie, że wcale tak nie myślę.

–Pięćdziesiąt lat – wybąkałem tylko.

–Co najmniej – zgodził się Czesław. – Dobrze, że przynajmniej w sporcie jesteśmy mocni.

W miarę upływu czasu odzywał się coraz rzadziej. Było po drugiej, dlatego przy każdym tyku spoglądałem uważnie na zegarek. Dawno już chciałem wrócić do swojego stolika, bezskutecznie. Kiedy tylko próbowałem zejść z krzesła, Czesiek budził się z odrętwienia i zadawał mi jakieś pytanie, na które rzadko potrafiłem odpowiedzieć szczerze. W pewnej chwili poderwał się, jak gdyby przypomniał sobie o czymś niezmiernie ważnym.

–Mam do sprzedania adapter – powiedział. – Prywatnie, nie służbowo.

–Adapter?

–Adapter. Radziecki. Chcesz kupić?

–Za ile? – spytałem, chociaż z wiadomych powodów nie byłem zainteresowany.

–Jak dla ciebie za piątkę. Pasuje?

Powiedziałem, że muszę to przemyśleć, uparł się jednak, bym natychmiast poszedł z nim do hotelu i obejrzał sprzęt. Raz po raz

chwycił mnie za rękę, usiłując pociągnąć za sobą, czym zwrócił na nas uwagę całej chyba knajpy. Musiał bardzo potrzebować tych pieniędzy.

–To cztery przecznice stąd – nalegał.

–Nigdzie nie idę – oświadczyłem stanowczo. – Możesz go tutaj przynieść. Poczekam na ciebie.

Zastanowił się. Za naszymi plecami kilka osób roześmiało się tak hałaśliwie, że aż skuliłem ramiona. Czy to możliwe, by rozumieli, o czym rozmawiamy?

–Dobra – powiedział po chwili. – Tylko nigdzie się stąd nie ruszaj. Wrócę za jakieś piętnaście, dwadzieścia minut. Przyniosę adapter i kilka płyt. Największe przeboje muzyki klasycznej. „Ravelo” Bolera i te rzeczy. Co ty na to?

–Świetna sprawa.

–Za piątkę. Pamiętaj.

Zduślił papierosa w popielniczce, jeszcze raz uczesał się plastikowym grzebykiem i zszedł ze stołka, omal go nie wywracając. Odprowadziłem wzrokiem jego wielki tyłek aż do wyjścia, a kiedy w końcu zniknął mi z oczu, wychyliłem duszkiem swoje piwo i spojrzawszy na zegarek (czternasta czterdzieści jeden), chwiejnym krokiem poszedłem po Adriana i Julkę. Chciałem już tylko jak najszybciej stąd się wydostać.

Opuściliśmy lokal w samą porę, by dostrzec zatrzymującą się na czerwonym świetle pustą taryfę. Podbiegłem do samochodu i szarpnąłem za klamkę. Drzwi były zamknięte, ale kierowca okazał się na tyle uprzejmy, że natychmiast zwolnił blokadę. Nosił czarny golf i miał doskonale nieruchomą twarz. Przypominał androida z jakiegoś wschodniemieckiego serialu science fiction.

–Na Waldstadion – poleciałem, siadając obok niego

Kiedy już wszyscy ulokowaliśmy się w taksówce, kierowca zaczął szwargotać coś po swojemu.

–Co jest grane? – spytałem siedzącą za mną Julię. – Dlaczego nie jedziemy?

–Nie rozumiem, bo za szybko mówi – odpowiedziała, patrząc przez okno gdzieś w bok. Dobrą chwilę potrwało, zanim udało mi się dowiedzieć, o co chodzi. Okazało się, że już od rana wszystkie drogi na Stadion Leśny są zamknięte. Tego nie przewidziałem.

–Powiedz mu, żeby podjechał jak najbliżej się da – rzekłem, czując, że trochę za bardzo kręci mi się w głowie.

–A ty mu nie możesz powiedzieć? – spytała chłodno. – Wszystko ja muszę załatwiać?

Była to wredna zemsta za moje zachowanie w knajpie. Prawdę mówiąc, nawet spodziewałem się czegoś w tym stylu. Widziałem po swojej żonie, że tym razem tak łatwo mi tego nie zapomni. Spróbowałem ułożyć w głowie jakieś poprawne niemieckie zdanie, na szczęście android chyba sam zrozumiał, co ma robić, bo gdy tylko zapaliły się zielone światła, zdecydowanie ruszył do przodu.

Kiedy minęliśmy już kilka przecznic, zorientowałem się, że zostawiłem w knajpie swój kapelusz. Chciałem o tym poinformować Julkę, lecz zamiast tego poprosiłem ją, by wypatrywała grubasa z adapterem.

–To wcale nie jest śmieszne – powiedziała.

–Bo ciebie w ogóle mało co śmieszy.

–Co to jest adapter? – spytał Adrian.

Dochodziła dopiero trzecia po południu, a niebo nad Frankfurtem pociemniało, jakby to nie był środek lata, tylko przynajmniej koniec października. Pograżone w mroku ulice nie mogły poprawić nam nastroju. Pomyślałem, że zaraz zaczną padać deszcz, a my nie mamy nawet parasola.

Szybko zostawiliśmy za sobą gęsto zabudowaną część miasta i wydostaliśmy się na trochę bardziej otwartą przestrzeń, gdzie zamiast dodać gazu, zwolniliśmy. Zarówno na ulicach, jak i na chodnikach panował spory tłok, co oznaczało przynajmniej, że jedziemy w dobrym kierunku. Z każdym kilometrem poruszaliśmy się coraz wolniej, aż w końcu utknęliśmy w gigantycznym korku, który tworzyły różne mniej lub bardziej odjazdowe autka.

Hałaśliwe grupki kibiców, przeważnie z niemieckimi flagami, łączyły się ze sobą, tworząc całkiem pokaźny tłum. Niektórzy kładli się na masce naszej taksówki, krzycząc i przytykając do szyby podobizny Beckenbauera, inni uderzali w dach, pukali w okna i robili śmieszne miny, napędzając nam przy tej okazji niezłego stracha. Taryfiarz zachowywał kamienną twarz, jakby nic nie przeszkadzało mu w prowadzeniu taksówki. Jakiś zalany osobnik z czarną brodą urządził sobie slalom pomiędzy samochodami. Biegał tak z flagą rozpostartą nad głową, dopóki nie potknął się o krawężnik i nie runął na ziemię obok dwóch rozchichotanych dziewczyn w dzwonach. Nagrodzono ten wyczyn spontanicznymi

oklaskami.

Auta jechały zderzak w zderzak, postoje przedłużały się, podczas gdy ludzi wciąż przybywało. W końcu doszedłem do wniosku, 236

że dalsza jazda w tych warunkach nie ma sensu. Powiedziałem kierowcy, żeby się zatrzymał. Było to najzupełniej zbędne, bo przy takiej prędkości i tak częstych postojach mogliśmy opuścić samochód właściwie w każdej chwili. Wyjąłem portfel i otworzyłem go. Spojrzałem na licznik.

Nie zdążyłem nic z niego odczytać, bo nagle ściemniło się, jakbyśmy wjechali do jakiegoś tunelu, a następnie usłyszeliśmy nieprawdopodobny huk spadającej z nieba wody. Lunęło jak z cebra i chociaż już od jakiegoś czasu spodziewałem się deszczu, to jednak jego siła przerosła moje najśmielsze oczekiwania. Przecież to było najprawdziwsze oberwanie chmury! Nie wiem, jak zareagowali ludzie na zewnątrz, ponieważ ściana deszczu skutecznie ich od nas oddzieliła. Android włączył wprawdzie wycieraczki, ale nie mogły nadażyć z odgarnianiem wody i tylko popiskiwały żałośnie, jakby błagały o litość.

–To niemożliwe – powiedziałem bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego.

–Nie mamy parasola – oznajmił Adrian.

–Wiem – warknąłem. – Daj się tacie zastanowić.

Tyle że nie istniało dobre wyjście z tej sytuacji. Dalsza jazda była niemożliwa już nie tylko z powodu korków i zamkniętych dróg, lecz również ze względu na zerową widoczność. Nie mogliśmy też siedzieć w nieskończoność w samochodzie, bo przecież licznik bił, a ja już wystarczająco wiele marek zostawiłem w knajpie. Poza tym spóźnilibyśmy się na mecz.

Byliśmy jak w pułapce.

Starłem się skupić myśli, było to jednak zbyt trudne zadanie, więc odwróciłem się w stronę Julii.

–Co robimy? – spytałem z pijacką powagą.

–Przecież nie wyjdziemy na taki deszcz – odrzekła. – Wybij to sobie z głowy.

–Nie zdążymy na mecz. Rozumiesz?

–Trudno. Nie wiedziałeś o tej ulewie? Nie mogłeś kupić parasola albo płaszczy przeciwdeszczowych? Może jeszcze czegoś takiego nie wynaleźli?

–Nie wiedziałem.

–W takim razie to już chyba tylko twoja wina. Chcesz wyprowadzić dziecko w taką pogodę? To ma być dla niego frajda? Wiesz przecież, jak łatwo dopada go kaszel. Dopiero co chorował.

–To nie ma sensu – powiedziałem płacząco. – Przenieśliśmy się tutaj na mecz.

–To ty się przenieś na mecz, nie my. Nas nikt nie pytał o zdanie. Jak Adrian choruje, to ty nie masz do niego cierpliwości i to ja muszę się nim opiekować.

–Chciałem wam zrobić przyjemność.

–Przykro mi.

Ukryłem twarz w dłoniach, rozpaczliwie usiłując się skupić. Sytuacja wymykała mi się z rąk. Deszcz bębnił o dach, woda spływała po szybach, a licznik taksówki tykał jak mechanizm bomby zegarowej. Poczulem, że jeśli zaraz czegoś nie ustalimy, stanie się ze mną coś niedobrego.

–Czyli jak? – spytałem. – Wracacie do przytulnego mieszkanek?

–Nie mamy chyba innego wyjścia.

Spojrzałem na Adriana, unikał mojego wzroku. Bez słowa odliczyłem kilka banknotów i wręczyłem je Julii. Potem wyjąłem kartkę z adresem naszego mieszkania i klucz. Przez chwilę nie wiedziałem, co mam z nimi zrobić. Miałem taki mętlik w głowie, że pragnąłem już tylko trzasnąć drzwiami i uciec w deszcz. W końcu wręczyłem klucz żonie, podałem adres taksówkarzowi, schowałem kartkę z powrotem do portfela i chwyciłem za klamkę. Poczuliśmy się zdradzeni przez własną rodzinę.

Znalazłszy się poza samochodem, natychmiast przestałem o tym myśleć, bo ulewa omal nie wywróciła mnie na chodnik. Co więcej, prawie równie szybko wytrzeźwiałem. Miałem wrażenie, jakbym znalazł się nagle pod wodospadem, i to nie byle jakim. Przyjąłem uderzenie na plecy i krzywiąc się niemiłosiernie, ustaliłem kierunek marszu. Byłem zbyt ogłupiały, by zastanawiać się, czy to rzeczywiście najlepszy pomysł i czy nie lepiej wrócić do samochodu i tam przeczekać kataklizm. Nie miałem warunków do myślenia, zresztą taksówka pewnie już odjechała. Nawet nie odwróciłem się, by to sprawdzić. Zgięty wpół, z rękami w kieszeniach, zacząłem przedzierać się przez tę ścianę wody, starając się przede wszystkim utrzymać na nogach i nie pomylić kierunku.

Marynarka, koszula i spodnie już po kilku sekundach były tak mokre, jakby właśnie wyłowiono mnie z Menu. Zrobiły się przy tym ciężkie i przylegały do ciała, co rzecz jasna jeszcze bardziej utrudniało i tak już uciążliwy marsz. Ponieważ strugi deszczu oślepiały przy każdej próbie podniesienia głowy, zmuszony byłem

patrzeć cały czas pod nogi. Dzięki temu unikałem wysokich krawężników i mogłem obserwować płynące ulicą śmieci: plastikowe kubki, zgniecione puszki po piwie, nieczytelne strony dodatków sportowych, tekturowe talerzyki ze śladami tłuszczu oraz musztardy, przydeptane pudełka po papierosach i mnóstwo rozłających się niedopałków – słowem, wszystko to, co pozostawia za sobą armia kibiców w drodze na mecz.

Żałowałem pozostawionego w knajpie kapelusza. Z drugiej strony gratulowałem sobie, że jednak nie przyjechałem tutaj w peruce – zmyłoby mi ją zaraz po wystawieniu głowy z samochodu.

–Dobre posunięcie – powiedziałem do siebie.

Pokonanie kilkuset metrów było w tych warunkach nie lada wyczynem. Aby choć trochę odetchnąć, zatrzymałem się pod olbrzymią markizą wielobranżowego sklepu, gdzie stało już co najmniej dziesięć równie przemokniętych osób. Rozmawiały ze sobą po włosku. Sprawdziłem, czy woda nie dostała się do portfela, w którym oprócz pieniędzy miałem też dokumenty i – przede wszystkim – bilety na mecz. Na szczęście były suche, podobnie jak papierosy, za to plastikowa zapalniczka, podwędzona przeze mnie z knajpy, nadawała się do wyrzucenia.

Poprosiłem o ogień stojącego obok mnie Włocha w pociemniałym od deszczu podkoszulku. Podarował mi całe pudełko zapalek. Ręce trzęsły mi się ze zdenerwowania i byłem bliski płaczu. Wypaliwszy papierosa, odgarnąłem z czoła zlepione wodą włosy i popłynąłem w dalszą drogę.

Kolejną przerwę zrobiłem sobie w budce telefonicznej na rogu bocznej ulicy. Ktoś chciał się w niej schronić wraz ze mną, ale przytrzymałem drzwi, pokazując przez szybę, że muszę pilnie zadzwonić. Podniosłem nawet ciężką słuchawkę i przez pół minuty słuchałem

wydobywającego się z niej buczenia. Następnie z przypiętej łańcuchem książki telefonicznej wyrwałem kilka gęsto zadrukowanych kartek i wytarłem sobie nimi twarz oraz ręce. Zapaliłem papierosa, gotów w każdej chwili znowu zablokować drzwi. Woda ściekała na podłogę, tworząc obszerną kałużę. Poprzez podwójną zasłonę szyby i deszczu obserwowałem przelewający się obok mnie tłum kibiców, podczas gdy kabina powoli napełniała się dymem i wodą.

Po raz pierwszy poczułem bolesne ukłucie niepokoju związanego ze zbliżającym się meczem. Skąd wzięła się ta ulewa? Wprawdzie wiedziałem o tym, że padało w trakcie spotkań ze Szwecją i Jugosławią, a także, jeśli dobrze pamiętam, podczas innych gier w tej grupie, ale to co się w tej chwili działo, to nie był deszcz, tylko jakiś potop. Szczerze mówiąc, nie słyszałem o żadnym oberwaniu chmury przed meczem z Niemcami. W bezsilnej złości uderzyłem pięścią w ścianę. Czy w ogóle w takich warunkach można grać? Nawet jeżeli przestanie padać, to przecież boisko będzie przypominać zasrane bajoro.

Tego rodzaju pytania i wątpliwości przelatowały mi przez głowę. Pocieszałem się myślą, że może murawa była drenowana i przyjmuje wodę, lecz nieprzyjemne uczucie nie minęło. Coś tu było nie tak, i to bardzo.

Kiedy tylko wyszedłem na zewnątrz, opuścił mnie cały niepokój. Deszcz jakby odrobinę zelżał, choć nie na tyle, by można o nim zapomnieć. Znowu potrafiłem myśleć wyłącznie o posuwaniu

się naprzód. Wtargnąłem między ludzi, którzy znajdowali się w trochę korzystniejszej sytuacji niż ja, bo albo ubrani byli w pomarańczowe przeciwdeszczowe peleryny, albo kryli się pod parasolami i wielometrowymi flagami. Próbowałem nawet wcisnąć się pod taką flagę, co nie zakończyło się sukcesem, ponieważ zburzyłem ustalony już rytm, poplątały się nam wszystkim nogi i wyłożyliśmy się na betonie.

Zbliżała się szesnasta i powoli zaczynałem oswajać się z myślą, że nie zdążę na początek meczu. W wyniku upadku miałem stłuczone kolano oraz zwichnięty nadgarstek. Coraz więcej osób zaczęło mnie wyprzedzać. Kiedy więc w pewnym momencie, podniósłszy głowę, zobaczyłem przed sobą szarą sylwetkę stadionu, nie mogłem uwierzyć w swoje szczęście. Natychmiast zapomniałem o bólu i ze zdwojoną energią ruszyłem naprzód.

Byłem uratowany.

Z daleka Stadion Leśny wyglądał jak solidna arka, w której można się schronić w trakcie najstraszliwszego potopu. Rzesze kibiców ciągnęły w jego kierunku ze wszystkich stron, chociaż byłem pewien, że jest już dawno wypełniony po brzegi. To dało się nawet usłyszeć: odległe, chociaż wyraźne pomruki, od których chodziły mi ciarki po krzyżu, przebijały się nawet przez szum ulewy. Ciekawe, czy Julia i Adrian poczuliby to również? Czy pozwoliliby się unieść tym cudownym emocjom? Być może tak, ale co z tego, skoro znajdowali się teraz w taksówce albo na schodach prowadzących do ponurego mieszkanka, gdzie nie ma

czym wygodnie usiąść?

Pod murami stadionu panował straszny ścisk i tumult. Deszcz przestał już prawie padać, niebo jednak wciąż było zachmurzone. Dociśnięty do metalowej barierki dałem się nieść w stronę bramy, gdzie porządkowi walczyli z napierającym tłumem. Po prawej stronie

zobaczyłem dwóch policjantów na koniach torujących drogę spóźnionej ekipie filmowej bbc. W oddali zawył sygnał karetki, a nad naszymi głowami pojawił się nisko krążący helikopter. Potknąłem się o czyjeś nogi i musiałem złapać za ramię sąsiada, bo po raz kolejny upadłbym na ziemię.

Punktualnie o szesnastej zero cztery pokazałem swój bilet przy obracających się kołowrotach, by następnie wspiać się z wysiłkiem po stromych schodach na trybunę, skąd mogłem wreszcie spojrzeć na płytę boiska.

Trudno powiedzieć, żebym szczególnie był zaskoczony tym, co zobaczyłem. W końcu już w drodze na stadion starałem się wyobrazić sobie, jak może wyglądać murawa po takim kataklizmie. Spełniły się moje najgorsze obawy: boisko nie nadawało się do gry. Jeśli mam być szczery, przypominało teraz bardziej Pojezierze Mazurskie oglądane z okien samolotu.

–Zobacz pan, co oni robią. To trzeba się już naprawdę stoczyć na sam szczyt głupoty – powiedział po polsku jakiś malutki okularnik w zbyt ciasnej marynarce. Nie byłem pewien, czy te słowa zostały skierowane do mnie, więc nie podjąłem tematu.

Patrzyłem na plac gry, gdzie pośród błyszczących z daleka luster wody i kałuż zwykłego błota uwijali się porządkowi w

jasnozielonych kurtkach, próbując ratować sytuację za pomocą śmiesznych walców ze zbiornikami. Nadzorowało ich kilku ważniaków pod czarnymi parasolami. Na mokrej bieżni stał wóz strażacki. Zwijano właśnie czerwone węże, które zapewne odpompowały wodę. Wszystkim utrudniali pracę uzbrojeni w kalosze fotoreporterzy.

–Akurat, kurwa, to coś pomoże – zaśmiał się nie wesoło okularnik, który zdążył już stanąć obok mnie. – Pan z Polski?

Spojrzałem na niego. Sięgał mi zaledwie do ramienia i ważył pewnie mniej niż mój syn, lecz z jego twarzy i postawy wyczytałem wrodzoną wojowniczość.

–Tak to się rzuca w oczy? – spytałem, starając się ukryć irytację.

–Na kilometr. Mnie wystarczy spojrzenie, tak się wyćwiczyłem. Powiem panu, że najgorzej jest za granicą spotkać rodaka. Tego jednego panu nie życzę. Niech się pan wystrzeżga Polaków jak ognia. Wiem, co mówię, bo z wieloma miałem już do czynienia. Niemiec pana nie okradnie, za to Polak, jeśli tylko nadarzy się okazja, puści z torbami nawet wieloletniego przyjaciela. Przesada? Tak było w moim przypadku. Ale to już wyłącznie moja sprawa. Kto panu załatwiał robotę?

–Nikt – odpowiedziałem chłodno. – Przyjechałem na mistrzostwa.

–Nie ma się czego wstydzić – rzekł drobny mężczyzna. – Żadna praca nie hańbi. Ja też mam wyższe wykształcenie, a wykonuję, że się tak wyrażę, prace budowlane. Przez prawie trzy lata studiowałem fizykę jądrową, żeby teraz pracować przy betoniarce. Prawda, że wymowny przykład? W mojej ekipie pracuje jeszcze trzech Polaków. Domyśla się pan zapewne reszty. Myślałem, że przynajmniej na czas mistrzostw będą umieli się zjednoczyć, gdzie tam, dalej okradają się w najlepsze. Przez cały czas muszę się pilnować. Co z tym pierdolonym boiskiem?

–Może przełożą mecz – zasugerowałem.

–Gówno przełożą! Przed chwilą był komunikat, że będą grać, tylko z opóźnieniem. Sam się, kurwa, zdziwiłem, bo wody wcale nie ubywa.

Jakby na potwierdzenie tych mocnych słów, murawa opustoszała i po chwili z tunelu

wyłoniła się orkiestra, a w ślad za nią piłkarze. Niemcy na biało, nasi na czerwono. Przywitał ich nieprawdopodobny tumult. Na trybunach zawrzało. Udzielił mi się entuzjazm tłumy i przez moment poczułem się tak, jak powinienem się czuć, gdyby wszystko poszło zgodnie z planem. Okularnik znów zaczął przeklinać, ale w ogólnej wrzawie nie rozumiałem, o co chodzi. Być może nie spodobał mu się skład.

Z powodu czarnych chmur mecz miał się odbyć przy sztucznym oświetleniu. Usiadłem na wilgotnej ławce, by dać trochę odpocząć bolącemu kolanu. Zaraz jednak musiałem znowu wstać, bo orkiestra zaczęła grać hymny. Kiedy skończyła i zeszła z murawy, kapitanowie drużyn podbiegli do sędziego, który wydobył z kieszeni monetę. Niby wszystko było w porządku, mimo to wciąż nie mogłem pozbyć się myśli, że trafiłem na jakiś zupełnie inny mecz. Co robi ta woda na boisku? Skąd wzięła się ulewa, która opóźniła spotkanie o pół godziny? Dlaczego, do jasnej cholery, oni zamierzają grać na błocie? Moneta poleciała w górę i upadła na wystawioną dłoń. Widziałem, jak Deyna tłumaczy coś Kasperczakowi, wskazując na piłkę. Z ławki trenerskiej podniósł się Górski w obcisłym czerwonym dresie, zaraz usiadł z powrotem. Zamiast radosnego podniecenia poczułem strach.

–To nie jest ten mecz – powiedziałem na głos.

Człowieczek w okularach popatrzył na mnie z zainteresowaniem, ale natychmiast odwrócił głowę, bo właśnie rozległ się gwizdek sędziego. Rozpoczęli.

To nie był ten mecz. Oczywiście. Z każdą upływającą minutą tego dziwnego spektaklu pozbywałem się złudzeń. To co działo się na rozmokłym boisku, przypominało raczej koszmarny sen. Futbol lat siedemdziesiątych już sam w sobie był wystarczająco powolny, jednakże tego popołudnia przekształcił się w jakiś zupełnie inny sport. Z przerażeniem obserwowałem, jak piłka zatrzymuje się w pół drogi na grząskim terenie, a zawodnicy przy każdym zagraniu wzbijają fontanny wody i opryskują się błotem. Jeżeli jakaś akcja kończyła się strzałem, to tak słabym, że nie przepuściłby go chyba żaden bramkarz świata. Podczas gdy okularnik obrzucał obraźliwymi epitetami zarówno sędziego, jak i piłkarzy obu stron, ja próbowałem wytłumaczyć sobie, co się właściwie stało i jakie mogą być tego konsekwencje. Niestety, nie doszedłem do żadnych satysfakcjonujących wniosków. Postanowiłem poczekać z tym do zakończenia meczu, bo przecież wynik ciągle był sprawą otwartą. Kto powiedział, że nie może być taki sam, chociaż po troszeczkę innym spotkaniu?

Pierwsza połowa zakończyła się bezbramkowym remisem, co się akurat zgadzało, niestety w drugiej zaczęły się dziać rzeczy wskazujące na to, że raczej nie będzie powtórzenia rezultatu. Najpierw był karny dla Niemców, którego wprawdzie obronił Tomaszewski, ale już dwadzieścia minut później, ku mojej konsternacji, straciliśmy głupią bramkę po trójkowej akcji i uderzeniu Mullera. Wystrzeliły w górę parasole. Niemieccy piłkarze podnosili wysoko ręce i lekko przeginali się do tyłu, jak małe dzieci podczas gimnastyki. Przegrywaliśmy i musieliśmy teraz strzelić dwie bramki, aby dostać się do finału. Nie ma chyba sensu opowiadać dalej. Mimo rozpaczliwych ataków naszej drużyny ten wynik utrzymał się do końca.

Zero do jednego.

A więc nie było dobitki Domarskiego po strzale Laty. A więc Kmiecik nie podwyższył na dwa do zera w zamieszaniu na polu karnym. A więc polska reprezentacja nie weszła do finału, gdzie miała po dramatycznej walce przegrać z Holandią. Co nam zostało? Mecz z

Brazylią o trzecie miejsce? Przecież to absurd.

–No i usrało się – powiedział mój towarzysz, siadając obok mnie z rozmachem. – Wszystko wróciło do normy. Jak już znajdziemy się odrobinę wyżej niż zwykle, od razu zaczynamy mieć zawroty głowy, bo czujemy, że to nie nasze miejsce. Wtedy najprościej jest przegrać. Mam rację?

–To moja wina – oświadczyłem.

–Że jak?

Przysunął się bliżej wraz z gazetą, na której usiadł, by nie zamoczyć spodni. Nie lubię, jak facet się ociera o mnie, lecz teraz najmniej mnie to obchodziło.

–Nie przestrzegaliśmy procedury – powiedziałem grobowym głosem. – Wywołaliśmy oberwanie chmury. Słowem, zmieniliśmy historię. I to na gorsze. Polacy mieli wygrać dwa do zera i zostać wicemistrzem świata.

–Kto tak powiedział?

Na boisko wtargnęli fotoreporterzy oraz niemieccy działacze, podskakując z radości i obejmując się jak pijani. W rytm tych podskoków tańczyły im krawatki. Polacy schodzili z opuszczonymi głowami, ubłoceni. A przecież to oni mieli padać sobie w objęcia.

Ukryłem twarz w dłoniach.

–Ten kubek zimnej wody spuści z nich teraz trochę powietrza – odezwał się mój sąsiad. – Sami się o to prosili.

Popatrzyłem na niego przez palce.

–Mam pytanie – powiedziałem nagle, aż odsunął się jak oparzony. – Myśli pan, że samo pojawienie się znikąd furgonetki mogło wywołać deszcz? Mówię, rzecz jasna, o podróży w czasie. Efekt motyla czy coś w tym stylu. Pan studiował fizykę.

–Pójdę już – westchnął okularnik, podnosząc się z ławki. – Za bardzo, mówiąc szczerze, pan to przeżywa. Dzisiejsza fizyka jest tak skomplikowana, że nie udziela prostych odpowiedzi. Wiem tylko: gdyby grali na normalnym boisku, toby wygrali. Takie jest moje zdanie.

Odszedł, zabierając ze sobą gazetę i parasol, którego wcześniej przy nim nie zauważyłem. Spuściłem głowę. Kiedy ją w końcu podniosłem, stadion już prawie całkiem opustoszał. Sprzątacze zamiatali trybuny, a na płycie boiska został tylko jeden facet w kaloszach. Szedł w kierunku reklamy Martini, na której przewieszona była jasnozielona kurtka. Myślał pewnie, że już nikt na

niego nie patrzy, bo wysmarkał się w palce. Spojrzałem na zegarek: osiemnasta pięćdziesiąt pięć. Miałem tylko godzinę na powrót do mieszkania, ale nie potrafiłem podnieść się z miejsca. Pomyślałem o czekającej na mnie Julii oraz czarno-białym telewizorze, którego się nie da oglądać.

Bezwiednie sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni marynarki, gdzie obok portfela miałem ukrytą paczkę malboro.

Zamarłem...

Sztuczne palce

Plakietka identyfikatora została przypięta wyjątkowo krzywo, więc Antoni Wróbel musiał zdobyć się na odwagę i podejść kilka kroków bliżej, jeśli chciał odczytać imię kasjera. Sporo zachodu dla małej korzyści. Prawdę mówiąc, sam się zastanawiał, do

czego jest mu to potrzebne – przecież i tak dokonał wyboru. Cokolwiek było napisane na plakietce, nie mogło już w żaden sposób wpłynąć na jego decyzję. Podjął ją bez namysłu, niemal intuicyjnie, od razu wiedząc, że udało mu się trafić na wprost wymarzony obiekt. Poczul to w samych trzewiach, gdy tylko zszedł z ruchomych schodów i rzucił okiem na linię kas.

Mimo to nie potrafił się opanować – im dłużej obserwował kasjera, tym bardziej pragnął poznać jego imię.

I to jeszcze przed wejściem na halę.

Z rękami w kieszeniach płaszcz ruszył więc przed siebie, a właściwie – runął przed siebie, jak gdyby ktoś nagle pchnął go od tyłu. Nigdy nie czuł się zbyt pewnie w tej olbrzymiej kopulastej hali, pełnej jeżdżących w tę i z powrotem bezczelnych automatów, wymyślnych reklam, nachalnych towarów, które śpiewają na swój temat piosenki, a także – jeśli nie przede wszystkim – wścibskich sklepowych kamer, rejestrujących, jak podejrzewał, każdy jego krok. Niemal widział swój obraz na jednym z ekranów czarno-białych monitorów: wysoki przygarbiony mężczyzna po trzydziestce, w sięgającym do kostek płaszczu, nadchodził od strony pasażu, wykonując dziwnie odśrodkowe ruchy. Na zbliżeniach jego twarz była zapewne pusta i brzydka jak powierzchnia Księżyca, ale tym się akurat najmniej przejmował. Grunt to nie zwracać na siebie uwagi. Tej nocy wolał nie rzucać się w oczy.

Pod kamienną maską kryła się przecież mroczna namiętność.

Przy kasie numer czternaście stało tylko dwóch klientów: otyły chłopak w ortalionowej kurtce, który pakował zakupy do szeleszczącej plastikowej torby, oraz niski mężczyzna z fryzurą przypominającą zmutowany dmuchawiec, zapewne dyrygent albo pianista. Na taśmie przesuwano kilkanaście rozmigotanych puszek z karmą dla kotów, zgrzewka wody mineralnej, sześciopak coli i pięć rolek papieru toaletowego w różnych kolorach. Piszczął czytnik, mechanicznie szczękała kasa, a długie cienkie palce kasjera poruszały się po klawiaturze z biegiem Glenna Goulda.

Wróbel przystanął za plecami grubasa, zastanawiając się, czy przypadkiem nie podszedł zbyt blisko. Nie dało się ukryć, że wyglądał w tej chwili jak zwykły kieszonkowiec. Aby choć trochę złagodzić to wrażenie, cofnął się o krok, ostentacyjnie wyjął własny portfel i zaczął w nim szperać jak człowiek, który zaraz poprosi kasjera o papierosy albo kartę telefoniczną, ot, zwykły klient

niemający czasu ani ochoty wchodzić na halę sprzedaży. Udawał, że liczy drobne, układając monety na spoczonej drżącej dłoni, ani na moment jednak nie odrywał wzroku od nieszczęsnej plakietki.

Lecz niedane mu było zaspokoić ciekawość.

–Sprawdź, czy twoje zęby są tak białe, jak na to zasługują! – ryknął tuż przy jego uchu metaliczny głos, jakby wydawał komendę armii robotów. Wróbel, wystraszony nie na żarty, odwrócił się tak gwałtownie, że uderzył łokciem w dwumetrową tubę pasty do zębów, która dwie sekundy wcześniej bezgłośnie nadjechała nie wiadomo skąd. Cała konstrukcja wykonała coś w rodzaju piruetu i zachwiała się niebezpiecznie, grożąc upadkiem na przechodzącą obok kobietę z wózkiem wypełnionym zdrową żywnością, ale jakimś cudem udało jej się odzyskać równowagę.

–Uśmiech, który zniewala i pozwala beztrudno podążać przez życie! – zadzwoniło wewnątrz tuby i włączyła się wesoła melodyjka, trochę zniekształcona w wyniku nieoczekiwanego zderzenia. – Przeczytaj naszą ulotkę, a już niedługo oczarujesz bliską ci osobę i zadziwisz znajomych. To nie jest żart!

Maszyna zaterkotała, po czym przez szparę jak w bankomacie wypluła kolorową karteczkę, której Wróbel już nie odebrał, ponieważ zajęty był zbieraniem z podłogi rozsypanych monet.

–Dziękujemy za twoje zainteresowanie!

–Nie jestem zainteresowany – wybąkał czerwony jak burak mężczyzna. – Proszę zostawić mnie w spokoju.

Urządzenie albo nie usłyszało tej prośby, albo ją zignorowało, bo wcale nie miało zamiaru się wycofać, przeciwnie, zaatakowało jeszcze natarczywiej.

–Jeśli kupisz całe opakowanie, masz szansę otrzymać dodatkowo niepowtarzalny zestaw szczoteczek – zadudniło na tle muzyki. – Po jednej na każdy dzień tygodnia. Nie przegap takiej okazji!

–Powtarzam raz jeszcze...

–To nie jest żart – przerwała maszyna, wyrzucając z siebie kolejną ulotkę z wizerunkiem szpakowatego dentysty otoczonego gromadką roześmianych dzieci z różnych rejonów świata. – Siedem szczoteczek w wybranych przez ciebie kolorach!

–Kategorycznie wypraszam sobie...

Melodia tym razem była dużo głośniejsza, pobrzmiwały w niej tryumfalne tony, jakby odgrywano jakiś hymn albo przynajmniej żołnierską pieśń, wznosiła się coraz wyżej i wyżej, aż przekształciła się w trudny do wytrzymania gwizd. Widocznie uszkodzenie było jednak dużo poważniejsze. Kto do tej pory nie zwrócił jeszcze uwagi na klęczącego pośród wirujących karteczek spoconego mężczyznę w czarnym płaszczu, ten z całą pewnością przyglądał mu się teraz, zaintrygowany i rozbawiony. Wróbel bezradnie spuścił niżej głowę, zbierając ostatnie monety, właściwie pogodzony już z myślą, że całą akcję trzeba będzie odłożyć na jakiś inny termin. Dwumetrowa tuba obsypywała go coraz to nowymi ulotkami, a on zastanawiał się, ile czasu zajmie mu ucieczka na podziemny parking i uruchomienie samochodu.

–Kupię tę pastę, jak tylko wejdę na halę – powiedział wreszcie desperacko, wciąż nie podnosząc głowy. – I tak miałem to zrobić. Tylko jej używam – skłamał. – Cena jest bardzo przystępna.

To był poważny błąd. Znęcona mechanicznym hałasem oraz tą nieoczekiwaną deklaracją nadjeżdżała już od strony toalet dla klientów rozśpiewana konserwa rybna wielkości sporej wanny. Mężczyzna uświadomił sobie ze zgrozą, że jeśli się nie pośpieszy, za moment zostanie osaczony przez wszystkie automaty, jakie tej śnieżnej nocy znajdowały się na terenie centrum handlowego. Toteż podniósł się czym prędzej z klęczek i zapominając o plakietce oraz wypisanym na niej imieniu kasjera, zdecydowanym krokiem ruszył w stronę wejścia na halę sprzedaży, bo drogę na parking miał już niestety odciętą.

Zatrzymał się dopiero kilkadziesiąt metrów dalej, na stoisku z owocami. Ponieważ nie dostrzegł w pobliżu kupujących ani robotów, a reklamowe automaty widać straciły jego trop, postanowił przystanąć na chwilę, aby pozbierać myśli. Serce waliło mu w szaleńczym

rytmie, poczerwieniał i spociał się tak, że musiał rozpiąć płaszcz, odsłaniając wyświechtaną marynarkę, której wolałby nie pokazywać. Drżącymi dłońmi poluzował krawat. Po prostu kłębek nerwów. Sącząca się spod wysokiego sufitu muzyka, skądinąd bardzo przyjemna, wcale go nie uspokajała.

Był wściekły i celebrował tę chwilę.

Dlaczego zawsze jemu przytrafia się coś takiego? Specjalnie wybrał tak dziwną porę – była druga w nocy, a na zewnątrz szalała

śnieżyca – żeby uniknąć niespodziewanych sytuacji, tymczasem już na samym wstępie zwrócił na siebie uwagę wszystkich robotów i tych nielicznych klientów, którzy akurat znajdowali się w sklepie. W jaki sposób te automaty wyczuwają w nim ofiarę? Mają zainstalowane jakieś czujniki czy co? Gdziekolwiek się pojawił, natychmiast dopadała go maszyna do czyszczenia butów albo inteligentny aparat do mierzenia ciśnienia, zupełnie jakby wysyłał w ich stronę sygnały prowokujące do ataku. Tego typu rozmyślenia doprowadzały go do furii, która zwykle jednak trwała bardzo krótko, ustępując miejsca dobrze znanemu poczuciu przygnębienia i rezygnacji.

Korzystając z tego, że wściekłość jeszcze go całkowicie nie opuściła, a nawet odrobinę się nakręcając, minął palety z nienaturalnie błyszczącymi owocami i ruszył przed siebie wzdłuż regałów wypełnionych jedzeniem dla zwierząt. Przez to wszystko nie zabrał ze sobą wózka ani nawet koszyka. Musiał coś kupić, aby podejść do kasy, ale na razie zupełnie nie wiedział co. Najlepiej coś na tyle dużego i nieporęcznego, aby nikt z ochrony nie podejrzewał go o to, że chce przemycić towar pod płaszczem. W takich sklepach jak ten ochrona jest przeważnie wrogo usposobiona i wystarczy jej byle pretekst. Spojrzał na pięciokilogramową torbę z karmą dla psów i nawet wyciągnął w jej stronę rękę, zawahał się jednak. Po jakiego diabła mu tyle psiego żarcia? Nie miał w domu żadnego zwierzęcia, nawet chomika, a myśl o tym, że będzie musiał taszczyć torbę aż na parking, a potem wieźć ją na tylnym siedzeniu auta, już do reszty obrzydziła mu ten pomysł.

A może zwykła puszka z jedzeniem dla kotów? Też nie. Była zbyt mała, za łatwo mieściła się w kieszeni.

Skręcił w lewo, lecz po kilku krokach przystanął nieco skołowany, ponieważ spodziewał się, że trafi do działu z odzieżą męską, gdzie mógłby sobie kupić jakąś tanią flanelową koszulę, tymczasem zobaczył przed sobą akcesoria motoryzacyjne.

–Niech to szlag trafi – mruknął pod nosem. – Znowu coś pozmieniali.

Jak zwykle stracił orientację i nie wiedział, czy linia kas znajduje się po jego lewej czy prawej stronie. Kto zaprojektował ten labirynt? Musiał to być jakiś szalony geniusz, gdyż niemożliwością było wydostać się ze sklepu, nie odwiedzając po drodze wszystkich działów. Wróbel za wszelką cenę starał się uniknąć przechodzenia przez rejony przeznaczone dla dzieci. Producenci zabawek wychodzili ze skóry, żeby zwrócić uwagę małych, więc ze wszystkich półek pomrukiwały, poszeptywały, śpiewały i nuciły piosenki setki pluszowych zwierzątek, lalek oraz plastikowych robotów, tworząc nieprawdopodobną wprost kakofonię. Szybkim krokiem minął stoisko samochodowe i zagłębił się między regały z artykułami gospodarstwa domowego. Jakaś kobieta w wełnianym kasku naciśniętym na oczy omal nie najechała na niego wózkiem, kiedy skręcił w sąsiednią alejkę. Posłał jej pełne nienawiści spojrzenie, ale wzrok kobiety błędził gdzieś między półkami z odświeżaczami

powietrza i chyba nawet nie zauważyła jego obecności.

–Mogłaby pani odrobinę uważać – powiedział lekko podniesionym głosem, kiedy jej plecy znikły za rogiem i znalazła się poza zasięgiem. – Trochę więcej kultury.

Przystanął obok billboardu reklamującego jakąś najnowszą komedię romantyczną i spojrzął na zegarek. Prawie piętnaście po drugiej. Musiał się trochę pośpieszyć, bo przecież za kilka godzin trzeba niestety wstać do pracy. Jeśli będzie się tak kręcił bez celu, do domu wróci nad ranem i znowu się nie wyśpi. Koledzy i koleżanki już kilka razy żartowali z jego podkrążonych oczu i bladej cery, sugerując, że musi nieźle balować po nocach, skoro na drugi dzień jest taki wymięty. Te niewyszukane żarty drażniły go dużo bardziej, niż okazywał, chociaż i tak reagował na nie odrobinę zbyt nerwowo.

Nigdy nie chodził na żadne imprezy. Nie pijał alkoholu, a palenie rzucił w wieku trzydziestu lat. Takie noworoczne postanowienie. Jeżeli więc zdarzało mu się zarywać noce, to nie z powodu pijaństwa. Spędzał je we własnym mieszkaniu, na siódmym piętrze burego bloku, studiując do późna książki, o których nie mógł raczej podyskutować z kolegami z pracy. Najczęściej były to publikacje dotyczące fizyki teoretycznej. Czarne dziury, początek wszechświata (pierwsze trzy minuty), budowa materii – wszystko to pochłaniało go do tego stopnia, że czasami rzeczywiście zasypiał dopiero nad ranem. Nawet pogrążony w półśnie, gdy za oknem dzwoniły pierwsze tramwaje, a w sąsiednich mieszkaniach splukiwano już wodę i trzaskano drzwiami, jego zmęczony umysł zastanawiał się bezwolnie, czy stan kwantowy istnieje w sposób obiektywny czy nie.

Ta noc była naprawdę wyjątkiem. Przygotowywał się do niej bardzo starannie, ale jego szczegółowy plan okazał się mało skuteczny w zderzeniu z prozaiczną rzeczywistością. Po pierwsze, nie

wiedział, co ma kupić. Po drugie – trochę się w tym sklepie zagubił.

Przejście przez dział mrożonek było świetną okazją, żeby nieco ostudzić emocje. Maszerując wzdłuż lad chłodniczych, starał się nie myśleć o upływającym czasie i zarwanej nocy, tylko skupić się na czekającym go zadaniu. Ta część sklepu była zupełnie wyludniona, więc tym łatwiej było mu się odprężyć. Ludzie denerwowali go czasami bardziej niż automaty. Prawdę mówiąc, niektórzy osobnicy niewiele się od nich różnili, szczególnie w takich miejscach jak centra handlowe.

Przydałby się jakiś nowy najazd mongolski, pomyślał Antoni Wróbel, otulając się mocniej płaszczem. To miasto jest zbyt rozpieszczone i zblazowane.

Wyobraził sobie wspaniałe sceny przemocy.

Czambuły demolujące i puszczające z dymem wszystkie supermarkety i centra rozrywki w okolicy. Wysoko w górę uniesione buńczuki z końskich ogonów zaczepiają o wiszące plansze z wymalowanymi cenami. Wojownicy na kudłatych ruchliwych konikach przeskakują chromowane bramki przy kasach wśród jęku piszczałek, bicia w bębny, furkotu strzał i dzikich krzyków. Pod futrzanymi czapami wesole, pokryte sinymi bliznami twarze z wystającymi kośćmi policzkowymi. Krępe postacie w baranich kożuchach spiętych pasami, w ich rękach zakrzywione nieco miecze, bezinteresowna pasja niszczenia wszystkiego, co stanie im na drodze. Płonące magazyny z damską odzieżą i kierownicy działów

wleczeni na włosianych arkanach – bez marynarek i bezużytecznych już telefonów. Zadarte do góry przednie kopyta pochrapujących i kwiczących koni strącają z półek

odtworzone dvd, aparaty fotograficzne, suszarki do włosów, elektryczne czajniki, a wszędzie czuć zapach gryzącego czarnego dymu.

Nawet się nie zorientował, kiedy minął dział spożywczy i dotarł do linii kas.

Pomimo wojowniczego nastroju, w jaki wprowadziły go rozmyślenia o tatarskiej agresji, przystanął lękliwie, jakby niespodziewanie znalazł się na skraju przepaści. Głośno przełknął ślinę i obejrzał się przez ramię. Jego serce znowu zaczęło łomotać głośniejsze i szybciej. Nie był przygotowany na to, że tak łatwo dotrze do kasy. Nie miał nawet z czym do niej podejść, bo przecież w trakcie tej nieszczęsnej wędrówki przez sklep żaden towar nie wydał mu się na tyle odpowiedni, żeby zdjąć go z półki.

Trzeba było coś z tym zrobić. Odwrócił się i pewnym krokiem podszedł do najbliższego regału, zdecydowany zabrać pierwszą rzecz, jaka nawinie mu się pod rękę. Miał szczęście, ponieważ trafił na wyjątkowo korzystną promocję majonezu. Wybrał najbardziej pękate słoiki, uważając, żeby nie upuścić go na ziemię. W ciągu kilku sekund pojawiłby się tutaj na sygnale mechaniczny serwis sprząający, robiąc przy tym tyle zamieszania, że Wróbel z pewnością znowu uciekłby w głąb sklepu.

Przyciskając słoik do piersi, ruszył powoli w stronę kasy numer czternaście. Miał do przejścia jakieś dwadzieścia metrów, nie było więc powodów do pośpiechu. Jego oddech się wyrównał, a myśli stały się jasne. To, że trzymał w rękach towar, który zamierzał zaraz położyć na taśmie i za który miał najzwyczajniej w świecie

zapłacić, dodawało mu pewności siebie. Uniósł nawet głowę i przybrał stosowną minę, śmiało spoglądając w oczy nadchodzącej z przeciwnej strony starszej pani z czerwonym koszykiem w ręce.

Kobieta odwzajemniła jego spojrzenie.

–Profesor Wróbel? – spytała, zatrzymując się nagle i odsłaniając w uśmiechu przebarwione zęby. – Już pan nie pracuje w szkole? A kiedyż to pana zwolnili?

Wróbel aż się wzdrygnął nieprzyjemnie zaskoczony, lecz po sekundzie również przystanął i nieznacznie rozciągnął wąskie usta w grymasie, który od biedy można by nazwać uprzejmym uśmiechem.

Ta krępa kobieta o świdrujących oczkach do niedawna jeszcze pracowała w jego szkole jako sprząaczka, ale straciła tę pracę, od kiedy wprowadzono inteligentne, wielofunkcyjne maszyny czyszczące. Trudno powiedzieć, że jej nie lubił – on jej po prostu nigdy nie zauważał.

–Wcale mnie nie zwolnili – powiedział tonem, którego zwykle używa każdy profesor w trakcie wymiany zdań ze sprząaczką, czyli przyjacielskim i protekcyjnym zarazem. – Wciąż mnie tam jeszcze tolerują.

–Dalej pan uczy fizyki?

–Oczywiście.

–A uczniowie już panu nie dokuczają?

–Nie – skłamał, czując, jak wzbiera w nim wściekłość.

–Bo młodzież, proszę pana, zawsze wyczuje słabszego. Trzeba ich trzymać krótko, inaczej wleżą człowiekowi na łeb, szczególnie komuś tak delikatnemu i wrażliwemu. To co oni wyprawiali na pana zajęciach...

–Teraz jest porządek...

–...to się po prostu w głowie nie mieści. Jak można się tak znęcać nad nauczycielem? Dobry ten majonez?

Wróbel spojrział na ściskany w rękach słoik, jakby otrzymał go przed sekundą w prezencie. Dopiero teraz uświadomił sobie całą absurdalność sytuacji: facet przyjeżdża w samym środku śnieżnej nocy do największego domu towarowego w mieście, żeby kupić słoik majonezu. Tak musiała przecież o tym pomyśleć.

–Znakomity – powiedział szybko. – Promocyjna cena. Do widzenia pani.

Minął ją i ruszył przed siebie, nie zwalniając, póki nie znalazł się przy kasie numer czternaście.

Nie było już przy niej żadnego klienta. Kasjer siedział nieruchomo, jakby się zamyślił, wpatrzony gdzieś w dal, ale natychmiast odwrócił głowę, kiedy Wróbel z impetem postawił na taśmie swój słoik.

–Dzień dobry – powitał klienta z uprzejmym uśmiechem. Miał na sobie koszulę w kolorach firmowych.

–Dzień to będzie dopiero za kilka godzin, kolego – burknął Wróbel wciąż jeszcze wściekły po spotkaniu ze sprzątaczką. Na szczęście znikła mu z pola widzenia. W ogóle nie widział już wokół siebie żadnych zakupowiczów, ani wśród regałów, ani przy kasach. Sklep jakby się wyludnił, w niektórych miejscach przygaszono nawet światła. Doskonała sceneria, pomyślał Antoni, na przemian zaciskając i rozluźniając pięści.

–Ma pan absolutną rację – zgodził się kasjer. – Jest dwadzieścia pięć po drugiej.

–Wiem, która jest godzina – odparł Wróbel, patrząc mu prosto w twarz.

Była to twarz dwudziestoparoletniego mężczyzny, blada i uduchowiona twarz o wielkich łagodnych oczach, prowokujących zarówno do czułości, jak i do niekontrolowanej agresji. Mogła należeć do zakompleksionego studenta albo wybitnego młodego artysty. Wróbel aż wstrzymał oddech. Owładnęło nim podniecenie, znów poczuł to samo uczucie co w chwili, gdy ujrzał ją po raz pierwszy, jeszcze z daleka. Dokonał idealnego wyboru. Ten kasjer najlepiej pasował do jego wyobrażenia urodzonej ofiary.

Przy okazji sprawdził wreszcie imię na plakietce identyfikatora.

Android miał na imię Sven.

Właściwie mógł się domyślić, że to będzie coś w tym stylu, gdyż firma produkująca te roboty pochodziła ze Szwecji. Większość kasjerów miała więc na imię: Sven, Stig, Olaf albo bardzo podobnie.

Androidy wprowadzono w miejsce żywych kasjerów, kiedy stwierdzono, że niektórzy klienci uwielbiają wyżywać się na pracownikach sklepu. Właściwie wiedziano o tym od samego początku istnienia domów towarowych. Dobrze jest zrobić zakupy, a jednocześnie wyładować własną frustrację, podkreślić wysoką pozycję zawodową albo zrekompensować sobie niską. Nie ma w tym nic bulwersującego. Najlepiej mieć wtedy pod ręką kogoś, kto zmuszony jest znosić to wszystko z przepraszającym uśmiechem na twarzy. Nie wszyscy zatrudnieni w sklepach ludzie wytrzymywali jednak ciśnienie. Zdarzały się przykre wypadki, gdy pracownik obraził klienta, a czasami dochodziło nawet do pożałowania

godnych przepychanek, które szkodziły wizerunkowi firmy. Także nie wszyscy kupujący, nawet jeśli byli na coś wkurzeni, mieli na tyle śmiałości, aby zrobić porządną awanturę przy kasie. Do takich osobników należał na przykład Antoni Wróbel.

Znaleziono więc na to radę.

Sztuczni kasjerzy znosili wszystkie upokorzenia, nie zachowując się jednak jak bezwolne manekiny, wprost przeciwnie, potrafili bardzo wiernie odtwarzać reakcje poniżanej i wyprowadzanej z równowagi osoby. Trzęsły im się ręce, drżał głos, a w oczach – szczególnie w przypadku sztucznych kasjerek – pojawiały się łzy. Klient mógł się czuć całkowicie usatysfakcjonowany, a maszynom nie działa się przeciw żadna krzywda. Czasami trzeba było tylko oddać jakąś kukłę do serwisu, gdy zbyt mocny cios uszkodził delikatny mechanizm albo oderwał ucho. Sztuczni pracownicy nie okazywali zmęczenia, nie chodzili do ubikacji, nie narzekali na nadgodziny, nie procesowali się z pracodawcami – w ogóle wydawali się idealni.

Jednocześnie na rynku pojawiały się coraz doskonalsze i tańsze modele. Czasami trudno już było odróżnić sztucznego pracownika od prawdziwego. Niektóre androidy, przeznaczone dla bardziej wymagających klientów, pozwalały sobie na odburkiwanie czy wręcz beczelne odzywki.

Ale to był jeszcze zbyt wysoki poziom dla takiego tchórza jak Antoni Wróbel. Na początek musiał spróbować z kimś, kto będzie traktował go z należyтым respektem. Potem kto wie? Może poradzi sobie nawet z niektórymi ludźmi? Może będzie umiał naubliżać jakiemuś uczniowi albo koledze z pracy?

–Doskonały majonez – powiedział pogodnie Sven, szukając kodu kreskowego. – Promocja trwa do końca tygodnia, a podobno w magazynie zostały tylko dwie palety.

–Czy mógłbyś się pospieszyć, przyjacielu? – spytał Wróbel, siłąc się na szorstki ton. Musiał się przełamywać, bo kasjer wzbudzał jego sympatię. Serce tłukło mu się w piersi, a po plecach mimo sprawnie działającej klimatyzacji spływała strużka potu. – Nie mam zamiaru tu tkwić do świtu.

–Już się robi, proszę pana.

–No to prędiutko.

Poczuł, jak powoli, ale nieubłaganie coś w nim narasta, coś, czego do tej pory doświadczał tak rzadko, że uczucie to zostało przez niego doszczętnie zapomniane.

Kasjer przesunął skanerem nad kodem i podał Wróblowi cenę.

Nadszedł trudny moment, w którym trzeba było się wykazać siłą charakteru.

–Rezygnuję z tego majonezu – powiedział Antoni i natychmiast odczuł niewyobrażalną ulgę. To było takie łatwe! Zaczynał nawet żałować, że nie ma w pobliżu kogoś, kto mógłby być świadkiem tej rozmowy. – Rozmyśliłem się.

Twarz androida nie zmieniła wyrazu, co niemile zaskoczyło nauczyciela, bo nie widział efektów swojej szarży. Odetchnął głęboko i raptem dokonała się w nim przemiana. Był prawie jak doktor Jekyll po zażyciu swej mikstury.

–Na co się tak gapisz, tumanie? Ogłuchłeś czy co? Rezygnuję z tego majonezu. Podaj mi papierosy!

–Jakie? – spytał Sven, odwróciwszy się w stronę szklanej gabloty.

–Srakie! Czy wszystko ci trzeba tłumaczyć?

Poczuł się naraz wyzwolony, chociaż zdawał sobie również sprawę, iż przestaje panować nad przebiegiem zdarzeń. Wszystko potoczyło się tak błyskawicznie! Nie czuł już strachu ani zażenowania, tylko dziwną moc. Obejrzał się, żeby sprawdzić, czy nikt nie

stanął za nim w kolejce, ale jak na złość nikogonie było. Następnym razem przyjadę tu w godzinach szczytu, pomyślał, kiedy kasy będą oblegane przez klientów.

–Może marlboro? – zasugerował łagodnie Sven.

–Od trzech lat nie palę, tępaku! – krzyknął Wróbel, mając nadzieję, że znajoma sprzątaczką jest jeszcze gdzieś poblizu. – Palenie powoduje raka! Nigdy o tym nie słyszałeś? To, że tobie nie grozi, nie znaczy jeszcze, że taka choroba nie istnieje!

Kasjer spojrział na niego, tym razem nieco inaczej. W jego błękitnych oczach można było dostrzec subtelną symulację niepokoju. Zaczynał się bać. Właściwie Wróbel mógłby zakończyć na tym całą sprawę, bo czuł się już nieco zmęczony nadmiarem wrażeń, ale za bardzo się rozpędził, żeby teraz tak nagle przystopować. Wszystkie upokorzenia dzisiejszego dnia – w szkolnej klasie, w pokoju nauczycielskim, a także w konfrontacjach z gigantyczną pastą do zębów i współczującą sprzątaczką – musiały przy takiej okazji znaleźć ujście.

–Masz mi może coś do powiedzenia? – spytał jadowitym szeptem.

–Nie, proszę pana.

Wróbel nachylił się nad nim, tak że ich twarze się zrównały. Widział kiedyś podobną scenę w filmie sensacyjnym: czarnoskóry policjant – wyjątkowy twardziel – przesłuchiwał w ten sposób wielokrotnego zabójcę. Nauczyciel fizyki nigdy nie przypuszczał, że sam zachowa się kiedyś w tym stylu.

–Nie dosłyszałem – powiedział cicho. – Czy mógłbyś mówić troszeczkę głośniej? Pytam jeszcze raz. Czy masz mi może przypadkiem coś do powiedzenia?

–Nie – powtórzył kasjer, ale tym razem jakby bez specjalnej skruchy.

–Co powiedziałaś?

–Powiedziałem: nie.

Zaparło mu dech. Gdzieś na dnie serca odezwał się delikatny sygnał alarmowy. A więc miał do czynienia z androidem najnowszej generacji! Kasjer nie dość, że przestał czuć przed nim respekt, to jeszcze ostentacyjnie to okazywał. W każdym innym momencie Wróbel wycofałby się z sytuacji, która zmierzała do jawnego konfliktu, ale tej nocy coś się w nim zmieniło. Mimo narastającego strachu nie miał zamiaru odpuścić. Przecież to tylko robot, pomyślał, choćby nawet najnowocześniejszy.

–Może się jednak przesłyszałem? – zapytał, starając się zapanować nad drżeniem głosu.

–Nie przesłyszał się pan.

Wróbel nie potrafił się bić, chyba nigdy w życiu nie uderzył nikogo w twarz, wyciągnął więc tylko przed siebie długie ręce i

schwycił kasjera za gardło. Zdecydował się na atak, ponieważ uświadomił sobie, że jeśli za chwilę czegoś nie zrobi, ugną się pod nim kolana.

Poczuł pod palcami nieprzyjemny chłód sztucznego tworzywa. To tylko kukła, zaświtało mu gdzieś na dnie umysłu, zwykła lalka imitująca człowieka. Próbował podnieść androida z miejsca, ale okazał się cholernie ciężki, jakby przymocowano go na stałe do obrotowego krzesła.

Rozwścieczony zaczął więc potrząsać jego głową, a potem uderzać nią o taśmę, na której wciąż stał słoik niechcianego majonezu. Ręce raz wprawione w ruch nie potrafiły już

się zatrzymać.

–To cię nauczy szacunku! – krzyczał piskliwie. – Nie myśl, że można mnie bezkarnie lekceważyć!

Umilkł dopiero, kiedy poczuł, że android powoli się podnosi. Wróbel rozluźnił palce, cofnął ręce i zrobił pół kroku do tyłu, opierając się plecami o barierkę oddzielającą go od sąsiedniego stanowiska. Dyszał ciężko. Jeżeli nie było świadków zdarzenia, mógłby jeszcze odejść od kasy, zachowując godność przynajmniej we własnych oczach – napawając się tym, czego udało mu się przed chwilą dokonać. Czy powinien uciekać? Spojrzał w stronę pasażu i ruchomych schodów, lecz było już za późno. Ręka robota chwyciła go za klapę wystającą spod płaszcza marynarki i z dziecinną łatwością przyciągnęła z powrotem do kasy.

Ich głowy znowu się zrównały. Wróbel ze zgrozą dostrzegł, że twarz kasjera przeistoczyła się niemal całkowicie. Nie była już uduchowiona ani nawet łagodna. Miał przed sobą maskę o pustym spojrzeniu.

Potem poczuł, jak sztuczne palce kasjera chwytają go za szyję. Te same palce, które tak go zachwyciły, gdy zobaczył je po raz pierwszy, długie i cienkie jak u skrzypka, teraz zamieniły się w żelazną zaciskającą się obręcz. Ten android szybko się uczył, o wiele szybciej niż Antoni Wróbel.

Mężczyzna szarpał się rozpaczliwie, ale nie był w stanie rozluźnić uchwytu. W dodatku nie miał co liczyć na pomoc. Wiedział, że ochrona o tej porze śpi albo ogląda telewizję i nie zareaguje, póki nie zapiszczy bramka przy kasie albo w inny sposób nie stwierdzi się próby kradzieży. Na takie sytuacje była po prostu całkowicie nieprzygotowana. Potrącony łokciem słoik majonezu zachwiał się i upadł na podłogę. Wróbel przestał się bronić, ale kasjer długo jeszcze przytrzymał za szyję jego bezwładne ciało, zanim rozluźnił palce.

Rozgrywająca się przy kasie numer czternaście scena nie wzbudziła zainteresowania przy innych stanowiskach. Sztuczni kasjerzy siedzieli nieruchomo wpatrzeni gdzieś w dal, bo na hali nie było już żadnych klientów. Automatycznie wyłączyła się muzyka i w niektórych działach przygasły światła. Nawet urządzenia reklamowe – olbrzymie słoiki, papierosy i puszki na kólkach – zamarły, jakby regenerując siły.

Jeszcze tylko przez minutę pracowała maszyna sprzątająca. Usuwała z podłogi resztki majonezu, starannie omijając leżące obok ciało mężczyzny w czarnym płaszczu.

Wszystko musi tu lśnić przed pojawieniem się porannych klientów.

Czarny punkt

O tragicznym wypadku na zakręcie szosy Alicja dowiedziała się prawdopodobnie jako ostatnia ze wszystkich mieszkańców. Z ust pani Burskiej, najbliższej sąsiadki i przyjaciółki, do której jak co dzień wstąpiła na przedpołudniową kawę.

Wspólna kawa to był ich prawdziwy babski rytuał. Zawsze po śniadaniu, jeśli tylko nie padało, Alicja zabierała psa na długi spacer wzdłuż nasypu kolejowego, by około jedenastej, wpół do dwunastej palić już pierwszego papierosa w wąskiej kuchni na tyłach starego parterowego domu, gdzie pani Burska i jej cokolwiek ponury mąż spędzali większą część dnia. Pies zniknął wtedy pod stołem, mężczyzna wychodził do ogrodu, a kobiety miały pół godziny dla siebie. Ich rozmowy dotyczyły przeważnie pogody i tego, co wydarzyło się w ostatnim odcinku telewizyjnego serialu.

Jednym słowem: nuda. Pogoda była przecież wciąż taka sama, a w serialach coś ciekawego pojawiało się zwykle nie częściej niż raz na kilkadziesiąt odcinków.

Tego tygodnia było jednak inaczej.

Miały o czym porozmawiać. Całkiem niedawno pojawił się bowiem temat, który zdominował wszystkie inne: w nowo otwartej świetlicy mieszkańcy wsi przygotowywali przedstawienie.

Spektakl teatralny.

Alicja grała w nim jedną z głównych ról.

–Przynajmniej coś się dzieje – mawiała od kilku dni pani Burska, która również uczestniczyła w przedsięwzięciu. Miała za zadanie przygotować kostiumy i afisz. – W takim miejscu można ocipieć z nudów.

–Właaaśnie – odpowiadała zwykle dziewczyna. Można by pomyśleć, że to największe wydarzenie od wielu, wielu lat.

Ale nie. Tego pochmurnego dnia zdarzyło się coś naprawdę niezwykłego, dużo bardziej dramatycznego niż amatorskie przedstawienie teatralne.

Alicja poczuła to, gdy tylko znalazła się na zwirowej ścieżce prowadzącej do domu państwa Burskich i ujrzała, że gospodyni, ubrana jedynie w ciemnoczerwony szlafrok, czeka na nią przed frontowymi drzwiami mimo zimna i wiatru, który niemal spychał ją z ganku. Już z daleka widać było, jak bardzo jest zniecierpliwiona i podekscytowana.

–Jesteś nareszcie – powiedziała, kiedy dziewczyna znalazła się przy niej. – Słyszałaś o wypadku?

–Że co?

–Nie słyszałaś? – zdziwiła się pani Burska. – Był straszliwy wypadek na szosie. Podobno jest mnóstwo zabitych.

Alicja stanęła jak wryta, machinalnie nadstawiając do pocałunku zimny policzek.

–Jaki wypadek? – spytała niezbyt przytomnie.

–Dokładnie nie wiem. Podobno autokar z niemieckimi turystami. Makabra. Dzwonił Aleksander, ale nic konkretnego nie powiedział, bo się bardzo śpieszył. Oni tam wszyscy poszli: Moskał, Kurylczykowa, a nawet ksiądz proboszcz, chociaż wiesz, jakie ma problemy z tą swoją nogą.

–Gdzie poszli? Przecież dzisiaj jest próba.

–Na miejsce wypadku – odparła sąsiadka. – To przy tym zakręcie.

Sposób, w jaki wypowiedziała ostatnie zdanie, sprawił, że Alicja poczuła nieprzyjemny skurcz w żołądku. Przywołała psa, który tarzał się w wysokiej trawie przy drucianej siatce, i nie wiadomo po co zapięła mu smycz.

–Chodź do kuchni, napijemy się kawy – powiedziała pani Burska, chwyciwszy ją pod ramię. – Strasznie tutaj wieje. Naprawdę nic nie wiesz?

Alicja dała się poprowadzić do środka, nie zadając po drodze żadnych pytań, całkowicie oszołomiona. Przekroczyły próg, przeszły przez ciemną sień i znalazły się w kuchni, gdzie przy stole obok okna siedział już pan Burski, sztywny i uroczysty, podobny do wyschniętej mumii. Swym zwyczajem nie odezwał się ani słowem na widok gościa, ale akurat dzisiaj Alicja miała go totalnie w dupie.

Pomimo niewielkich rozmiarów kuchnia była miejscem, w którym państwo Burscy

przebywali najchętniej. To tutaj biło zakopcone serce domu. Pokoje obok służyły wyłącznie do spania, a i to

rzadko, ponieważ gospodarze od lat cierpieli na bezsenność. Nawet telewizor postawili sobie obok lodówki, przez co w kuchni zrobiło się jeszcze mniej miejsca.

–To ile jest ofiar? – spytała Alicja, siadając na krześle, z którego musiała usunąć najpierw stertę śliskich czasopism o gotowaniu i modzie. Pies położył się przy jej nodze ze smyczą w zębach.

–Trzy albo cztery – odparła pani Burska.

–Mówisz, że Niemcy?

–Chyba tak. Albo może Szwedzi. Mówił mi, ale nie pamiętam. Zresztą co to za różnica?

–Właściwie żadna.

–Książd zna chyba trochę niemiecki – powiedziała gospodyni po chwili zastanowienia.

Była starsza od Alicji o jakieś trzydzieści lat, miała w sobie jednak tyle energii, że dziewczyna wydawała się przy niej dziwnie spowolniona. Rozrzucając poły szlafroka, podeszła teraz do kuchenki, postawiła pękaty czajnik, a następnie z szuflady kredensu wyjęła paczkę mentolowych papierosów i nie częstując przyjaciółki, zapaliła jednego od gazowego płomyka. Jej mąż już kopał, zaciągając się ile sił w płucach i pokaszując regularnie, jakby chciał wszystkim przypomnieć o swojej obecności. Był to drobny mężczyzna po sześćdziesiątce, całkowicie łysy, z siną twarzą i zapadniętą klatką piersiową. Biały podkoszulek opinał jego ciało ściśle jak bandaż.

–Makabra – westchnęła pani Burska. – Aleksander zadzwonił po dziesiątej, kiedy byłam w ogrodzie, a potem drugi raz za dwadzieścia jedenasta. Powiedział, że takiego wypadku jeszcze tutaj nie było. Po prostu coś straszego.

–Nie wiem, czemu Bóg pozwala na takie rzeczy – rzekła Alicja, tak naprawdę zastanawiała się jednak, dlaczego nikt nie uznał za stosowne zadzwonić również do niej. Przecież miała w domu telefon, a do wypadku doszło nad ranem, zanim jeszcze wyszła na spacer. Nie jest przyjemnie dowiadywać się o takiej sprawie na samym końcu.

–Bóg nie ma tutaj nic do rzeczy – burknął pan Burski ze swojego krzesła. – To niebezpieczny odcinek. Dawno już powinni coś z tym zrobić, tylko pewnie nie mają na to pieniędzy. Nawierzchnia wygląda okropnie.

–Racja – przytaknęła żona. – Jak to nazwali?

–Czarny punkt – wyszeptała Alicja.

–No właśnie.

Ten krótki, może kilometrowy odcinek drogi między drewnianym kościołem a warsztatem samochodowym na pierwszy rzut oka nie wydawał się ani bardziej, ani mniej niebezpieczny niż reszta trasy. Asfaltowa droga przecinała płaskie puste pola, gdzie było chyba więcej słupów wysokiego napięcia niż drzew, a potem zakręcała i przez kilkaset metrów biegła wzdłuż nasypu kolejowego. Nie było tutaj żadnych domów ani gospodarstw, na poboczach w ogóle nie spotykało się ludzi. Tylko czasami kościelny przejeżdżał na rowerze w drodze do sąsiedniej wsi, gdzie robił zakupy i wypijał dwa piwka.

A jednak w ciągu ostatnich trzydziestu lat zdarzyło się na tej trasie kilkadziesiąt wypadków, w których zginęło w sumie osiemnaście osób.

Informowała o tym pomarańczowa tablica z czarnym punktem pośrodku, ustawiona sto

metrów przed kościołem jako znak ostrzegawczy.

Najniebezpieczniejszy był oczywiście zakręt.

Prawie dziesięć lat temu pan Burski skasował w tym miejscu swojego czerwonego poloneza, gdy po pijaku wracał z imienin u szwagra. Była lutowa noc, odwilż, asfalt błyszczał od deszczu w świetle reflektorów. Pan Burski kręcił gałką radia, próbując znaleźć stację, która nie nadawałaby jazzu ani muzyki poważnej. Zanim mu się to udało, stracił panowanie nad kierownicą. Żona siedziała wtedy obok niego i chociaż miała zapięte pasy, nie uniknęła obrażeń. Do dzisiaj pozostały jej na ciele straszliwe blizny, które jak tylko mogła, starała się ukryć.

–No to nici z dzisiejszej próby – rzekła teraz. Stała oparta plecami o zlew, w którym piętrzył się stos brudnych naczyń. – Naszyłam się przy tych kostiumach jak głupia.

–Dla mnie to był od razu poroniony pomysł – rzekł mężczyzna. – Zwykle zawracanie głowy.

–Odrobina kultury nikomu jeszcze nie zaszkodziła – powiedziała Alicja, cytując niemal dokładnie słowa Aleksandra. – A teatr, zwłaszcza romantyczny, pomaga wznieść się człowiekowi na wyższy poziom duchowy.

–Od tego jest telewizja – odparł Burski. – Teatr puszczają w poniedziałki na jedyńce.

–Tylko że ty oglądasz w tym czasie sport albo ten program kryminalny – zauważyła jego żona. – Wiesz, że nie ma już papierosów?

–No i co w związku z tym? – spytał.

–Trzeba kupić nowe.

–Ja nigdzie nie idę. Wybij to sobie z głowy.

–Same się tutaj nie zjawią.

–Też tak myślę.

To już także był mały rytuał. Państwo Burscy nie znali litości. Mniej więcej co drugi dzień kończyły im się papierosy i odgrywali

przed dziewczyną zawsze tę samą scenę, w której jedno usiłowało nakłonić drugie do wyjścia z domu po nową paczkę. Alicja znała na pamięć nie tylko każdą kwestię i pauzę, ale nawet kolejność pojawiania się ich w dyskusji, przestała więc słuchać, zajmując się własnymi myślami i tylko od czasu do czasu potakując, gdy pani Burska spoglądała na nią, aby znaleźć poparcie dla swoich argumentów.

Wciąż nie mogła ochłonąć z wrażenia. Na samą myśl o wypadku robiło jej się słabo. Wyobraziła sobie zmiażdżoną karoserię, rozbebeszone walizki, strzaskane szkło, kałuże ciemnoczerwonej krwi na popękany asfalcie i ciała przykryte czarną folią. A może pasażerowie splonęli żywcem? Przecież i takie rzeczy się zdarzają. Chciała odegnąć od siebie tę myśl, ale im bardziej się starała, tym wyraźniej rozkwitała w jej umyśle piekielna wizja stopionego metalu, szerniałych foteli i zwęglonych ciał.

Coś pchało ją do tego, żeby zerwać się z krzesła i czym prędzej udać się na miejsce wypadku. To było tak niedaleko, niespełna kilometr. Gdyby się pospieszyła, dotarłaby tam za pięć, góra dziesięć minut. Mogłaby się ukryć wśród zarośli na poboczu albo gdzieś za zakrętem, skąd miałyby zapewne dobry widok. Byle tylko nie za blisko.

–Ciekawe, co będziesz palił wieczorem – powiedziała pani Burska.

–Mogę w ogóle nie palić – odparł jej mąż.

–Już to widzę.

–Kiedyś nie paliłem przez półtora miesiąca – oświadczył z dumą. – Mam silną wolę. Nie zapominaj, że uprawiałem kolarstwo.

–Tylko mi nie wyjeżdżaj znowu z tym kolarstwem – westchnęła pani Burska. – Pogadamy wieczorem. Dolać ci jeszcze, kochanie?

Ostatnie słowa skierowane były do Alicji, która już od dobrych kilku minut wpatrywała się w okno, milcząca, blada i całkowicie nieobecna.

Pani Burska musiała powtórzyć pytanie.

–Nie, już dziękuję – odparła dziewczyna. – Chyba będę powoli szła do domu.

–Przecież dopiero co przyszedł – powiedziała gospodyni jakimś dziwnym tonem. – Żle się czujesz?

–Troszeczkę.

–Daj jej spokój – zaśmiał się szyderczo pan Burski. – Pewnie musi doszlifować swoją rolę. Będzie z niej druga Janda.

Wstał z krzesła, żeby dolać sobie gorącej wody z czajnika, zadowolony i dumny, jakby przed chwilą powiedział coś wyjątkowo dowcipnego. Przy okazji uderzył biodrem w kant stołu, wskutek czego wszystkie szklanki zatańczyły na spodeczkach, a pusta solniczka przewróciła się i powolutku przetoczyła w stronę popielniczki. Nie zwrócił na to uwagi. Poprawił spodnie, które przykleiły mu się do pośladków, i po wybrzuszanym się linoleum poczłapał w stronę kuchenki.

Pies zaczął merdać ogonem.

–Ale chyba nie masz zamiaru tam iść? – spytała szeptem pani Burska, nachylając się nad dziewczyną, która próbowała właśnie wstać.

Alicja spojrzała na nią, udając, że nie wie, o co chodzi.

–To znaczy gdzie?

–Na szosę – powiedziała kobieta.

–Oczywiście, że nie. Idę prosto do domu. Mam tyle rzeczy do zrobienia.

Podniosła się z krzesła i mimo że gospodyni próbowała ją jeszcze na chwilę zatrzymać, zawołała psa, po czym na nogach jak z waty ruszyła w stronę drzwi. Już w sieni zaczęła tłumaczyć, że powinna umyć głowę, przygotować obiad i trochę posprzątać, na co pani Burska uśmiechnęła się tylko, jakby przyłapała sąsiadkę na jakimś niewinnym kłamstwie.

Jej podłużna twarz z wysokim kościstym czołem, na którym miała brzydką bliznę, była kredowobiała jak zwykle, przez co każdy uśmiech sprawiał, że przywodziła na myśl upiorną maskę.

–Ja też coś muszę zrobić z tymi włosami – oznajmiła po chwili milczenia, podnosząc rękę do głowy. – Są koszmarnie. Myślisz, że dobrze byłoby mi w całkiem krótkich?

Fryzura pani Burskiej pochodziła z późnych lat osiemdziesiątych i przypominała kapelusz grzyba atomowego.

–Na pewno – odpowiedziała Alicja z wymuszonym uśmiechem.

Na zewnątrz dziewczyna poczuła się nieco lepiej, chociaż ciągle była dziwnie słaba i skołowana.

Walcząc z naporem wiatru, zeszła po trzech drewnianych schodkach ganku i ruszyła w

stronę bramy żwirową alejką, po której obu stronach kołysała się wysoka trawa. Teren wokół zabudowań państwo Burscy nazywali ogrodem, ale tak naprawdę nierosło tutaj nic oprócz drzew i chwastów. W niektórych miejscach zielsko sięgało prawie do piersi i wyglądało na to, że jeśli nikt się tym nie zajmie, wkrótce dom będzie wyglądał jak starannie zamaskowany obiekt wojskowy. A przecież, pomyślała Alicja, ten zgryźliwy buc w obcisłym podkoszulku mógłby ruszyć się ze swojego miejsca w kuchni, pożyczyć od Aleksandra kosiarkę i zrobić z tym porządek. Dziwne, że pani Burska nie zagoniła go jeszcze do roboty. Może ktoś powinien zwrócić jej na to uwagę.

Kiedy zamknęła za sobą bramę i znalazła się na piaszczystej drodze, wiatr zaatakował ją ze zdwojoną siłą. Miała do przejścia tylko kilkadziesiąt metrów, ale wzdłuż tej drogi nie było żadnych zabudowań. Przyśpieszyła więc kroku, zakładając ręce na piersiach i kuląc ramiona. Gdy upewniła się, że w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby ją przez przypadek podsłuchać, zaczęła półgłosem powtarzać fragmenty swojej roli:

*Niechaj podbiegą młodzieńce,
Niech mię pochwyćą za ręce,
Niechaj przyciągną do ziemi,
Niech poigram chwilkę z niemi.
Bo słuchajcie i zważcie u siebie,
Że według Bożego rozkazu:
Kto nie dotknął ziemi ni razu...*

Wciąż recytując, minęła ukryty w wysokiej trawie kamienny krzyż i przeszła obok otoczonego pokrzywami pustego placu, gdzie pośród gruzu i szkła leżały zardzewiałe części rolniczych maszyn, resztki wyrzuconych wieki temu mebli, gnijące szmaty

oraz całe mnóstwo innych śmieci, nad którymi już nikt nie potrafił zapanować. Wielkie płachty czarnej folii trzepotały na wietrze, próbując oderwać się od ziemi, ale za bardzo w nią wrosły, aby mogło im się to udać. Alicja rejestrowała to wszystko kątem oka, całkiem bezwiednie. Może dlatego nie od razu dostrzegła, że furtka prowadząca na jej podwórko jest uchylona. Ktoś ją odwiedził.

Na środku trawiastego podwórza, obok ocembrowanej blokami piaskowca studni, gdzie zwykle jest najwięcej błota, przykucnęła dziewczynka ubrana w szarobiałą sukienkę do Pierwszej Komunii.

Na widok tej zniszczonej, szarpanej przez wiatr sukienki oczy Alicji zwężyły się w szparki. Z hałasem otworzyła furtkę na całą szerokość, podeszła kilka kroków, a następnie zatrzymała się, nie spuszczając wzroku z nieoczekiwanego i co gorsza, niepożądanego gościa.

Doskonale znała tę dziewczynkę.

Wszyscy ją znali.

Miała na imię Karolina, ale ostatnio uparcie nazywano ją aniołkiem.

„Popatrz tylko na nią”, mawiała pani Burska. „Wygląda zupełnie jak mały aniołek. Jak pierzasty aniołek, który przyleciał z nieba. Buzia niczym z obrazka, no i te włosy. Czyż to dziecko nie jest urocze?”

Alicja potakiwała, chociaż miała na ten temat całkowicie odmienne zdanie.

Nie znosiła Karoliny. Uważała, że jest rozpuszczona i bezczelna. Drażniła ją ta krucha jak

opłatek twarzyczka z perkatym noskiem i satynowa sukienka, którą mała nosiła bez względu na pogodę. Nawet w zimie, kiedy padał śnieg, zszarzały materiał wystawał spod puchowej kurtki. Alicja nie potrafiła zrozumieć, czemu ten dziwaczny zwyczaj wydaje się wszystkim taki uroczy.

Dla niej było to po prostu chore.

Dziewczynka nie zauważyła jej nadejścia całkowicie pochłonięta zabawą, która polegała na napełnianiu wodą z kałuży plastikowej butelki po szamponie. Ziemia wokół niej roiła się wprost od obrzydliwych ruchliwych robaków o lśniących pancerzach. Sądząc po ruchu warg, mówiła do siebie albo nuciła jakąś piosenkę, ale poprzez szum wiatru nie było słychać ani melodii, ani słów. Wątła i przeraźliwie blada, o małej twarzączce okolonej złotymi lokami, przypominała nie tyle aniołka, ile porzuconą w wysokiej trawie zniszczoną lalkę.

–Co ty tutaj robisz? – spytała szorstko Alicja. – Dlaczego nie jesteś w domu?

Karolina nie odezwała się ani słowem, nawet nie spojrzała na dziewczynę, chociaż ta podeszła całkiem blisko. W dalszym ciągu nalewała mętną wodę. Dopiero kiedy rozległo się szczenie nadbiegającego od strony nasypu psa, powoli, jakby z olbrzymim wysiłkiem podniosła głowę. Jej oczy były bezbarwne i puste niby kawałki szkła.

–Uwaga, idzie gwiazda – rzekła zaskakująco niskim głosem, po czym ponownie spuściła wzrok.

–Pytałam cię o coś, młoda damo – powiedziała Alicja. – Jesteś głucha czy co? Czego szukasz na moim podwórku?

–Uczę się swojej roli.

–Przecież nie chciałaś grać w tym przedstawieniu.

–Teraz już chcę.

–A nie możesz się uczyć gdzie indziej?

–Nie – odparła dziewczynka. – Zabierz ode mnie tego kundla, bo się porzygam.

Nie było takiej potrzeby.

Pies tylko ją obwąchał, a potem, chłoszcząc ogonem powietrze, pobiegł w kierunku zabudowań gospodarczych i po kilku sekundach zniknął za koślawą szopą z narzędziami. Alicja skrzyżowała ręce na piersiach i zastygła w wyczekującej pozycji, jak stanowcza nauczycielka, z którą nie ma żartów.

Ale na Karolinie nie zrobiło to większego wrażenia. Wróciła do swojej zabawy obojętna na wszystko inne, nawet na pogodę.

A było naprawdę paskudnie. Mimo wczesnej godziny panował półmrok. Wszystko wokół – drzewa, trawa, dom i przylegające do niego zabudowania – było jednolicie szare jak o zmierzchu.

Co gorsza, robiło się coraz zimniej.

–Ładną mam sukienkę? – spytała nieoczekiwanie Karolina, która nawet jeśli odczuwała chłód, nie dawała tego po sobie poznać. – Aleksander powiedział, że pasuje do przedstawienia. Bo będę grała aniołka. Była szyta na miarę i kosztowała masę pieniędzy. Całą masę pieniędzy – kąci jej ust uniosły się w górę, a w pustych do tej pory oczach zapalił się dziwny blask. – Nie to co twój sweter.

–Jest brudna.

–Nieprawda.

–Prawda. Trzeba ją wyprać – powiedziała Alicja, przyglądając się dziewczynce i myśląc bezwiednie, że mogłaby mieć takie włosy jak ona. Jej własne były słabe i rozdawały się na końcach.

W dodatku miały paskudny mysi kolor.

–Zresztą i tak nie będzie teatrzyku – dodała z satysfakcją. – Mamy teraz inne sprawy na głowie. Dużo poważniejsze. Jak się nudzisz, to idź sobie na szosę. Rano był wypadek autokaru.

Zanim jeszcze wypowiedziała te słowa, zorientowała się, że zaraz palnie głupstwo. Ale nie mogła po prostu utrzymać języka za zębami. Karolina była prawdopodobnie jedyną osobą, która jeszcze nie wiedziała o wypadku, i trudno było powstrzymać się od przekazania komuś – choćby miało to być tylko dziecko – tak wstrząsającej wiadomości.

Dziewczynka zareagowała jednak w sposób zgoła nieoczekiwany.

Odrzuciła plastikową butelkę i podniosła się z kucek. Wiatr porwał jej włosy, zafurkotała komunijna sukienka.

–Jesteś głupia – wysyczała mała z twarzą pełną pogardy. – Zupełnie szajbnięta. To nie był autokar, tylko mikrobus. Srebrny mikrobus. Wszyscy pasażerowie nie żyją. Rozpierzdelili się!

Ostatnie zdania wykrzyczała.

Kilkadziesiąt wron zerwało się z pobliskich drzew, jakby przeraził je ten atak dziecięcej złości. Krążyły przez chwilę całą chmarą nad ich głowami, złowieszczo kracząc, a potem uleciały w niebo i rozsypały się wysoko w górze.

Jak wyrzucona w powietrze garść żwiru.

–A teatrzyk musi się odbyć – dodała wyzywającym tonem. – Nawet bez ciebie!

Alicji zaparło dech. Potrzebowała czasu, żeby przetrawić to, co usłyszała.

–Skąd wiesz, że to mikrobus? – spytała, spuszczając nieco z tonu.

–Bo tam byłam – powiedziała dziewczynka i z uśmiechem triumfu powoli ruszyła w stronę furtki. Przeszła przez zapuszczone podwórko, recytując swoją rolę, głośno, jakby starała się przekrzyknąć wiatr.

My teraz w rajach latamy,

Tam nam lepiej niż u mamy.

Alicja odprowadziła ją wzrokiem aż na drogę.

Przez chwilę stała przed frontowymi drzwiami, bledząc się z zamkiem, który przeważnie zacinał się akurat wtedy, gdy się śpieszyła albo była zdenerwowana. Aleksander już kilka razy obiecywał go naprawić, tyle że na obietnicach się kończyło. Na myśl o tym ogarnęła ją jeszcze większa złość.

Po wyjściu od państwa Burskich czuła się trochę nieswojo, ale dopiero ta gówniara na dobre wytrąciła ją z równowagi. Trzeba będzie zamykać furtkę na klucz, pomyślała. Żeby mi się tutaj już nikt nie kręcił.

Kiedy wreszcie uporała się z zamkiem i weszła do środka, poczuła znajomy słodkawy zapach rzadko wietrzonego pomieszczenia. Zdjęła buty i włożyła filcowe kapcie. Odruchowo spojrzała na wiszący obok lustra telefon, jakby spodziewała się, że za sekundę rozlegnie się dzwonek. Czekwała na jakąś wiadomość dotyczącą wypadku, ale czarny aparat milczał jak grób.

No cóż, pewnie są przekonani, że o tej godzinie jestem jeszcze u Burskiej, pomyślała. Aleksander miał zwyczaj dzwonić koło dwunastej. Nie pozostawało jej nic innego, jak cierpliwie czekać.

Im dłużej jednak czekała, tym trudniej było jej znaleźć sobie miejsce w tym olbrzymim ponurym domu. Jak zahipnotyzowana chodziła po mrocznych pokojach, pośród przykrytych grubą warstwą kurzu ciężkich mebli, w ciszy, którą szalejący na zewnątrz wiatr tylko podkreślał. Jego odgłos, niski i głuchy, przypominał szum, jaki rozbrzmiewa w głowie po zatkaniu uszu. Żeby nie zwariować, włączyła telewizor, a potem poszła do łazienki i puściła wodę na kąpiel.

Dlaczego nikt nie dzwoni? Czyżby znów o niej zapomniano? Burscy jeszcze przed jedenastą odebrali dwa telefony, a przecież nikt tutaj za nimi specjalnie nie przepadał. Nie mogła tego zrozumieć. Do tej pory wydawało jej się, że jest powszechnie lubiana, a nawet dorobiła się pewnej pozycji. Nazywano ją gwiazdą, bo była podobna do znanej aktorki, w dodatku odgrywała ważną rolę w przedstawieniu. Aleksander mógłby zadzwonić choćby po to, aby odwołać dzisiejszą próbę. Myśl o tym, że została zlekceważona, wprawiła ją w przygnębienie.

Leżąc już w wannie, jeszcze raz przypomniała sobie, co powiedziała Karolina. Jeśli mała mówiła prawdę, cały ten wypadek wyglądał trochę mniej tragicznie niż w relacji Burskiej.

Jakkolwiek na to patrzeć, mikrobus to jednak nie jest autokar.

Przyglądała się swojemu ciału pod wodą, a potem długo stała przed zaparowanym lustrem, naga i mokra jak topielica.

–Jestem zajebista – powiedziała na głos, następnie powtórzyła to zdanie kilka razy, zanim wreszcie wytarła się szorstkim ręcznikiem, włożyła jasnozielony szlafrok i zamknęła za sobą drzwi łazienki.

Zrezygnowała z gotowania obiadu. Postanowiła zdrzemnąć się przed popołudniowym odcinkiem serialu, a wieczorem zrobić sobie omlet albo zapiekankę.

Po drodze do sypialni zatrzymała się w kuchni, żeby nastawić wodę na herbatę i sprawdzić, czy okno jest dobrze zamknięte. Na stole leżały resztki śniadania i przepełniona popielniczka z wczorajszego wieczora.

Alicja wydała z siebie przeciągłe westchnienie.

Nie chciało jej się sprzątać, więc tylko przeniosła to wszystko do zlewu. Czekając, aż woda się zagotuje, wypaliła znalezionego w kieszeni szlafroka papierosa, chociaż od dawna obiecywała sobie, że będzie palić tylko przy herbacie albo kawie. Jestem za słaba na takie postanowienia, pomyślała apatycznie. Na zewnątrz wciąż wiało i gałąź rosnącego pod oknem drzewa regularnie uderzała o brudną szybę.

Aleksander przyszedł o wpół do pierwszej.

Leżała już w łóżku – okno sypialni było szczelnie zasłonięte – i oglądała powtórkę teleturnieju na dwójce, kiedy zabrzmiał dzwonek u drzwi. W ciągu jednej sekundy zerwała się na równe nogi, lecz po chwili usiadła, a następnie wstała ponownie, tym razem

bardzo powoli. Mimo że była podenerwowana, w drodze do frontowych drzwi przybrała znudzony wyraz twarzy.

Aleksander stał na progu z jedną ręką w kieszeni, przygarbiony jak zwykle. Jego długie, lekko siwiejące włosy tańczyły na wietrze.

–Ale wieje – powiedział i nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka. – Spałaś?

–Leżałam.

Miał na sobie sztruksową marynarkę ze skórzanymi łatami na łokciach. Był nieogolony, co mu się raczej rzadko zdarzało, i wyglądał na bardzo zmęczonego. Chociaż nie przekroczył jeszcze czterdziestki, sprawiał czasami wrażenie o wiele starszego. Najstarszego z nich wszystkich.

Może tak właśnie powinien wyglądać prawdziwy reżyser?

To Aleksander wpadł na pomysł, żeby przerobić szopę pani Chojnickiej na coś w rodzaju świetlicy i co jakiś czas urządzać w niej amatorskie przedstawienia albo wieczorki poetyckie, w które zaangażowani byłiby wszyscy mieszkańcy. Był to dosyć śmiały projekt, zważywszy na wyjątkowo niski poziom kulturalny w tej zapadłej dziurze, lecz Aleksander przystąpił do swojego zadania z wielkim zapałem i energią. Postanowił dotrzeć do tych ludzi poprzez sztukę. Jego pomysł został przyjęty ze zrozumieniem, choć bez zbytniego entuzjazmu. Najłatwiej było znaleźć chętnych do wysprzątania szopy. Prawie cała wieś wynosiła pradawne sprzęty, narzędzia rolnicze i masę innych gratów. Jeśli chodzi o zadania artystyczne, zgłosiły się tylko cztery osoby – w tym również Alicja.

No cóż, początki zawsze są trudne.

–Czemu nie zapalisz światła? – spytał Aleksander, sprawdzając fryzurę w lustrze. – Ciemno tu jak w grobowcu.

–Bo to jest grobowiec – odparła zimno. – Jeszcze tego nie zauważyłeś?

–O co chodzi?

Nie odpowiedziała, tylko westchnęła teatralnie, odwróciła się do niego plecami i z nadąsaną miną wróciła do sypialni. Kiedy tam za nią wszedł, siedziała na rozgrzebanym łóżku, wpatrując się w telewizor. Usiadł obok niej i przez minutę czy dwie wspólnie oglądali reklamy, a potem finał teleturnieju, w którym główną nagrodą była wycieczka do Meksyku. Sprawiał wrażenie rozkojarzonego. Wciąż przyglądał włosy i wystukiwał palcami na kolanie jakieś skomplikowane rytmy.

–Był wypadek – odezwał się wreszcie wciąż wpatrzony w ekran, na którym pojawiły się cztery odpowiedzi do wyboru. – Pewnie wiesz. Są dwa trupy.

Miała już na końcu języka pytanie, które powinna była w tej chwili zadać, ale przecież postanowiła, że w ogóle nie będzie poruszać tego tematu. Odgrywanie roli obrażonej kobiety zaczęło jej nawet odpowiadać. Poczula się trochę jak bohaterka telenoweli.

–Islamabad! Stolica Pakistanu! – krzyknął nagle, aż się wzdrygnęła. – To już było. Dlaczego oglądasz wczorajszy teleturniej?

–Z nudów – odparła. – Po prostu się nudzę. Zresztą one wszystkie są wczorajsze.

Wstał i zanim zdążyła zareagować, wyłączył telewizor. Potem podszedł do okna, odsunął odrobinę popielata zasłonę i spojrzął

na drogę. Przez uchyloną szparę do sypialni wsączyło się światło w kolorze wodnej zieleni. Alicja poczuła delikatne ukłucie niepokoju. Mężczyzna odwrócił się z dziwnym uśmiechem, mrugnął do niej i ni stąd, ni zowąd zaczął recytować:

Przecież nie wiem, skąd ta nuda.

Wyglądam kogoś za każdym szelestem,

Ach, i zawsze sama jestem!

Przykro mi, że bez ustanku

Wiatr mną jak piórkiem pomiata

Nie wiem, czy jestem z tego czy z tamtego świata.

–To moja kwestia – powiedziała odruchowo.

–Więc jak idzie dalej?

–Nie pamiętam – skłamała.

–No to co z ciebie za aktorka? – Poklepał się po kieszeniach marynarki w poszukiwaniu papierosów. – „Czego potrzebujesz, duszeczko, żeby się dostać do nieba?”

–Przestań mnie męczyć. Nie mam dzisiaj nastroju. Po co przyszedłeś?

–„Nic mnie, nic mnie nie potrzeba”. Masz papierosy?

–Są na lodówce.

Oderwał się od okna, minął jej łóżko i szybkim krokiem ruszył w stronę kuchni. Gdy przechodził przez sień, pod jego stopami zaskrzypiały klepki podłogi.

Potem znów usłyszała wesoły, tubalny głos:

Lecz nie płacz, piękna dziewico!

Oto przed moją źrzenicą

Odkryto przyszłe wyroki:

Jeszcze musisz sama jedna

Latać z wiatrem przez dwa roki,

A potem staniesz za niebieskim progiem.

Pomyślała, że dłużej tego nie wytrzyma. Napięcie rosnęło w niej dramatycznie, a te dziwaczne rymowane słowa, których w zasadzie nigdy do końca nie pojmowała, tylko pogarszały sprawę. Podniosła się z łóżka, nałożyła kapcie i powoli podeszła do okna. Chociaż miała na sobie gruby szlafrok, poczuła, że ogarniają straszny chłód. Odsunęła całkowicie nie tylko zasłony, ale i firankę, wyjrzała przez okno w kierunku ukrytej za ciemnymi drzewami drogi.

Na szybie widniały widmowe ślady palców.

Dziś modlitwa nic nie zjedna.

Podwórko było puste, podobnie jak przebiegająca obok niego piaszczysta droga, lecz nieco dalej, pomiędzy szeroko rozstawionymi pniami buków, na tle rozciągających się daleko zrudziałych pól Alicja dostrzegła jakiś ruch. Jakieś kształty.

Już są, pomyślała.

–Dalej nie pamiętam! – krzyknął z kuchni Aleksander. – Ładny ze mnie Guślarz. Gdzie masz popielniczkę?

A może to tylko wysoka trawa ugięła się od podmuchów wiatru? Z daleka niewiele właściwie było widać. Cały ten posepny krajobraz zdawał się przecież martwy – nic, tylko kolczaste zarośla, błoto i piach. Alicja pochyliła się do przodu, aż dotknęła czołem chłodnej szyby.

Parapet był czarny od kurzu.

–Idą – powiedziała do siebie.

Brzęk naczyń świadczył o tym, że Aleksander wyjął popielniczkę ze zlewu. Na zewnątrz zaczął ujadać pies. Potem Alicja usłyszała złowróżbne krakanie.

–Idą – powtórzyła głośniejszym głosem i zadrżała. Nie tyle ze strachu, ile z podniecenia. – Już są.

Zbliżali się.

Szli na przełaj w stronę drogi, częściowo ukryci za drzewami. Ich ciemne sylwetki, które do tej pory zlewały się z jednolicie szarym tłem, stawały się coraz wyraźniejsze i po chwili Alicja zaczęła rozpoznawać poszczególne osoby. Kiedy pojawili się na drodze, aż westchnęła z wrażenia.

Pierwszy szedł oczywiście ksiądz Marek, wysoki i sztywny jak gromnica. Mimo wiatru i kłopotów z nogą starał się poruszać majestatycznie. Śnieżnobiała komża mocno kontrastowała z brunatnobrązowym kolorem drogi. Wyprzedzał o krok pana Mostowiaka, którego trudno byłoby poznać w tym żałobnym garniturze, gdyby nie szerokie bary i nieodłączny filcowy kapelusz na głowie. Nieco dalej Alicja dostrzegła dwie kobiety w czerni – panią Chojnicką i panią Kurylczyk – ostrożnie prowadzące pod rękę jakiegoś długonogiego mężczyznę z brodą, a za tą grupą jeszcze jedną nieznaną postać, niższą i bardziej krępa, próbującą iść samodzielnie, chociaż widać było, że sprawia jej to dużą trudność.

To oni, pomyślała Alicja.

Usiłowała przyjrzeć im się dokładniej, byli jednak zbyt daleko. Poprawiła kosmyk włosów, który wysunął jej się zza ucha.

Aleksander, który właśnie wrócił z kuchni, objął ją od tyłu w pasie i przyciągnął do siebie.

–Dwaj Niemcy – powiedział szeptem. – Czterdzieści i pięćdziesiąt sześć lat. Jechali chyba do Drezna. Ten starszy był kierowcą mikrobusu. Zasnął za kółkiem.

–Gdzie ich prowadzą? – spytała dziewczyna.

–Na razie będą mieszkać u księdza dobrodzieja – zaciągnął się głęboko i wypuścił dym nosem. – A potem znajdzie się im jakieś kwatery.

–Tylko dwóch? – spytała po chwili, mimo wszystko lekko zawiedziona. – Podobno było mnóstwo ofiar. Burska mówiła, że takiego wypadku jeszcze tutaj nie było.

–W sumie zginęły trzy osoby – powiedział Aleksander. – Cztery są ranne.

–A gdzie ta trzecia?

–Trzecia do nas nie przyjdzie – odparł szybko, a potem uśmiechnął się szeroko i dodał: – Była Świadkiem Jehowy.

–Pytałam poważnie – powiedziała, uwalniając się z jego objęć. – Ta osoba była od nas jakaś lepsza, prawda?

–O co ci właściwie chodzi?

–Poszła gdzie indziej?

Nie musiał odpowiadać.

Z wolna zaczynała rozumieć, a przynajmniej tak jej się zdawało. Do tej pory myślała, że jedyne co łączy ją z pozostałymi mieszkańcami wsi, to gwałtowna śmierć na drodze. Na tej drodze. Wszyscy zginęli w wypadkach: państwo Burscy, którzy dziesięć lat temu wylądowali na drzewie, a potem trzeba było rozcinać maskę poloneza, żeby wydobyć ich ciała; Karolina potrącona przez pijanego kierowcę, kiedy w trakcie Białego Tygodnia szła z matką

poboczem do kościoła; pan Mostowiak, który na pożyczonym od brata motorze przejechał się tylko raz; ksiądz proboszcz, jedyna śmiertelna ofiara zderzenia czołowego –

czy wreszcie ona, Alicja, śpiąca na tylnym siedzeniu bmw, kiedy pewnego sierpniowego popołudnia uderzyła w nich ciężarówka na słowackich tablicach.

Reszta mieszkańców również poniosła śmierć na tej szosie. Nawet pies, który ujadł teraz wściekle, zakończył swoje psie życie w przydrożnym rowie.

Gwałtowna śmierć. To ich niewątpliwe łączyło. Ale teraz zrozumiała, że nie tylko.

–Są jakieś inne miejsca – powiedziała, patrząc mu prosto w twarz. – Miejsca, do których trafiają ci bardziej, jak ty to mówisz, uduchowieni, prawda?

–Tak – odparł spokojnie. – Ale są również gorsze. Uwierz mi. Przecież tutaj właściwie niczego wam nie brakuje.

Ze złością odwróciła się od niego i znowu spojrzała przez okno.

–To niesprawiedliwe – wyszeptała, obserwując sunący przez wieś kondukt. – Ja też tutaj nie pasuję.

Szli środkiem porośniętej paprociami drogi, a nad ich głowami krążyły pokraczne wrony. Minęli już dom państwa Burskich i zbliżali się do kamiennego krzyża. Gdzieś w środku orszaku pojawiła się nagle Karolina. Może była z nimi przez cały czas, ukryta za czyimiś plecami, a może przybiegła dopiero teraz. Pierzasty aniołek musiał być zawsze w centrum wydarzeń.

–To kurewsko niesprawiedliwe – powtórzyła Alicja.

Aleksander również przyglądał się nadchodzącym.

Kolejni mieszkańcy, kolejne trudne albo wręcz beznadziejne przypadki.

Bezdušní zmarli, z których wypadałoby coś wykrzesać. Czasami miał wrażenie, że zadanie, jakie mu przydzielono, przerasta po prostu jego możliwości. Nie szczędził przecież wysiłków, robił wszystko, aby dotrzeć do każdego z osobna, aby w każdym z nich odnaleźć coś, co można by w miarę możliwości rozwijać, coś, co pozwoliłoby wznieść się im na wyższy poziom.

Chciał im po prostu pomóc.

Tyle że jak się okazuje, nie wszyscy chcą być zbawieni. Ta wieś bez nazwy wydaje się niektórym w zupełności wystarczać.

A nad tymi innymi, pomyślał, trzeba będzie jeszcze mocno, mocno popracować.

Zdusił papierosa w popielniczce w kształcie buta i przetarł palcami podrażnione dymem oczy.

No cóż, do tej roboty trzeba mieć naprawdę anielską cierpliwość.

Dom Marty

Los Sebastiana, proszę księdza, jest już przesądzony – powiedziała beznamiętnie Marta Woźniak, dotykając leżącej na stole Biblii, jakby to był gotowy do strzału pistolet. – Szatan wciągnął go w swoje sidła. Mój synek wybrał szatana jako swego przywódcę i poddał się jego mocy. Może się ksiądz przynajmniej mleka napije? Okropny upał.

–Nie, dziękuję. Naprawdę dziękuję – odparłem, starając się unikać jej szklanego wzroku. – Wypiłem przed chwilą pół butelki wody mineralnej.

–Poczęstowałabym czymś więcej, tylko u nas bieda, ksiądz rozumie. Z renty człowiek nie wyżyje. Dobrze, że mam trochę warzyw w ogródku i kilka kur. Zawsze coś tam upichcę dla siebie i... – umilkła na dłuższą chwilę, nie pierwszy raz podczas naszej rozmowy. Upał

sierpniowego popołudnia zdawał się ją usypiać. Przez otwarte okno napływała do środka mulista woń rzeki i mieszała się z zapachami starego, zapuszczonego domu.

Po lepkim dnie pustej szklanki leniwie spacerowała mucha. – Ale dawniej, kiedy mój chłop jeszcze żył – powiedziała Marta już innym tonem – zawsze dawałam na kościół. Nikt mi nie może zarzucić!

–Wiem, pani Woźniakowa – zapewniłem ją pospiesznie. – Proboszcz wspominał mi o pani ofiarności. Dlatego szczerze martwi się teraz o Sebastiana. Wszyscy się martwimy. Już od tygodnia nie widzieliśmy go w naszej świątyni, a we wsi też się podobno nie pokazuje. Czy coś mu się stało? – Poprawiłem się na krześle i odchrząknąłem. – Może jest chory?

Po raz pierwszy, odkąd przekroczyłem próg jej domu, uśmiechnęła się, był to jakiś ponury uśmiech, przypominał raczej grymas politowania bądź dezaprobaty.

–Żaden lekarz nie znajdzie lekarstwa na jego chorobę, może mi ksiądz wierzyć. Los jego jest już przesądzony.

–Czy jest w szpitalu?

–To ja powinnam iść do szpitala, nie on. Nawet ksiądz nie wie, jak oni mi nogę załatwili. Kolano ciągle mnie boli, nie mogę chodzić, w nocy spać nie daje. Lekarz mówił, że już wszystko niby dobrze, ale gdzie tam. Taki młody ten lekarz. W okularach.

–A na co jest chory pani syn?

–Jego dusza jest chora – powiedziała Marta. – Nieuleczalnie chora.

–Powinniśmy z pokorą w sercu...

–Został opętany przez nieczystego ducha! – przerwała mi podniesionym głosem, a jej dłoń zacisnęła się na okładce Biblii, aż pobieły kostki długich palców. Tylko twarz pozostała nieruchoma jak przedtem. – Stał się sługą księcia ciemności i będzie żył w wiecznych mękach! Będzie wił się w płomieniach!

Sebastian miał piętnaście lat i był niedorozwinięty umysłowo, natomiast jego matka – zanedbana czterdziestolatka o pociemniałej twarzy – zdradzała wszelkie objawy psychicznego niezrównoważenia. Siedziała teraz na wprost mnie w rozświetlonym pokoju, obrazowo opisując straszliwe tortury, jakim poddany będzie jej syn, kiedy tylko trafi tam, dokąd według niej trafić musi, czyli do piekła.

Spojrzałem w okno, przez które widać było fragment rozpalonej w słońcu jezdni i stojący po jej drugiej stronie świeżo wybudowany, oślepiająco biały piętrowy dom. Jego mieszkańcy, państwo Polewscy (ich syn jest u nas ministrantem), woleliby zapewne patrzeć ze swojego balkonu na coś przyjemniejszego dla oka niż rozpadająca się rudera Marty wariatki, jak nazywali swoją najbliższą sąsiadkę.

Tak, Marta Woźniak była – delikatnie mówiąc – osobą niepoczytalną. Muszę przyznać, że obawiałem się dzisiejszej wizyty, i to nawet bardzo. Jako świeżo upieczony wikary nie zdążyłem jeszcze dokładnie poznać wszystkich mieszkańców wsi, a matka Sebastiana należała do osób, których nie znałem prawie w ogóle. Raz czy dwa widziałem ją przelotnie, kiedy pracowała w ogródku, lecz przyznam szczerze, że nawet nie zdążyłem jej się bliżej przyjrzeć. Może nawet specjalnie odwracałem wtedy wzrok i przyspieszałem kroku. To i owo już bowiem o niej słyszałem – i od proboszcza, i

od wiernych, i od ministrantów w zakrystii, a w szczególności od kręcących się wokół

kościół dzieci.

Z tego wszystkiego ułożył mi się dosyć niepokojący obrazek.

Była bez wątpienia żarliwą katoliczką. Dopóki pozwalało jej na to zdrowie, regularnie uczestniczyła we wszystkich nabożeństwach, nie zwracając na siebie, jak sądzę, zbytnej uwagi innych mieszkańców. Wiadomo: trochę dewotka, trochę nawiedzona, a w gruncie rzeczy nieszczęśliwa kobieta. Wdowa wychowująca opóźnionego umysłowo syna. Potem trudności z poruszaniem się – przeszła skomplikowaną operację kolana i musiała używać kul – utrudniły jej wychodzenie z domu. Zaszła się więc w swojej norze i stała się niemal niewidoczna. Dopiero wtedy, jakby należało czymś zapełnić to puste miejsce, zaczęły krążyć na jej temat plotki, które z czasem przekształciły się w jakąś ponurą miejscową legendę.

We wsi opowiadano o niej różne fantastyczne i przerażające historie. Podobno jej mąż wcale nie umarł na raka żołądka, tylko Marta otruła go, dodając przez szereg tygodni do obiadu niewielkie ilości trucizny na szczury. Krążyły również słuchy, że przez całe dzieciństwo kazała Sebastianowi nocować w komórcie na węgiel (inna wersja mówiła o szopie na narzędzia) i zmuszała go do modlitwy przed wschodem słońca, ponieważ tak czynią mnisi w niektórych klasztorach. Dlatego jest teraz taki a nie inny, mawiali sąsiedzi. Zrobiła z niego głupka, proszę księdza. Urodziła też podobno córeczkę, którą utopiła w rzece, bo dziewczynka miała zdeformowaną główkę. I tak dalej, i tak dalej...

Nie wierzyłem oczywiście w te chore opowieści – czego to ludzie nie wymyślą z nudów bądź nadmiaru wyobraźni – kiedy jednak proboszcz nakazał mi odwiedzić Martę, przyjąłem jego polecenie bez większego entuzjazmu.

–Tylko delikatnie – napominał mnie mój przełożony, błyskając okularami. – Delikatnie i dyskretnie.

Nie tyle chodziło mu o nią, ile o Sebastiana, z którym mieliśmy od jakiegoś czasu pewien poważny problem.

Otóż na naszym kościelnym cmentarzu kilkanaście dni wcześniej dokonano zuchwałej kradzieży, która wzburzyła serca wiernych. Ktoś usunął cztery metalowe krzyże ze stojących tuż przy ogrodzeniu grobów. Od razu zorientowaliśmy się, że nie chodziło o akt wandalizmu, tylko o zwyczajną kradzież, ponieważ ani kamienne krzyże, ani marmurowe płyty nie zostały w żaden sposób naruszone. Wszystko wskazywało więc na ludzi zajmujących się zbieraniem i sprzedażą złomu.

A trzeba powiedzieć, że jest ich w naszej okolicy coraz więcej. Wiadomo: bezrobocie, bieda, ludzie chwytają się najrozmaitszych zajęć, żeby związać koniec z końcem. Kłopot w tym, że nie wszyscy złomiarze (tak się ich tutaj nazywa) poprzestają na zbieraniu tego co wyrzucone i nieużyteczne. Zdarzają się niestety i tacy, którzy próbują zaciągnąć do skupu każdy napotkany kawałek metalu, jaki są w stanie podnieść czy też odkręcić, bez względu na to, skąd pochodzi. W ten sposób znikają sztachety ogrodzeń, kable, studzienki, fragmenty torów, całe rulony siatek i mnóstwo innych

najdziwniejszych rzeczy. Oczywiście nie wszyscy zbieracze są złodziejami, większość nie miała z tymi kradzieżami nic wspólnego, ale na każdego patrzyło się już teraz we wsi krzywym okiem. Zwłaszcza po tym, co wydarzyło się na cmentarzu.

Sebastian od pewnego czasu również zbierał złom. Mimo swojej choroby był chłopcem

pracowitym i na swój sposób operatywnym, toteż bardzo szybko sprawił sobie wózek, do którego wrzucał znalezione w krzakach puszki po piwie, stare garnki i inną drobnicę. Zawoził to wszystko do jednego z trzech skupów w okolicy, gdzie dostawał zapewne jakieś marne grosze, bo to co zwykle dostarczał w wózku, niewarte było chyba nawet przebytej przez niego drogi. Ale cieszyły go każde pieniądze, a w dodatku miał chłopak jakieś zajęcie. Parę razy widziałem go z jakimś pordzewiałym arkuszem blachy czy kawałkiem zgniecionej rury. Twarz jego promieniała wtedy radością i dumą.

Sebastian Woźniak był oczywiście ostatnią osobą, którą podejrzewaliśmy o kradzież tych krzyży. Nawet nam przez myśl nie przeszło, że ten wiecznie uśmiechnięty głuptas, który w przydługiej komży dwa albo trzy razy służył proboszczowi do mszy, mógłby mieć coś wspólnego z tak bezbożnym i nagannym czynem. Jednakże sytuacja zmieniła się diametralnie, kiedy po pewnym czasie okazało się, że od momentu nagłośnienia sprawy nikt Sebastiana już we wsi nie widział. Nie pojawił się ani w kościele, ani w skupie, ani nad rzeką, gdzie widywano go najczęściej. Za to dwa razy zawitała do sklepu jego matka. Było to o tyle dziwne, że chłopak raczej rzadko przesiadywał w domu. A właśnie teraz, kiedy ludzie byli wściekli i za wszelką cenę chcieli znaleźć winnego czy też winnych kradzieży, postanowił zniknąć. Po prostu przepadł bez wieści.

–Szatan objawił się w nowym przebraniu, zwiódł mego syna i z jego pomocą rozwiesił swoją chorągiew nad tym domem. Ja również jestem dręczona przez diabła, lecz nie ulegam mu. Nie wiem tylko, na jak długo starczy mi sił. On jest cierpliwy i czujny.

Zabawne, lecz z początku byłem nieco rozczarowany – Marta wyglądała inaczej, niż sobie wyobrażałem. Po tym wszystkim co o niej słyszałem, spodziewałem się, że ujrzę jakąś półnagą i rozczochraną czarownicę, tymczasem siedząca na wprost mnie kobieta na pierwszy rzut oka mogła się wydawać zupełnie normalna. Owszem, nie przywiązywała szczególnej wagi do swojego wyglądu, przez co zdawała się dużo starsza, niż była w istocie, ale to samo można było powiedzieć o wielu kobietach we wsi. Marta Woźniak niewiele się od nich pod tym względem różniła. Dopiero kiedy zaczynała mówić, robiło się człowiekowi nieswojo. Ten beznamiętny głos, ta nieruchoma twarz, to martwe spojrzenie – jakże to wszystko kontrastowało ze wstrząsającą treścią wypowiedzanych słów!

Czy to normalne kochać swoich parafian i równocześnie się ich bać?

–Szczera skrucha i szczera modlitwa często wystarczają, aby poczuć się lepiej – powiedziałem cicho i łagodnie. – Bóg, który czyta we wszystkich sercach i zna wszystkie nasze myśli, nie

pozostawi nas samych w chwilach próby, jeśli zrozumieliśmy swoje błędy i żarliwie pragniemy je naprawić.

Moje słowa – przesycone zapachem kadzidła i topiącego się wosku – nie znalazły żadnego odbicia w jej twarzy. Zamiast komunii przyjmowała teraz codziennie dużą dawkę środków uspokajających, toteż wciąż sprawiała wrażenie osoby nieobecnej. Przeniosłem wzrok na ścianę, gdzie obok wizerunków świętych i papieża wisiała czarno-biała fotografia ślubna Marty i jej męża. „Otruła go, proszę księdza. Nacierpiał się biedak przez nią, nawet ksiądz nie wie.”

–Každy z nas błędzi – kontynuowałem, splatając dłonie na piersi, co traktowałem zawsze jako gest obronny, kiedy nie bardzo mogłem poradzić sobie w jakiejś sytuacji. – W

mniejszym lub większym stopniu wszyscy ulegamy zgubnym namiętnościom.

–To tylko przyjemne teorie, które mają za zadanie usprawiedliwić nasze sumienia – powiedziała cichutko Marta. – Właśnie one doprowadzają nas do zguby. Jestem śpiąca.

–Nie zgodzę się. Nawet najśłabszy człowiek, o ile...

–Ksiądz jest jeszcze młody – przerwała mi bezbarwnym głosem.

Wypuściłem głośno powietrze z płuc i otarłem z czoła strużkę potu. Najgorsze, że akurat w tej sprawie Marta wariatka miała rację. Byłem jeszcze młody. Trudno przemawiać z pozycji mędrca, kiedy ma się dwadzieścia dziewięć lat, a właśnie tego się ode mnie oczekuje. Jestem przecież księdzem, muszę być wszechwiedzący. Nieustannie trzeba nosić maskę i odgrywać swoją rolę, stwarzać

przynajmniej pozory, że jest się kimś dużo mądrzejszym niż zwykli ludzie. Marta doskonale to wyczuwała.

Proboszcz z pewnością lepiej poradziłby sobie z tym problemem: znał Martę od dawna, w dodatku miał dużo większy autorytet. A jednak wyznaczył mnie. Być może był to rodzaj próby, a może wolał po prostu uniknąć w ten sposób przykrego obowiązku.

Cóż, polecenia proboszcza, choćby małoduszne, trzeba wykonywać.

–Sebastian to jeszcze dziecko – powiedziałem, nieco już mniej uroczyście. – To dobry i łagodny chłopiec. Cokolwiek zrobił, można to jeszcze naprawić.

–Już za późno – rzekła Marta.

–Nigdy nie jest za późno.

–Czasami tak.

Obok domu przejechał traktor, a zaraz za nim jakiś samochód osobowy. Jego karoseria rozgorzała w słońcu jak kula ognista. W tym momencie zdałem sobie sprawę, że z Sebastianem stało się coś niedobrego, że ta kobieta zrobiła mu krzywdę, udusiła go poduszką albo dodała mu do obiadu truciznę na szczury – słowem, zamordowała go, kiedy tylko dowiedziała się, co uczynił.

–Policja nic mu nie robi – powiedziałem nagle, i to dosyć głośno, chociaż miałem przecież być delikatny. Przez ten upał nie byłem już jednak w stanie kontynuować rozmowy. – Jest niepełnoletni, a w dodatku... opóźniony. Nikt w tym domu nie poniesie żadnych konsekwencji. Nie musi się już ukrywać.

–Ksiądz jest jeszcze młody...

–Co się stało z Sebastianem? Gdzie on teraz jest?

–Proboszcz niech przyjdzie.

–Gdzie jest Sebastian, pani Woźniakowa?

–Widział ksiądz kiedyś diabła?

–Czy Sebastian jest w domu?

–Zapewniam księdza, że widok jest ohydny. Podobnie jak smród.

Było ponad moje siły spieranie się z nią na temat diabelskiego smrodu. Nawet mobilizując w tym celu resztki energii, nie zdołałbym wytłumaczyć tej nawiedzonej, oderwanej od realiów kobiecie, że jej chorobliwa wyobraźnia wypacza symbole i przenosi Pisma Świętego. Szaleństwo po prostu unosiło się tutaj w powietrzu, wnikając w podłogę i ściany, w rdzeń mebli, w biały koronkowy obrus.

Cały ten dom był jak chory umysł.

–Chciałbym porozmawiać przez chwilę z Sebastianem – powiedziałem stanowczo.

–Nie ma go. Niech ksiądz już idzie. Jestem śpiąca.

Jej głos się nie zmienił, wciąż był beznamiętny i cichutki, ale wychwyciłem ukradkowe spojrzenie, jakie kobieta rzuciła w stronę drzwi prowadzących do sieni. Może to było złudzenie, lecz na ułamek sekundy dostrzegłem w jej oczach jakby autentyczny strach. Zobaczyłem, że Marta Woźniak naprawdę się boi.

Mimo gorąca poczułem, jak przechodzi mnie zimny dreszcz.

–Niechże ksiądz już idzie – poprosiła. – Nic tu po księdzu. Tu musi przyjść proboszcz, on mnie potrafi zrozumieć. On wszystko potrafi. Teraz muszę odpocząć. Ta rozmowa mnie męczy.

Nie zamierzałem ustąpić świadom, że skoro już tutaj jestem, powinienem raz na zawsze wyjaśnić tę sprawę bez względu na to,

jak trudna i bolesna może okazać się prawda. Coś już wiedziałem: Sebastian brał udział w kradzieży na cmentarzu. Zapewne nie sam, bo nie podejrzewałem go o zaplanowanie i zrealizowanie czegoś podobnego, ale maczał w tym palce. Musiał komuś pomagać, ktoś się nim posłużył. Było to dla mnie bardzo przykre odkrycie, albowiem nigdy tak naprawdę nie wierzyłem w jego winę, a nawet broniłem chłopaka przed księdzem proboszczem i oskarżeniami ze strony niektórych mieszkańców. Wydawało mi się rzeczą wprost niewiarygodną, żeby ten pogodny, usługowy i poczciwy chłopiec dał się wciągnąć w coś, co nawet instynktownie powinien był rozpoznać jako olbrzymie zło. Zachowanie jego matki pozbawiło mnie wszakże złudzeń.

Ale nie był to teraz najważniejszy problem.

–Czy Sebastian poniósł należytą karę za swój czyn? – spytałem ostrożnie.

–Należytą karę to on dopiero poniesie w piekle.

–Piekło nie istnieje – powiedziałem głośno, zdając sobie sprawę, że tego rodzaju stwierdzenie trąci herezją. Proboszcz z pewnością nie byłby zachwycony. – Bóg jest pełen miłości i dobroci. Wiara w piekło i wieczne męki to zabobony.

–Na tym polega właśnie tryumf szatana – rzekła z jakąś ponurą satysfakcją. – Nawet księża przestali wierzyć w piekło.

–To banalne – odparłem niegrzecznie. – Płytkie i zgrane. Zresztą nie żyjemy w średniowieczu.

Za oknem cichutko, niemal bezdźwięcznie przejechał na rowerze pan Romaniuk, wykrzywiając twarz w bezzębny uśmiech. Popołudniowy upał mącił widać myśli wszystkich mieszkańców.

W odległości mniej więcej stu metrów stąd płynęła rzeka, tyle że zasłaniał ją dom państwa Polewskich i grupa drzew. Jakże miło byłoby wejść teraz aż po szyję do tej chłodnej wody, a potem zanurzyć głowę, schować się pod powierzchnią, zapomnieć na moment i o pogodzie, i o zaginionych krzyżach, i o wózkach wypełnionych resztkami silników, i o Marcie, i o proboszczu, i o całym tym brudzie, o brudzie fizycznym i duchowym, lepkiem brudzie, z którym spotykałem się niemal codziennie i niemal na każdym kroku, jakby ta biedna kobieta rzeczywiście miała rację i chorągwie szatana łopotały nad większością domów w tej wsi, tylko że my – wszyscy ci niby normalni i zrównoważeni – nie potrafiliśmy ich już dostrzec.

A potem, kiedy nacieszyłbym się ciszą i łagodnym zielonkawym światłem, mógłbym się wynurzyć, jak człowiek oczyszczony i gotowy do działania.

Nagle podjąłem decyzję.

–W takim razie z Bogiem, pani Woźniakowa – powiedziałem, podnosząc się z krzesła. – Nie będę więcej zawracał głowy. Jak Sebastian wróci, niech do nas przyjdzie.

–Z Bogiem – odparła z ledwo wyczuwalną ulgą. – Proszę pozdrowić księdza proboszcza. Proszę mu powiedzieć, żeby jak najszybciej tu przyszedł.

–Dziękuję, pozdrowię.

Po zielonym dywanie w sześciokątne wzorki szybko przeszedłem do sieni, lecz kiedy się już w niej znalazłem, zamknąłem za sobą drzwi pokoju i zamiast wyjść na ganek, a następnie przez ogród na ulicę, skręciłem w przeciwną stronę, gdzie znajdowała się mała kuchnia, komórka i tylne drzwi prowadzące na podwórko. Postanowiłem błyskawicznie przeszukać wszystkie pomieszczenia.

To był niewielki parterowy dom, ale i tak miałem niewiele czasu, bo Marta okazała się niezwykle czujna. Usłyszałem, jak chwyta za kule, które w trakcie naszej rozmowy stały oparte o krzesło, i niezdarnie usiłuje wstać.

–A gdzie to ksiądz lezie? – dobiegło zza zamkniętych drzwi. – Przecież tak nie można!

–Muszę do toalety! – krzyknąłem, próbując odnaleźć kontakt w ciemnej komórce.

Kuchnię już sprawdziłem, wystarczył jeden rzut oka – była tak malutka, że nie dałoby się w niej ukryć nawet martwego kota, a co dopiero mówić o wyrośniętym piętnastolatku. Niemiłosiernie śmierdziała za to przypalonym tłuszczem.

–Niech ksiądz zaczeka!

Zapaliłem w końcu światło i zobaczyłem wewnątrz niewiele większe od zwykłej szafy. Kilka zakurzonych słoików, kilka butelek, parę drewnianych skrzynek, oparta o ścianę łopata ze złamanym styliskiem, okienna rama. Czy posuwałem się za daleko? Być może, tyle że nie miałem już wyboru. Nie mogłem przecież stąd wyjść, nie dowiedziawszy się wpierw, gdzie jest Sebastian, choćby miało się to skończyć szarpaniną z niepełnosprawną kobietą.

–Tam nie wolno księdzu wchodzić!

Wyszedłem na tylne podwórko w momencie, kiedy Marta otworzyła zamknięte przeze mnie drzwi. Słońce na moment mnie oślepiło, omal nie potknąłem się o dyszel Sebastianowego wózka, jakaś kura uciekła w popłochu pod drzwi drewnianego wychodka – były uchylone, więc nie musiałem tracić czasu na jego sprawdzanie. Odnalazłem wzrokiem szopę na narzędzia, a przynajmniej

zdawało mi się, że to ona, bo oprócz kurnika nie widziałem już więcej gospodarskich zabudowań. Jeżeli tam go nie będzie, pomyślałem, wrócę na plebanię i wspólnie z proboszczem zastanowimy się, co robić dalej. Prawdopodobnie powiadomimy policję, ale ja będę miał przynajmniej pewność, że sprawdziłem wszystkie pomieszczenia. Pewność i czyste sumienie.

–Ubikacja jest zapchana! – usłyszałem za sobą niemal błagalny głos.

Jakże szybko poruszała się o tych kulach! Musiał ją zaiste opętać jakiś nieczysty duch. Dotarłem do łuszczących się drzwi szopy i otworzyłem je mocnym szarpnięciem, spodziewałem się bowiem, że będą stawiać opór, że będą zamknięte od wewnątrz na

haczyk albo przynajmniej w jakiś sposób zablokowane. Nie były.

Panujący wewnątrz piekielny smród sprawił, że cofnąłem się o krok, a raczej zatoczyłem się do tyłu. Doprawdy trudno opisać ten fetor, ponieważ z niczym podobnym jeszcze się w życiu nie spotkałem. Wiedziałem jedno: ten zapach nie pochodził od człowieka ani od żadnego znanego mi zwierzęcia. „Widział ksiądz kiedyś diabła? Zapewniam księdza, że widok jest ohydny, podobnie jak smród.”

–Sebastian, jesteś tutaj? – spytałem, zatykając nos rękawem. Stałem na progu, przytrzymując się ręką futryny, i nie mogłem zebrać sił, żeby wejść do środka.

Gwałtowne przejście z zalanego słońcem podwórka do pogrążonego w półmroku wnętrza szopy spowodowało, że moje oczy potrzebowały czasu na przystosowanie się do nowych warunków. Po chwili zacząłem rozróżniać poszczególne kształty.

–Na Boga, niech ksiądz tam nie wchodzi! – sapanie i stukot kul za plecami.

–Sebastian?

–Nie wolno otwierać tych drzwi!

Bogu dzięki, chłopak jeszcze żył! Zobaczyłem go. Klęczał pochylony nad jakąś starą zniszczoną wanną, jakby się modlił. Oprócz tej wanny nie zauważyłem w szopie żadnych innych sprzętów ani narzędzi. Odruchowo sprawdziłem, czy nie leżą tu gdzieś krzyże z naszego cmentarza, chociaż akurat w tej chwili ich los najmniej mnie obchodził. Nie leżały. Pomieszczenie zostało dokładnie uprzątnięte i gdyby nie potworny odór, można by pomyśleć, że jest tu czystiej i przyjemniej niż w domu Marty.

–Sebastian...

Odwrócił w moją stronę twarz, ale chyba nie od razu rozpoznał mnie w blasku słońca.

–Ksiądz Marek? – spytał nagle, nie kryjąc zdziwienia.

Było to zdziwienie pomieszane z radością. Szczęście prostaczka i idioty. Oto ksiądz odwiedza mnie w moim domu!

Mimo nieprawdopodobnego zaduchu śmiało wkroczyłem do środka, zamykając za sobą drzwi na zasuwkę, bo Marta była już dwa kroki od szopy. Można powiedzieć, że zatrzasnąłem je przed samym nosem gospodyni.

–Nie trzeba zamykać – powiedział Sebastian. – Mama tutaj nie wejdzie. Boi się.

Rzeczywiście, nie próbowała nawet otworzyć drzwi. Słyszałem tylko jej sapanie i coś, co brzmiało jak cicha modlitwa.

Chłopak podniósł się powoli, przytrzymując się brzegu wanny, a potem stanął na wprost mnie z rękami zwisającymi wzdłuż boków. Na jego twarzy, mimo uśmiechu, odczytać można było niepewność i jakby lekkie zawstydzenie.

–Jego się boi – powiedział.

–Kogo? – spytałem czując, że zbiera mi się na mdłości od tego zapachu.

–Jego – skinął swoją dużą głową w stronę wanny. – Mówi, że to diabeł.

Dlaczego spośród wszystkich księży tego świata to właśnie ja – nieopierzony wikary z zapadłej wioski w południowo-wschodniej Polsce – musiałem stanąć w obliczu niepojętego? Dlaczego akurat ja musiałem zmierzyć się z czymś tak osobliwym i niedostępnym dla umysłu? Tylu jest przecież doświadczonych, świątłych duchownych, ludzi o szerokiej wiedzy i głębokiej inteligencji, zajmujących się nie tylko teologią, ale i kosmologią, matematyką, naukami przyrodniczymi. Czemu Bóg wybrał właśnie mnie? Nic w moim dotychczasowym

życiu nie przygotowało mnie na podobną sytuację. Seminarium, krótkie lata duszpasterstwa, wnikliwe studiowanie Pisma Świętego i religijne rozmowy – wszystko to okazało się niewystarczające. W tej chwili nie byłem wiele mądrzejszy od Sebastiana, który stał obok mnie i najwyraźniej oczekiwał z mojej strony jakiegoś logicznego wytłumaczenia, jakichś słów zdolnych przywrócić porządek świata. Byłem przecież księdzem i powinienem dysponować niemal boską wiedzą. Tyle że ja potrafiłem tylko potrząsać w zdumieniu głową, krążyć wokół wanny i mamrotać pod nosem jakieś pozbawione sensu słowa. Nie wiem, ile czasu trwało, zanim zdecydowałem się w końcu odezwać.

–To nie jest diabeł, chłopcze – powiedziałem. – Nie masz się czego bać.

–Znalazłem go nad rzeką. W takich zaroślach – chwycił mnie za rękę. – Pokażę księdzu.

–Później. Nie teraz.

–Jak zbierałem żelazo!

–Wiem.

–Przywiozłem wózkiem!

W powleczonej białą emalią wannie, która w jednej czwartej wypełniona była odstąłą wodą, spoczywała na plecach jakaś obca, naga, bezwłosa, zupełnie nieprawdopodobna istota. Monstrum niewiele większe od paroletniego dziecka, chociaż oczywiście pod żadnym innym względem dziecka nieprzypominające. Nie wiem, co to mogło być ani skąd się wzięło w naszej wsi, ale fizyczna obecność tego czegoś była aż nadto odczuwalna. Nie dość, że kreatura wydzielala okropny zapach (zgniłe wodorosty?), to jeszcze od czasu do czasu wydawała z siebie jakieś ciche, świszczące odgłosy, zupełnie jakby oddychała.

–To jeszcze żyje – wyszeptałem.

–Czasami otwiera oko – powiedział Sebastian. – Otwiera oko i patrzy się na mnie.

Muszę go czasami polewać wodą. Mama mówi, że to diabeł.

–To nie jest diabeł – odparłem, zasłaniając dłonią nos oraz usta. Wciąż musiałem powstrzymać podchodzące do gardła mdłości.

–To co to jest, proszę księdza?

–Nie mam pojęcia. To raczej przyleciało do nas z nieba.

Sebastian spojrział w szerniały sufit, a potem przeniósł pełne niedowierzania spojrzenie na moją twarz.

–Z nieba, proszę księdza? – spytał.

–Tak mi się wydaje.

Czy ta bezimienna istota naprawdę pochodziła z nieba? Trudno mi powiedzieć. Z jednej strony przypominała przecież wizerunki Obcych, wszystkich tych rzekomych przybyszów z kosmosu, jakie ogląda się czasem w gazetach lub telewizji – niewielki wzrost, nieproporcjonalnie duża głowa, długie i cienkie ręce, mały otwór zamiast nosa – równocześnie miała w sobie coś z wody, błota, mułu i ziemi, coś z olbrzymiego oślizgłego płaza albo żyjącego gdzieś w mrocznych głębinach wód pradawnego, starszego niż najstarsza cywilizacja stworzona, który od tysiącleci straszy żeglarzy wszystkich mórz i oceanów, aby móc przedostać się płynnie do ich opowieści, przeobrazić się w kamienny posązek, totem lub maskę, nabrać cech mitycznych, a potem zawładnąć naszymi snami. Snami nas wszystkich. Bo przecież niektóre nasze koszmary, które śnimy w domach z betonu, szkła i stali, niewiele różnią się od tych, jakie nękały mieszkańców Babilonu,

afrykańskich wiosek, azteckich miast czy średniowiecznych klasztorów.

Ta istota nie przybyła do nas z krainy snów, tylko ze świata żywych. Pulsowało jeszcze w tym wątłym ciele biologiczne życie, chociaż to wszystko miało dla mnie słodkawy posmak halucynacji. Czy odczuwała w jakiś sposób naszą obecność? Czy była świadoma?

–Dlaczego polewasz go wodą? – spytałem Sebastiana, ostrożnie nachylając się nad wanną. – On cię o to prosi?

–Tak, proszę księdza.

–Mówi do ciebie?

–Patrzy się na mnie okiem, proszę księdza. Boli go.

Prawa strona głowy zdradzała ślady jakby po oparzeniach, pokrywała ją dziwnie popękana skorupa przywodząca na myśl cienką warstwę zaschniętego błota albo jakąś narośl. Zanurzone w mętnozielonej wodzie ręce – przynajmniej miałem nadzieję, że są to ręce, a nie zakończone jakimiś szponami łapy drapieżnika – spoczywały wzdłuż ciała i były chyba nienaruszone, podobnie jak wypukła i pomarszczona klatka piersiowa, która jeśli przypatrzyło jej się uważnie, co jakiś czas, w kilkusekundowych może odstępach, unosiła się i opadała. Istota oddychała. „Znalazłem go nad rzeką i przywiozłem wózkiem.”

Oczy miały w sobie coś owadziego. Właśnie ich rozmieszczenie, wielkość i kształt, najmniej kojarzące się z człowieczymi, wywoływały największy niepokój. Były teraz przysłonięte jakąś lepką, szklistą błoną, z tym że prawe zdawało się poparzone, szerniałe, tak jak cała ta strona głowy.

–Bardzo go boli, proszę księdza – powiedział Sebastian.

Wyciągnąłem ostrożnie rękę i delikatnie, samymi opuszkami palców, dotknąłem tej skorupy, a następnie przesunąłem dłonią po całej czaszce. Skóra nie była ani zimna, ani śliska, ani śluzowata, jak to sobie wyobrażałem, chociaż i tak musiałem cofnąć rękę, trudno bowiem powstrzymać strach i wstręt w obliczu czegoś tak obcego i osobliwego.

–Zbliża się decydujący bój – usłyszałem za sobą głos Marty. Odwróciłem gwałtownie głowę: kobieta nie weszła wprawdzie do środka, lecz wciąż stała pod drzwiami. Nie krzyczała, jednak wyraźnie słyszałem każde jej słowo. – Szatan mobilizuje i rzuca do walki wszystkie swoje wojska. Upadli aniołowie są już na ziemi. Niebawem dokonają dzieła zniszczenia, nadchodzi czas strasznej trwogi... Plagi ogarną ziemię, miasta legną w gruzach, rozpadnie się w pył Babilon... Dzień i noc będą to pokazywać na wszystkich kanałach: wywracające się pociągi, poskręcane blachy i ciała ludzkie, eksplodujące samochody, ogień i dym... Wszędzie trupy, mnóstwo rozrzuconych trupów, całych we krwi, z wnętrzościami na wierzchu, z oberwanymi kończynami, na wszystkich kanałach, polskich i zagranicznych...

–Otworzył oko, proszę księdza!

–Co mówiłeś?

–Otworzył oko – powtórzył Sebastian. – Niech ksiądz popatrzy.

Oko było całkowicie czarne i nieprzeniknione. Ani człowiecze, ani zwierzęce, ani nawet diabelskie. Spoglądało na nas nieruchomo, na pozór martwe i puste, a jednak kiedy przyjrzałem mu się dłużej i uważniej, odkryłem, że obdarzone jest jakąś tajemniczą mocą, wobec której poczułem się dziwnie słaby. Może spowodowane to było po prostu duszącym smrodem i rozgrzanym powietrzem, a także szokiem, jaki przeżyłem na widok cudacznego przybysza: kolana mi zmiękły, a apokaliptyczna tyrada Marty przestała jakby docierać do moich uszu. Musiałem trzymać się oburącz brzegów wanny. Tak, to oko miało w sobie niewątpliwie jakąś hipnotyczną siłę.

Odbijały się w nim nasze miniaturowe zniekształcone sylwetki, ulotne i nierzeczywiste niczym cienie na ścianie jaskini. Przeglądałem się w tym oku, jakbym chciał odgadnąć, w jaki sposób jestem postrzegany przez leżącą w wannie istotę. Czy jestem dla niej równie wstrętny i obcy jak ona dla mnie? Naiwne pytanie! Oko spoglądało nieruchomo. Nachyliłem się niżej zafascynowany, chcąc zgłębić jego tajemnicę, dostać się pod jego powierzchnię, lecz im dłużej je badałem, tym większej nabierałem pewności, że moje wysiłki są daremne, że nasze światy nie potrafią nawiązać ze sobą duchowego kontaktu.

–Chce, żebyśmy stąd poszli, proszę księdza – powiedział Sebastian.

I nagle, jakby obecność między nami tego współodczuwającego chłopca okazała się katalizatorem, rozbłysło w mojej ciasnej i przegrzanej głowie coś na kształt halucynacyjnego objawienia. Ściślej mówiąc, był to jakby cały szereg wizji. Każda z nich trwała może ułamek sekundy, ale wszystkie miały siłę eksplozji.

Czas i przestrzeń przestały mieć znaczenie, to było tak, jakbym zapadł się na moment w otchłań. Zobaczyłem jakieś dawno już zgasłe światy, podwodne miasta opuszczone przez obce cywilizacje, miasta wzniesione jakby z form biologicznych; gigantyczne budowle wyrastające jak rośliny z powierzchni ziemi, rozrastające się, pulsujące, wybuchające, promieniujące, zastygające; bezkresną przestrzeń nierealnych wód, obce oceany, a nad nimi masywne niebo w kolorze ochry i ciemnej zieleni, prastare znaki i wizerunki na wiszących gdzieś w powietrzu ni to kolumnach, ni to pojazdach o dziwnej barwie i konsystencji; niezwykle kształty i

formy materii, niepojęte przejawy życia; poczułem rozkosz i trwogę, dumę i przygnębienie, poczucie straty, osamotnienia, a także dojmujący ból. Przede wszystkim ból. Ból umiejscowiony po prawej stronie twarzy. Trzeba wielu słów, żeby opisać to wrażenie, wizje następowały błyskawicznie, niczym reklamy podprogowe.

Sebastian pomógł mi wstać, ponieważ moje nogi były zbyt słabe, aby samodzielnie unieść ciało.

–Chodźmy stąd – wyszeptałem.

Przytrzymywany pod ramię przez niedorozwiniętego piętnastolatka, opuściłem to mroczne i cuchnące miejsce, ani razu nie odwracając głowy. Minęliśmy Martę, która umilkła na mój widok, a potem matka i syn pomogli mi położyć się na tapczanie. Kobieta przyniosła mi wodę wyraźnie zaniepokojona.

–Pokonał go ksiądz? – spytała, nie kryjąc niedowierzania. Musiałem chyba wyglądać jak filmowy egzorcysta zaraz po finałowej scenie.

–Tak, pani Woźniakowa – odpowiedziałem. – Jest już nieszkodliwy.

Tego dnia długo rozmawiałem z księdzem proboszczem. To była bardzo trudna rozmowa. Czuję się fatalnie, a w miarę jak mówiłem, proboszcz spoglądał na mnie coraz bardziej nieufnie i coraz bardziej surowo. Powiedziałem, że Sebastian z całą pewnością nie miał nic wspólnego z kradzieżą na cmentarzu. – Skąd ta pewność? – zapytał.

–Po prostu to wiem – powiedziałem. – Ten chłopak nie jest zdolny do czynienia zła.

Nie wydawał się usatysfakcjonowany moją odpowiedzią. Na pytanie, dlaczego chłopak ukrywał się przez ten cały czas w domu, odparłem, że opiekował się znalezionym nad rzeką zdychającym psem.

–Psem?

–Tak, chorym zwierzęciem.

–A więc kto, na Boga, ukradł te krzyże? Może ja? A może arcybiskup?

–Nie wiem – odpowiedziałem. – Prawdę mówiąc, mało mnie to obchodzi.

Naprawdę przestało mnie to już dawno interesować. Zresztą po paru dniach policja znalazła złodziei. Podobno otrzymała informację od właściciela skupu. Byli to jacyś zamieszcowi zbieracze złomu, ich nazwiska kompletnie nic mi nie mówiły. Atmosfera we wsi nieco się oczyściła, a proboszcz przestał mnie zadrezczać swoimi podejrzeniami.

Sebastian natomiast znowu zaczął się pojawiać nad rzeką i w kościele, dalej chodził z tym swoim wózkiem, trochę może sposepniał, ludzie myśleli, że to z powodu ich niesłusznych oskarżeń, więc nawet starali się teraz być dla niego odrobinę miłsi.

Tylko ja jeden wiedziałem, skąd bierze się jego smutek.

Następnego dnia po wizycie w domu Marty poszedłem tam raz jeszcze i wspólnie z Sebastianem odwieźliśmy stworzenie z powrotem

nad rzekę. Zrobiliśmy to późnym wieczorem, żeby nikt nas nie zauważył.

–Mam nadzieję, że nikt go tu nie znajdzie – powiedziałem.

Prawdopodobnie już nie żył, kiedyśmy go wieźli, ponieważ oko stale przysłonięte było błoną, a klatka piersiowa przestała się poruszać. Sebastian całą drogę milczał, toteż nie wiedziałem, czy mroczozielona istota jeszcze cierpi. Nad rzeką jej smród nie wydawał się aż tak dokuczliwy.

Kilka dni później – była gorąca i duszna sobota – spotkałem Sebastiana pchającego wózek w stronę rzeki. Zanim się jeszcze odezwał, wiedziałem już, jaką wiadomość chce mi przekazać. Ten chłopak nie potrafi ukrywać swoich uczuć.

–Już go nie ma, proszę księdza – powiedział.

Nigdy nie opowiedziałem o tym zdarzeniu proboszczowi ani nikomu innemu. Teraz i tak nikt by mi nie uwierzył. Mogłem oczywiście powiadomić wszystkich jeszcze tego samego dnia, kiedy po raz pierwszy odwiedziłem dom Marty, ale nie zrobiłem tego. Łatwo sobie wyobrazić, jak mogłoby się to wszystko potoczyć. Przyjechałaby policja, telewizja, potem wojsko otoczyłoby cały teren, Obcy zostałaby przetransportowany do specjalistycznego laboratorium, odratowany. Później opowiedziałby nam o swojej cywilizacji, pomógł wynaleźć lekarstwo na raka, ostrzegł przed skutkami eksperymentów genetycznych i niszczenia środowiska naturalnego, a my puszczałibyśmy mu organowe preludia Bacha,

muzykę ludową i pozdrowienia we wszystkich językach i narzeczach świata. Nasza wieś stałaby się sławna, a jej mieszkańcy wzbogaciliby się na sprzedaży plastikowych, gumowych i rzeźbionych w drzewie stworków.

Ja natomiast stałbym się prawdziwą gwiazdą.

Jak widać, próbuję się bronić za pomocą sarkazmu, a sarkastyczny humor nigdy nie był moją mocną stroną. Lecz cóż mi innego pozostaje? Może rzeczywiście zachowałem się nieodpowiedzialnie, może to wielka strata dla nauki, dla naszej wsi, dla całej ludzkości w ogóle? Nie wykluczam również takiej ewentualności.

Lepiej więc uśmiechnąć się i udawać, że nie ma to dla mnie żadnego znaczenia. Jak już wspomniałem, jestem tylko nieopierzonym wikarym z zapadłej wioski.

Niekiedy, jeśli mam tylko chwilę czasu, spaceruję wzdłuż rzeki, zastanawiając się, skąd on się tutaj właściwie wziął. Czy miała miejsce jakaś katastrofa, której nikt nie zauważył? A może stwór wydostał się z wody? Może przedstawiciele jakiejś kosmicznej rasy dotarli przed wiekami na Ziemię, aby ukryć się w głębinach naszych wód, i wciąż przemierzają oceany, morza oraz rzeki w poszukiwaniu zaginionych towarzyszy? Jeden z nich dotarł aż tutaj i z jakiegoś powodu wyszedł na brzeg.

Bardziej racjonalne wytłumaczenie wskazywałoby raczej na jakieś nieznanie nauce zwierzę: coś w rodzaju olbrzymiej żaby albo jaszczurki.

Lecz jak w takim razie wytłumaczyć to, co zdarzyło się ze mną, gdy pochylałem się nad wanną? Co się właściwie stało w ciągu tych kilku sekund? Miałem na ten temat już kilka teorii, które zmieniały się w zależności od nastroju, pory dnia, a nawet pogody.

Kontakt telepatyczny, halucynacja, projekcja nieludzkich snów, mistyczna wizja, inicjacja, zstąpienie do piekieł... Naprawdę ciężko się w tym wszystkim połapać.

Wciąż mam przed oczami owe nieziemskie podwodne pejzaże, zielenie, błękity i biele, monstrualne istoty, odległe i obce, ale przecież tak samo jak my podlegające prawu przemijania i śmierci. I także – a jestem tego absolutnie pewien – posiadające nieśmiertelne dusze. Rasa bytów zagubionych w olbrzymim kosmosie, być może jedna z setek tysięcy. Albo milionów. Znosi się na to, że w zaświatach będzie dużo tłoczniej i ciekawiej, niż to sobie dotychczas wyobrażałem.

Swoje przemyślenia zachowuję wszakże dla siebie. I tak zaczynają mnie tutaj powoli uważać za dziwaka, nawet proboszcz nie kryje swego niezadowolenia z powodu moich – jak powiada – ekstrawagancji.

Będę zatem milczał jak grób, a już w szczególności będę milczał na temat tamtego sierpniowego popołudnia. To jest teraz tajemnica, którą znają tylko trzy osoby: ja, opóźniony umysłowo piętnastolatek i jego zwariowana matka.

Trudno chyba o dziwniejsze sprzysiężenie.

Wyspa mnichów

1. *Duńka*

Dziewczyna czekała na niego przy rozwidleniu drogi. Siedziała z podciągniętymi pod brodę kolanami, oparta o pień sosny, kołysząc się lekko i nucąc pod nosem jakąś piosenkę. Nie mogła mieć więcej niż trzynaście, czternaście lat. Chuchro okutane w barani kożuch. Varnas podjechał stępa, zatrzymał swojego siwego konia i przez jakiś czas nie robił nic, tylko uważnie patrzył na dziewczynę z wysokości siodła. Wstawał właśnie pierwszy brzask. W mroźnym porannym powietrzu wirowały pojedyncze płatki śniegu.

–Kim jesteś? – spytał wreszcie.

Nie odpowiedziała. Wciąż obejmowała kolana i kołysała się w rytm piosenki, wpatrzona w dal, w zamykającą południowy horyzont czarną linię lasu, jakby w ogóle nie dostrzegła obecności potężnego mężczyzny na koniu. Od czasu do czasu wiatr zwiewał jej na twarz kosmyki rudawych włosów. Odrzucała je wtedy szybkimi

ruchami głowy, nie rozplatając rąk i ani na moment nie przestając się kołysać. Varnas zdjął z głowy kaptur. Włosy miał długie i czarne, ale potężne ciało i surowa, poznaczona bliznami twarz sprawiały, że na pierwszy rzut oka wyglądał raczej jak stary zabijaka niż dwudziestoparoletni młodzieniec. Wrażenie to potęgowała wystająca spod żołnierskiego płaszcza ciężka kolczuga oraz pokryte metalowymi płytkami rękawice.

–Ej, dziewczyno? – zawołał gromko. – Pytałem, kim jesteś. Jeśli wysłano cię na spotkanie ze mną, to zupełnie niepotrzebnie marzniesz. Znam drogę do waszej wsi. Nie trzeba mi takiej pomocy. Wskakuj na siodło, jest sporo miejsca.

Obrócił konia bokiem, żeby ułatwić dziewczynie zadanie, ta jednak nie zareagowała.

–No, długo mam tak czekać?

Znów odpowiedział mu tylko cichy śpiew. Była to piosenka, którą mężczyzna słyszał niedawno w Riazaniu. Śpiewał ją jakiś podchmielony rybałt w karczmie przy samym rynku. Traktowała o młodej kobiecie, której mąż poszedł bić się z Tatarami i – jak to w smutnych pieśniach najczęściej bywa – nigdy do domu nie powrócił.

Varnas wzruszył ramionami, westchnął ciężko, a potem uniósł na moment głowę i popatrzył na zaciągnięte szarymi chmurami niebo.

–Po mojemu będzie tak śnieżyć do wieczora – rzekł, po czym opuścił wzrok na skulone pod drzewem dziewczę. – Jak się nie dogadamy, to nas tu zasypie. Długo tak siedzisz na tym zimnie? Chyba nie całą noc? Odpowiedz!

Rozkazujący ton sprawił wreszcie, że dziewczyna drgnęła, umilkła i uniosła wzrok na czarnowłosego jeźdźca. Miała całkiem

ładną, choć bardzo chudą i bardzo brudną twarz. Można by ją uznać nawet za piękną, gdyby nie całkowicie pozbawione wyrazu oczy.

Tak, jej oczy były niesamowite. Właśnie pod ich wpływem mężczyzna poczuł gdzieś w sercu ostre ukłucie niepokoju. Na jego lewym policzku niemal niedostrzegalnie zadrgała sina blizna.

Takie oczy mają tylko ślepcy albo święci na ikonach.

Albo zmiennokształtni.

–Rozumiesz, co do ciebie mówię? – krzyknął, a dziewczyna skuliła się jeszcze bardziej. Odezwał się nieco głośniejszym głosem, niż to było konieczne, i teraz złościł się na siebie, że tak łatwo zdradził swój lęk. – Nie jesteś przecież głucha, prawda? Powiedz, że nie jesteś głucha.

Zaprzeczyła nieznacznym ruchem głowy.

–Tak już lepiej. Nazywają cię jakoś?

–Duńka – odparła cicho dziewczyna.

Z przeciwległego brzegu Jeziora Martwego doszedł nieprzyjemny skrzek wodnego ptaka. Koń zastrzygł uszami, prychnął niespokojnie, a potem uderzył kopytem w zmarzniętą ziemię. Mężczyzna delikatnie poklepał go po karku, bezwiednie rzucając spojrzenie w stronę Wyspy Mnichów, na ledwie majaczącą w szarości świtu wieżę monastynu Zaśnięcia Matki Bożej.

–Czekałaś na mnie? – zwrócił się znów do dziewczyny.

–Tak.

–Wysłała cię matka?

–Tak.

–Jesteś sama?

–Sama.

–Jak długo?

–Nie wiem.

–Pewnie zmarzłaś. Poczekaj, dam ci trochę wina z bukłaka. Niedawno podgrzałem, powinno być jeszcze ciepłe.

Ciężko zeskoczył z kulbaki na ziemię, przełożył wodze przez szyję zwierzęcia, potem zdjął rękawice i zaczął grzebać przy skórzanych jukach z tyłu siodła. Koń znowu parsknął nerwowo.

Varnas starał się zachowywać najswobodniej, jak tylko potrafił, nie było to jednak łatwe, gdyż zdawał sobie sprawę, że ani na moment nie może spuścić dziewczyny z oka. Nie może stracić czujności.

Prawą dłoń położył na bukłaku z winem, który przymocowany był tuż obok tarczy i miecza. Litewskiego miecza, co to rozplątał już niejedyn tatarski, polski i bułgarski czerep.

Dziewczyna kłamała. Nie była córką Anny Kusakowej – kobiety, która wezwała go na pomoc. Była żmijem.

Po pierwsze, mieszkańcy wsi za nic w świecie nie wysłaliby mu na spotkanie takiego smarka. Okolica była przeklęta, w pobliskim Czarcim Lesie ginęli ludzie, często młodzi i silni mężczyźni. Jak opowiadał wysłany do Moskwy goniec, większość ludności uciekła daleko stąd, reszta zabarykadowała się w swoich domostwach i nie wychylała z nich nosa, rozpaczliwie czekając na przybycie wysłanników moskiewskiego księcia. Jeśli już ktoś naprawdę musiał opuścić osadę, z pewnością nie czynił tego w pojedynkę. Anna

Kusakowa miała dwóch dorosłych synów. To oni powinni wyjechać mu naprzeciw, a nie taka krucha, rozczochrana i umorusana dziewczynka.

Po drugie – i o wiele ważniejsze – zdradzało ją spojrzenie. Żmijowie potrafili przybierać ludzkie kształty, najczęściej kobiet i dzieci, to prawda. W ten sposób udało im się już oszukać setki wojowników, kupców, a także mnichów. Ale można ich było rozpoznać po oczach. Dziewczyna pod drzewem bardzo umiejętnie odgrywała swoją rolę: śpiewała coś niewprawnym głosem, drżała z zimna, kuliła się ze strachu, odpowiadała słabiotko – słowem, niejedyn dałby się zwieść. Nabraliby się i Varnas, gdyby nie to spojrzenie właśnie. Czarnowłosa wojownik wiedział, że takie oczy posiadają tylko ślepcy, szaleńcy i żmijowie. Są to oczy całkowicie puste. Tak puste jak oczy kulającej się teraz na ziemi istoty.

Skoro więc nie była ani ślepa, ani szalona, to...

A może właśnie była? Może po prostu straciła rozum? przemknęło mu przez myśl, kiedy obliczał, ile kroków dzieli go od dziewczyny. Może tylko ona jedna przeżyła? Może dlatego tak się zachowuje, że jest półżywa ze strachu i wyczerpania?

Miał jednak dziwne wrażenie, że instynkt w tej sprawie go nie myli. Coś z tą dziewczyną było nie tak, i to bardzo.

–A jeśli ty nie jesteś żadna Duńka, tylko jakaś rusałka? – na naznaczonej bliznami twarzy

mężczyzny pojawił się wymuszony uśmiech. – Jezioro Martwe jest wprawdzie bezrybne, ale kto wie, może akurat w podwodne panny obfituje? – Grube palce z trudem rozsypywały stwardniałe na zimnie rzemienie przy bukłaku. –

Może zacczaiłaś się tutaj na mnie, żeby porwać ze sobą pod lód, co? A wiesz ty przynajmniej, kto ja jestem, dziewczyno? Powiedziała ci matka, jak mnie zwać?

–Tak.

–Co tam u mateczki słyhać? Zdrowa jest? A czy bracia twoi...

–Nazywają was Varnasss...

Jego serce zaczęło uderzać w szaleńczym tempie, ale twarz pozostała spokojna i uśmiechnięta.

–Taaa, Varnas, tak właśnie mnie nazywają – rzekł, zaciskając prawą dłoń na wykładanej skórą rękojeści miecza. – W moich rodzinnych stronach, na Litwie, tak się mówi na kruka. To z powodu moich czarnych włosów. Wiedziałaś o tym?

–Kruka – powtórzyła jak echo i umilkła.

Kątem oka Varnas dostrzegł, że jej twarz zaczyna tracić swój kształt. Już się nie wahał.

W porannej ciszy nienaturalnie głośno zadzwonił wyrwany z metalowej pochwy miecz. Czarnowłosy wojownik jednym skokiem znalazł się przy istocie, zamachnął i ciął z półobrotu. Uderzył tak szybko, jak tylko potrafił, lecz stalowe ostrze ścięło jedynie wilgotne witki jałowca rosnącego za drzewem. Bestii już tam nie było. Varnas stracił równowagę, musiał przyklęknąć na kolano. Głośno wypuścił powietrze z płuc. Z tyłu dobiegło go przeciągłe rżenie przestraszonego konia. Obejrzał się – nie miał nikogo za plecami.

Dokąd mogła uciec? Spojrzał w stronę zarośniętego rudą wikliną brzegu jeziora. Tak, tam najłatwiej było się ukryć. Tam czmychnęła. Siedzi teraz pewnie w krzakach i obserwuje go tymi swoimi nieludzkimi oczami o pionowych źrenicach. Oczami węża. Bo to, że bestia powróciła już do swojej prawdziwej postaci, było dla niego pewne.

Podniósł się na nogi, cofnął o krok, lekko ugiął prawe kolano. Przez chwilę stał nieruchomo, rozglądając się i nasłuchując. Nic, tylko szum wiatru i pochrapywanie przestraszonego rumaka. Oddech mężczyzny powoli się wyrównał.

–Zabiję cię, cudaku – wyszeptał, kołysząc się z nogi na nogę, jakby gotował się do skoku. – Nie umkniesz mi. Zarąbię.

Wyobraził sobie ukryty w chaszczach zielonoszary, oślizgły łeb osadzony na długiej szyi. Gadzi łeb z tym czymś w rodzaju drogocennego kamienia na szczycie. Mówi się, że to ich trzecie oko. To dzięki niemu podobno potrafią wpływać na ludzkie myśli, zmuszać do posłuszeństwa tych nielicznych, którym nie wystarczy sam widok rozwartych paszczyk i olbrzymich szponów.

–Pokaż no tylko swój plugawy pysk, Duńka, a odetnę ci ten rozdwojony język – odezwał się hardo Varnas, wypatrując najdrobniejszego ruchu wśród zarośli. – Jesteś tam czy ze strachu uciekłaś już po lodzie na wyspę? Idę po ciebie! Nie pomogą ci mnisi! Nie pomoże ci sam igumen Sergiusz!

Splunął, uniósł oburącz swój wyszczerbiony litewski miecz, poprawił uchwyt i powoli ruszył w stronę nadbrzeżnych zarośli. Mimo potężnej budowy poruszał się miękko i płynnie jak dziki kot.

–Nie boję się ciebie ani twoich towarzyszy. – Mężczyzna odstąpił zęby w drapieżnym

uśmiechu. Pod wpływem tego grymasu niejednemu wojownikowi miękły kolana. – Tutaj, na górze, wszyscy jesteście bezbronni jak żaby.

Rozgarnął pierwsze zarośla i ostrożnie zaczął przedzierać się bokiem wzdłuż brzegu jeziora. Rosły tu gęsto łyzy, kolczaste krzewy oraz pojedyncze drzewa – istniało więc wystarczająco wiele kryjówek, z których mógłby skorzystać zielonoszary gad. W którym miejscu się zaczął? Czy siedzi za tamtą rosochatą wierzbą nad samą wodą czy może chowa się za którymś z licznych pagórków?

Chrupnął pod butem kruchy lód kałuży, zachrzęściła kępa oszronionej trawy. Trzeba było poruszać się wyjątkowo ostrożnie, bo przy tak nierównym i śliskim terenie każdy krok groził upadkiem, a upadek oznaczał w tej chwili niechybną śmierć. Zmiennokształtny z pewnością tylko czekał na najmniejsze potknięcie człowieka. Cierpliwie czekał swojej szansy.

–Duńka? Gdzie jesteś, Duniaszka? – niemal pieszczotliwie wyszeptał Varnas. Czubek miecza zakreślił w powietrzu okrąg. – Przestań się chować. Nie uciekaj przede mną, dziecino. Pośpiewamy sobie jeszcze...

Wiatr pochylał wysokie krzaki, podnosił pelerynę jego płaszcz. Wysoko w górze kołowały wrony, ale Varnas tak był skoncentrowany na najbliższym otoczeniu, że nawet nie słyszał wrzasków ani łopotu skrzydeł.

–Znajdę cię. Gdziekolwiek jesteś, znajdę i na arkanie będę włókł aż do samej wsi. Żeby cię chłopci kijami zatłuc mogli.

Jak gdyby w odpowiedzi coś poruszyło się w szuwarach po jego prawej ręce. Varnas obrócił się w tę stronę i zamarł w pół ruchu, bo właśnie zdał sobie sprawę, że dał się podejść – że żmija znajduje się dokładnie za nim.

Zdażył pomyśleć, że przegrał, i odruchowo wstrzymał oddech, gotując się na decydujące uderzenie.

Zamiast morderczego ataku nastąpiło jednak coś, czego Varnas już zupełnie się nie spodziewał.

Krótki świst przerwał pełną napięcia ciszę. Świst, a zaraz potem tępy odgłos wbijającej się w ciało strzały i okropny, pełen wściekłości i bólu syk za plecami. Varnas nie zastanawiał się ani chwili, tylko uderzył za siebie z obrotu – na odlew. Przez мгновение ujrzał czerwone ślepia i szeroko rozwarte szczęki ugodzonego strzałą potwora. Zaraz potem wielki gady łeb – raczej brunatny niż zielony – zatoczył łuk w powietrzu, by z ohydym plaśnięciem wylądować na szarobłękitnej tafli jeziora. Pokryty łuską korpus żmija stał jeszcze chwilę, tryskając fontannami krwi i wymachując bezradnie uzbrojonymi w szpony łapami, zanim zwałił się ciężko między oszronione krzaki.

Dopiero wtedy Varnas krzyknął. Całe nagromadzone napięcie znalazło ujście w tym jednym potężnym wrzasku.

–Cóż za uderzenie! – usłyszał dobiegający ze strony gościńca silny kobiecy głos. – Słowo daję, nigdy w życiu czegoś podobnego nie widziałam. Dobrze, że ta głowa nie przeleciała na drugi brzeg!

Varnas błyskawicznie wyprostował się i spojrzał na drogę. Kobieta – nie pierwszej już młodości, ale i niestara – siedziała na czarnym koniu, który nerwowo parskał i rzucał łbem. Opatulona w baranią szubę, wesoło, niemal kpiąco przyglądała się mężczyźnie spod futrzanej czapy. W prawej ręce trzymała łuk – tak swobodnie i tak naturalnie, jakby to była

zwykła nahajka.

–Niecóż wprowadzicie spóźnione, ale trzeba przyznać, że niezłe.

–Anna Kusakowa? – spytał, wciąż lekko oszołomiony.

–We własnej osobie – odparła, kładąc łuk na kolanach, po czym wskazała za siebie nieznacznym ruchem głowy. – A oto moi synkowie, Wasyl i Fiodor. Obstawa, można powiedzieć.

Dwaj konni podjechali bliżej i skinęli w milczeniu głowami. Byli to rośli młodzieńcy, wyglądało jednak na to, że w razie kłopotów kobieta doskonale poradziłaby sobie i bez nich. A pewnie nawet by zawadzali.

–Całkiem dobre oko jak na niewiastę – pochwalił Varnas.

–Dziękuję. Dużo ćwiczę.

–To widać. – Varnas wytarł ostrze o kępę zmarzniętej trawy.

Była ładna jak na swoje lata, ale to nie jej uroda zbijała Varnasa z tropu, tylko niezwykła pewność siebie, którą emanowała. Można by nawet rzec: hardość.

–Ty zaś bez wątpienia jesteś Varnas? Któż inny gonilby żmija, zamiast przed nim uciekać? – spod lisiej czapy błysnęły wesoło czarne oczy. – Trochę jednak zblądziłeś w tych krzakach. Przybyliśmy w samą porę, musisz przyznać.

–Prawda – odparł krótko Varnas, czując się w tej wymianie zdań coraz bardziej niezręcznie. Kobieta jawnie z niego kpila.

–A gdzie twoi towarzysze, Varnasie? – spytała Anna Kusakowa. – Poczekamy na nich tutaj czy już we wsi?

–Nie ma na kogo czekać – odparł wojownik, podchodząc do swojego konia. – Przyjechałem sam.

Zdumienie pojawiło się w oczach kobiety, ale nic nie powiedziała. Uniosła tylko lekko brwi, potem twarz nieznacznie jej zadrgała, pojawił się dziwny wyraz, jakby z trudem stłumiła wybuch gniewu albo nawet i płaczu. Trwało to tylko przez mgnienie, bo bardzo szybko opanowała się, przybierając doskonale obojętną minę.

Varnas tymczasem schował miecz do pochwy, starannie podciągnął rzemienie popręgu, po czym założył na głowę kaptur opończy i wprawnie wskoczył na siodło.

–Rozumiem, że możemy już jechać? – stwierdziła raczej, niż zapytała Anna Kusakowa. Jej głos był teraz zimny i twardy jak stal. – No to w drogę, bo ziąb okrutny, a droga do osady jeszcze daleka.

–Prowadź – powiedział krótko.

Zawróciła swojego wierzchowca i suszyła przed siebie, dzwoniąc uprzężą. Spod kopyt przysnął śnieg.

–A za uratowanie życia nie dziękuj aż tak wylewnie – rzuciła przez ramię – bo czuję się zakłopotana.

Ścisnął kolanami boki konia i ruszył w ślad za nią.

Minąwszy samotną sosnę, odwrócił się jeszcze w siodle, by po raz ostatni spojrzeć w kierunku leżącej na lodzie głowy potwora. Zupełnie niepotrzebnie, bo -tak jak się spodziewał – nie zobaczył już gadzich łusek, tylko rozwiewane przez wiatr kosmyki rudych włosów.

Duńka, pomyślał. Niewiele brakowało.

2. Osada

Droga była rzeczywiście daleka, chociaż jechali skrótami. Minąwszy bezładne pola i kilka zagajników, dotarli do boru, który okoliczni mieszkańcy z dawien dawna nazywali Czarcim Lasem. Jak łatwo zgadnąć, nie cieszył się on dobrą sławą. Patrząc na omszałe, dziwacznie poskręcane pnie, posplatane niczym w śmiertelnych zapasach konary, trudno było się dziwić, że ludzie wkraczali w ten las z duszą na ramieniu. Powiadano, że w głuchych ostępach można było natknąć się na prastare cmentarzyska kryjące niekoniecznie ludzkie szczątki.

Jechali w półmroku, ostrożnie i powoli, przeskakując tarasujące drogę zwalone pnie i schylając się pod niskimi gałęzmi. Varnas przełamał wreszcie milczenie i poprosił kobietę, żeby opowiedziała mu dokładnie, co wydarzyło się w tych okolicach w ciągu paru ostatnich miesięcy. Zaczęła mówić, najpierw jakby niechętnie, w miarę rozwijania opowieści ożywiła się jednak i koniec końców -rozgadała na dobre. Varnas słuchał uważnie. Wprawdzie poznał już sprawę dzięki relacji puszczonogo do Moskwy gońca, ale Anna Kusakowa wzbogaciła historię o parę nowych szczegółów. Także jadący z tyłu młodzieńcy dorzucili coś od siebie.

A było o czym opowiadać...

Wszystko zaczęło się od dziwnych świateł, które w połowie września pojawiły się nad Jeziorem Martwym. Można je było obserwować przez kilka nocy z rzędu – jasne, świecące białym blaskiem

kule, wiszące nieruchomo w pobliżu Wyspy Mnichów, a potem z niezwykłą prędkością uciekające w stronę zalesionych wzgórz po drugiej stronie jeziora. Nie wiadomo, kto pierwszy był świadkiem tego tajemniczego zjawiska, wiadomo tylko, że wkrótce oglądali je już wszyscy. Różnie o światłach mówiono. Miejscowy pop dostrzegał w nich widomy znak nadchodzącej wojny, niektórzy chłopci utrzymywali zaś twardo, że igumen Sergiusz odprawia na wyspie jakieś czary, a być może nawet samego diabła przyzywa. W jednym wszyscy byli zgodni: niczego dobrego światła owe nie wróżyły.

Mieli ludzie rację: po paru tygodniach światła przestały się pojawiać, zaczęły dziać się jednak rzeczy o wiele gorsze.

Najpierw znaleziono na wygonie trzy martwe krowy. Zwierzęta nie padły od zarazy, widać to było już na pierwszy rzut oka. Nie padły też od kłów i pazurów leśnych drapieżców. Wprawdzie wszystkie ciała były okrutnie okaleczone, ale rany zadano z precyzją, do jakiej z całą pewnością nie byłoby zdolne żadne zwierzę. Szyje krów obrano z mięsa aż do kości, zuchwy pozbawiono skóry, a oczy niezwykle umiejętnie wyjęto z oczodołów.

Zaraz po tym pierwszym przypadku pojawiły się następne. Cała okolica zasłana została zwierzęcymi ciałami. Znajdowano już nie tylko krowy, ale i psy, a nawet ptactwo domowe.

A to był tylko początek, prawdziwe nieszczęścia miały dopiero nadejść. Wkrótce potem zaginęło w Czarcim Lesie czterech młodych mężczyzn, którzy wybrali się na polowanie. Na ciało jednego z nich natknęła się pewnego dnia miejscowa zielarka. Zbierała

rośliny na skraju boru, przy rozlewisku czarnej wody. Osiemnastoletni chłopak – syn kowala – leżał na wpół zanurzony w błotnistej mazi, ukryty za gęstwą łożin. Ktoś usunął mu gałki oczne oraz genitalia.

Kiedy w tajemniczych okolicznościach zaginęła cała rodzina młynarza, w osadzie zapanowało prawdziwe przerażenie. Ludzie prawie nie wychodzili z chałup, a o opuszczaniu osady nawet nie było mowy. Ale i we własnym domu nikt nie czuł się bezpiecznie. Nocami

zaczęły bowiem pojawiać się we wsi jakieś tajemnicze istoty, słyhać było kroki, nieludzkie głosy, ktoś zaglądał w okna, stukał do drzwi. Nazajutrz odkrywano wokół chat dziwne ślady: ani ludzkie, ani zwierzęce. Uznano, że to diabły harczą po okolicy, i szybko przypominano sobie o świątłach nad Wyspą Mnichów oraz „czarach” igumena Sergiusza.

Całą odpowiedzialność za nawiedzające osadę nieszczęścia zrzucano więc na mnichów. To ich wina, powiadano. Wszystko przemawiało przeciwko nim. Nie bez znaczenia było i to, że od tamtej nocy, kiedy świetliste kule pojawiły się po raz pierwszy, mieszkańcy klasztoru przestali pokazywać się we wsi, chociaż dawniej regularnie przychodzili po datki. Podobno – mówili nieliczni odwiedzający osadę kupcy – przestali również bić w dzwony.

Trzeba było zacząć działać. Pewnego dnia pod koniec października bojar Włodzimierz Andriejewicz Kusakow wraz z kilkoma uzbrojonymi chłopami wyruszył w kierunku monastynu, żeby wyjaśnić sprawę. Drużyna dotarła do brzegu jeziora i przeprowiła się promem na wyspę. Co się wydarzyło później – nie wiadomo. Ani

bojarzyn, ani żaden z jego ludzi, jak zapewniał przewoźnik, nie wrócili już na brzeg.

Nie powrócili także dwaj chłopci wysłani przez Annę Kusakową na ratunek mężowi. Nie wiadomo nawet, czy dotarli do monastynu.

Wtedy zrozumiano we wsi, że nie obejdzie się bez pomocy Moskwy. Wysłano więc gońca, który miał przedstawić całą sytuację księciu Dymitrowi Iwanowiczowi.

Skończył się już bór i jechali teraz śnieżnym pustkowiem, nad którym zawisły nisko ołowiane chmury. Prószyło coraz mocniej.

–Mogę cię o coś zapytać, Varnasie? – odezwała się w pewnej chwili Anna Kusakową, strzepując śnieg z kolan.

–Pytaj.

–Słyszałam, że służyłeś kiedyś u tatarskiego chana. Prawda to?

–Nie – odpowiedział wojownik. – Nieprawda. Służyłem u kniazia Olgierda. Byłem litewskim posłem. Tatarzy leczyli mnie tylko z ran, których nabawiłem się w utarczce z riazzańczykami. Przebywałem u nich kilka miesięcy.

–Jacy to ludzie?

–Okrutni i dzicy.

–Ale uratowali ci życie?

–Tak.

Varnas umilkł na moment, jakby się zastanawiał, czy powinien wypowiedzieć cisnące mu się na usta następne zdanie.

–Uczynili nawet coś więcej – rzekł wreszcie. – O wiele więcej...

Na miejsce dotarli tuż przed południem.

Należąca do bojara Włodzimierza Andriejewicza Kusakowa wieś rozsiadła się między zakolem rzeki a łagodnym stokiem pola. Nic wielkiego: kilkanaście chałup o dachach pokrytych burą słomą i śniegiem, do tego karczma, grubo ciosana cerkiew i dwór właściciela.

Jechali główną ulicą: na przedzie Anna, tuż za nią Varnas na swoim siwym rumaku, na końcu zaś obaj młodzieńcy, niezgrabnie próbujący wyminąć jeden drugiego – a trzęsący się przy tym w siodłach, jakby uszyto ich z gałganów.

–Palisadę moglibyście przynajmniej zbudować – powiedział mężczyzna, patrząc z

dezaprobatą na nieosłonięte niczym domostwa. – Obwarować to jakoś. Każdy tutaj wjechać może i puścić sioło z dymem. Widać mało gospodarzy był bojarzyn Włodzimierz Andriejewicz...

Kobieta nie odwróciła głowy. Nic też nie odpowiedziała.

Ukłuło ją, pomyślał z satysfakcją Varnas. W ponurym milczeniu minęli ogołocony sad i kolejną niską chałupę o martwych oknach. Nigdzie nie było widać nawet śladu człowieka. Siedzące na chruścianych płotach i nagich krzakach wróble zdawały się jedynymi żywymi istotami we wsi.

– Nawet psów i kogutów nie macie? – spytał Varnas, udając wielkie zdziwienie.

– Nie mamy – w głosie Anny Kusakowej zabrzmiała nareszcie złość. Była zbyt dumną kobietą, by ze spokojem przyglądać się całkowitemu upadkowi osady, która wciąż była jej własnością.

– Głód tu teraz okropny – odezwał się jeden z synów, dryblas z rzadkim wąsem i wystającymi spod czapy kosmykami jasnych włosów. – Ludzie wszystko zjedli. Najwięcej zjadł kowal, zanim wyjechał.

– Zanim uciekł – poprawił go brat.

– To czym będziecie się teraz żywić? – zainteresował się Varnas. – Szczurami? A może do wróbli strzelać zaczniecie?

– Coś tam jeszcze zostało – odparła na to Anna. – Wczoraj przywiozłam trochę jedzenia z osady za rzeką.

Varnas prychnął pogardliwie.

– Ciekawi mnie, jak długo tak chcecie żyć? Aż Dymitr Iwanowicz przyśle z Moskwy komisję śledczą? Będzie dobrze, jeśli ktoś przyjedzie latem. Inne oni tam teraz mają na Kremlu zmartwienia, uwierzcie mi. Wasze kłopoty ani im teraz w głowie... – Varnas w zadumie spojrzał na mijany właśnie budynek karczmy, przez chwilę milczał, a potem nagle zapytał: – Dlaczego po prostu stąd nie wyjedziecie? Dlaczego nie uciekniecie jak inni?

– Wyjedziemy – powiedziała kobieta lodowatym głosem. – Wyjedziemy na pewno. Ale w komplecie. Najpierw muszę odzyskać mojego męża. No, jesteśmy na miejscu.

Stanęli przed piętrowym dworem bojara. Budynek – zmontowany z grubych bierwion, przykryty dranicowym dachem, z pomalowanym na wesołe kolory gankiem – otaczały świerki, sosny oraz rozległy ogród, który z lewej strony schodził aż do rzeki, z prawej zaś dotykał pokrytej śniegiem łąki.

– Witaj, Varnasie, w naszych skromnych progach. Bardzom rada, że jesteś tutaj z nami. Zgłodniałeś pewnie.

– Odrobinę.

Posiłek okazał się dużo lepszy, niż można się było spodziewać, zwłaszcza po niedawnej rozmowie na temat panującego we wsi głodu. Uczta – można by rzec. Żadne tam koty czy gołębie, tylko najprawdziwsza polewka, trochę nawet wieprzowiny, dużo chleba, a do tego wszystkiego ser oraz cały garniec całkiem dobrego miodu.

– Mówiłeś, Varnasie, że komisja księcia nieprędko tu zawita – odezwała się Anna Kusakowa, kiedy mężczyzna, podziękowawszy za poczęstunek, odsunął od siebie misę i odłożył na stół drewnianą łyżkę. – Na ciebie jednak długo nie trzeba było czekać. Przybyłeś niemal natychmiast.

–Przysłała mnie wojewoda Bobrok.

–Dymitr Michajłowicz Bobrok? – zdziwiła się gospodyni.

Kiedy nie siedziała już na koniu z łukiem w ręce, kiedy zdjęła nareszcie ciężką szubę i lisią czapę, zdawała się mniej pewna siebie, wręcz bezbronna. Miała rude, nierówno przycięte włosy. Teraz, uwolnione spod nakrycia głowy, rozsypały się w nieładzie wokół jej bladej i zmęczonej twarzy.

–Znaczy to, że nie od księcia jedziesz? – spytała ostrożnie.

–Nie – odparł Varnas. – Mój przyjazd nie ma nic wspólnego z pracą komisji. Książę Dymitr nie wie zresztą nic o tej mojej wizycie. Jak już mówiłem, inne ma strapienia. Wojna z Ordą nam się szykuje. Wydaje mu się to najważniejsze.

–Słyszałam – rzekła Anna Kusakowa, bezwiednie obracając w dłoni misternie rzeźbioną solnicę. – Wojewoda Bobrok uznał jednak sprawę za pilną.

–To prawda.

–Mimo szykującej się wojny z Mamajem... Dlaczego?

Varnas podniósł się ciężko z ławy, wyprostował plecy. Siedzący pod piecem Wasyl i Fiodor spojrzeli na niego z niekłamanym podziwem. Litewski wojownik był tak wysoki, że niemal sięgał głową zakopconego sufitu, a bary – teraz opięte popielatą opończą – zdawały się zbyt szerokie, by ich właściciel miał prawo zmieścić się w jakichkolwiek drzwiach zbudowanych z myślą o człowieku.

–Przekonał się, że to nie są żarty. – Mężczyzna podszedł do niskiego okna. – Z początku też nie wierzył, jak wszyscy. Trudno się zresztą wojewodzie dziwić. Mało kto uwierzy przecież Litwinowi, co niedawno jeszcze pod Olgierdem służył. Na szczęście w wypadku Dymitra Michajłowicza Bobroka zdarzyło się coś, co pomogło mu przejrzeć na oczy. Teraz już wie, jakie grozi nam niebezpieczeństwo.

–Czyżby żmijowie zagrażali również Moskwie? – spytała Anna pełnym niedowierzania tonem.

–Teraz zagrażają już każdemu miastu na Rusi. – Varnas odwrócił się od okna i spojrzał na nią bez krzty wesołości. – Nie tylko zresztą na Rusi.

–Na Litwie również?

–Na Litwie, na Węgrzech. Wszędzie. Nawet w Syrii. Nie miał bladego pojęcia, gdzie leży Syria, ale słyszał od kupców o takim kraju.

–Sam przyznasz, że brzmi to raczej mało prawdopodobnie... – Kobieta westchnęła. – Mówisz o nich, jakby to było coś potężniejszego od wojsk Mamaja. Nie dziwię się, że nie chcą na Kremlu wierzyć.

–Zmiennokształtni to wróg na dłuższą metę dużo groźniejszy niż Orda. Bo przebieglejszy. Bo działa nie jawnie, lecz z ukrycia. A i ambicje ma większe. Mówi się o nich, że mieszkali tutaj tysiące lat temu, ale zostali wygnani przez jakąś potężniejszą rasę. Uciekli do gwiazd, pozostawiając swoje podziemne miasta...

–Żmijowe grody?

–Tak, to nie wymysły ciemnego ludu. Co najmniej dwa takie miasta istnieją na Litwie, ukryte głęboko pod puszcza. Tatarzy opowiadali mi również o żelaznym grodzie, który znajduje się we wnętrzu olbrzymiej góry na Wschodzie. Wszystkie te osiedla jeszcze do niedawna były opuszczone.

–Ale teraz ich budowniczo wie powracają?

–To zaczęło się już kilka lat temu – stwierdził Varnas. – I pojawiają się wszędzie. Uwierz mi: nie wystarczy gadom cała Ruś, Litwa, Węgry ani nawet Rzym. Żmijowie nie spoczną, póki nie będą władać całym światem.

–Ty nie żartujesz, prawda?

–Nie.

Zaległa pełna napięcia cisza. Słyszeć było tylko trzaski płonących w kominie sosnowych polan.

–Znakomicie – rzekła wreszcie Anna. – Dlaczego jednak, skoro taki mądry i przewidujący, nie dał ci wojewoda Bobrok żadnego wsparcia? Czemu nie posłał oddziału zbrojnych? Choćby paru pacholków z pałkami. Wprawdzie krążą legendy o twym niespotykanym męstwie, Varnasie, ale sam jeden przecież monastynu nie odbijesz.

–Wiem, co robię – rzekł mężczyzna. – A wojewoda ma do mnie pełne zaufanie. Zbrojnych mi nie dał, bo nie ma teraz w Moskwie poparcia dla takiej misji. Utrzymana jest zresztą w ścisłej tajemnicy. Nie chcemy narażać się księciu.

–Wybacz, ale nie bardzo pojmuję – obruszyła się Anna Kusakowa. – Czym, na Boga, tu się można narażać? Przybywasz na pomoc igumenowi Sergiuszowi, ludziom klasztornym, a do tego szanowanej bojarskiej rodzinie. Nie wiem, czy słyszałeś, ale ród mego męża wywodzi się podobno od samego...

–Żmijowie nie śpią – przerwał jej ostro Varnas. – Zdążyli już poustawiać swoich ludzi na właściwych pozycjach i ci ludzie robią wszystko co w ich mocy, żeby zostawić na razie monastyr w spokoju.

–Chcesz powiedzieć, że najbliżsi doradcy księcia służą zmiennokształtnym? – spytała kobieta, nie kryjąc zdumienia.

–Nie wiem, czy wszyscy, ale kilku z nich na pewno.

–Podmieńcy! – wykrzyknął młodszy z synów Anny, bezwąsy blondyn o długich jak u małpy rękach.

–Czyli to prawda? – zawtórował mu brat, zrywając się z miejsca, jakby sam król węży wkroczył do izby. – Na Kremlu mieszkają podmieńcy?

–Prawda – potwierdził Varnas. – Zresztą można ich znaleźć nie tylko na Kremlu.

Młodzieńcy zbledli.

Nie raz i nie dwa słyszeli już o podmieńcach, ale do tej pory byli przekonani, że to tylko gadki starych bab, opowieści na użytek dzieci. Opowiadano je zwykle przed snem, przy piecach albo w blasku dogasających ognisk, kiedy ciemności wokół zdawały się pełne tajemniczych i przerażających stworów.

A opowiadano straszne rzeczy.

Podmieńcy rzekomo stanowili tajną broń zmiennokształtnych. Ich najgroźniejszą broń. Sami żmijowie byli mocni jedynie w swoich podziemnych miastach albo w takich odludnych zakątkach jak posiadłość bojara Kusakowa. Dzięki podmieńcom mogli jednak działać praktycznie wszędzie. Nawet w najbliższym otoczeniu księcia.

Taktyka była prosta: najpierw żmijowie upatrywali sobie jakąś znaczniejszą osobę – kniazia, bojara, igumena lub też po prostu bogatego kupca – a następnie cierpliwie szukali

okazji. Wyczekiwali w pobliżu swych siedlisk: w puszczech, na bagnach, w opuszczonych domostwach. Wiadomo: nikt, kto podróżuje po kraju, nie może ominąć podobnych miejsc. A kiedy upatrzona przez żmijów ofiara znalazła się wreszcie w zasięgu szponów, zazwyczaj nie mieli już większych problemów z porwaniem jej do jednej z tych swoich sztucznych pieczar wydrążonych pod ziemią. Stare sztuczki z dziećmi i pięknymi dziewczycami przynosiły doskonałe efekty.

Po kilku dniach żmijowie wypuszczali w świat podmieńca, którego – podobno za pomocą gadzich czarów – budowali z ciała i krwi porwanego człowieka. Kopia była tak doskonała, że nawet rodzina nie zauważała, że do domu powracał ktoś zupełnie obcy. Ktoś, kto od tej pory służył już tylko wrogiej rasie. Był narzędziem żmijów.

Zmiennokształtnych, kiedy przybiorą ludzką postać, można przynajmniej rozpoznać po spojrzeniu. Podmieńców nie sposób rozpoznać.

Tak bajali ludzie. Ile było w tym prawdy – mało kto wiedział. Synowie bojara Kusakowa do dzisiaj uważali, że tyle co nic, ale zmienili zdanie, kiedy wysłany przez samego wojewodę Bobroka litewski wojownik przyznał, że podmieńcy są już nawet na Kremlu.

–Żarty dawno się skończyły.

Varnas podszedł do stołu, podniósł swój kubek, wypił do dna i znów zaprezentował wszystkim jeden z tych swoich przerażających uśmiechów.

–Czasami zastanawiam się nawet, czy sam książę Dymitr Iwanowicz nie jest już podmieniony – powiedział.

Po południu Varnas uciął sobie krótką drzemkę, a potem Anna Kusakowa oprowadziła go po swojej wsi. Śnieg ciągle padał, ale nie tak gęsto jak wcześniej, pojedyncze płatki spływały z nieba powoli i miękko. Utworzyło się kilka zasp, a na każdym dachu tkwiła już biała czapa. Wiatr ucichł zupełnie. Tylko chrzęst śniegu pod butami zakłócał złowrogą ciszę. Wieś zdawała się całkowicie wyludniona. Gdziekolwiek spojrzeć: puste gumna, puste okólniki, puste sady. Ni żywej duszy.

A jednak mieszkali tu jeszcze ludzie. Anna i Varnas zawitali do tych kilku osób, które mimo wszystko zdecydowały się zostać. Byli to prawie sami starcy albo ludzie tak chorzy, że nie mieli już sił do przeprowadzek. Nie mieli też pewnie dokąd uciekać. Wyglądali na dziwnie pogodzonych z losem. Kobieta przyniosła każdemu trochę chleba i sera, a Litwin zapewniał wszystkich, że koszar niedługo się skończy, chociaż słowa otuchy z trudem przechodziły mu przez gardło.

Pewien długobrody starzec, przygarbiony, wsparty na posochu, z zapadniętymi oczami, które zapewne oglądały jeszcze rządy księcia Jerzego, pokazał Varnasowi zryte szponami drzwi i ściany swojej chałupy. Litwin od razu rozpoznał ślady żmija, który za wszelką cenę próbował dostać się do środka. To musiał być wyjątkowo zuchwały gad, skoro tak zawzięcie szturmował ludzką siedzibę, pomyślał Varnas. Zwykle żmijowie działają mniej jawnie, uciekając się raczej do podstępów niż do furiackich ataków.

–Zali prawda to, że diabły spuszczone zostały z łańcuchów? – zapytał starzec na koniec, kiedy już się żegnali. – Że rozbiegły się już po całej Rusi?

–Prawda, dziadku – odparł Varnas po chwili zastanowienia. – Ale nie pobiegają długo. Moja w tym głowa.

–Pochodzisz z Litwy, synku?

–Tak. Służę teraz jednak u boku wojewody Bobroka.

–Oho, pierwszy to wojak w Moskwie. A i głowa tęga. Arcymądry człek.

–Nie ma drugiego takiego jak on.

Starzec zadumał się, a po chwili powiedział:

–Znaczy, bić ich będziecie. Te diabły.

–Otóż właśnie.

–To dobrze, bom myślał już, że to koniec wszystkiego.

–Tak łatwo im nie pójdzie. Nie martwcie się, ojczulku, jakoś to będzie.

–Jakoś to będzie...

Starzec długo stał jeszcze na ganku – z gołą głową, w narzuconym na ramiona baranim kożuchu – odprowadzając wzrokiem oddalającą się powoli postać Litwina.

–Kiedy zamierzasz odwiedzić monastyr, Varnasie?

–Wyruszę jutro o świcie.

–Widzę, że nie tracisz czasu.

–A na co mam według ciebie czekać? Na odwilż?

–Nie wiem. Wydawało mi się, że będziesz chciał się najpierw rozejrzeć po okolicy.

Ułożyć jakiś plan.

–Plan jest jeden. W dodatku bardzo prosty.

–Zarąbać wszystkich?

–Tak. Wszystkich zmiennokształtnych i podmieńców. Ale jeśli trzeba będzie, to spalić jeszcze klasztor.

–Całe życie jest dla ciebie takie proste, Varnasie?

–Prawie całe.

–Zazdroścę podejścia.

Zapadł już zmrok. W izbie paliło się łuczywo osadzone w żelaznym uchwycie obok drzwi. Varnas siedział w kręgu pomarańczowego światła i ostrzył miecz, wkładając w tę czynność tyle serca, że aż żal było mu przeszkadzać.

Ale Anna Kusakowa ani myślała zostawić go w spokoju.

–Pojedziemy tam z tobą – powiedziała nagle.

–A niby po co? – Mężczyzna uniósł na nią wzrok. W jego oczach pojawił się dziwny blask. – Będziecie tylko przeszkadzać. Nie trzeba mi kobiety i dwóch nieopierzonych młokosów.

Młodzieńcy poruszyli się niespokojnie na ławie pod oknem. Zaczęli szemrać między sobą, żywo gestykułując.

–Przywykłam do niebezpieczeństw. Potrafię też o siebie zadbać – powiedziała Anna, zadartszy dumnie głowę.

–Bez wątpienia.

–Daruj sobie ten ton. Widziałeś już przecież, jak obchodzę się z łukiem. Wiesz, że oko mam celne. A chłopcy są wysocy i silni.

–Tak – uśmiechnął się Varnas. – W sam raz do strącania ptasich gniazd.

–To już dorośli mężczyźni.

–Niech więc zostaną w domu i pilnują wsi. Kto będzie bronił tych wszystkich starców pod naszą nieobecność? Na bohaterskie wyprawy mają jeszcze czas. Niech zbierają siły na

tatarskie czambuły.

Anna z impetem uderzyła kubkiem o stół, tak że wylała trochę miodu, po czym poderwała się z ławy i zaczęła krążyć po izbie. Varnas znowu skupił się na swoim zajęciu, nie zwracając uwagi na jej zachowanie. Czyścił ostrze w tępy, niemym skupieniu, zupełnie jak wsiowy głupek strugający coś w drewnie. Kobieta chodziła tak jeszcze przez pewien czas, z furią zaciskając pięści, wreszcie przystanęła nad Litwinem i pochyliła się do jego twarzy.

–Nie pozwolę, żebyś zabił mojego męża, rozumiesz? – wydyszała ze złością.

Mężczyzna nie zareagował.

–Nasłuchałeś się dziadowskich gadek o podmieńcach i gotów jesteś zarząbać go w przeświadczeniu, że to nie Włodzimierz Andriejewicz, tylko jakiś cudak ulepiony na jego wzór w jednej z tych sztucznych jaskiń – zrobiła przerwę dla nabrania powietrza. – W jednym z tych podziemnych grodów, których nikt wprawdzie nigdy nie widział, ale o których wszyscy opowiadają z najdrobniejszymi szczegółami.

–Widział – odparł Varnas, nie odrywając wzroku od broni.

–Słucham?

–Byłem tam.

–Byłeś w podziemnym mieście żmijów? Nie wierzę ci.

–Trudno – rzekł Varnas. – Nie ty pierwsza i nie ostatnia.

Podniósł się na nogi, podszedł do łuczywa i w jego świetle uważnie przyjrzał się klindze, a następnie – równie wnikliwie – jelowi, trzonowi i głowicy.

–A skoro koniecznie chcesz ze mną jechać – powiedział, opuściwszy w końcu miecz – bądź gotowa przed świtem. Fiodor i Wasyl zostają jednak w domu.

Anna wypuściła głośno powietrze z płuc, usiadła z powrotem za stołem, machinalnie sięgnęła po kubek. Przez kilka chwil siedziała, oddychając głęboko, wpatrując się w kąt izby niewidzącym wzrokiem.

–Jeśli mówisz prawdę – rzekła wreszcie bardzo cicho, niemal szeptem – to znaczy, że jest szansa. Znaczy, że mój mąż nie jest jeszcze stracony. – Upiła łyk i wytarła usta rękawem. – Powiedz jednak, jakim cudem udało ci się zbiec, Varnasie, skoro mieli cię już pod ziemią?

–Nie wiem – odparł mężczyzna, chowając miecz do pochwy. – Naprawdę nie mam pojęcia.

Noc nastąpiła niesamowicie cicha: bez szczekania psów, bez ocierania się krowich zadów o przepierzenia zagród, bez pobrzękiwania łańcuchów. Żaden nocny ptak nie zaskrzeczał nad lasem, żaden wiatr nie poruszył obluźowaną skrzypiącą furtką. Czasami tylko siwy koń Litwina parsknął w stajni, uderzył kopytem, jak gdyby biedne zwierzę nie mogło już dłużej wytrzymać tak głębokiej ciszy.

Varnas leżał na wznak na wymoszczonej słomą ławie, przykryty ciężkim futrem, cały czas trzymając prawą dłoń na uchwycie miecza. Oczy miał zamknięte, ale nie spał, zbyt był czujny i spięty. Nasłuchiwał najdrobniejszego nawet szmeru z zewnątrz. Drzwi były wprawdzie zaryglowane, okno zamknięte, ale przecież w takich miejscach nigdy nic nie wiadomo. Po tej wsi gady hulały już nie raz.

Tysiące myśli kłębiło mu się w głowie. Zaatakują teraz – w ciemnościach – czy też

raczej będą na niego czekać na wyspie? Wszystko wskazywało na to, że jednak pozwolą mu dotrzeć na miejsce. Po pierwszym próbnym ataku (ech, Duńka, Duńka...) nikt go już tego dnia nie niepokoił. Z pewnością szykują zasadzkę na wyspie, bo wiedzą, że tam są najsilniejsi. Czują się tam, ścierwa, jak u siebie w domu. Wiedzą również, że przybędzie bez względu na wszystko. Przybędzie, bo nie ma innego wyjścia.

A więc czekają cierpliwie. Słyną przecież z cierpliwości.

Coś zaszeleściło w kącie izby. Varnas drgnął, otworzył oczy i zacisnął palce na mieczu. Przez chwilę nasłuchiwał z uniesioną głową, wsparty na łokciu, wstrzymując oddech. Cisza. Nic się nie dzieje, to pewnie tylko mysz harcząca za piecem.

Powoli rozluźnił mięśnie, znów zamknął oczy. Ale od gwałtownego ruchu głową rozboleła go teraz niezagojona blizna na szyi. Przez moment pojawiła mu się pod powiekami dziobata, okolona rzadkim zarostem twarz Niemca, który pchnął go tamtego poranka sztychem krzyżackiego miecza. Pojawiła się i natychmiast znikła.

A może to szaleństwo tak pchać im się prosto w łapy? W dodatku z tą upartą i dumną kobietą na karku. Dlaczego w ogóle się na to zgodził? Czuł teraz, że będą z tego same problemy. Jej mąż na pewno jest już podmieńcem, więc trzeba go będzie zlikwidować. Ale jak to zrobić? Przecież nie zarżnie bestii na oczach niewiasty. Z pewnością będzie próbowała mu przeszkodzić, bo – jak sama przyznała – w podmieńców nie wierzy ani trochę. Co wtedy zrobi? Zabije i ją? A może tylko ogłuszy, żeby potem wynieść z klasztoru na plecach?

Długo jeszcze bił się z myślami, zaciskając i rozluźniając na przemian dłoń na wyłożonej skórą rękojeści. Tuż przed północą zapadł jednak w płytki, męczący sen. Nawiedziły go dobrze znane obrazy, te same od kilku lat.

Te same sny od wielu, wielu lat...

Znowu leży w mrocznym wnętrzu tatarskiej jurty, wpatrując się w widoczny przez umieszczony w kopule otwór skrawek nocnego nieba. Jest ranny, ma gorączkę, strasznie chce mu się pić. Majaczy. Ukryty w mroku szaman bębni monotonie. A może to tylko jego serce uderza tak wściekle.

Mają nad tobą władzę. Uważają, że jesteś ich własnością.

Nikły blask ogniska i cienie tańczące na ścianach jurty.

Kto ma nade mną władzę? Odpowiedz.

Demony.

Jakie demony?

Jesteś ich narzędziem. Ślepym narzędziem.

Ciałem wstrząsają dreszcze. Obrazy i myśli zachodzą jedno na drugie. Nakładają się na siebie różne twarze – litewskie, ruskie, niemieckie i tatarskie. Bęben wciąż bije, aż ziemia drży od tych uderzeń.

Jesteś w ich mocy. To stworzyciele i władcy.

Widzi litewską puszcę. Metalowe konstrukcje. Czerwone kopuły ukryte w zwartych zaroślach. Wyrastające z gęstwy skarłałych drzew cylindryczne budowle pokryte nieczytelnymi znakami. Szyby i studnie prowadzące do podziemnych korytarzy. Wejścia do ukrytego świata.

Żmijowe grody.

Oni mieszkają na dole.

Schodzi stromym korytarzem o ścianach gładkich jak metal. Jest coraz ciasniej, przejście się zwęża, a strop wciąż obniża – pochyla głowę, ale po chwili trzeba już niemal zgąć się wpół. W oddali widać wyjście. Bije stamtąd pomarańczowa poświata. Światło pulsuje w rytm uderzeń bębna. Choć może są to tylko uderzenia serca...

Uparcie posuwa się dalej – schodzi wciąż niżej i niżej, najpierw pochylony, potem na kolanach, wreszcie czołga się, przepycha ciało między dnem a stropem, o który ocierają się już łopatki. Kamienne gardło ciągle się zwęża, jeszcze kilka ruchów, a barki zaklinują się między ścianami. Ale wylot tunelu jest tuż-tuż.

Kiedy do niego dociera, musi zacisnąć powieki – światło jest zbyt silne.

Popatrz na tego chłopca. Poznajesz tego martwego chłopca?

W końcu musi otworzyć oczy. Widzi wewnątrz olbrzymiej, rozświetlonej dziwnym blaskiem jaskini.

Spójrz na jego czarne włosy.

Nagie ciało – blade i kruche – wiszące w pustce, jakby uwięzione w niewidzialnej pajęczynie. Oplecione przezroczystą rurą, pokryte jakąś lepką, śluzowatą substancją.

Włosy czarne jak u kruka.

Widać wyraźnie każdą wypukłość żeber.

Kruka...

3. *Monastyr*

Obudził się grubo przed świtem. Przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, gdzie się znajduje, wydawało mu się, że wciąż otaczają go wojłokowe ściany tatarskiej jurty. Nie do końca przytomny po omacku odszukał rękojeść miecza. Zacisnął palce na jelcu. Chłód metalu przywrócił mu poczucie rzeczywistości.

Usiadł na ławie. Uspokoił się. W ciemnościach zjadł trochę chleba i słoniny, przepił to wszystko resztką miodu, potem wstał, włożył kolczugę, płaszcz i rękawice. Z mieczem pod pachą wyszedł na zasypane śniegiem podwórze. Już nie padało.

Dotkliwie zimno przeniknęło go na wskroś i całkowicie otrzeźwiło. Nabrał głęboko w płuca mroźnego powietrza.

Już czas, pomyślał.

Anna Kusakowa czekała na niego w stajni, gotowa do drogi, z łukiem w ręce i kołczanem pełnym strzał na plecach. Cała trzęsa się z zimna. Varnas nie odezwał się słowem na jej widok, w milczeniu osiodłał konia, przytroczył miecz i okrągłą tarczę. Potem wyprowadził siwka ze stajni i wskoczył na siodło.

Kobieta poszła w jego ślady.

Chwilę później galopowali poprzez rozległe pola w stronę przysypanego śniegiem boru. Szybko zostawili za sobą białe pustkowia i wjechali pomiędzy pierwsze drzewa Czarciogo Lasu, kierując konie ku jezioru.

Kiedy stanęli nad brzegiem, na wschodzie tlił się już pierwszy brzask. Na ołowianej tafli Jeziora Martwego lśniły różowe i czerwone smugi słonecznego światła, przez co cała ta lodowo-śnieżna równina wyglądała tak, jakby dopiero co uprzątnięto z niej ciała po jakiejś wyjątkowo krwawej bitwie. Wszędzie wokół panowała głucha, złowroźna cisza.

–Pływały tu kiedyś ryby, prawda? – spytał obojętnie Varnas, nie odwracając się nawet

do siedzącej na koniu obok kobiety. To były pierwsze słowa, jakie wypowiedział tego dnia.

–Tak – odparła Anna równie beznamiętnie jak on. – Podobno kiedyś stała nawet przy brzegu cała rybacka osada.

–Co się z nią stało?

Kobieta westchnęła, a z jej ust wydobył się obłok pary.

–To co z większością osad w okolicy: przyjechali Tatarzy i zostawili po sobie kupę popiołu. A w jeziorze zamoczyli podobno swoje małe włochate koniki. Inna wersja mówi, że utopili piękną dziewczynę, córkę rybaka. W każdym razie od tamtego czasu nie pływają już w jeziorze ryby.

–Ładna historia...

–Raczej makabryczna.

Varnas uśmiechnął się, ale natychmiast spoważniał.

Od strony wyspy dobiegł ich nagle pojedynczy dźwięk cerkiewnego dzwonu. Niski i głuchy, jak gdyby gdzieś głęboko spod lodu i wody wydobywający się odgłos sprawił, że po plecach Varnasa przeszedł dreszcz. Jakże niesamowicie zabrzmiało to uderzenie w porannej ciszy! Litewski wojownik odwrócił głowę w stronę wyspy i wytężył wzrok, jakby miał nadzieję dostrzec samego igumena Sergiusza pociągającego za sznur pod spadzistym dachem dzwonnicy. Ale wieża stała zbyt daleko, widać było zaledwie jej zarys w szarym powietrzu świtu.

–Wiedzą, że już jesteśmy – szepnął, kiedy przebrzmiał nareszcie złowieszczy dźwięk. – Czekają na nas.

–No i co z tego?

–Masz ostatnią szansę, żeby się wycofać.

–Idź do diabła! – prychnęła.

–Właśnie się wybieram.

Zeskoczył z konia i przywiązał go do pala przy połamanym przez lód pomoście przystani. Jeszcze do niedawna odpływał z tego miejsca prom. Przewoźnikiem był chudy jak tyka cudzoziemiec o imieniu Mikołaj, o którym mówiono, że to zbieg z dalekiej Polski. Włodzimierz Andriejewicz Kusakow i jego świta byli

prawdopodobnie ostatnimi osobami, które przepłynęły się promem Andrzeja w kierunku monasteru. Działo się to w listopadzie.

W tej chwili na wyspę można było się dostać jedynie po lodzie.

Nie namyślając się wiele, Varnas odtoczył od siodła pochwę z mieczem i umocował ją sobie na plecach – w ten sposób, że rękojeść wystawała teraz nad lewym ramieniem – następnie zsunął się z pomostu na zamrożoną powierzchnię. Niebawem zeszła tam również Anna. Skorupa pod nogami była twarda i mocna jak lita skała. Przez chwilę badali ją butami, czy bardzo śliska. Ruszyli w końcu przed siebie, starając się nie myśleć o lodowatej otchłani pod sobą.

Szli wpatrzni w sterczącą w oddali wieżę monasteru Zaśnięcia Matki Bożej.

Klasztor powstał w połowie wieku na polecenie księcia Siemiona Dumnego. Był to mały, ubogi monaster w całości zbudowany z drewna, a zamieszkały przez kilkadziesiąt zaledwie mnichów, nad którymi od jedenastu już lat sprawował pieczę igumen Sergiusz. Zlepek lichych budowli przytulonych do skały, nic więcej. Wyciosana z sosnowego drewna

krzywa cerkiew, tuż przy niej przykryta dranicowym dachem dzwonnica, budynek klasztoru, wokół dziedzińca zaś niskie zabudowania gospodarcze. Wszystko to przegniłe i zmurszałe, toczone przez robactwo, okolone rozpadającym się ostrokołem. Tylko dzięki temu, że budynki wzniesiono na trudno dostępnej wyspie, nie ucierpiały one jak

dotąd ze strony tatarskich czambułów. Wiedzieli jednak mnisi, że wcześniej czy później szczęście ich opuści. Butwiejący ostrokół i dębowa brama nie dawały poczucia bezpieczeństwa. Igumen Sergiusz nie raz i nie dwa narzekał, że brakuje mu środków na przebudowę.

Nie przewidział jednak, że nadejdzie wróg, dla którego nawet mur z ciosanego kamienia nie będzie wystarczającą przeszkodą.

Varnas i Anna dochodzili do wyspy. Z zamarzniętej powierzchni jeziora, tuż przy samym brzegu, wystawał fragment uwieczniony w lodzie drewnianego cebra. Obok leżało pęknięte koło od wozu i kilka desek z nieistniejącego już pomostu. Rosnące nad samą wodą drzewa – o pniach pochylonych do tego stopnia, że zwisające gałęzie wtopiły się w lód – stanowiły ostatnią przeszkodę broniącą dostępu do wyspy.

–Nie podoba mi się ta cisza – odezwała się Anna Kusakowa, przystanąwszy na chwilę, żeby odpocząć. – To miejsce chyba rzeczywiście jest przeklęte.

Varnas obejrzał się przez ramię.

–Dopiero teraz to odkryłaś?

–Dopiero teraz to poczułam – odparła. – Wiem, że to klasztor, ale ta cisza nie ma dla mnie nic wspólnego ze świętym milczeniem. Coś złego szykuje się tutaj do skoku.

Dotarli do brzegu. Ich oczom ukazała się wąska ścieżka stromo prowadząca w górę. Po obu jej stronach rosły gęsto zarośla i krzaki,

wyżej widać było wylaniającą się spośród kępy drzew sylwetkę monastynu. Wysoka wieża wjazdowa oraz zwieńczona żelaznym krzyżem bania cerkwi wydawały się już całkiem blisko, na wyciągnięcie ręki.

–Brama jest otwarta na oścież – powiedziała bardzo cicho Anna Kusakowa.

–To dobrze.

Popatrzyła na niego niepewnie.

–Skoro tak mówisz...

–Mamy ułatwione zadanie – wyjaśnił. – Mnisi nie będą nam przeszkadzać w wejściu do środka.

Milczeli przez chwilę.

–Myślisz, że to pułapka? – spytała Anna.

–Z całą pewnością.

–Więc czemu tam idziesz?

–Bo muszę.

Rzeczywiście nikt nie próbował ich zatrzymać. Bez przeszkód wspięli się na brzeg i dotarli do ścieżki. Ruszyli pod górę, czujni i spięci, gotowi w każdej chwili odeprzeć atak. Ale żaden atak nie nastąpił – ani na ścieżce, ani pod ostrokołem.

–Czekają pewnie w środku – stwierdził Varnas, uważnie przyglądając się palisadzie i starając się wyłowić jakieś podejrzanego odgłosy z wewnątrz. Ale usłyszał tylko słaby łopot ptasich skrzydeł. – Tak, z całą pewnością czekają w środku. Tam się na nas zasadzili.

–Nie przestraszysz mnie – rzekła z hardością Anna.

— Wiem, wiem – prychnął pogardliwie litewski wojownik. – Ciebie nic nie przestraszy. Jesteś przecież żoną bojara Włodzimierza Andriejewicza Kusakowa. Wolałbym jednak, żebyś nie celowała do mnie z tego łuku.

Z uśmiechem rozluźniła cięciwę i opuściła broń.

–Tak lepiej?

–Zdecydowanie.

Stanęli przy bramie, by odpocząć po zmudnej wspinaczce. Wstał już dzień, ale poprzez wiszące nisko ciemnoszare chmury przedostawało się niewiele słonecznego światła. Było mroczno niczym w gęstym lesie albo we wnętrzu legendarnej, zatopionej przed wiekami katedry. W dodatku znowu zaczął padać śnieg.

–Myślę, że najwyższy czas złożyć wizytę bogobojnym mnichom – odezwał się wreszcie Varnas. – Jesteś gotowa?

–Tak – odparła krótko.

–A więc w drogę. Pamiętaj: strzała na cięciwie, ale łuk trzymaj opuszczony. Wchodzimy.

Przez otwartą bramę przedostali się na całkiem spory klasztorny dziedziniec. Był pusty. Na świeżym śniegu nie dostrzegli żadnych śladów – ani ludzkich, ani zwierzęcych. Nawet ptaki nie naruszyły białej pokrywy, chociaż kilka gołębi latało teraz wokół dzwonnicy i gontowej kopuły cerkwi.

Przeszli więc na wewnętrzny dziedziniec klasztoru. Obiegające go drewniane krużganki z arkadami sprawiały wrażenie opuszczonych wiele dziesiątek lat temu, podobnie jak przylegające do klasztoru pomieszczenia gospodarskie. Szkoda było nawet czasu na ich sprawdzanie. W nozdrza uderzał ciężki zapach rozpadu.

Varnas patrzył uważnie na przekrzywione szopy i oparte o ich ściany, wystające spod śniegu sagi drewna, drabiny, miotły, grabie. Porzucone raz na zawsze, nikomu już niepotrzebne sprzęty.

–Może tu rzeczywiście nikogo nie ma? – zasugerowała Anna, z zadartą głową obserwując pustą dzwonnice.

–A kto według ciebie uderzył w ten dzwon? Diabeł?

–Nie mam pojęcia. Może wiatr. Albo żmijowie.

Varnas pokręcił głową.

–Nie. Te ścierwa za żadne skarby nie wyszłyby tak wysoko. Muszą być zawsze blisko ziemi.

Nagle mężczyzna znieruchomiał niczym kot, który zarejestrował ruch ofiary. Anna nie zauważyła tego, wciąż wpatrzona w wieżę dzwonnicy.

–Więc gdzie w takim razie jest ten tajemniczy człowiek, który pociągnął za sznur? – spytała.

–W cerkwi – powiedział cicho Varnas.

Spojrzała na niego niepewnie, a on wskazał tylko ruchem głowy znajdujące się kilkadziesiąt kroków przed nimi uchylone drzwi.

–Skąd wiesz, że tam ktoś jest? – spytała szeptem.

–Nie widzisz? Dobiega stamtąd słabe światło. W środku palą się świece. Idziemy.

W milczeniu nabrała głęboko powietrza w płuca i posłusznie ruszyła za mężczyzną po

skrzypiącym śniegu. Jej serce zaczęło bić mocno i szybko, a krew coraz głośniejsze dudniła w skroniach. Strach mieszał się z podnieceniem.

–Trzeba było od razu szukać w cerkwi – rzucił Varnas bardziej do siebie niż do idącej tuż za nim kobiety.

Przemierzał dziedziniec wpatrzony w uchylone drzwi, za którymi coraz wyraźniej jaśniała słaba poświata. – Igumen Sergiusz

nie czekałby przecież na nas w pierwszej lepszej szopie, prawda?

–Może powinnam poczekać przy wejściu? – zapytała niespodziewanie Anna. – Jeśli to pułapka, to chyba lepiej, żeby jedno z nas zostało na zewnątrz.

–Boisz się?

–Nie. Chcę tylko pomóc.

–Nie pomożesz mi ani na zewnątrz, ani wewnątrz – odparł sucho mężczyzna.

–Więc co mam robić?

–Przede wszystkim: nie przeszkadzać. Ze wszystkim innym jakoś sobie poradzę.

–W takim razie idę z tobą, wolę cię mieć na oku – podjęła decyzję Anna, prawie biegnąc za nim w głębokim śniegu. – Idzie o życie mojego męża.

–Nie zabiję twojego męża.

–Wiesz doskonale, co mam na myśli. – Przystanęła. – Nie chcę, żebyś sam jeden zdecydował o tym, czy to jest jeszcze mój mąż czy może już nie. Po prostu muszę przy tym być.

–Ani słowa więcej – uciął rozmowę mężczyzna, kiedy stanęli przed olbrzymimi drzwiami.

Bez namysłu pociągnął za jedno skrzydło, potem za drugie, niemal całkowicie odsłaniając wejście do cerkwi. Przez chwilę stał w progu, czekając cierpliwie, aż oczy przyzwyczajają się do panującego wewnątrz półmroku, i nasłuchując podejrzanych odgłosów. Niemal nic jeszcze nie widział ani nie słyszał, za to czuł wyraźnie napływający ze środka zapach topiącego się wosku. A więc nie pomylił się co do świece. Wzrok go nie zawiódł. Igumen Sergiusz z pewnością czekał na niego właśnie tutaj.

–Bądź ostrożny, Varnasie – powiedziała Anna. Jej głos był schrypnięty z emocji i zabrzmiał bardzo słabo.

–Nic mi nie zrobią – odparł mężczyzna. – Gdyby naprawdę zależało im na mojej śmierci, urządziliby to wszystko nieco inaczej. Zaczekaj tutaj.

Wydobył miecz zza pleców, uniósł go przed siebie, a potem powoli przekroczył próg i rozglądając się uważnie na wszystkie strony, ruszył w głąb świątyni.

Pochłonął go mrok rozjaśniony jedynie ognikami ustawionych w głębi pomieszczenia świec. Tworzyły one nikłą wysepkę światła tuż przed ikonostasem. Ta blada poświata w zupełności wystarczyła Varnasowi do odnalezienia celu.

Zobaczył go.

To właśnie tam, w otoczeniu drżących płomyków, przy świętych obrazach, Varnas ujrzał czekającego na niego igumena Sergiusza. Wiedział, że to on, chociaż nigdy wcześniej tego człowieka nie spotkał. Po prostu miał pewność, zupełnie jakby wszystko było z góry ustalone.

Odwrócony do wojownika tyłem mnich klęczał przed świętymi obrazami, sprawiając wrażenie zatopionego w modlitwie. Cerkiew była raczej niewielka, toteż Varnas całkiem

wyraźnie widział jego osłonięte czarnym habitem, mocno zgarbione plecy.

–Do kogo się modlisz, mnichu? – zapytał, idąc ku niemu przez pogrążoną w ciemnościach nawę. – Do Boga czy do gadających węży?

Igumen nie odwrócił zakapturzonej głowy, a jego wątle plecy nawet nie drgnęły na dźwięk wypowiedzianych słów. Mogłoby się wydawać, że klęczący kształt jest tylko drewnianą figurą postawioną przed ikonostasem.

–Palisz świece gadom? – nie ustępował wojownik. – Żmijowie proszą cię o to? A może odprawiasz te wszystkie rytuały już tylko z przyzwyczajenia? Odpowiedz, igumenie. Chcę wiedzieć.

Varnasowi zdało się nagle, że pod ścianami przechodzą całe korowody bezkształtnych postaci. Przystanął w obronnej postawie, wyęzając wszystkie zmysły, ale dziwaczny ruch zamarł równie nagle, jak się pojawił. A może w ogóle nie było żadnego ruchu? Tak, to tylko złudzenie, pomyślał Varnas. To pewnie wizerunki świętych, nic więcej. W tym dziwnym świetle wszystkie postaci na pokrywających ściany malowidłach zdają się poruszać, jakby uczestniczyły w jakimś upiornym tańcu. Zwłaszcza kiedy dostrzega się je tylko kątem oka.

Postąpił kilka kolejnych kroków. Szedł bardzo powoli. Mnich ciągle się nie poruszał, wciąż klęczał z pochyloną głową, niby skazaniec oczekujący już tylko na uderzenie katowskiego miecza.

–Wybacz, igumenie, że przerywam modlitwę – powiedział litewski wojownik, zatrzymawszy się nad nim. – Przybywam jednak w ważnej sprawie. Prowadzę śledztwo z upoważnienia wojewody Bobroka.

Wydawało się, że igumen Sergiusz w dalszym ciągu nic nie słyszy. Varnas już zamierzał dotknąć mieczem jego karku, kiedy zobaczył, że ciało starca przeszywa dreszcz. Powoli, bardzo powoli plecy mnicha wyprostowały się. Osłonięta kapturem głowa obróciła się lekko, ukazując fragment twarzy o barwie pergaminu.

–Wiedzieliśmy, że przybędziesz, Varnasie.

Igumen wyglądał na bardzo starego i bardzo schorowanego, niezdolnego do jakiegokolwiek wysiłku. Jakby szykował się już tylko do grobu. To kamuflaż, pomyślał czarnowłosy wojownik, chce w ten sposób osłabić moją czujność. Jest przecież podmieńcem, nie może być aż tak słaby.

Przez chwilę starzec przyglądał się Litwinowi, potem westchnął ciężko, zebrał w rękę zakonną szatę i zaczął podnosić się z kolan. Przyjęcie pozycji wyprostowanej kosztowało go wiele wysiłku. Kiedy wreszcie stanął pewnie na nogach, odwrócił się twarzą do wojownika. Przez jakiś czas patrzyli sobie w oczy w całkowitym milczeniu, słychać było tylko ich niespokojne oddechy i skwierczenie świec.

Pierwszy opuścił wzrok siwobrody igumen.

–Pytasz mnie, Varnasie, czy modłę się do gadających węży – rzekł wreszcie. Mówił ze wzrokiem utkwionym w ziemię, jakby pogrążony w głębokiej zadumie. – Pytasz, czy to przed nimi palę świece. Bardzo cię to, jak widzę, dziwi. A przecież o ile mi wiadomo, sam jesteś poganinem. Osobliwie zatem brzmi drwina w twoich ustach, Varnasie. Pochodzisz z dzikiego i barbarzyńskiego kraju, gdzie dużo dziwniejsze odprawia się rytuały. Czyżbym się mylił? – spojrzał w twarz uzbrojonego wojownika i uśmiechnął się nieznacznie. Potem znów opuścił wzrok. – Podobno na Litwie nawet książęta nacierają ciała krwią wołu, aby zdobyć

choć odrobinę nadprzyrodzonej mocy. A węże uważane są powszechnie za...

–Jedź więc na Litwę, starcze – przerwał mu bezceremonialnie Varnas. – Przyjmą cię tam jak swego.

–Po cóż mam jechać na Litwę?

–Pasujesz tam teraz. Kto wie, być może przy odrobinie szczęścia uczynią cię swoim guślarzem.

–Tutaj jest moje miejsce – rzekł.

–Mylisz się.

Przez twarz igumena znowu przemknął uśmiech.

–Ten klasztor od trzydziestu ośmiu lat jest moim domem.

–Był twoim domem – odparł Varnas. – Ale nie służysz już Bogu, tylko zmiennokształtnym. Trochę się zmieniło, nie uważasz?

–Wciąż służę Bogu, Varnasie.

–Jakim to sposobem, jeśli można wiedzieć?

–Nie bądź naiwny – powiedział łagodnie igumen Sergiusz. – Przecież wiesz, że nie modłę się do węży – zawahał się, dotknąwszy wiszącego na piersi srebrnego krzyża. Znów się uśmiechnął, tym razem szerzej, ukazując bezkrwiste dziąsła. – Żmijowie są tylko pośrednikami między człowiekiem a Bogiem. Są narzędziem w ręku Boga.

Na przedramieniu Varnasa zagrały potężne mięśnie, kiedy zacisnął mocniej dłoń na mieczu.

–Jesteś szalony – powiedział. – Nie mam czasu na brednie.

–Oni działają na Jego zlecenie. Nigdy tego nie zrozumiesz, ponieważ jesteś poganinem.

Varnas zaczął powoli tracić cierpliwość. Ta rozmowa do niczego nie prowadziła.

Postanowił, że zabije mnicha, jeśli ten nie pomoże mu odnaleźć zaginionych, a następnie przeszuka cały monastyr. Przetrząśnie każdą celę, każdy drewniak, każdy schowek.

A potem – niezależnie od tego, czy znajdzie tych ludzi czy nie – puści wszystko z dymem. Niechaj ogień oczyści to miejsce.

–Jest tutaj bojar Kusakow? – spytał niecierpliwie. – Czy przebywa w tym monastyrze? Przyszedłem po niego, wężowy sługo!

–Tworzą dla nas nowe ciała – kontynuował igumen, jak gdyby w ogóle nie słyszał zadawanych mu pytań. – Działają na polecenie Jezusa Chrystusa. Nowe, doskonałe ciała dla wszystkich zbawionych. Wiesz o tym, Varnasie.

–Gdzie jest bojar Kusakow i jego ludzie?

–Dla wszystkich zbawionych. Dla wszystkich sprawiedliwych. Na dzień Zmartwychwstania.

–Gdzie są ci wszyscy ludzie? Mów, bo rozwalę ci łeb! Igumen spojrzał na niego z dziwnym uśmiechem.

–Zadajesz niewłaściwe pytania...

Jedna z zasad Litwina mówiła, że nie dyskutuje się zbyt długo z ludźmi nawiedzonymi. Podniósł miecz wysoko nad głowę i już miał zamiar uderzyć, kiedy do jego uszu dobiegł jakiś hałas od strony wejścia. Zamarł w pół ruchu. Nawet nie obejrzał się przez ramię – doskonale wiedział, kto stoi za jego plecami.

–Nie rób tego, Varnasie – powiedziała Anna Kuskowa. – Proszę cię, nie rób tego.

Wiesz, że moja strzała z łatwością przebije kolczugę.

Mężczyzna nie odpowiedział. Wciąż trzymał miecz nad głową. Nie rozluźnił uchwytu, wszystkie jego mięśnie były napięte, gotowe

do morderczego uderzenia. Płomienie świec odbijały się w uniesionej wysoko stali.

–Nie chcę do ciebie strzelać, ale będę musiała, jeśli uderzysz. Nie bądź głupi, Varnasie, oni nie chcą cię zabić. Rzuć miecz.

–Anna ma rację – odezwał się igumen, całkowicie spokojny, mimo że Varnas w jednej chwili mógłby go rozplatać na pół. – Żmijowie nie pragną twojej śmierci, chcą się tylko z tobą spotkać. Wiedziałeś przecież, że tak musi być.

–Posłuchaj go, Varnasie – powiedziała kobieta.

–Nie chodzi o wymierzoną w ciebie strzałę – kontynuował mnich, zniżając głos do szeptu. – Mogliśmy schować na terenie monasteru nawet dwudziestu łuczników. Ale nie zrobiliśmy tego. Pójdiesz za mną z własnej woli.

–Posłuchaj go, Varnasie – powtórzyła zza jego pleców kobieta.

Oddychając ciężko, Litwin opuścił miecz na wysokość piersi, a potem powoli przyłożył go do nogi i oparł o ziemię. Patrzył na święte obrazy za plecami igumena: ciemne oblicza aniołów i świętych. Puste, nieludzkie oczy.

W jakie oczy będzie zmuszony spojrzeć za chwilę?

–Pragniesz tego, Varnasie – ciągnął igumen. W mętnym świetle gasnących świec jego twarz była teraz szarozielona. – Przyznaj, że właśnie po to przybyłeś do naszego monasteru. Czyż nie tak? Dręczą cię myśli i sny, których nie pojmujesz. Szukasz odpowiedzi, a dzięki temu spotkaniu poznasz je wszystkie. Nie jesteś tutaj tylko z powodu bojara Kusakowa...

–Skąd wiesz o moich snach, starcze?

–Znam je, bo nie jesteś jedynym, którego dręczą. Pozwól sobie pomóc. Odrzuć ten miecz i chodź za mną. Odkryj nareszcie prawdę. Jeśli mnie zabijesz, jeśli spalisz monaster, kto zaprowadzi cię do tych, którzy ją znają?

Varnas rozluźnił palce i wypuścił z dłoni rękojeść. Miecz upadł pod nogi igumena, przewracając jedną ze świec. Igumen podniósł go i zważył w dłoni. Patrzył przez jakiś czas na Litwina, przesuwając powoli językiem po cienkich wargach.

–Jesteś bardzo rozsądny – powiedział wolno.

Stało się. Varnas utracił swój miecz w miejscu opanowanym przez zmiennokształtnych. W dodatku celowano do niego z łuku. Dopiero teraz odwrócił głowę i spojrzał na stojącą kilkanaście kroków za nim kobietę.

–Musiałam to zrobić – wyrzekła Anna drżącym z emocji głosem. Rozluźniła nieco cięciwę, aby dać odpocząć ręce, ale nie traciła czujności. – Zagrozili, że inaczej nigdy nie odzyskam męża. Ale oni naprawdę nie zrobią ci krzywdy.

Nie miał najmniejszych szans doskoczyć do kobiety – była za daleko. Nie mógł również skorzystać ze sztyletu ukrytego w cholewie buta. Zresztą nie zamierzał walczyć. Igumen miał rację. Misja, którą powierzył Varnasowi wojewoda Bobrok, była tylko pretekstem. Tak naprawdę litewski wojownik przybył tutaj, aby odkryć prawdę o sobie, i to bez względu na to, jak straszliwe miało okazać się jego odkrycie. Wolałby oczywiście pójść na spotkanie dobrowolnie z mieczem w dłoni, skoro jednak dał się omamić, trzeba będzie stawić się z

gołymi rękami.

A kobieta? No cóż, była już martwa, podobnie jak jej mąż. Dokonała po prostu niewłaściwego wyboru.

Varnas przeniósł wzrok na igumena, który wciąż stał pośród kopających świec, trzymając przed sobą litewski miecz.

–Prowadź, starcze – rzekł spokojnie.

4. *Namiestnik żmijów*

Wszystko przebiegało prawie tak samo jak w jego śnie.

Igumen Sergiusz zaprowadził go przez środkowe drzwi ikonostasu do mrocznego pomieszczenia, które kiedyś z pewnością spełniało rolę prezbiterium, ale teraz przypominało raczej osłonięty ścianami i przykryty dachem przedsionek piekła. Całą tylną część świątyni rozebrano, odsłaniając kamienną ścianę góry, do której jak się okazało, ściśle przylegał kruchy budynek cerkwi. Pośrodku tej ściany wybito olbrzymi otwór. Był to wylot biegnącego stromo w dół korytarza. Stali przed zamaskowanym wejściem do wnętrza kamiennej góry.

Stali przed wejściem do podziemnego państwa.

Przysunąwszy się nieco bliżej, Varnas ujrzał biegnące w dół schody. Wyglądały niczym żebra uwięzionego w skale potwora. Szerokie i wysokie stopnie zdawały się stworzone z myślą o istotach dużo potężniejszych niż człowiek. Kim byli konstruktorzy i budowniczo wie? Kto i kiedy wykuł ten tunel o wypukłych ścianach, wyglądających, jakby zrobiono je z nieznanego metalu? Na pewno nie byli to mnisi, pomyślał Litwin.

Z niewidocznej głębi napływało nagle światło przypominające odblask pożaru – czerwone i pulsujące. Drgało delikatnie na gładkich ścianach korytarza, tańczyło na szerokich, nierównych

stopniach schodów, odbijało się w ostrzu trzymanego przez igumena miecza.

–Schodzimy.

Varnas wciąż patrzył w głąb, zafascynowany i oszołomiony, podczas gdy starzec zstępował już po schodach, powoli i ostrożnie, wolną ręką przytrzymując się lekko wybrzuszonej ściany.

–Chodź za mną, Varnasie. Nie spuszcza j ze mnie oczu, bo niezwykle łatwo jest pogubić się tam, na dole.

Litwin zawahał się. Spojrzał jeszcze na pozostającą wciąż kilkanaście kroków za nim kobietę. Stała w środkowych drzwiach ikonostasu, trzymając przed sobą łuk z gotową do lotu strzałą. Jej twarz kryła się w głębokim cieniu, ale mężczyzna był pewien, że maluje się na niej przerażenie. Ludzki strach litewski wojownik potrafił wyczuć na odległość.

–W pierwszej chwili pomyślałem, że może jesteś podmieńcem – powiedział zimno. – Ale teraz widzę, że jesteś po prostu głupia. Dałaś się oszukać jak dziecko. Twój mąż nie żyje, a ty właśnie idziesz na pewną śmierć. Uciekaj stąd.

Milczała nieporuszona jak posąg. Ciężka jej łuku nie była do końca napięta, ale wystarczyła przecież chwila, aby ją naciągnąć i wypuścić strzałę w kierunku odsłoniętej szyi Varnasa.

–Naprawdę wierzysz, że żmijowie wypuszczą cię żywą ze swojego gniazda? – nie ustępował czarnowłosa mężczyzna. – Nie bądź naiwna. Proszę cię, uciekaj do swoich synów.

–Pośpiesz się, Varnasie! – zawołał z dołu igumen Sergiusz. Zszedł zaledwie kilka stopni, ale jego głos brzmiał tak głucho, jak

gdyby wydobywał się z głębokiej studni. Albo z krypty. – Bardzo szlachetna osoba pragnie z tobą rozmawiać! Nie każ jej czekać!

–Uciekajcie do Moskwy!

–Najpierw muszę odzyskać Włodzimierza Andriejewicza – powiedziała szeptem Anna, bezwiednie naciągając cięciwę. – Powiedzieli, że mi go zwrócą.

Mężczyzna westchnął i odwrócił głowę od kobiety.

–Zatem chodźmy – rzekł.

Staął na pierwszym stopniu kamiennych schodów, rozpoczynając wędrówkę w rozświetlony krwawą łuną mrok podziemnego państwa.

Schody nie prowadziły aż tak głęboko, jak się mogło wydawać z góry. Urywały się po kilkudziesięciu stopniach. Wprawdzie korytarz wciąż opadał, ale zejście było teraz tak łagodne, że niemal niezauważalne. Zmieniło się również pełgające po ścianach światło: nie było już czerwone, tylko ciepłopomarańczowe, pulsowało szybciej. Sprawiało wrażenie, jakby wydobywało się wprost z kamienia. Po kolejnych kilkudziesięciu krokach stało się żółte, a następnie pozieleniało. Varnas uczył silne mrowienie w piersiach – mrowienie stopniowo wędrujące w górę. Ogarnęło go odrętwienie. Choć odgłos kroków brzmiał jak uderzenia szamańskich bębnow, ciało stało się dziwnie lekkie.

Tak, ta wędrówka była niczym sen na jawie. Powoli zacierała się granica między rzeczywistością a złudzeniem.

Litwin zdał sobie niejasno sprawę, że zesli już tak głęboko, iż muszą znajdować się pod dnem Jeziora Martwego. Odruchowo podniósł głowę i spojrzał na gładkie jak powierzchnia zwierciadła sklepienie. Nie dziwota, że w jeziorze nie pływają ryby, pomyślał. Któż wytrzymałby takie sąsiedztwo?

Co jakiś czas tunel skręcał łagodnymi łukami. Z obu jego ścian, które stały się teraz turkusowoniebieskie, w jednakowych odstępach szły boczne schody, korytarze, zaułki, czasami otwierał się widok na jakąś komorę lub salę wielkości jaskini. Pomieszczenia te nie wyglądały na twory natury, zbyt regularnie były ukształtowane. Do czego jednak służyły, Varnas nie umiał odgadnąć. Były całkowicie puste. Czyżby tak miały wyglądać cieszące się złą sławą podziemne miasta żmijów? Gdzie w takim razie znajdowali się mieszkańcy?

Im niżej schodzili, tym szerszy i wyższy stawał się główny korytarz. A więc było odwrotnie niż w jego snach, gdzie kamienne gardło zwężało się z każdym krokiem. Nagle ściany rozstały się całkiem, sklepienie uciekło gdzieś w górę i Varnas uświadomił sobie, że nim się spostrzegł, znalazł się we wnętrzu gigantycznej, niedającej się ogarnąć wzrokiem jaskini.

Nieregularne rozbłyski błękitnego światła wrywały z ciemności tylko fragmenty, których oszołomiony umysł Litwina nie potrafił złożyć w spójną całość: jakiś kawałek wrzecionowatej kolumny, część wyrastającego z niewidocznej ściany tarasu czy też balkonu, gmatwaninę biegnących tuż pod sklepieniem metalowych rur, uczipione żelaznych filarów gniazda oraz korony z poczerńiałego drutu. Wszystko to nieforemne, najeżone zębami,

kolcami, spiczaste, ostre i zimne, jakby wzniesione z pogruchotanych pancerzy, szyszaków, resztek toporów i włóczni po to tylko, by zadawać ból przy każdym dotknięciu.

Powietrze przesycone było ohydny, mdlącym zapachem.

Ale najgorsze miało dopiero nastąpić. Światła przestały błyskać i przez długi czas panowała kompletna ciemność. Potem przed oczami Varnasa pojawiły się kolorowe znaki i figury – wirujące kreski, kropki i koła. Wszystkie te błyski układały się w coraz bardziej skomplikowane, choć całkowicie niezrozumiałe wzory.

To sen, pomyślał znowu. Uśpili mnie.

– Witaj, Varnasie – usłyszał naraz kobiecy głos. Głos, który rozbrzmiewał tylko w jego głowie. – Tak długo czekaliśmy na ciebie.

Litwin aż westchnął, kiedy ujrzał przed sobą dziewczynę w popielatej sukni i w wianku z kwiatów lnu na głowie. Stała na tle ciemności, emanując jak gdyby własnym światłem. Na jej widok igumen Sergiusz padł na kolana i uderzył czołem w ziemię. Niepokojąca postać o mglistych konturach zdawała się lekka jak pieszczota. Jakby powstała nie z prochu ani żadnej innej ziemskiej materii, tylko z tej wypełniającej podziemia świetlistej substancji. Jej delikatna, dziwnie rozwibrowana twarz wywołała na moment w pamięci Litwina wspomnienie innej kobiety – piętnastoletniej żony pewnego kupca z Kolonii – którą Varnas spotkał parę lat temu w Perejaślawiu. Widział ją tylko raz, lecz zapamiętał dokładnie.

– Wspaniale wyglądasz, Varnasie. Jesteś naprawdę potężny.

Jasnowłosa piękność uśmiechnęła się teraz do niego, a raczej wykrzywiła tylko usta.

– Kim jesteś? – spytał w myślach litewski wojownik.

– Jestem namiestnikiem tego miasta. Nazywam się Egle.

– Jesteś złudą.

Przez chwilę kobieta patrzyła na niego bez wyrazu.

– Wolałbyś ujrzeć moją prawdziwą postać, Varnasie?

– Wolałbym nie oglądać cię wcale. Czego ode mnie chcecie?

– Wyrosłeś na wspaniałego wojownika.

– Przybyłem po Włodzimierza Andriejewicza. Wiecie o tym?

– Nie po to przybyłeś.

Jego serce zaczęło bić mocniej. Znowu odgłos bębna.

– Gdzie podział się ten kruchy chłopiec, którego pamiętamy?

– Czego ode mnie chcecie?

– Wiesz przecież, czego chcemy.

– Szkoda mi czasu na wasze węzowe zagadki.

Za plecami kobiety zaczęły majaczyć jakieś kształty. Coś jakby wirujące strzępy bursztynowej, opalizującej mgły.

– Chcemy, byś do nas powrócił.

Varnas drgnął. Jego mięśnie stężały, a oczy zwęziły się w szparki.

– Nigdy do was nie należałem.

– Opuściłeś nas – obca istota przyglądała mu się swoimi martwymi oczami – odwróciłeś się od nas i dobrze o tym wiesz. Nie okłamuj się, Varnasie.

– To wy mnie okłamujecie. Od lat.

Miał wrażenie, że prześladowający go od lat sen znowu powrócił. Tym razem jednak nie potrafił się z niego przebudzić.

– Tatarski szaman zawładnął twoją duszą, kiedy byłeś ranny, bezbronny i słaby.

Pamiętasz przecież tamte noce. Zły człowiek odmienił cię za pomocą swoich diabelskich sztuczek. Czarownik na usługach niszczycielskich sił.

–Dajan?

–A więc pamiętasz.

Mongolski szaman.

Tak, miał na imię Dajan. Varnas wciąż widział jego pomarszczoną twarz pod futrzaną czapą z nausznikami, jego żylaste ręce oraz szorstkie dłonie rytmicznie uderzające w bęben. Pamiętał jeszcze wiele różnych rzeczy z tamtego dziwnego okresu: zwijanie obozu tuż przed świtem, zasy wokół jurty, kilkunastoletniego chłopca o imieniu Bogi, który załadowywał juki wołu; pamiętał krępe konie, kobiety śpiewające mongolskie piosenki, zapach dymu i gotowanej baraniny, stada rozkrzyczanych wron nad głową. Pamiętał stepy zimą: trudne do objęcia wzrokiem białe przestrzenie.

–Poniósł straszliwą karę... – Istota znów się uśmiechnęła.

–Co mu zrobiliście?

–Ukaraliśmy go za to, co ci zrobił.

–Zabiliście go?

–Tak.

–Zapłacicie za to.

Najlepiej ze wszystkiego litewski wojownik zapamiętał starego Dajana. W mrocznym wnętrzu jurty szaman opowiadał o świecie duchów, demonów i zwierząt. Mówił, że potrafi odzyskiwać dusze. A potem chwycił za bęben i rozpoczął swoją podróż. Uwolnię cię od nich... Litwin nie potrafił odróżnić teraz wspomnień od snów, które nadeszły dużo później. Granica między rzeczywistością a majakami zatarła się całkowicie w jego umyśle.

–Zapłacicie za jego śmierć.

–Od tamtej pory działasz przeciwko nam – powiedziała kobieta. – Przeciwno swoim stworzycielom. Przysporzyłeś nam wielu, wielu cierpień. Teraz jednak gotowi jesteśmy cię przebaczyć. Przyjmiemy cię z powrotem, ponieważ cię kochamy, Varnasie.

–Kochacie mnie? – spytał bezgłośnie Litwin, czując, że nie panuje już nad ciałem.

Wydawało mu się, że zawisł w pustce. Nie czuł nawet własnego ciężaru.

Postać kobiety zafalowała, odkształciła się i wydłużyła niczym odbicie w poruszonej tafli jeziora. Przed Litwinem stał teraz młody mężczyzna w purpurowej szacie. Kolejny skradziony wizerunek.

–Tak, kochamy cię, gdyż jesteś naszym najdoskonalszym dziełem.

–Nie wierzę wam.

–Ty byłeś pierwszy.

Kłęczący przed istotą igumen Sergiusz modlił się na głos. Jego wątłe plecy co jakiś czas przeszywały dreszcze. Ale Varnasowi zdawało się, że starzec znajduje się niewyobrażalnie daleko. Smród w jaskini stawał się nie do zniesienia.

–Nie miałeś do spełnienia żadnej szczególnej misji – oznajmiła świetlista istota. –

Chcieliśmy tylko sprawdzić, czy zostaniesz

zaakceptowany przez swoich czy też odrzucony jako odmieniec. Tylko tyle i aż tyle. Po tobie przyszedli inni, już ważniejsi. Ale ciebie kochamy najbardziej...

Myśli istoty przestały docierać do głowy Varnasa, jego uwagę zwróciły bowiem kształty wyłaniające się za plecami mężczyzny. To co litewski wojownik wziął z początku za bursztynową mgłę, okazało się przezroczystymi kadziami wypełnionymi jakąś cieczą. Dziesiątki olbrzymich kadzi połyskiwały teraz słabo w ciemnościach jaskini.

–Kruchy litewski chłopiec, który zabłądził w puszczy. Pamiętasz? Dziewięcioletni chłopiec zbierający grzyby zbyt daleko od rodzinnej osady.

Kadzie stawały się coraz wyraźniejsze, światło wewnątrz nich nasilało się.

–To tylko sny.

–To nie sny. – Żmij odtworzył obraz małej dziewczynki o jasnych włosach trzymającej w rękach rudego kociaka. – Stworzyliśmy cię na nowo. Doskonalszego.

Wewnątrz zbiorników coś pływało. Varnas usłyszał cichy jęk stojącej za jego plecami Anny. Usłyszał go jakby zza ściany.

–Zostałeś stworzony przez nas.

To było zbyt niedorzeczne i makabryczne, by mogło być prawdziwe. W kadziach znajdowały się ludzkie ciała. Dziesiątki nagich, oplecionych przezroczystymi rurami ciał unosiły się w gęstej cieczy niby śnięte ryby w jeziorze.

–Jesteś kimś wyjątkowym.

Varnas zamknął oczy i z całych sił zacisnął powieki, ale upiorne obrazy go nie opuściły.

–Patrz, Varnasie. Przyjrzyj się uważnie – usłyszał. – Nie zamykaj oczu. To pozwoli ci zrozumieć, czego częścią jesteś.

–Nie jestem bezwolnym ciałem.

–Ale byłeś.

Wstrzymał oddech, broniąc się przed atakiem odrzy i lęku. Kręciło mu się w głowie od nadmiaru wrażeń i okropnego smrodu, który wydobywał się ze zbiorników. Czuł, że traci równowagę, że zaraz runie w bezdenną przepaść. Strumień koszmarnych obrazów zalewał jego świadomość, ale w głębi umysłu majaczyła myśl, że to wszystko jest nieprawdziwe. Oczywiście wiedział o istnieniu podmieńców, ale nie wierzył w rozwijające się przed jego oczami sceny.

To tylko ułuda, myślał. Ułuda stworzona w celu zawładnięcia moją duszą. Wiedział, że musi pokonać słabość, zanim umysł skapituluje. Uchwycił się tej myśli jak ostatniej deski ratunku.

Zacisnął pięści. Chwilę trwało, zanim zebrał się w sobie.

–Potraficie tylko tworzyć fałszywe obrazy. – Oczy wciąż miał zamknięte, ale stał już nieco pewniej na nogach. Poczuł pod butami kamienną podłogę. Siły stopniowo powracały. – Zupełnie tak jak teraz. W jakiś sposób potraficie wywoływać koszmarny. Lecz te sny nic nie znaczą. Wszystko co pokazujecie i mówicie, to nikczemne kłamstwa. Nie jesteście aż tak potężni, jak wam się wydaje.

–Przyznaj, że byłeś szczęśliwy, dopóki nie odwróciłeś się od nas.

–Nigdy nie byłem szczęśliwy.

–Zabijałeś dla nas.

Varnas otworzył oczy i spojrzał wprost na brodatego rycerza w złotej zbroi, który pojawił się na miejscu dziewczynki z kotem.

–Teraz pozabijam was wszystkich – powiedział na głos. Jego spojrzenie było zimne jak

stal.

–Nie potrafisz...

–To wy nie potraficie zabić mnie. Nie umiecie również wtargnąć do mojej głowy.

Wszystkie mięśnie naprężyły się jak do skoku. Najważniejsze, że mógł już kontrolować ciało. Że jego zmysły się wyostrzyły.

–Nie bądź głupi, nie odwrócisz tego procesu – przekonywała istota. – Jesteśmy już wszędzie, wiesz o tym. We wszystkich stolicach, na wszystkich dworach. Nasi wysłannicy przeniknęli do klasztorów, do królewskich kancelarii i miejskich urzędów. Są silni, odporni na zarazy, które nastąpią już wkrótce. Są gotowi na każde wezwanie.

Nie wszystkie ciała były kompletne, niektóre rozebrano na części. Jak w rzeźni. W ciemnozielonej cieczy jakaś niehumanitarna siła umieściła również same kadłuby, obrane ze skóry torsy, pojedyncze członki, osamotnione bezwłose czaszki, a nawet dłonie, stopy i gałki oczne. Varnas zobaczył pływający pomiędzy kobiecymi ciałami ludzki płód, lepki od białej mazi, jakby wydarty wprost z maczynego łona.

–Spójrz na te ciała, Varnasie. To są wszystko nasze dzieci. Tak jak ty. Są tu bojarzy, medycy, astrologowie, marszałkowie dworu, ministrowie, szlachetnie urodzone damy i pospolite kurtyzany. Nie brakuje nikogo. Jak widzisz, niektórzy są jeszcze nadzy, lecz niedługo wdzieją na siebie habity, szkarłatne szaty, ciężkie zbroje

i purpurowe kapelusze. Wszyscy oni w przyszłości przygotują świat na powrót starożytnej rasy.

–Jakiej rasy? – zapytał Varnas z pogardą w głosie. – Wężowej? Gadziej?

–Tych, którzy niebawem znów tutaj zamieszkają. – Istota ponownie zafalowała. Brodaty rycerz zamienił się w kobietę o wschodnich rysach, w sukni z drobnych łusek mieniących się wszystkimi kolorami tęczy. – Tych, którzy mieszkali tutaj na początku. Zapomnieliście o nas, Varnasie, ale my nigdy nie zapomnieliśmy o tym miejscu. Jesteśmy już w drodze. Słyszałeś przecież o światłach nad jeziorem. Wiesz dobrze, co one oznaczają.

–Nie wiem. Powiedzcie mi.

Wschodnia piękność wykrzywiła usta w martwym uśmiechu.

–Otwieramy granice między światami.

Anna Kusakowa za jego plecami łapała spazmatycznie powietrze, ale Varnas nie mógł się teraz odwrócić.

–Prawie wszystkie wrota są już otwarte. Nie zatrzymasz tego. Nie bądź głupcem. Wróć do nas, a uczynimy cię jednym z władców nowego imperium.

–Dlaczego wam na mnie zależy? – spytał, instynktownie czując, że coś się szykuje i że należy odwrócić od tego uwagę istoty. – Dlaczego po prostu mnie nie zabijecie?

–Nie chcemy zabijać swoich dzieci.

–Wczoraj rano jednak próbowaliście. Gdyby nie pomoc, tamten gad rozszarpałby mnie na kawałki.

–Jak by ci to powiedzieć, Varnasie? – Oczy kobiety zaświeciły czerwonym blaskiem. – To był... rodzaj próby...

–Próby – powtórzył głucho Varnas, po czym niespodziewanie się uśmiechnął. Zupełnie jakby przewidział, co stanie się za chwilę.

Trzask zwalnianej cięciwy i jęk ugodzonego żmija zabrzmiały niemal równocześnie.

Oszołomiony Varnas ujrzał, jak świetlista kobieta wykrzywia się w potwornym grymasie, po czym zapada się, a na jej miejscu pojawia się nagle wypełnione bólem oblicze brodatego rycerza i następnie – w coraz szybszych metamorfozach – przerażone twarze dziewczyny, młodzieńca oraz jasnowłosej piękności w wianku. Wszyscy oni krzyczeli. Ich głosy zlały się w jeden nieludzki, świdrujący uszy wrzask, w którym mieszały się zdumienie, ból i wściekłość.

Ten krzyk przywrócił Varnasowi poczucie rzeczywistości. Tak jakby zbudzono go z głębokiego snu.

Kiedy opadły wszystkie maski, oczom wojownika ukazał się wreszcie rozdziawiony pysk zielonoszarego stwora. Gad rozpaczliwie starał się chwycić szponami tkwiącą w oczodole strzałę. Jego wysiłek był jednak daremny. Namiestnik żmijów umierał. Olbrzymia bestia – cała pokryta łuskami, z dziwnym grzebieniem wyrastającym z czubka głowy i ciągnącym się prawdopodobnie aż do ogona – została właśnie śmiertelnie raniona przez roztrzęsioną z emocji żonę bojara Kusakowa.

Od tej chwili wypadki potoczyły się błyskawicznie.

Zanim martwe ciało potwora runęło na ziemię, Varnas zaciskał już w dłoni wyjęty zza cholewy buta sztylet. Jednym susem znalazł się przy igumenie Sergiuszu, który zdążył tylko podnieść siwą

głowę, a potem wydać z siebie zwierzęcy charkot, kiedy czarnowłosy wojownik podrzynał mu gardło.

–Uciekamy! – krzyknął Varnas, odtrącając kopniakiem ciało starca. Schował zakrwawiony sztylet i podniósł z ziemi swój litewski miecz. Jakże wspaniale było czuć znowu jego ciężar. – Na górę!

–On tam był – wyszeptała Anna.

–Na górę! – Varnas pociągnął ją za sobą. – Nie mamy czasu. Zaraz nas tu żywcem zjedzą.

Spojrzała na niego nieobecny wzrokiem.

–Widziałam go...

A więc ona również oglądała te ciała. Czyżby to jednak nie był żaden sen?

–Biegnij! – rozkazał Varnas.

–Widziałam głowę mojego męża. Zabili go.

–Wiem.

–Pływała w...

–Wiem. Uciekajmy.

Biegli, nie patrząc za siebie. Ciszka zaległa w podziemiach była bardziej przerażająca, niż gdyby ścigały ich wrzaski i ryk potworów. W nikłym rozbłysku błękitnego światła, które zdawało się teraz pulsować jakby szybciej, dostrzegli ciemną plamę zwiastującą wejście do korytarza. Musieli czym prędzej wydostać się na powierzchnię, zanim żmijowie zorientują się w sytuacji.

Anna Kusakowa zatrzymała się nagle przed ciemnym otworem w skale i obejrzała ostatni raz za siebie.

Bursztynowe kadzie były stąd jednak niewidoczne – tylko blade, niewyraźne plamy majaczyły gdzieś w jaskini.

Zawahala się.

–Jemu już nie pomożesz! – Varnas chwycił ją za ramię i pchnął w głąb korytarza. –

Ruszaj!

Wbiegli w ciemny tunel, który stopniowo zaczął rozjaśniać się słabym zielonkawym światłem. Uciekali, wciąż nie oglądając się za siebie, byle w górę. Gładkie ściany korytarza odbijały echem ich kroki, potracone w biegu drobne kamienie staczały się z hałasem po wzniesieniu podłoża. Za łagodnym zakrętem światło zrobiło się żółte, za następnym – pomarańczowe. W górze widać już było czerwonawą poświatę, a w niej zamajaczyły szerokie, wykute w skale schody. Jeszcze chwila i będą na powierzchni. Jeszcze tylko chwila...

Dziwny, ledwie słyszalny dźwięk zaalarmował nagle Varnasa. Zatrzymał się w pół kroku i gestem nakazał kobiecie milczenie. Anna Kusakowa oparła się o kamienną ścianę tunelu, z trudem łapiąc powietrze. Varnas rozejrzał się niespokojnie. Z ciemnych, ledwie widocznych komór po obu bokach korytarza dochodził cichy szmer, a w pulsującym teraz na czerwono świetle pojawiły się cienie, jakby do tunelu wpadły obudzone ze snu wielkie nietoperze.

Anna i Varnas wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Szmer zmienił się w hałas i w jednej chwili korytarz przed nimi wypełnił się zakapturzonymi mnichami.

Ubrani na czarno brodaci mężczyźni bez słowa ustawili się na pierwszych stopniach prowadzących na powierzchnię schodów. Trzymali w rękach kije, pałki i jakieś – przyniesione chyba z szop – narzędzia. Wszyscy byli niesamowicie chudzi, nieruchome twarze

z zapadniętymi policzkami w krwistoczerwonym świetle sprawiały wrażenie upiornych masek.

–Z drogi! – zawołał Litwin, unosząc oburącz miecz.

Oczy mu się zwęziły, na policzku zadrgała sina blizna. – Radzę wam, wracajcie do modlitwy, bo zaraz będziecie zbierać ze schodów własne głowy.

Mnisi nie odpowiedzieli. W złowróżbnym milczeniu patrzyli na prężącego muskuły wojownika. Varnas emanował teraz zwierzęcą wprost siłą, ale tamci ani myśleli ustąpić z drogi. Posłuszni żmijowej woli gotowi byli zginąć, żeby choć na chwilę zatrzymać uciekinierów.

–Psy możecie sobie tymi kijaszkami odganiać – kontynuował Litwin, odsłaniając zęby w drwiącym uśmiechu. – Jesteście szaleni, jeśli myślicie, że nas tu zatrzymacie. – Splunął. – Skoro jednak chcecie ginąć, zginiecie.

Jeszcze nie przebrzmiały jego ostatnie słowa, a już pierwszy mnich – trafiony w szyję strzałą Anny Kusakowej – osuwał się na kamienne płyty. Wkrótce potem na schodach leżały trzy kolejne trupy, a gęsta krew zaczęła spływać po wysokich stopniach. Co parę chwil słychać było jęk cięciwy, krótki krzyk trafionego mnicha i głuchy odgłos padającego ciała. Jednakże na niewiele się to zdało. Na miejscu zabitych czerńców wciąż wyrastali następni, równie spokojni i równie nieustępliwi. Tworzyli jedną zwartą, bezpostaciową masę, która skutecznie zagradyła drogę uciekinierom.

–Zabraknie nam strzał – powiedziała w pewnym momencie Anna Kusakowa.

–I czasu – dodał Varnas, obejrzawszy się nerwowo przez ramię. Coś narastało w niewidocznej głębi, coś szykowało się do ataku,

mężczyzna czuł to wyraźnie, mimo że w podziemiach wciąż panowała dławiąca cisza. Jeszcze chwila i może być już za późno.

Nie było się nad czym zastanawiać.

–Ostrzegałem was, głupcy! – krzyknął litewski wojownik i ruszył przed siebie.

Postanowił mieczem wyrąbać sobie drogę na powierzchnię.

Dopiero teraz rozpoczęła się prawdziwa rzeź. Z dzikim okrzykiem Varnas skrócił o głowę pierwszego mnicha, a następnie bocznym cięciem rozpruł brzuch drugiego. Z ohydnych młasniciem wypłynęły połyskliwe sine wnętrzności. Nim jeszcze oba ciała znieruchomiały, Litwin uderzeniem rękojeści powalił trzeciego napastnika, po czym zręcznie uchylił głowę przed ciosem pałki i rąbnął mieczem atakującego, niemal rozłupując na pół tysą czaszkę. Ostrze utkwilo w kości tak głęboko, że przez dobrą chwilę Varnas nie mógł wydobyć broni i zmuszony był odpierać ataki kopniakami.

–Szybciej, Varnasė! Coś się tam zaczyna dziać! – zawołała Anna.

–Staram się! – wychrypiał Litwin. – Sama widzisz, ilu ich jest!

Na moment zrobiło się trochę więcej miejsca. Klinga zakreślała w powietrzu kolejne półokręgi. Trupów przybywało, wkrótce ręce Varnasa były wilgotne aż po łokcie. W oświetlonym na czerwono tunelu nie widać było krwi, Litwin czuł ją jednak wszędzie: pod butami, na rękach, na twarzy. Stopień po stopniu mężczyzna

przebijał się w stronę wyjścia, znacząc drogę okaleczonymi ciałami. Ale kolejni mnisi wciąż wyrastali w miejsce zabitych towarzyszy. Ilu ich jeszcze może być? Przecież w tym klasztorze mieszkało ich co najwyżej czterdziestu.

Ręka mu zdrętwiała, pot zalewał oczy. Potworny ścisk powrócił i utrudniał operowanie mieczem. Varnas ograniczył się już właściwie tylko do przepychania się pomiędzy zagradzającymi mu drogę mnichami.

W pewnym momencie potknął się o leżącego trupa, upadł na schody, śliska od krwi rękojeść o mało nie wysunęła mu się z dłoni. Na szczęście Anna była czujna i próbujący uderzyć go od tyłu starzec osunął się ciężko po ścianie z pierzastą strzałą między łopatkami.

–Nie zdążymy! – krzyknęła kobieta. – Już nas gonią!

Rzeczywiście, z dołu dobiegał jakiś dziwny dźwięk. Złowrogi szum, jak odgłos wzburzonej rzeki wypływającej z samego wnętrza Ziemi.

Varnas zerwał się na nogi, zręcznie zatopił miecz w piersi nacierającego mnicha, ale ostrze znów uwięzło w kości i nim zdążył je wyszarpnąć, naparły na niego kolejne ciała. Wypuścił rękojeść.

Bronił się teraz kopniakami, oparty plecami o ścianę tunelu. Spadła na niego istna lawina ciosów. Rozpaczliwie próbował parować je ramieniem, ale wiele z nich dosięgło celu. Zamroczony osunął się na kolana. Wolną ręką wyjął sztylet i na oślep zaczął zadawać krótkie pchnięcia.

To już koniec, przemknęło mu przez głowę. Piekielny szum nasilał się, jakby gdzieś tam w dole otwierały się właśnie wrota pomiędzy światami. Litwin zacisnął powieki.

Nagle do jego uszu doszły krótkie, chrapliwe okrzyki i bezlitosne ciosy ustały.

–Wasył! Fiodor! – usłyszał zdumiony głos Anny. – A skąd wy tutaj?

Otworzył oczy i zamiast ponurych mnichów zobaczył nad sobą młodych mężczyzn z

obnażonymi mieczami, roztrzęsionych i z trudem łapiących oddech. W czerwonym świetle ich proste twarze wyglądały całkowicie nierealnie. Przez chwilę Varnas nie potrafił sobie przypomnieć, do kogo należą.

–Nie mogliśmy przecież siedzieć w domu – odezwał się starszy, próbując opanować drżenie rąk. – Nie jesteśmy już dziećmi.

–Właśnie – chrapliwym głosem zawtórował mu brat, a następnie z dumą pokazał czerwone ostrze swego miecza. – Bić się umiemy, mateczko. Powaliliśmy wielu, wielu czerńców.

–Nie tylko do strącania ptasich gniazd się nadajemy. Gdzie ojciec?

–Nie ma go tutaj – odpowiedziała krótko kobieta. – Pomóżcie Varnasowi, bo chyba nieźle oberwał.

–Nic mi nie będzie – zaprotestował Litwin, krzywiąc się z bólu. Wciąż był oszołomiony, ale udało mu się wreszcie rozpoznać swoich wybawicieli. Spojrzał w górę, na usłane ciałami mnichów schody. Trzeba przyznać, że synowie Anny świetnie się spisali. Jeszcze chwila, a czerńcy zatłukliby go jak psa.

–Nie doceniłem was, ale teraz widzę...

Umilkł, bo zgasło czerwone światło i w tunelu zrobiło się naraz zupełnie ciemno. Szum zamienił się w wysoki, przenikliwy syk.

–Co się tam dzieje? – z niepokojem spytał młodszy z synów Anny.

–Lepiej się stąd wynośmy – mruknął Varnas.

Bracia pomogli Litwinowi wstać, podali mu miecz, a potem podtrzymywali jeszcze pokiereszowanego wojownika, kiedy ten wspinał się po schodach w stronę wyjścia. Ściagał ich świdrujący, wysoki syk, lecz Litwin mimo zamroczenia wiedział już, że bestie nie są w stanie ich zatrzymać. Wszystkie te kuglarskie sztuczki okazały się niewystarczające. Żmijowie byli wobec niego całkowicie bezsilni. Po raz kolejny podniósł na nich rękę i po raz kolejny uszło mu to na sucho.

Nie są tak potężni, jak mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać. Dopiero stawiają pierwsze kroki, powoli przyzwyczajają się do nowych warunków. Dlatego nie potrafili go do tej pory zabić. Dlatego kryją się przed ludźmi w jaskiniach. Cała ich potęga jest na razie po tamtej stronie.

Można z wami walczyć, myślał Varnas, opuszczając żmijowy gród.

Jeszcze nie jest za późno.

Anna i jej synowie schodzili już w stronę jeziora, kiedy Varnas za pomocą krzesiwa podłożył ogień w drewnianej cerkwi. Mimo że głowa pękała mu z bólu, przepełniało go poczucie triumfu. Z dziką radością patrzył na rozprzestrzeniający się ogień, przyglądał się, jak żółtoczerwone płomienie ogarniają drewniane ławy, liżą ikonostas, wspinają się na pokryte farbą ściany. Oto prawdziwa siła, pomyślał. Czuł, że także on ulega oczyszczeniu, że ogień trawi fałszywe obrazy, niepokojące wspomnienia i zgubne myśli, które zatrwały jego umysł. Gorące podmuchy uderzały w twarz, czarny dym dusił w gardle, drażnił oczy, ale litewski wojownik wciąż stał i patrzył, uśmiechając się triumfalnie. Ogromniejący, huczący ogień dawał mu poczucie nadludzkiej siły.

–Spróbujcie przejść przez te wrota, władcy nowego imperium! – zawołał wreszcie, po czym wybiegł na zewnątrz. Stał jeszcze jakiś czas na śniegu i patrzył na szalejący żywioł.

Odszedł dopiero, gdy zapadł się dach świątyni.

–Jedźcie ze mną do Moskwy.

–Wykluczone. Muszę najpierw wrócić do osady. Trzeba przecież zabrać ze sobą wszystkich tych ludzi. Myślisz, że zostawiłabym ich na pewną śmierć?

–Nie.

–No właśnie.

–Wiesz co, Anno? Nigdy jeszcze nie spotkałem tak upartej kobiety.

–Nic w tym dziwnego. Jesteś młody i mało masz doświadczenia w tych sprawach.

–Tego bym nie powiedział. Miałem już mnóstwo kobiet.

–Akurat.

–Setki kobiet.

Siedzieli na koniach i patrzyli w stronę odległej wyspy. Monastyr Zaśnięcia Matki Bożej wciąż płonął, czarne słupy dymu łączyły go z zachmurzonym niebem, które zdawało się lustrzanym odbiciem lodowej tafli jeziora.

–Setki kobiet – powtórzył Litwin. – Ale żadna jeszcze nie celowała do mnie tak często z łuku. Właściwie żadna z nich nie miała chyba nigdy łuku w ręce.

Przypominał teraz demona wojny: cały czerwony od krwi, z pozlepianymi w strąki włosami, na odległość śmierzący spalenizną, wciąż przepelnięny żądzą walki i zniszczenia. Jego koń, wyczuwając podniecenie jeźdźca, tańczył w miejscu i rzucał łbem, odsłaniając zęby i różowe dziąsła. Anna była spokojna, choć blada i zmęczona. Nie dawała po sobie poznać, jak bardzo przeżywa śmierć męża.

–Dobrze, dobrze, nie będziemy się przecież kłócić – powiedziała swoim zwykłym tonem. Przez chwilę milczała. – Muszę przyznać, że miałeś rację, młodzieńcze. Dałam się zwieść jak dziecko. Powinłam była ci zaufać. Mimo wszystko jednak czegoś się nauczyłam.

Litwin uśmiechnął się na swój okropny sposób. Nawet jego zęby były teraz czerwone, jakby wojownik rozszarpywał nimi ciała zabitych mnichów.

–A ty? – spytała po chwili Anna. – Czego nauczyłeś się tam, na dole? Co ci powiedzieli? Poznałeś w końcu tę prawdę o sobie, o której mówił igumen? – spojrzała na niego badawczo. – Stałeś tam jak sparaliżowany. Co właściwie usłyszałeś?

Varnas przez dłuższą chwilę gładził w milczeniu kark konia, zostawiając na sierści czerwone smugi.

–Nic – odparł wreszcie, nie patrząc jej w oczy. – Same wężowe kłamstwa. No, ruszajmy, bo ziąb okrutny, a droga do osady daleka.

Anna Kusakowa podniosła w zdumieniu brwi.

–To ty nie do Moskwy? – spytała.

–Do Moskwy pojedziemy wszyscy razem.

Kobieta prychnęła.

–Nie musisz tego robić, chłopcze – powiedziała. – Potrafię sobie radzić. Wiesz przecież, że...

–Masz jeszcze u siebie trochę tego wczorajszego miodu? – przerwał jej Litwin, odwracając konia w stronę gościńca. – Strasznie zaschło mi w gardle.

Zaśmiała się.

–Mam nadzieję, że coś jeszcze zostało – odparła, spojrzawszy na synów, którzy pod

wpływem jej przenikliwego wzroku poruszyli się niespokojnie w siodłach.

–No to w drogę! – Varnas zaciął wierzchowca i ruszył przed siebie, dzwoniąc uprzężą.

Nie potrafił zbyt długo rozmawiać z kobietami.

Spis rzeczy

Noc szarańczy / 5

Riffy / 63

Florencja /123

Pasażer / 149

Frankfurt /199

Sztuczne palce / 249

Czarny punkt / 269

Dom Marty / 29s

Wyspa mnichów / 321

copyright S BY Jewgienij T. Olejniczak, LUBLIN 2009

COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2009

WYDANIE I

ISBN 978-83-7574-011-0

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana

ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

redakcja SERII

Eryk Górski, Robert Łakuta

ilustracja na okładce

Igor Kieryluk

projekt okładki

Paweł Zaręba

ilustracje

Dominik Broniek

redakcja

Katarzyna Bagier

korekta

Urszula Gardner

skład

Monika Nowakowska

sprzedaż internetowa efTipik.com

zamówienia hurtowe Firma Księgarska Jacek Olesiejuk sp. z o.o. 05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91

tel./fax: (22) 721-30-00 www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl

wydawca Fabryka Słów sp. z o.o. 20-607 Lublin, ul. Wallenroda 4c www.fabryka.pl e-mail: biuro@fabryka.pl

DRUKI oprawa OPOLgrafS.A. www.opolgraf.com.pl

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-03

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/